REPORTAŻ

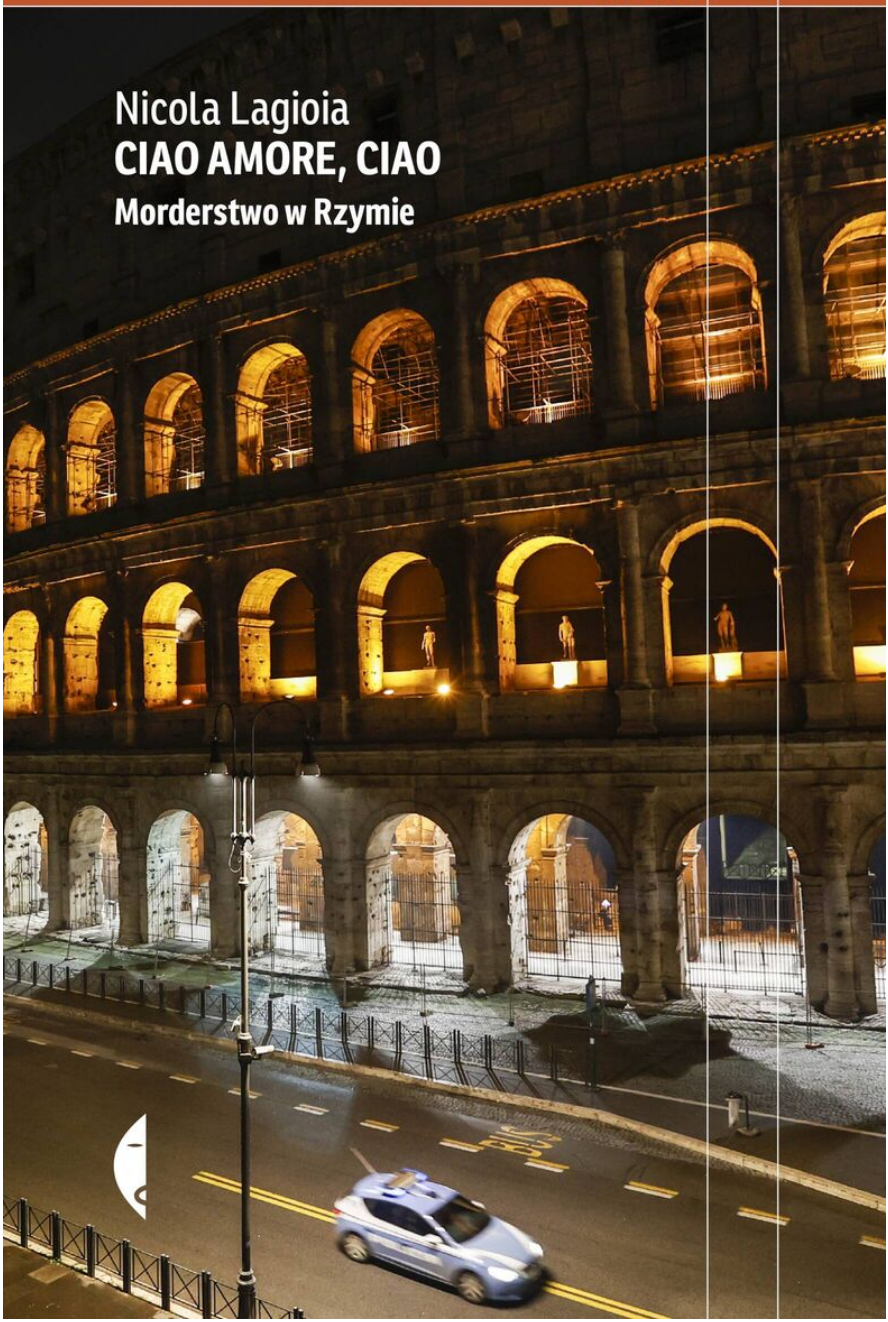

Nicola Lagioia

CIAO AMORE, CIAO

Morderstwo w Rzymie

Nicola Lagioia

Ciao amore, ciao

Morderstwo w Rzymie

Przełożył Tomasz Kwiecień

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2025

W serii ukazały się ostatnio:

Bradley Hope *Pokonać Kimów. Tajna misja przeciwko reżimowi*

John Treherne *Zbrodnia w raju. W poszukiwaniu utopii na Galapagos*

Maciej Wasielewski *Jutro przypłynie królowa* (wyd. 3)

Bartosz Panek *Zboże rosło jak las. Pamięć o pegeerach*

Jacek Hołub *Wszystko mam bardziej. Życie w spektrum autyzmu*

Marcelina Szumer-Brysz *Wróżąc z fusów. Reportaże z Turcji* (wyd. 3 rozszerzone)

Wojciech Górecki *Wieczne państwo. Opowieść o Kazachstanie*

Mateusz Marczewski *Pasażerowie. Ayahuasca i duchy Amazonii*

Aleksandra Łojek *Belfast. 99 ścian pokoju* (wyd. 3)

Katarzyna Bednarczykówna *Masz się łasić. Mobbing w Polsce*

Anna Maziuk *Niedźwiedź szuka domu*

Anna Malinowska *Sosnowiec. Nic śląskiego*

Anna Sawińska *Przesłonięty uśmiech. O kobietach w Korei Południowej* (wyd. 2 zmienione)

Adam Zadworny *Heweliusz. Tajemnica katastrofy na Bałtyku*

Zbigniew Rokita *Królowie strzelców. Piłka w cieniu imperium* (wyd. 2 rozszerzone)

Thomas Orchowski *Wyspa trzech ojczyzn. Reportaż z podzielonego Cypru* (wyd. 2)

Maciej Czarnecki *Dzieci Norwegii. O państwie (nad)opiekuńczym* (wyd. 3)

Maciej Czarnecki *Dla dobra dziecka. Szwedzki socjal i polscy rodzice*

Bartosz Józefiak *Wszyscy tak jeżdżą* (wyd. 2)

Aleksandra Boćkowska *Gdynia. Pierwsza w Polsce*

Anna Malinowska *Od Katowic idzie słońce* (wyd. 2)

Anna Bikont *Nie koniec, nie początek. Powojenne wybory polskich Żydów*

John McPhee *Plac Zgody. Wieczyście neutralna Szwajcaria*

Marta Grzywacz *Radość Soboty. Archiwum życia i śmierci*

Ilona Wiśniewska *Białe. Zimna wyspa Spitsbergen* (wyd. 5)

Paweł Smoleński *Trędowate kobiety czyszczą ryż*

Marta Wroniszewska *Matka bez wyboru. O kobietach, które opuściły swoje dzieci*

Barbara Seidler *Pamiętajcie, że byłem przeciw. Reportaże sądowe* (wyd. 3)

François-Henri Désérable *Kruszenie świata. Podróż do Iranu*

Martyna M. Wojtkowska *W Nowej Zelandii wschodzi słońce. Wojenna tułaczka polskich dzieci*

Katarzyna Kobylarczyk *Ciałko. Hiszpania kradnie swoje dzieci* (wyd. 2)

Patrick Radden Keefe *Cokolwiek powiesz, nic nie mów. Zbrodnia i pamięć w Irlandii Północnej* (wyd. 3)

Thomas Orchowski *Pasterzy jest coraz mniej. Reportaż z Krety*

Karolina Bednarz *Kwiaty w pudełku. Japonia oczami kobiet* (wyd. 3)

Linda Polman *Karawana kryzysu. Za kulisami przemysłu pomocy humanitarnej* (wyd. 4)

Agata Komosa-Styczeń *Wyspa niechcianych kobiet*

Ilona Wiśniewska *Hjem. Na północnych wyspach*

W serii ukaże się m. in.:

Tomáš Forro *Śpiew syren. W głąb wojennej Ukrainy*

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

prawolubni

Tytuł oryginału włoskiego *La città dei vivi*

Projekt okładki Agnieszka Pasierska

Projekt typograficzny i redakcja techniczna Robert Oleś

Fotografia na okładce © Riccardo De Luca / Anadolu Agency / Getty Images

Copyright © 2020 and 2022 Giulio Einaudi editore s.p.a., Torino

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarne, 2025

Copyright © for the Polish translation by Tomasz Kwiecień, 2025

Opieka redakcyjna Jakub Bożek

Redakcja Magdalena Jobko

Korekta Karolina Górniak-Prasnal / d2d.pl, Monika Paduch / d2d.pl

Skład Robert Oleś

Konwersja i produkcja e-booka: d2d.pl

ISBN 978-83-8396-203-0

Spis treści

Seria
Strona tytułowa
Strona redakcyjna

Część pierwsza. Współbiesiadnicy człowieka
Część druga. Powierzchnia wody
Część trzecia. Chór
Część czwarta. Na dnie studni
Część piąta. Mewy
Część szósta. Księga spotkań

Wybrana bibliografia
Przypisy końcowe
Kolofon

Współbiesiadnicy człowieka

Część pierwsza

Rzym jest jedynym bliskowschodnim miastem, które nie posiada dzielnicy europejskiej.

Francesco Saverio Nitti

Nie przypisujmy kłopotów Rzymu przeludnieniu. Kiedy Rzymian było tylko dwóch, jeden zabił drugiego.

Giulio Andreotti

Był pogodny wtorek 1 marca 2016 roku. Koloseum otwierało podwoje przed turystami spragnionymi widoku najsłynniejszych ruin na świecie. Tysiące ciał zmierzało do kas. Ktoś potykał się o kamienie. Ktoś stawał na palcach, by zmierzyć wzrokiem odległość do Świątyni Wenus. Wokół w ulicznych korkach i psujących się już o dziewiątej rano autobusach wrzało miasto. Wykrzykiwane obelgi wzmacniano wyciągniętymi przez opuszczone szyby ramionami. Na poboczach strażnicy miejscy wypisywali mandaty, których nikt nigdy nie zapłaci.

– Tiaaa… weź się poskarż burmistrzowi! – Bileterka z kasy numer cztery wybuchła szyderczym śmiechem, wywołując wesołość u swoich kolegów.

Starszy holenderski turysta patrzył na nią przez szybę ze zdumieniem. Wymachiwał ściskanymi w pięści dwoma fałszywymi biletami, które przed chwilą sprzedali mu dwaj równie fałszywi pracownicy stanowiska archeologicznego.

Sugestia, by poskarżyć się burmistrzowi, była najczęściej powtarzaną kpiną ostatnich tygodni. Wyszła z urzędów miejskich i rozprzestrzeniła się wśród taksówkarzy, hotelarzy, śmieciarzy i sprzedawców *grattachecche*[1], do których z braku lepszej alternatywy zwracali się o pomoc turyści po zderzeniu z bezbrzeżną niemocą służb miejskich.

Holender zmarszczył brwi. Czy to możliwe, że prawdziwe służby, takie w oficjalnym mundurze, także sobie z niego kpiły? Za jego plecami dało się słyszeć szmer niezadowolenia.

– Następny!

Holenderski turysta nie ruszył się z miejsca.

Bileterka popatrzyła na niego przeciągle, na jej twarzy pojawił się zimny uśmiech.

– *Next one!*

Wielu turystów takich jak on spędziło noc w tanich hotelach w dzielnicy

Monti albo w obskurnych pensjonatach wokół Porta Maggiore. Zadzierali głowy, podziwiając anioła, by niespodziewanie upaść twarzą na ziemię. Potykali się o worek ze śmieciami, o złamany słup znaku drogowego. Ponad głowami śnieżnobiały marmur, pod nogami szczury. A na szczury polowały mewy. Źle poinformowani na próżno czekali na autobus, aż w końcu ruszali pieszo do Koloseum. Teraz stali w kolejce. Mogliby się złościć na to, jak powoli się przesuwa, ale dech w piersiach zaparło im martwe piękno: niebo nad trawertynowymi łukami, dwutysiącletnie kolumny, bazylika Maksencjusza. W tym przepychu rozbrzmiewała groźba, jakby niewidzialne moce miały zdolność wciągania do królestwa cieni tych, którzy się im sprzeciwili. Samych rzymian ta groźba ni grzała, ni ziębiła.

Kasjerka obsłużyła innego turystę. To samo zrobił jej kolega z sąsiedniego okienka. Tłum był imponujący, ale widzieli już gorsze rzeczy. Nadzwyczajny Jubileusz Miłosierdzia zaczął się źle. Kompletna klapa, pisały wrogie papieżowi gazety. Rok odpuszczenia grzechów, pojednania i sakramentalnej pokuty nie przyciągał do miasta większej liczby pielgrzymów niż turystów szukających libacji, bezkarnej anarchii i zrzucania z siebie wszelkiej odpowiedzialności.

Stary holenderski turysta odszedł od kasy. Ruszył w kierunku piazza dei Cinquecento. Towarzyszył mu młody chłopak. Po chwili zniknęli wśród oleandrów.

– A co to za smród? – zawołała pracownica.

Oczy utkwiła w ekranie, dłoń spoczywała na komputerowej myszy.

Chiński turysta czekał na swoje wejściówki.

Po kliknięciu polecenia „drukuj” bileterka spojrzała na swoją dłoń i wzdrygnęła się. Obok podkładki pod mysz pojawiły się dwie czerwonobrązowe plamy. Kasjerka nie zdążyła mrugnąć, a już były trzy. I cztery.

– *O, Madonna!*

Chiński turysta się cofnął. Bileterka podskoczyła z przerażenia. Poczuła bliskość tego, co mieszkańcy tego miasta uważają za najgorsze z możliwych doświadczeń: odwiedzin nieszczęścia, które oszczędza wszystkich innych poza nimi samymi. Spojrzała w górę. Z sufitu spadały krople. Wtedy kasjerka zrobiła to, co robi się w Rzymie, gdy krew kapie ze ścian urzędów publicznych. Wezwała przełożonego.

Kilka godzin później zamknięto dwie z czterech kas biletowych

w Koloseum.

– To była krew zdechłego szczura – powiedział konserwator zabytków.

– Szczury wchodzą na mury? – zapytał ktoś z tylnych rzędów.

Tłum zachichotał.

Środa, 2 marca. Wprawdzie konferencję prasową zwołano z okazji zakończenia prac renowacyjnych wokół Koloseum, to jeden z reporterów nie omieszkał zapytać, dlaczego przez cały poprzedni dzień dwie kasy były nieczynne.

Konserwator musiał wejść w szczegóły. Wielki szary szczur utknął w suficie nad okienkiem biletowym. Nadział się na wystające zbrojenie, zaczął się szamotać, czym tylko pogorszył sytuację.

– Pracownica zobaczyła krew kapiącą na jej biurko, dlatego na czas deratyzacji musieliśmy zamknąć dwa okienka biletowe.

Szczurzy kryzys trafił na pierwsze strony gazet. Ostatnimi czasy gryzonie masowo wychodziły z kanałów. Szczury w rejonie dworca Termini. Szczury na via Cavour. Szczury rzut beretem od gmachu opery. Przechodziły przez ulicę, nie zważając na samochody. Wbiegały do sklepów z pamiątkami i straszyły turystów.

Gazety donosiły, że w Rzymie żyje ponad sześć milionów szczurów. W Nowym Jorku i Londynie również nie brakowało gryzoni, ale to w Rzymie zostały królami miasta.

– Tak właśnie dzieje się po latach złej administracji – oznajmił pewien urbanista.

– Problemem jest głównie gospodarka odpadami – stwierdził zapytany pracownik firmy dezynsekcyjnej. – Nie zapominajmy, że szczury biesiadują przy stole człowieka.

Gospodarka odpadami w Rzymie była w tragicznej kondycji. Wszędzie walały się śmieci. Śmieciarki jeździły za wolno i za rzadko. Na ulicach zalegały worki pełne odpadków. Sanitariusze ze szpitala Sant’Eugenio (bo

szczury biegały również po szpitalach) powiedzieli dziennikarzom, że to absolutny skandal, że przecież tak dalej być nie może, że ten policzek może otrzeźwi miasto. Tak uważało wielu. Jednak niedługo potem nabrali podejrzeń, że sami się jeszcze nie obudzili. Tuż po szczurzym kryzysie cień na stolicę rzuciły skrzydła żarłocznych mew. Rzymianie znów zaczęli kpić.

– Tiaaa, no pewnie… weź się poskarż burmistrzowi!

Szyderstwo tym bardziej udane, że w Rzymie nie było burmistrza. Miasto w tym okresie miało zarząd komisaryczny. Dochodzenie sądowe, które dziennikarze nazwali *Mafia capitale* albo *Mondo di mezzo* – Stołeczna Mafia albo Świat Środka, wywróciło wszystko do góry nogami. Pod sąd trafili miejscy asesorzy, konsultanci, notable, szefowie wydziałów, urzędnicy państwowi, zawodowi załatwiacze i kombinatorzy, przedsiębiorcy i pospolici przestępcy. I wisienka na torcie: był to czas, kiedy w Rzymie rezydowało dwóch papieży.

W momentach podobnego zamieszania rzymianie, wierni starożytnej tradycji, zwykli patrzeć w niebo i czekać na znak. Ale był rok 2016 i szukanie w chmurach tajnego kodu zakrawało na jeszcze jedno oszustwo.

W piątek 4 marca popełniono morderstwo.

Następnego dnia nad Rzymem przeszła ulewa.

W niedzielę 6 marca, po solidnie przepracowanym tygodniu, Mario Angelucci usiadł na kanapie, by pooglądać telewizję.

Był pięćdziesięcioczteroletnim szczupłym i łysiejącym mężczyzną. Pracował w jednej z lokalnych rozgłośni radiowych. Doświadczenie nauczyło go wrażliwości na głosy innych ludzi. Kiedy siedział w studiu przed konsolą, nie musiał podążać za tokiem myślenia mówiącego: z wyprzedzeniem wyczuwał koniec wypowiedzi, zbliżał palec do czarnego przycisku i reklama ruszała pół sekundy po tym, jak gość przestawał mówić.

Zmienił kanał. Westchnął. Poprawił się na poduszkach. Niepokój wzbudziło w nim coś, co dotarło do niego chwilę wcześniej. Nie zwrócił szczególnej uwagi na słowa, ale wiedział, że to było coś ważnego. Wiadomość usłyszał na kanale Rai Uno. Prezenter mówił o dwudziestoletnim mężczyźnie barbarzyńsko zamordowanym w mieszkaniu na obrzeżach Rzymu.

Kamera pokazywała sylwetkę pomarańczowego budynku na tle późnozimowych drzew. Mario Angelucci szeroko otworzył oczy. Morderstwo popełniono w Rzymie, a on był z Rzymu. Wydarzyło się to między Collatino i Colli Aniene, czyli tam, gdzie właśnie się znajdował. Ale telewizor pokazywał *z zewnątrz* to samo okno, które on mógłby teraz otworzyć *od środka*, gdyby tylko wstał i do niego podszedł. Angelucciego ogarnęło jedno z najdziwniejszych uczuć w życiu. Jakby przyglądał mu się Bóg. A co zwykle się dzieje, gdy Bóg szeroko otwiera na ciebie swoje Oko?

– Via Igino Giordani 2.

Na dowód tego, że nie oszalał, prezenterka telewizyjna podała właśnie jego adres. Mario Angelucci zerwał się na równe nogi. Popędził w głąb korytarza. Serce waliło mu w piersi. Jego syn miał dwadzieścia jeden lat, ostatni raz widział go poprzedniego wieczoru, on i żona pożegnali go, gdy wychodził z domu, i nie słyszeli, jak wraca. *Sobota wieczór*. Ten dzień tygodnia, kiedy dzieci wpadają w kłopoty.

Mario Angelucci dobiegł na koniec korytarza. Otworzył szeroko drzwi. Uderzyło go w nozdrza nieświeże powietrze. Potem zobaczył wnętrze. Ręczniki, komiksy, zwinięte skarpetki, rolka papieru toaletowego. Zobaczył rozgrzebaną na łóżku pościel, w której wszystko mogło się wydarzyć, a w niej nieobyczajnie chrapiące metr dziewięćdziesiąt jego syna.

Tydzień później, gdy całe Włochy mówiły o morderstwie, Mario Angelucci opowiadał kolegom w pracy o tym, co przeżył.

– Chłopaki, to było gorsze niż atak paniki. Miałem przed oczami taki film, że to się w pale nie mieści.

Koledzy z radia zapytali, skąd się u niego wzięło przeczucie, że to jego syn był zamieszany w tę historię.

– Sam nie potrafię tego wyjaśnić.

Gazety podały, że morderstwo popełniono w mieszkaniu na dziesiątym piętrze.

– Znałeś właścicieli? – zapytał Angelucciego jeden z kolegów.

– „Dzień dobry" i „dobry wieczór", nic więcej – odpowiedział.

– Ale kiedy spanikowałeś, to myślałeś, że twój syn jest ofiarą czy mordercą?

– Jeśli o mnie chodzi – odpowiedział mężczyzna – równie dobrze mogło być jedno albo drugie. W tym mieście wszystko może się zdarzyć.

I wtedy Angelucci, którego szczupła twarz i zaciśnięte usta zazwyczaj sprawiały, że wyglądał dość surowo, rozpromienił się w szerokim uśmiechu. Ulga. Ulga kogoś oszczędzonego, *zignorowanego*, ponieważ nikt z góry nie wie, na kogo spojrzy Oko, i choć tragedie spotykają tylko jednego na stu tysięcy, to przecież ten jeden nieszczęśnik musi istnieć: to na nim iluzja, że pewne rzeczy nigdy nas nie spotkają, rozbija się w drobny mak po to, by mogła trwać u pozostałych.

W niedzielę 6 marca o godzinie 13.30 Mario Angelucci wiedział, że jego rodzina jest bezpieczna.

Kilka godzin później, po drugiej stronie miasta, mecenas Andrea Florita odebrał telefon. Florita, czterdziestoczterolatek, był szczupły, miał żywe, inteligentne spojrzenie i podobnie jak wielu kolegów kancelarię w dzielnicy Prati, po prawej stronie rzeki. Bo w tym mieście władza i cuda równomiernie rozkładały się na dwóch brzegach Tybru. Po prawej Fori Imperiali, Kwirynał,

siedziba rządu. Po przeciwnej – sądy, telewizja państwowa, Kaplica Sykstyńska.

Tę niedzielę Florita spędził z synem.

– Mój syn jest mały. Kiedy z nim jestem, staram się nie włączać telewizora. Kiedy odebrałem telefon, nie miałem pojęcia, co się stało.

W słuchawce usłyszał męski głos.

– Dzień dobry, *dottor* Florita, nazywam się Giuseppe Varani. Mój syn został zamordowany.

Dopiero późnym wieczorem Florita zdał sobie sprawę, że stał się pełnomocnikiem oskarżyciela posiłkowego w jednym z najgłośniejszych procesów ostatnich lat. Po rozmowie z Giuseppem Varanim, wracając do domu, spotkał na ulicy znajomego. Ten zapytał go, co sądzi o morderstwie, zanim adwokat zdążył mu powiedzieć, kim jest jego nowy klient.

Wszyscy chcieli znać opinie na temat morderstwa. A przede wszystkim chcieli wypowiedzieć swoje zdanie. W ciągu kilku godzin wydarzenie stało się głównym tematem rozmów w Rzymie. Dyskutowali o nim taksówkarze na Termini, barmani na piazza Bologna, grupy znajomych w dzielnicach Monti i Testaccio. Nie wspominając o tym, co działo się w ich domach. Ojcowie kłócili się z synami. Żony ostrzegały mężów przed konsekwencjami zbyt swobodnego lub przeciwnie, zbyt surowego wychowania.

– Czytałeś?

– Słyszałeś?

– *Widziałeś*, co się stało?

Horror na peryferiach Rzymu. Po wielogodzinnych torturach w mieszkaniu na Collatino został zamordowany dwudziestotrzyletni chłopak. Zbrodnia wydaje się pozbawiona motywu.

Dziennik „La Repubblica”, 6 marca 2016 roku

W sobotę 5 marca kilka minut po siódmej rano Manuel Foffo wyszedł z domu.

Był umówiony z matką, swoim bratem Robertem i dziadkami ze strony matki. To nie był miły dzień. Zmarł wujek Rodolfo. Najpierw mieli jechać do Polikliniki Gemelli, gdzie wystawiono zwłoki, a następnie do Bagnoli del Trigno, miasteczka w regionie Molise, skąd pochodził wujek i gdzie miał się odbyć pogrzeb.

Rodolfo był bratem pani Danieli, matki Manuela i Roberta. Zmarł na raka w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat. W nocy ze środy na czwartek pani Daniela czuwała przy nim w szpitalu. Jej syn Roberto odebrał ją o wpół do trzeciej nad ranem i odwiózł do domu. Weszła do środka, usiadła w kuchni i została tam przez dłuższą chwilę, milcząca i samotna. Potem poszła spać. Kilka godzin później zadzwonił telefon. To był Roberto. Stan wujka Rodolfa, jak powiedział, nagle się pogorszył.

Pani Daniela poszukała butów, włożyła płaszcz i poszła do swoich wiekowych rodziców, którzy mieszkali w bloku naprzeciwko. Trzeba było ich przygotować. Tego samego wieczoru będzie zmuszona przekonać się na własnej skórze, że dla matki nie ma znaczenia, czy jest przygotowana, czy nie – nic nie złagodzi bólu po stracie dziecka.

Manuel stał pod blokiem. Był postawnym młodym mężczyzną z zakolami. Jego zarost świadczył o niezdecydowaniu: zbyt gęsty na kozią bródkę, zbyt rzadki na brodę z prawdziwego zdarzenia. Sprawiał wrażenie starszego niż te dwadzieścia dziewięć lat, które miał skończyć pod koniec miesiąca. I chociaż tego ranka prezentował się okropnie – twarz miał opuchniętą, oczy podkrążone – pierwszą rzeczą, na którą zwróciła uwagę matka, były jego spodnie. Para jasnych, podartych dżinsów. Niezbyt odpowiedni strój na pogrzeb. Ale powody, dla których matki uważają wybory swoich dzieci za nieodpowiednie, potrafią być zadziwiające.

– Powiedziałam mu, żeby się przebrał, bo w Bagnoli jest zimno –

powiedziała kobieta karabinierom.

Manuel skinął głową, wszedł do bloku i kilka minut później wrócił w innych spodniach. Nadal w dżinsach, ale przynajmniej bez dziur.

– Nie wiem, czy przebrał się w swoim mieszkaniu, czy u mnie. Jego czyste ubrania trzymam u siebie.

Mieszkanie pani Danieli znajdowało się na dziewiątym piętrze. Mieszkanie Manuela – na dziesiątym. Matka miała klucze do domu syna, co jakiś czas przychodziła, by posprzątać. Zdarzało się to zwłaszcza wtedy, gdy Manuel planował „spotkać się z koleżanką". Naturalnie przychodzili do niego także koledzy. Matka zawsze była skora do wyręczania syna w codziennych obowiązkach. Sprzątała pokoje. Polerowała podłogi. Manuel nienawidził tych czynności. Nie miał nawet pralki. To matka zajmowała się jego brudnymi ubraniami.

Pani Daniela spojrzała na zegarek. Wkrótce przyjedzie Roberto, wsiądą do samochodu, zostawią za sobą drzewa, klomby, kościół i potężny pomarańczowy blok, w którym, o czym nie wiedział jeszcze nikt poza Manuelem, kryło się coś, co na zawsze zmieni ich życie.

Kiedyś na dziewiątym piętrze mieszkała cała rodzina Foffo – matka, ojciec i dwaj synowie. Kiedy Roberto skończył osiemnaście lat, uzyskał przywilej korzystania z mieszkania piętro wyżej. Kilka lat później małżeństwo rodziców się rozpadło. Ojciec, Valter, opuścił dom. Potem wyprowadził się Roberto. Ożenił się, miał dwójkę dzieci. Na górę przeniósł się Manuel.

Valter był właścicielem kilku restauracji na Collatino. Dodatkowo prowadził znaną w okolicy agencję obsługi kierowców[2], Roberto pracował razem z ojcem. Nie było łatwo. We Włoszech, jeśli człowiek nie urodził się bogaty, prowadzenie działalności gospodarczej oznacza życie w ciągłym stresie. Nie śpi się w nocy. Wystarczy jeden zły ruch, by splajtować. Ale Valter Foffo nie splajtował. Ojciec i syn ciężko pracowali, nie zniechęcały ich trudności, a ilekroć mieli możliwość, nie rezygnowali z przyjemności życia. Dobrze się ubierali. Wozili się wypasionymi samochodami.

O godzinie 7.30 Roberto Foffo przyjechał na via Igino Giordani. Zaparkował. Pani Daniela i dziadkowie zajęli miejsca z tyłu auta, Manuel usiadł z przodu obok brata i ruszyli. Pół godziny później przekroczyli Tyber

w okolicach Tor di Quinto, rzeka w tym miejscu jest mroczna i płynie powoli.

Roberto prowadził w skupieniu. Manuel walczył z sennością. Bracia. Jest coś niezręcznego, gdy patrzy się na nich siedzących obok siebie. Różnica wieku to jedno, ale bywa też, że choć są tej samej krwi, można dostrzec przepaść między zwycięzcami i tymi, którzy przegrywają bitwę życia.

Roberto był starszy od Manuela o cztery lata, studia ukończył na LUISS[3], pracę magisterską pisał z ubezpieczeń. Pracował. Miał rodzinę. Manuel był zaś wolnym słuchaczem na wydziale prawa, miał nieuporządkowane życie miłosne, nie bardzo było wiadomo, czym się właściwie zajmuje. Roberto zabrał ich wszystkich, by mogli oddać ostatni hołd zmarłemu krewnemu, i nawet w tym prozaicznym zajęciu – prowadzeniu samochodu – brat nie mógł go zastąpić. Manuelowi odebrano prawo jazdy za jazdę pod wpływem. Oprócz alkoholu, w jego krwi znaleziono ślady xanaxu i rivotrilu. Ale kto dziś nie zażywa benzodiazepin?

Naprawdę śliskim tematem była praca.

– A ty czym się zajmujesz w życiu?

Rzym jest takim miastem, które w niektórych kwestiach toleruje wymijające odpowiedzi. Jednak po przekroczeniu pewnej granicy życzliwa wyrozumiałość zamienia się w kpinę. I tak Manuel zapytany o swoje życie zawodowe mógł poczuć, że trzeba udzielić odpowiedzi nieco na wyrost.

– Mam kilka punktów restauracyjnych, które prowadzę razem z rodziną. Ponadto pracuję nad pewnymi projektami cyfrowymi. Rozkręcam start-up.

Kiedy to samo pytanie o brata zadawano Robertowi, odpowiadał:

– Manuel przychodzi do restauracji, żeby coś zjeść. Jest entuzjastą marketingu, dużo czyta, od czasu do czasu próbuje podsunąć nam jakieś pomysły, ale tak naprawdę nie wykonuje żadnej pracy.

Valter z kolei mówił o młodszym synu, podkreślając jego cechy charakteru.

– Grzeczny, skromny i powściągliwy chłopak. W szkole nigdy nie wdawał się w bójki.

Zdaniem ojca Manuel był „bardzo inteligentny”, prowadził „uporządkowane” życie, był spragniony kultury („potrafi kupić dwie książki i przeczytać obie w jedną noc”), ale wykazywał niewielkie zainteresowanie agencją obsługi kierowców, która zagwarantowałaby mu utrzymanie na

przyszłość („Próbowałem go zatrudnić tak samo jak Roberta. Nie udało się”). Chłopak z pasją uczęszczał na kursy marketingowe i komputerowe („pieniądze na kursy dostaje ode mnie”), a w ostatnich miesiącach rzeczywiście intensywnie pracował nad start-upem. Był to projekt dla Włoskiego Narodowego Komitetu Olimpijskiego; gdyby się udało – twierdził Valter – „mogło być to punktem zwrotnym w jego życiu”. Jednak, dodawał mężczyzna, „nie wyszło”.

Mogło być punktem zwrotnym. Nie wyszło.

Kiedy ojcowie mówią o synach w taki sposób, intencja nigdy nie jest jasna – czy chcą chwalić, ganić, czy też poddać ich tej bezlitosnej formie upokarzania, jaką jest chwalenie ponad miarę.

Jednak najdziwniejsze stwierdzenie na temat Manuela wypowiedziała jego matka:

– Manuel nie mówi mi, czy chodzi do restauracji do pracy, czy tylko żeby zjeść. Nie wiem nawet, jakie dokładnie są jego relacje z ojcem.

U końca via della Pineta Sacchetti pojawiła się gigantyczna sylwetka Polikliniki Gemelli.

Roberto zaparkował. Cała piątka wysiadła z samochodu i weszła do środka szpitalnego kompleksu.

Manuel powłóczył nogami, czuł na sobie spojrzenie brata. Dwa dni wcześniej o godzinie, która dla Roberto mogła być siódmą rano, a dla Manuela absolutnie dowolnym punktem na szalonej osi czasu, starszy brat otrzymał szalonego esemesa. W wiadomości Manuel zapraszał go do siebie. Jako zachętę proponował osobę transpłciową i kokainę.

„Ciao, Roberto, dołączysz do nas? Spotkałem transa i białą damę”.

Wiadomość była dziwna nie tylko w treści, ale też z uwagi na dobór słów. Roberto nie mógł wykluczyć, że Manuel od czasu do czasu wciągał kreskę, uważał za mało prawdopodobne, aby obracał się w towarzystwie osób transpłciowych, ale jednego był pewien: jego brat nigdy nie użyłby takiego slangu. Czy to naprawdę on napisał? Może spędzał noc z jakimś próżniakiem i postanowili się zabawić kosztem ludzi, którzy następnego dnia musieli wcześnie wstać i iść do pracy? Robili sobie z niego jaja? Zdenerwowany Roberto zadzwonił do Manuela, nawrzeszczał, a potem wysłał do wszystkich diabłów, nie dając mu szansy na wytłumaczenie.

Także pani Daniela opowiedziała o dziwacznym incydencie z dnia poprzedniego. Manuel zadzwonił do niej około 21.30.

– Słuchaj mamo, za kwadrans przyjdę z kolegą po kluczyki od samochodu.

Zdenerwowała się tym, że Manuel chciał uczynić ją wspólniczką w łamaniu prawa. I co to w ogóle był za kolega?

– Żadnych kluczy nie dostaniesz – odpowiedziała.

Zmarł wujek Rodolfo, miała dość zmartwień.

– W każdym razie – powiedziała pani Daniela karabinierom – prośba syna wydała mi się tak absurdalna, że uznałam to za niemądry, ale nieszkodliwy żart.

Pani Daniela pozostała nieugięta, Manuel nie nalegał.

Wchodzącemu do sali pogrzebowej Manuelowi towarzyszyły surowe spojrzenie Roberta i rozgrzeszający wzrok matki. „Rozgrzeszać" to jednak wciąż „osądzać". Zgarbione plecy świadczą o walce, jaką w pewnych momentach życia toczymy, by nie pozwolić, by nasza tożsamość – lub to, co za nią uważamy – została przytłoczona fałszywą opinią, jaką mają o nas inni.

Manuel przecisnął się przez krewnych i zbliżył do trumny wuja. Stojąc nieruchomo przy zwłokach, postanowił, że do wieczora podejmie decyzję. Wiedzieć. Wiedzieć, gdy inni nie wiedzieli. To było nowe uczucie. Manuel wiedział wtedy, kiedy matka kazała mu zmienić spodnie, wiedział w samochodzie, siedząc obok brata, wiedział teraz w sali pogrzebowej. Wiedział to, czego inni nie potrafili sobie nawet wyobrazić. Przyzwyczajony do uginania się pod decyzjami innych, teraz to on mógł decydować. Kilka słów. Wystarczyło je wypowiedzieć, by wywrócić ich życie do góry nogami.

Jednak po wyjściu ze szpitala Manuel milczał. Zmęczony i zdezorientowany poszedł za Robertem do samochodu. Poczekali na matkę oraz dziadków i ruszyli dalej.

Pogrzeb zaplanowano na wczesne popołudnie. Auto wjechało na via Flaminia. Jakieś sto kilometrów dalej, przy zjeździe na San Vittore, byli umówieni z Valterem. Jego relacje z panią Danielą były napięte, batalia sądowa między nimi wciąż trwała. Mimo to Valter zdecydował się wziąć udział w pogrzebie byłego szwagra.

Na horyzoncie zbierały się ciężkie deszczowe chmury. Minęli stację metra Torre Spaccata i Cinecittà. Po obu stronach drogi ciągnęły się pola.

Manuel zasnął.

– Ustąp miejsca dziadkowi, będzie wygodniej.

Brat obudził go po godzinie. Manuel usłyszał świergot ptaków. Zatrzymali się na stacji benzynowej. Kilka minut później przyjechał ojciec. Patrzyli, jak parkuje, jak wysiada, stawia stopy na asfalcie. Wystarczyło, że Valter Foffo się pojawił, by skupiła się na nim cała uwaga rodziny. Manuel zwolnił przedni fotel dla dziadka i przesiadł się do samochodu ojca.

Gdy tylko zajął miejsce, przeszedł go dreszcz. Między niektórymi ojcami i synami atmosfera potrafi zgęstnieć nawet wtedy, kiedy nic się nie stało, a co dopiero, gdy jeden czuje, że drugi traktuje go bez szacunku. W tym przypadku to ojciec miał żal do syna. Manuel myślał, że wie dlaczego. Valter bez słowa uruchomił silnik.

Chwilę później samochód wyjechał na drogę. Ojciec co jakiś czas spoglądał na Manuela, a potem zerkał na swoją fryzurę w lusterku wstecznym. Był przystojnym sześćdziesięciolatkiem. Śnieżnobiałe włosy, mięsiste usta, nos godny starożytnego konsula. Tego dnia miał na sobie czarną marynarkę, białą koszulę, krawat w paski i ciemne spodnie. Patrząc na niego, tak zadbanego i eleganckiego, trudno było uwierzyć, jak bardzo był zestresowany. Praca nie dawała mu spokoju, a rodzina nie ułatwiała życia.

W końcu otworzył usta.

– Powiesz mi, co się stało?

Valter opowiadał o swoim młodszym synu jako chłopaku powściągliwym i niezdolnym do kłamstwa. Ale to, co w oczach postronnych miało się malować jako cnota, nabierało innego znaczenia, kiedy ojciec spotykał się z Manuelem sam na sam. Szczerość mogła być oznaką słabości, powściągliwość – niechęci.

– Można wiedzieć, co się z tobą działo?

Próbował się skontaktować z synem przez cały poprzedni dzień. Telefon za telefonem, żadnej odpowiedzi. Typowe. Wydzwaniał do syna, żeby wyświadczyć mu przysługę – miał zapłacić ratę za jeden z licznych kursów, na które Manuel uczęszczał, i potrzebował danych do przelewu.

Manuel milczał. Miał podpuchnięte oczy. Nie umknęło to uwadze ojca; gdy zobaczył go na stacji benzynowej, od razu zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak. Chłopak był *dziwny*. Osoba, która zdaniem Manuela rozumiała go najgorzej ze wszystkich ludzi na świecie, była również jedyną, która się

domyśliła, że tego dnia jego syn może mieć więcej kłopotów poza śmiercią wuja.

– Odpowiesz? Cały dzień do ciebie wydzwaniałem. Dlaczego nie odbierałeś?

Manuel obiecał sobie, że podejmie decyzję do wieczora, ale ojciec, kiedy atakował go pytaniami, potrafił wyrwać mu słowa z ust.

– No więc co takiego robiłeś? Upiłeś się? Manuel!

– Tato, byłem na kokainie.

Minęli mleczarnię, potem firmę produkującą markizy. Niewielki gaj topolowy stał samotnie wśród pól, pieszczony popołudniowym światłem. Valter otrząsnął się z otępienia, w jakie wprawiły go słowa syna.

– Jak to na kokainie! – Był wściekły. – Tak nisko upadłeś?

Banalne zwroty bywają w niektórych przypadkach pomocne.

– Tato, prawdę mówiąc, upadłem jeszcze niżej.

Valter był zdezorientowany. Z jego ust wyszło naprawdę naiwne pytanie:

– A co może być gorszego od kokainy?

– Zabiliśmy człowieka.

Samochód jedzie dalej. Minął stację benzynową, wiadukt, potem pojawił się billboard zachęcający okolicznych przedsiębiorców do wykupienia powierzchni reklamowej.

– Co znaczy *zabiliśmy*?

Valter był oszołomiony, osłupiały, nie dowierzał, czuł, że coś puchnie mu w żołądku, ale otrzymany cios nie powstrzymał go od instynktownego szukania dróg ucieczki. Liczba mnoga. Obecność innej osoby mogła pomniejszyć, jeśli nie wykluczyć, odpowiedzialność jego syna. Poczuł gwałtowne bicie serca. Szukając jakiegoś punktu oparcia w tym zamieszaniu, w tej plątaninie, w tym całym absurdzie, który wsysał go z coraz większą siłą, pomyślał o zabójstwie za kierownicą. Manuel pił. Znów to zrobił. Pomimo tego, że odebrano mu prawo jazdy, prowadził na podwójnym gazie. O, to właśnie się stało. Manuel zrobił coś durnego. Pod warunkiem, że to on prowadził.

– Tato, nie było żadnego wypadku.

– Więc jak ten ktoś został zabity?

– Myślę, że przez pchnięcia nożem. I uderzenia młotkiem.

Valter popatrzył uważnie na drogę, żeby się upewnić, że wciąż się tam

znajduje, że jest przytomny, na tej samej planecie, na której obudził się rano. Usłyszał swój własny głos pytający Manuela o imię wspólnika.

– Ma na imię Marco. Widziałem go tylko kilka razy w życiu.

– Kiedy to się stało?

– Nie pamiętam. Dwa, cztery, pięć dni temu.

Dwa, cztery, pięć dni temu?

Jak mógł tego nie wiedzieć? Czy jest jeszcze jakakolwiek nadzieja, że to tylko idiotyczny żart? Niektórzy synowie uważają, że zostali zranieni, a nawet nieodwracalnie poszkodowani przez zachowania, które ojcowie stosują wyłącznie w celu uczynienia z nich mężczyzn. Czy była to absurdalna zemsta? Czy Manuel wyssał to wszystko z palca, by ukarać ojca za winy, o jakie nawet psycholog (do którego kiedyś wysłał go Valter) by go nie posądził? Zapytał syna o imię ofiary.

– Nie wiem – odpowiedział Manuel. Miał łzy w oczach.

Wtedy Valter zapytał, *gdzie* znajduje się osoba, którą syn, jak twierdzi, zabił.

To akurat Manuel wiedział.

– W domu – wyjaśnił. Ciało było w jego mieszkaniu przy via Igino Giordani.

Roberto Foffo usłyszał dzwonek swojego telefonu komórkowego. Spojrzał na wyświetlacz, dzwonił jadący przed nimi ojciec. Znajdowali się już tylko kilka kilometrów przed Bagnoli del Trigno.

– Roberto, proszę, zatrzymaj się.

Valter Foffo miał zmieniony głos. Roberto się rozłączył i zobaczył, że ojciec zwalnia, a następnie zatrzymuje się na poboczu.

– Co się dzieje? – zapytała pani Daniela.

Posłuszny kodowi, którym on i ojciec porozumiewali się bez słów, Roberto nic nie powiedział. Zatrzymał samochód i wysiadł. Dołączył do Valtera czekającego przy drodze.

Ojciec skinął na niego, by oddalili się od pojazdów. Kiedy upewnił się, że nikt ich nie słyszy, rzekł:

– Mamy trupa w domu.

– *Co?* – Roberto otworzył szeroko oczy.

Starając się zachować spokój, Valter spróbował streścić sytuację. Powiedział o niezidentyfikowanych zwłokach, które mogą znajdować się w mieszkaniu przy via Igino Giordani, i zasugerował, że powinni jak najszybciej wrócić do Rzymu, a następnie dodał, że być może to ofiara morderstwa. Na koniec ujawnił tożsamość domniemanego zabójcy.

Roberto po raz pierwszy poczuł ulgę.

– Tato – powiedział – przecież Manuel plecie bzdury.

Młodszy brat chodził na terapię. Cierpiał na wahania nastroju. To prowadziło Roberta do przekonania, że Manuel mógł oskarżać się o morderstwo, którego nie popełnił.

– Zobaczysz, że to nieprawda. Kto wie, co tam naprawdę się stało…

Valter był coraz bardziej zdenerwowany. Jeśli już naprawdę trzeba wspominać o dziwactwach Manuela, powiedział, to należy się skupić na najbardziej osobliwym ze wszystkich.

– Pamiętaj, że twój brat zawsze mówi prawdę.

Wskazał na zaparkowany samochód i Manuela, który stał bezczynnie

kilka kroków od przydrożnej barierki.

– Idź z nim porozmawiać – powiedział do Roberta.

Kiedy ten wrócił do ojca, miał już inny wyraz twarzy. Był blady i spięty.

– Tato – powiedział – chyba naprawdę coś się stało.

W świecie, który uważamy za zbudowany na racjonalnych fundamentach, trudno uwierzyć, że słowo ma swoją magiczną moc. A jednak kilka prostych zdań wypowiedzianych przez Manuela sprawiło, że obaj mężczyźni znaleźli się w samym środku koszmaru. Byli dwieście kilometrów od domu. W każdej chwili mógł ich minąć karawan ze zwłokami wuja. Wiał zimny wiatr. Manuel właśnie przyznał się do popełnienia morderstwa. A kilka kroków dalej, niczego nieświadomi, czekali dziadek, babcia i matka rzekomego mordercy.

Od tego momentu wspomnienia pani Danieli stają się coraz bardziej mgliste. Czekając w zatoczce postojowej, zdała sobie sprawę, że dzieje się coś niepokojącego. Z drugiej strony prawda – która zostanie jej wyjawiona wieczorem – zacznie działać wstecz, zniekształcając szczegóły, korodując pamięć i następstwa wydarzeń.

– Pamiętam tylko, że jak już dojechaliśmy do miasteczka, to weszłam do kościoła – zeznała karabinierom. – Nie wiem, czy oni też weszli. To znaczy Valter i moi synowie. W pewnym momencie Roberto powiedział: *Mamo, zostaniemy tu przez chwilę, ale potem musimy wracać do Rzymu. Bardzo mi przykro*. Byłam oszołomiona. Nie rozumiałam, dlaczego mają wracać, myślałam, że przynajmniej na cmentarz pójdą. A tu nic.

Nie było mowy o tym, by wtajemniczać panią Danielę. Po mszy Valter podszedł do kuzynów byłej żony, wręczył im kluczyki do swojego samochodu i poprosił, by odwieźli ją do domu. Powiedział, że pojawił się nagły kłopot i muszą szybko się nim zająć. Niespodziewana sytuacja. Następnie ojciec, Manuel i Roberto wsiedli do samochodu starszego brata i odjechali. Półtorej godziny drogą krajową, potem autostradą. Roberto wciskał pedał gazu. Przed nimi, skąpany w strugach deszczu, znajdował się Rzym.

Gdy wszystko wydaje się stracone, wciąż jeszcze można zadzwonić do adwokata.

Michele Andreano prowadził trzy dobrze prosperujące kancelarie, jedną w Mediolanie, drugą w Rzymie, trzecią w Ankonie. Miał pięćdziesiąt lat, urodził się w Foggii i ukończył prawo upadłościowe w Bolonii. Jego klientami były głównie przedsiębiorstwa z branży stalowej i obuwniczej. Były też osoby prywatne wojujące z fiskusem. Byli wreszcie oskarżeni o bardzo poważne przestępstwa, budzący obrzydzenie pomieszane z ciekawością, które od zawsze czujemy wobec fantastycznych stworzeń. Potwory.

W tę sobotę Andreano przebywał w Ankonie, gdzie pracował nad sprawą Boettchera. Wczesnym popołudniem odebrał telefon od Valtera Foffo. Panowie się znali.

– Halo, Valter, jak się masz? – powiedział, nie odrywając wzroku od dokumentów procesowych. To była głośna sprawa.

Alexander Boettcher był trzydziestodwuletnim brokerem z Mediolanu. Wraz ze swoją kochanką został oskarżony o zaatakowanie kwasem jej kilku byłych chłopaków. Dziewczyna nazywała się Martina Levato, miała dwadzieścia cztery lata i robiła magisterium na prestiżowym Uniwersytecie Handlowym im. Luigiego Bocconiego w Mediolanie. Według prokuratury para organizowała zasadzki, kierując się „katartycznym lękiem”. Wymazanie żrącym kwasem twarzy mężczyzn, którzy w przeszłości uprawiali seks z Martiną, miało przywrócić jej pierwotną czystość.

– Alex chciał, aby Martina dała mu listę wszystkich mężczyzn, z którymi spała – zeznał jeden ze świadków.

To, że dwoje młodych ludzi zdolnych do poruszania się w skomplikowanym świecie funduszy inwestycyjnych i algorytmów finansowych zachowało się niczym średniowieczni inkwizytorzy, rozpaliło ciekawość opinii publicznej. Martina kazała sobie wyciąć na policzku literę A, jak Alex, a jego pełne imię wytatuować na piersi, by przypominała

szkarłatną literę współczesnej Hester Prynne, łączącą dawne piętno cudzołóstwa z typową dla XXI wieku potrzebą znalezienia się w centrum uwagi. Jakimi ludźmi byli oskarżeni? Czy cierpieli na poważne choroby psychiczne? A może byli *potworami*?

– Potwory nie istnieją – mówił Andreano dziennikarzom. – Tworzymy je sami, żeby odciążyć nasze sumienie.

Kiedy mecenas pojawiał się w telewizji, pierwszą rzeczą, na którą zwracano uwagę, była jego sylwetka. Wyglądał jak rugbysta. Wysoki, postawny, ale nie ociężały. Zaczynał mówić i można go było sobie wyobrazić, jak biegnie do bramki, trzymając pod pachą teczkę pełną wniosków o zwolnienie z aresztu.

W tamtym czasie Andreano często pojawiał się na ekranie. Rytm pracy miał imponujący. Pracował w domu. Pracował w samochodzie. Pracował w restauracji. Pracował na wakacjach. Można było sobie wyobrazić, że dopinał szczegóły procesu nawet przez sen.

– Michele, posłuchaj, mam problem.

– Jakiego rodzaju problem?

– Stało się coś bardzo poważnego. Musisz przyjechać do Rzymu.

– Do Rzymu? Kiedy?

– Teraz. Musisz przyjechać teraz. Jesteśmy w moim biurze przy via Verdinois.

Michele Andreano westchnął. Oderwał wzrok od papierów procesowych.

– Valter, słuchaj, pracuję. Próbuję zrozumieć, czy przypadkiem…

– Chodzi o Manuela.

– Twojego Manuela? – Andreano był zaskoczony.

– Tak.

– W porządku, Valter, daj mi chwilę. Zobaczę, co mogę zrobić.

Rozłączył się. Nie wiedział, co myśleć. Miał rzucić wszystko i jechać do Rzymu? Przecież była sobota po południu, sądy otwierano dopiero w poniedziałek. Wielu klientów zasypywało go pilnymi sprawami, które okazywały się wcale nie aż tak naglące i były możliwe do załatwienia w zupełnie normalnym trybie. Andreano wstał, obliczył czas potrzebny na dotarcie do Rzymu, rozmowę z Valterem i powrót do Ankony. Westchnął. Stał jeszcze przez chwilę i rozmyślał. Potem coś go tknęło. Ponownie chwycił za telefon. Tym razem nie powodowała nim niechęć do podróży, ale złe przeczucie.

– Valter – zaczął, gdy tylko usłyszał głos mężczyzny – możesz mi

wyjaśnić, co się do cholery stało?

– Michele, coś gorszego niż kwas…

– Wtedy zrozumiałem, że chodzi o morderstwo.

W miesiącach, które miały nadejść, podczas rozmów z przyjaciółmi i znajomymi Andreano będzie opowiadał, że dokładnie w tym momencie zdał sobie sprawę, że stało się coś strasznego. Oto bronisz Alexa Boettchera, kogoś, kto nie schodzi z pierwszych stron gazet, kogoś, kto przechwalając się w obecności koleżanki, sam siebie nazywa diabłem, a tu niespodziewanie, kilka dni przed rozprawą, dzwoni do ciebie inny klient, przedsiębiorca, tobie się wydaje, że co najwyżej ma jakieś problemy z urzędami, a on powierza ci sprawę swojego syna, która w ciągu kilku godzin okaże się znacznie bardziej spektakularna, sensacyjna i bez porównania *potworniejsza* i która zawładnie ludzką wyobraźnią z siłą nieporównywalną z niczym, co widziałeś wcześniej.

Andreano po raz drugi tego dnia pożegnał się z Valterem Foffo. Zaraz potem zadzwonił do kierowcy (tak, miał swojego kierowcę) i poprosił, aby ten zawiózł go do Rzymu.

Kierowca mocno wciskał pedał gazu. Im bliżej było do Morza Tyrreńskiego, tym robiło się chłodniej. Niebo pociemniało. Wzdłuż drogi pojawiły się pierwsze krzewy jałowca. Zmiana scenerii, dotąd powolna i równomierna, przyspieszyła, gdy dotarli do Rzymu. Ogromna miejska sieć zamknięta w pierścieniu obwodnicy była czarną dziurą zdolną zaburzyć wszelki ład. Roślinność umierała i odradzała się – jeszcze dziksza – w zależności od tego, czy oko napotykało miejskie delirium, czy pustą przestrzeń, dwie rzymskie specjalności. Wściekłe i wygłodniałe mewy kołowały w powietrzu i atakowały wysypiska śmieci. W nocy, przyciągane przez reflektory mające dodać splendoru pomnikom historii, wirowały wokół zabytków i było w tym tańcu coś makabrycznego. Rzym to w ogóle osobna opowieść. W deszczu był niczym tyrada szaleńca, która, jak nierzadko się zdarza, zawierała przebłyski prawdy.

Andreano zobaczył blokowiska Collatino. Jaskrawe światła stopu przed nimi zapowiadały gigantyczny korek. Samochód zwolnił, roztrąbiły się klaksony. Z rur wydechowych powoli unosiły się spaliny. Coraz gęstsza ulewa odbierała kształty pojazdom i domom.

Deszcz padający w Londynie czy Paryżu to demonstracja tego, jak nowoczesne miasto może przekształcić się w statek wycieczkowy: z jego eleganckiego, lśniącego mosiądzem wnętrza można spokojnie patrzeć na wzburzone morze i popijać herbatę. Deszcz w Rzymie przypomina wszystkim, że współczesność to zaledwie mgnienie oka w nieskończoności. Kiedy w Rzymie pada, woda wybija ze studzienek kanalizacyjnych, ruch uliczny dotyka paraliż, łamią się i spadają gałęzie drzew. Na via Cassia para starców zostaje przygnieciona przez wiatę przystankową. W tym momencie z ratusza dobiega pierwszy apel do mieszkańców: „Nie wychodźcie z domów!”. Ale Rzymianie dawno już z nich wyszli. Od mostu Mulwijskiego po Garbatellę ulice zamieniają się w czarniawe strumienie porywające ze sobą zaparkowane skutery. Autobusy zatrzymują się lub zostają przekierowane na inne trasy. Stacje metra, niczym żarówki

z wybrakowanej serii, przestają działać jedna po drugiej. Samochody strażackie wyjeżdżają z pordzewiałych zajezdni tylko po to, by zaraz utknąć między samochodami.

Miasto zdaje się zapadać i odsłaniać kawałek siebie z przeszłości. A potem jeszcze wcześniejsze, jeszcze starsze miasto. Stary Portyk Argonautów przed Ołtarzem Ojczyzny. Amfiteatr Kaliguli, nieistniejący od wieków, w miejscu, gdzie dziś wznosi się Palazzo Borghese. Gdyby deszcz miał jeszcze padać, można by było pójść o zakład, że ponownie zawładną tym miejscem antyczni bogowie. Ale w Rzymie chodzi o coś jeszcze innego. Wszystkie inne miasta, prędzej czy później, zostaną zniszczone przez deszcz. Niech się nie łudzą Londyn czy Paryż. Nazwijcie to deszczem. Nazwijcie to wojną lub głodem. Nazwijcie to po prostu pogodą. Każdy wie, że koniec świata nadejdzie. Ale wiedza w człowieku to kruchy zasób. Mieszkańcy Rzymu świadomość rzeczy ostatecznych mają we krwi. Poczucie to jest w nich tak wrośnięte, że nie rodzi już żadnej refleksji. Dla tych, co tu mieszkają, koniec świata już się wydarzył, deszcz co najwyżej może zirytować, kiedy napada do kieliszka z winem, które w mieście pije się bez przerwy.

Michele Andreano pojawił się w biurze przy via Verdinois, gdy było już ciemno. W środku czekał na niego Valter z synami. Agencja obsługi kierowców zamieniła się w schronienie przed klęską żywiołową. Valter był zdenerwowany, Roberto miał minę kogoś, kto bezskutecznie próbuje pogodzić się z rzeczywistością, ale to na Manuelu skupiła się uwaga prawnika.

– Manuel wyglądał na kompletnie naćpanego.

Czy to możliwe, że rodzina chłopaka niczego wcześniej nie zauważyła? Trzeba było podejrzenia o morderstwo, aby ze swego iluzorycznego zamknięcia na cztery spusty wyszła na jaw naga rzeczywistość – dzieci bezwstydnie kłamią, a rodzice odwracają wzrok od tych źle ukrytych kłamstw.

Valter opowiedział Andreanowi, jak wyglądała sytuacja. Podróż do Molise. Wyznanie Manuela. Wspólnik, o którym nikt nic nie wiedział. I najważniejsze: ciało.

Mieszkanie Manuela znajdowało się blisko miejsca, w którym się zebrali, wystarczyło dziesięć minut, by sprawdzić, czy Manuel mówił prawdę. Ale nie mogli jeszcze tego zrobić, powiedział adwokat, musieli najpierw

zadzwonić po karabinierów.

Andreano przypomniał sobie, że kilka razy jadł z Manuelem kolację. Przy tych okazjach Manuel był bardzo cichy, podtrzymywał rozmowę tylko do momentu, w którym milczenie byłoby niegrzeczne, ale poza tym się nie otwierał. Trudno powiedzieć, co to był za typ. Pomimo pasji do informatyki nie miał konta w mediach społecznościowych. Właśnie w związku z jego działaniem w sieci spotkał się na kolacji z Andreano: Manuel pracował nad aplikacją o nazwie My Player, która miała pozwolić profesjonalnym klubom piłkarskim na znalezienie w czasie rzeczywistym najbardziej obiecujących młodych talentów rozproszonych po całym świecie. Gdyby taki program się pojawił, kto nie chciałby z niego skorzystać? Manuel, pełen rezerwy, ale też determinacji, był przekonany, że ma niesamowitą intuicję, czuł, że jest blisko czegoś wielkiego. Jak to bywa z tego typu pomysłami, obawiał się też, że ktoś może mu go ukraść. Dlatego właśnie zwrócił się do Andreana z prośbą o konsultację prawną.

Kiedy Valter streścił, co się stało, prawnik spojrzał na Manuela.

– Słuchaj – zagadnął – może porozmawiamy w cztery oczy?

Chłopak skinął głową, co można było zinterpretować jako zgodę. Wyglądał przy tym tak, jakby mu ulżyło.

– Dobrze – powiedział Andreano – zostawcie nas samych.

Valter i Roberto opuścili pokój. Manuel poprosił o papierosa. Adwokat mu go podał, chłopak zaciągnął się głęboko, jakby przyjmował tlen po ciężkim bezdechu.

– Wyjaśnisz mi, co się stało? – zapytał prawnik.

Manuel rozłożył ręce, które od kilku godzin mogły być rękami mordercy, ale wyglądały jak ręce chłopca, który nie potrafi pościelić sobie łóżka.

– Narobiliśmy syfu.

– Kto narobił?

– Ja i mój przyjaciel.

– Przyjaciel. Jak się nazywa?

– Marco Prato. Nie do końca przyjaciel.

– Więc kto?

– Taki jeden. Poznałem go w sylwestra.

Minęło kilka sekund ciszy.

– Ta osoba, którą zabiliście. Kto to jest?

– Nie wiem.

– Nie wiesz?

– Nie wiem.

– A dlaczego go zabiliście?

– Nie wiem. Powody mogą być różne. Albo w ogóle ich nie było.

Manuel miał zatkany nos i zmieniony głos. Wydawał się zdezorientowany. Może próbował uporządkować myśli i odnaleźć się w tym, co zwykliśmy nazywać rzeczywistością, podczas gdy jakaś jego część wciąż pozostawała uwięziona w innym wymiarze, w wydarzeniach minionego dnia, które w tej chwili jawiły się jako koszmar. Może zaczął podejrzewać, że ten zły sen i wydarzenia poprzedniego dnia były jednym i tym samym. Może szamotał się na granicy rzeczywistości i złudzenia, jak rozbitek to zanurzający się, to wypływający na powierzchnię. Ale nie kłamał.

Manuel stanowczo twierdził, że zabił człowieka, ale jednocześnie opisywał siebie jako osobę bezwolną, która działała pod przemożnym wpływem jakiejś siły wyższej.

– Słuchaj, Manuel – powiedział Andreano – musisz podjąć decyzję. Masz mi powiedzieć, czy chcesz się oddać w ręce władz, czy nie. Bo jeśli chcesz się oddać, to zadzwonię po karabinierów. A jeśli nie, to muszę wstać i stąd odejść, bo inaczej zostanę oskarżony o współudział.

– Chcę.

Manuel powiedział to takim tonem, jakby nie czekał na nic innego.

> Dnia 05/03/2016 o godzinie 18.30 na naszym posterunku odebrano telefon z Centrali w Rzymie, informujący, że przy via Verdinois 6 znajduje się osoba, przedstawiająca się jako adwokat Andreano Michele i prosi o interwencję, ponieważ jego klient, Foffo Manuel, przyznał się do prawdopodobnego popełnienia zabójstwa.
>
> Karabinierzy Andrea Zaino i Alessio Gisolfi
>
> Posterunek przy via Prenestina, Rzym

Andreano zakończył rozmowę z karabinierami. Spojrzał na Manuela. Pozostało tylko czekać. Z zewnątrz dobiegał szum deszczu. Stali nieruchomo i nasłuchiwali. Do tego dźwięku dołączył jeszcze jeden. Stopa Manuela stukająca o podłogę. Chłopak był zdenerwowany. Minęło piętnaście minut i nikt nie przyjeżdżał. W Rzymie, kiedy pada deszcz, ludzie nie ustępują miejsca, nawet gdy słyszą syreny karabinierów. Mijały kolejne minuty.

Manuel westchnął głębiej, po czym poderwał się z miejsca.

Andreano zmarszczył brwi. Chłopak patrzył na niego z wyrazem twarzy, którego prawnik nie potrafił rozszyfrować.

– Dasz mi jeszcze jednego papierosa?

Manuel odpalił, odwrócił się plecami do adwokata i bez słowa wyszedł z pokoju, po kilku krokach chwycił za klamkę drzwi wejściowych i wyszedł z agencji, by wypalić papierosa na deszczu i wietrze. Andreano odprowadził go zaniepokojonym wzrokiem, po czym stracił go z oczu.

A jeśli będzie próbował uciec? A jeśli zdecydował się uciec *teraz*, po tym, jak prawnik wezwał karabinierów i wpakował ich wszystkich w niewyobrażalne kłopoty?

– Zaraz pójdę im coś powiedzieć – burczał mężczyzna, wygrzebując się z pościeli.

– Co za wychowanie – wymamrotała jego żona leżąca z głową zakopaną w poduszkach.

Na piątym piętrze hotelu San Giusto mieszkańcy jednego z pokojów próbowali zasnąć. Odtwarzana w sąsiednim lokalu numer 65 piosenka, obsesyjnie i całymi godzinami, dudniła im w głowach. Kończyła się i zaczynała od nowa. Ściany tłumiły nieco dźwięk, ale głos wokalistki był wyraźny.

Mężczyzna wstał. Jego żona odwróciła się na bok. Włożył kapcie, zapalił światło w poszukiwaniu okularów, zgasił światło, przeszedł przez pokój i chwycił za klamkę. Wyszedł na korytarz w poszukiwaniu sprawiedliwości.

Dzień wcześniej przyjechali do Rzymu z Treviso. On był lekarzem. W poniedziałek miał wziąć udział w konferencji w dzielnicy EUR. Razem z żoną postanowili zafundować sobie weekend w stolicy. Nigdy wcześniej ich wybór nie okazał się tak nietrafiony. Nie byli w Rzymie od lat, nie wyobrażali sobie, że mogą zastać miasto w tak opłakanym stanie. Ludzie na ulicach byli po prostu nienormalni. Kierowcy zachowywali się jak potencjalni mordercy, ale i piesi nie byli lepsi. Na piazza della Madonna dei Monti byli świadkami obrzydliwej sceny. W pobliżu fontanny mewa pożerała zdechłą mysz. Otworzyła dziobem jej brzuch i grzebała we wnętrznościach. Mała dziewczynka zaczęła szarpać matkę: „Mamusiu, mamusiu, mysz!”. Dziecko wyglądało na bardzo przejęte. Kobieta zatrzymała się i spojrzała na córkę, jakby jej nie poznawała. Następnie, używając wolnej ręki, wymierzyła jej donośny policzek, który być może zawierał w sobie filozofię miasta: „Po co wrzeszczysz, idiotko, przecież to nie ty jesteś martwa!”.

Mężczyzna zapukał do drzwi numer sześćdziesiąt pięć. Pokój zajmował niejaki Marco Prato, ale mężczyzna nie mógł o tym wiedzieć. Odczekał

jeszcze kilka sekund, ale po drugiej stronie drzwi, poza odtwarzaną w nieskończoność piosenką, nic się nie działo. Mężczyzna postanowił zaprotestować w recepcji.

Podczas jazdy windą przypomniał sobie tytuł utworu. *Ciao amore, ciao* Luigiego Tenco w interpretacji Dalidy.

– Hej, popatrz!

Karabinierzy dostrzegli w lusterku sylwetkę mężczyzny. Rozmyta przez deszcz postać biegła za radiowozem, wymachując rękami. Radiowóz zwolnił. Mężczyzna dobiegł do samochodu, jeden z karabinierów opuścił szybę.

– Dobry wieczór.

Mężczyzna powiedział, że nazywa się Valter Foffo.

– Nawet nie zwróciliście uwagi, że minęliście biuro.

Było mokro, w ciągu ostatnich minut rozszalała się burza. Trudno było dostrzec, co człowiek ma przed samym nosem, a co dopiero rozpoznać numer budynku.

– Chodźcie ze mną – poprosił mężczyzna.

Prowadzeni przez Valtera karabinierzy weszli do biura. Mecenas Andreano podszedł do nich, wyciągając rękę na powitanie. Potem pojawił się dobrze ubrany młody mężczyzna. Przedstawił się jako Roberto Foffo. W końcu karabinierzy zobaczyli Manuela. Chłopak nie uciekł. Nawet nie miał takiego zamiaru. Gdy tak stał obok Roberta, trudno było określić stopień ich pokrewieństwa. Roberto nie zaniedbywał najmniejszego szczegółu swojego wyglądu. Manuel był cały zmięty. Karabinierzy zapytali, czy to on popełnił morderstwo, do którego zostali wezwani. Manuel przytaknął. Zapytali go, czy działał sam. Manuel powtórzył, że działał wspólnie z przyjacielem, który nazywa się Marco Prato. Następnie karabinierzy zadali pytanie, na które Manuel nie potrafił odpowiedzieć ani ojcu, ani swojemu prawnikowi. Po raz trzeci powtórzył:

– Nie wiem, jak się nazywa osoba, którą zabiliśmy.

Karabinierzy poprosili Manuela o telefon komórkowy. Oddał go bez wahania. Poprosili go o kod odblokowujący. Przekazał im go. Następnie poprosili o klucze do mieszkania, które Manuel również im dał. Przyszedł czas na najtrudniejsze. Jeden z karabinierów wyjął kajdanki. Manuel spojrzał na metalowe bransoletki, po czym potulnie wyciągnął nadgarstki.

Karabinierzy oficjalnie poinformowali adwokata, że chłopak jest zatrzymany.

MF: W przyszły czwartek, jeśli możesz, nie planuj niczego. Zadzwonię za kilka dni.

MP: OK:)

MF: Super.

MP: Jak mam się ubrać?

Wymiana wiadomości na WhatsAppie między Manuelem Foffo i Marco Prato nieco ponad miesiąc wcześniej

Żaden człowiek nie dorasta do tragedii, które go spotykają. Istoty ludzkie są niedokładne. Tragedie zaś niepowtarzalne i doskonałe, za każdym razem wydają się wyrzeźbione rękami jakiegoś boga. Poczucie komizmu wynika z tej dysproporcji.

Karabinierzy zaparkowali przed blokiem z numerem dwa przy via Igino Giordani. Potężny budynek stał w deszczowym mroku. Obok niego wznosiły się dwa identyczne bloki. Patrząc nieopodal z lotu ptaka, dałoby się zobaczyć gigantyczny czarny prostokąt. Rosły tam buki, cierniste krzewy, dzikie kwiaty, a pod nimi leżała największa nekropolia cesarstwa rzymskiego. Obszar ten miał się stać parkiem archeologicznym, ale projekt utknął w martwym punkcie z powodu niekończącej się serii problemów biurokratycznych. Niedaleko miejsca, gdzie od ponad dwóch tysiącleci ziemia przykrywała kolumbaria i szkielety, znajdowały się boiska, trafiki, małe sklepy i wielkie bloki.

Karabinierzy poprosili Valtera, aby zaprowadził ich do mieszkania Manuela. Dołączył do nich mecenas Andreano. Roberto został na parterze. Manuel siedział zamknięty w radiowozie.

Wjechali na dziesiąte piętro. Valter wskazał na drzwi.

– To tutaj? – zapytał karabinier. Mężczyzna skinął głową. Karabinier wsunął do zamka klucz, który dał mu Manuel. Drzwi się nie otworzyły.

– Zamknięte.

Niektórzy z obecnych poczuli dreszcz niepokoju połączony z nieśmiałą nadzieją.

Drzwi były zamknięte od wewnątrz, to nie zgadzało się z zeznaniami Manuela. Była to pierwsza rozbieżność, a więc mogły się pojawić kolejne. Karabinierzy zaczęli wyważać zamek.

– Czekajcie. – Jeden z nich usłyszał jakiś dźwięk z drugiej strony. Znieruchomieli w oczekiwaniu. Nic się nie wydarzyło. Wznowili majstrowanie przy zamku.

– Stójcie! Stójcie!

Tym razem wszyscy usłyszeli. Po chwili *ktoś* zaczął poruszać *czymś* po drugiej stronie drzwi. Karabinierzy drgnęli, Michele Andreano i Valter Foffo spojrzeli po sobie, a serca podeszły im do gardeł. To nie był sen. Ktoś był w mieszkaniu i ten ktoś *żył*!

– Niewiele brakowało, a zaczęlibyśmy się ściskać, skakać i krzyczeć z radości – wspominał Andreano.

Nie było jasne, na jakiej podstawie uwierzyli, że ofiara wciąż żyje. Rozumując na chłodno, za tymi drzwiami mógł się znajdować ktokolwiek. Na przykład wspólnik Manuela, ten cały Marco Prato, o którym nic jeszcze nie wiedziano. Tej hipotezy nawet nie wzięli pod uwagę. Ranny, może nawet poważnie, ale żywy. Musiał tam być ten chłopak, którego Manuel rzekomo zabił. Tak pomyśleli wszyscy. Biedak zdołał doczołgać się do drzwi i teraz desperacko próbował się wyzwolić.

– Szybko! Pospieszcie się!

Michele Andreano został wysłany po karetkę. Karabinierzy ponownie zaczęli wyważać drzwi. Valter pobiegł do Roberta, gotowy przekazać mu niewiarygodną wiadomość.

Wszystko trwało kilka minut i mimo najszczerszych wysiłków trudno sobie wyobrazić całą tę scenę bez poczucia diabolicznego komizmu.

Zaklęcie przełamał Roberto Foffo. Choć kilka godzin wcześniej nazwał brata mitomanem, wyglądało na to, że wraz z upływem czasu zmienił zdanie. Kiedy Valter opowiedział mu, co się dzieje na górze, Roberto zapytał:

– Tato, a ty jesteś pewien, że wskazałeś karabinierom właściwe mieszkanie?

Bardziej okrutne od tragedii, która nas dotknęła, jest chwilowe złudzenie, że udało się nam jej uniknąć. Kiedy drzwi w końcu się otworzyły, zdumienie wojskowych było równie wielkie, jak zaskoczenie osoby stojącej po drugiej stronie. Starsza pani, właścicielka mieszkania, przekonana, że odpiera atak złodziei, stanęła twarzą w twarz z dwoma młodymi karabinierami.

– Dzień dobry, czy to mieszkanie Manuela Foffo?

– Nie – odpowiedziała kobieta – pomyliliście się.

Roberto odświeżył pamięć ojca. Kilka minut później stanęli przed właściwymi drzwiami.

Ostatnimi, którzy widzieli go żywego, byli pracownik urzędu miasta i jakaś nieznana z imienia blondynka.

Urzędnik nazywał się Fabio Guidi, miał czterdzieści pięć lat, mieszkał w pobliżu via Trionfale, przeczytał wiadomość w internecie (w sieci i w gazetach pisano tylko o tym) i rozpoznał twarz chłopaka. Powiedział karabinierom, że spotkał go przypadkiem w piątek, za dziesięć ósma, na krótko przed tym, jak został zamordowany.

Tamtego ranka Guidi jak zwykle wstał wcześnie, wyszedł z domu i pojechał pociągiem do pracy. Piętrowe wagony kursujące po torach miejskiej sieci kolejowej miały za zadanie odciążenie ruchu drogowego. Powolne, rozklekotane, przypominające wielkie zranione zwierzęta, idealna zdobycz dla początkujących graficiarzy.

– Zająłem miejsce na górze, przy oknie. Siedział niedaleko. W pewnym momencie do mnie zagadał.

Luca Varani miał na sobie jasne dżinsy, sportowe buty, ciemną kurtkę, czapkę z daszkiem i plecak.

– Zapytał mnie, czy ten pociąg staje na Tiburtinie. Odpowiedziałem, że nie wiem, łapię albo pociąg, który przyjeżdża na Ostiense o siódmej czterdzieści osiem, albo następny, o siódmej pięćdziesiąt sześć. Poradziłem mu, aby przyglądał się oznaczeniom na peronach.

Gdyby to było w Mediolanie, gdzie ludzie przesadnie skupiają się na swojej pracy, lub w Turynie, gdzie rozmowa z nieznajomym może się wydać niestosowna, podróżny nie zapamiętałby chłopaka, jego dużych czarnych oczu, pięknych ust, harmonijnej i delikatnej twarzy w światłocieniu, która bywalcom kościoła Świętego Ludwika Króla Francji przypomniałaby anioła na jednym z tamtejszych płócien Caravaggia. Ale w Rzymie narzekanie na swoje sprawy pierwszemu, kto się nawinie, jest społecznym obowiązkiem. Niezbyt zadowolony z odpowiedzi, chłopak zaczął z impetem.

– Powiedział, że ma spotkać się z kimś, kto jest mu winien tysiąc euro za samochód. *Auto zabrał, ale pieniędzy nie dał.* Najwyraźniej ten ktoś, kto

był mu winien pieniądze, zasugerował, by wysiadł na Tiburtinie i wziął taksówkę. *Ale jak wezmę taksówkę, skoro nawet jednego euro nie mam?*

Pociąg jechał w kierunku Primavalle, mijał łąki, osiedla, odrapane budynki, pola pełne złomu i zepsutych toi toiów.

– Poprosił mnie, żebym przypilnował jego plecaka i ładującego się telefonu komórkowego, po czym zniknął z tyłu pociągu. Chwilę później wrócił z dziewczyną.

Mogła mieć między dwadzieścia a dwadzieścia pięć lat. Szczupła blondynka w ciemnej kurtce sięgającej do kolan i obcisłych spodniach.

– Myślę, że ci dwoje już się znali – opowiadał mężczyzna – usiedli obok siebie i zaczęli cichą i ożywioną rozmowę.

Gdyby Rzym nie był miastem, w którym zawsze wolno wpychać nos w nie swoje sprawy, podróżny nie nadstawiłby ucha i nie mógłby później zrelacjonować rozmowy między tymi dwojgiem.

– Poprosił ją o papierosa. Dziewczyna powiedziała, że zostało jej tylko kilka, ale w końcu dała mu jednego. W pewnym momencie powiedział do niej coś w stylu: *Zwykle zarabiam trzydzieści, ale dzisiaj dostanę tysiąc*. Potem dodał: *Jeśli mnie zdemaskuje, to i ja zdemaskuję jego. Proszę bardzo, niech idzie na mnie donieść, niech tylko spróbuje!*

Podróżny powiedział karabinierom, że Luca sprawiał wrażenie zuchwałego, ale bardzo naiwnego chłopaka. W tej naiwności można było wyczuć bezbronność, a pozorna zuchwałość czyniła ją tym bardziej dotkliwą i przejmującą.

Kilka przystanków dalej dziewczyna wysiadła.

– Zanim wyszła z wagonu, powiedziała: *Luca, proszę cię, uważaj*. On odpowiedział: *Ale co mieliby mi zrobić? To ja mam wziąć pieniądze*. Dziewczyna miała poważny wyraz twarzy.

Luca ponownie zwrócił się do swojego towarzysza podróży.

– Zrobił mi cały wywód o korzyściach, jakie mógłby zyskać od ludzi, z którymi miał się spotkać. Powiedział: *Jeśli dam adres tej osoby, która jest mi winna pieniądze, pewnemu znajomemu, to ten znajomy da mi dwa tysiące euro*. I dodał jeszcze: *Czasami nieuczciwość popłaca. A pan co o tym sądzi?* Odpowiedziałem, że nic nie sądzę.

Potem chłopak zaczął narzekać na swojego smartfona. Powiedział, że powinien kupić nowy, bo ten ciągle mu się rozładowuje. Podróżny

zasugerował, by wymienił tylko baterię, ale chłopak odpowiedział, że ma już kupca na swoją starą komórkę. Sprzeda ją za czterdzieści euro. Zresztą, pomijając ładowarkę, po prostu chciał mieć nowy telefon.

– Wtedy powiedział mi, że potrzebuje biletu na metro. Z Tiburtiny miał jechać do Ponte Mammolo. *Ma pan może wolny bilet?* Powiedziałem, że nie mam, zawsze podróżuję z okresowym. W odpowiedzi odszedł bez słowa. Tak po prostu. Zabrał plecak i telefon, odwrócił się do mnie plecami, przeszedł przez wagon i zniknął wśród innych pasażerów. Nawet się ze mną nie pożegnał.

Oto łamigłówka dla śledczych. Ponte Mammolo to przystanek metra znajdujący się stosunkowo blisko via Igino Giordani. Ale nie najbliższy. Można było założyć, że Luca Varani miał jeszcze jakieś spotkanie przed tym, które okazało się dla niego fatalne w skutkach. Można też założyć, że nigdy wcześniej nie był na via Igino Giordani i pomylił przystanki.

Następna zagadka: kim była osoba, o której Luca powiedział, że jest mu winna tysiąc euro? A ta kolejna, która dałaby mu dwa razy tyle za podanie adresu tej pierwszej? Może informacje były zbyt zagmatwane, by stawiać konkretne hipotezy. A może nasz urzędnik już nie pamiętał szczegółów. Przy odrobinie wyobraźni można było założyć, że Luca czuł potrzebę opowiedzenia komuś o swoich problemach, ale użył szyfru. Na przykład „samochód" mógł nie być prawdziwym samochodem. Byłaby to przekonująca teoria, bo tylko młodzi ludzie, choć wstydliwi, odczuwają potrzebę otwartego wyrażania swoich uczuć. Ale młodzi ufają tylko innym młodym. No właśnie, ta blondynka. Zanim wysiadła, powiedziała Luce, żeby uważał. Na co? Może zwierzył się jej z czegoś, czego nie powiedział nikomu innemu?

– Pamięta pan jakieś inne szczegóły, jeśli chodzi o tę dziewczynę? – zapytali karabinierzy.

– Miała proste włosy do ramion, ładną twarz, makijaż, ale dyskretny.

W krótkim czasie na temat tej dziewczyny zaczęto snuć najbardziej szalone domysły. „Poszukiwanie blondynki spotkanej w pociągu", głosił nagłówek „Corriere della Sera".

Najbardziej pobudzeni spekulowali, że blondynka była zjawą, wyimaginowaną powierniczką, o której Luca, przeczuwając zbliżające się niebezpieczeństwo, myślał tak intensywnie, że zmaterializowała się w lokalnym pociągu do stacji Roma Ostiense. Przyjazny duch, może nawet

anioł.

Kilka dni później karabinierzy przesłuchali dwudziestoczteroletnią blondynkę, która twierdziła, że jechała z Lucą Varanim w pociągu miejskim do Tiburtiny. Dziewczyna zeznała, że zna Lucę ze szkoły. Tego ranka spotkała go przypadkiem, rozmawiali o tym i owym, a potem wysiadła z pociągu. To wszystko: żadnych oznak zbliżającego się niebezpieczeństwa, nic szczególnie dziwnego.

Jeden z karabinierów wsunął klucz do zamka i tym razem drzwi się otworzyły.

Weszli do mieszkania. Włączyli światło, przeszli przez korytarz i rozejrzeli się wokół. Wnętrze było smutne i ciasne, w pokoju dziennym walały się ubrania, papierowe opakowania, szklanki, puste butelki. Bałagan był tak koszmarny, jakby właściciel mieszkania sam się do niego włamał i zrobił w nim rewizję. Na biurku leżały porozrzucane gazety i czasopisma, w tym jeden egzemplarz „Uomo & Fitness", jeden „Millionaire", dokumenty, recepty lekarskie, trzy kartki A4 z wydrukiem hasła „Samobójstwo wspomagane" z Wikipedii. Na półce obok znajdowały się książki, głównie opracowania prawnicze, podręczniki do nauki języków, poradniki „jak żyć". Szuflady były pełne opakowań Xanaxu i Serenase. Na szafce pod telewizorem leżał nóż kuchenny z czarną rękojeścią. Na ostrzu nie było śladów krwi.

Na stole w jadalni ciąg dalszy bałaganu – pogniecione paczki po papierosach, pudełko po pizzy, ulotki reklamowe i, co raczej nietypowe, dwie pary butów („żeby nie zostawiać śladów na podłodze; ci dwaj musieli myśleć, że się z tego wywiną" – stwierdził jeden z karabinierów). Opuszczone do trzech czwartych żaluzje zewnętrzne nadawały scenie jeszcze bardziej smutny i klaustrofobiczny charakter. Wyglądało na to, że przez ostatnie kilka dni do mieszkania nie docierało światło słoneczne.

Kuchenny zlew był pełen brudnych szklanek. Potem łazienka. Karabinierzy zauważyli przy umywalce parę zwiniętych skarpetek. W wannie leżały dwie reklamówki, jedna włożona do drugiej. Wewnątrz znajdowały się spodnie dresowe zabrudzone jakąś ciemną substancją.

– Nie dotykajcie. Poczekajmy na techników.

Ci, którzy mieli szczęście wejść do mieszkania jeszcze przed jego zabezpieczeniem (lub nieszczęście, bo niejednego z nich ta scena prześladowała tygodniami), mówili, że wrażenie panującego tam zła było wręcz namacalne. Jedni twierdzili, że cały ten bałagan odzwierciedlał stan

psychiczny lokatora. Inni, formułując pozornie banalną myśl, twierdzili, że wyglądało to jak mieszkanie studentów, którzy zorganizowali dziką imprezę, a sprzątanie po niej pozostawili dorosłym. Jeden z karabinierów powiedział, że takie doświadczenia zdecydowanie potwierdzają, że zło nie jest abstrakcyjną koncepcją, ale czymś namacalnie obecnym.

W sypialni karabinierzy znaleźli głęboko wysunięte szuflady. W środku było jeszcze więcej leków i paczka prezerwatyw. Na podłodze leżał nóż kuchenny i średniej wielkości młotek. Nieco dalej zakrwawiona poduszka. Ściany były umazane krwią. Plastikowe wiadro pełne papierowych ręczników, również zakrwawionych. Materac przykrywała duża pomarańczowa kołdra. Karabinierzy podeszli, by ją unieść.

Zmarły miał szczupłe, wysportowane ciało. Z wyjątkiem skarpet frotté był zupełnie nagi. W klatce piersiowej tkwił wbity nóż. Ciało nosiło ślady wielokrotnych uderzeń w głowę, twarz, usta, ręce, zęby. Głębokie rany na wysokości klatki piersiowej i szerokie nacięcia u podstawy szyi. Do tego dochodziło wiele powierzchownych obrażeń. Głowa była pochylona w prawo. Szyję okręcał gumowany przewód podobny do kabla elektrycznego. Może próbowali go jeszcze udusić.

Karabinierzy byli przyzwyczajeni do porachunków między przestępcami i tego, co po nich zostaje. W takich przypadkach wszystko sprowadzało się do kilku strzałów lub dobrze wymierzonych ciosów nożem. To, na co teraz patrzyli, świadczyło o innego rodzaju przemocy. Ktokolwiek zabił tego chłopaka, wyżył się na nim w makabryczny sposób, wyładował na nim pozbawioną hamulców, prymitywną furię. Jednak oprócz ran i innych obrażeń na ciele ofiary było coś jeszcze: na lewym ramieniu, aż do łokcia wytatuowane MARTA GAIA.

Karabinierzy zjechali na parter. Wkrótce pojawią się zespół techników kryminalistycznych, lekarz sądowy i prokurator.

Przestało padać. Zanim zabrano Manuela na posterunek przy piazza Dante, karabinierzy zadali mu jeszcze kilka pytań – skoro się okazało, że nie jest mitomanem, zaczynała się nowa gra. Manuel zeznał, że zamordowany chłopak pojawił się w jego mieszkaniu w piątek rano. Nigdy wcześniej go nie widział. Swojego wspólnika, Marca Prato, znał zaledwie od kilku miesięcy. Zapytali go, gdzie podział się ten Prato. Manuel odparł, że po morderstwie wyszedł z mieszkania. Miał złe intencje.

– W jakim sensie? – zapytał jeden z karabinierów.

– Poszedł popełnić samobójstwo w hotelu niedaleko piazza Bologna – odparł Manuel.

MF: Jutro wieczorem? Możesz?
MP: Co chcesz robić?
MF: Pogadać, a potem zrobić zakupy.
MP: OK. Gdzie?
MF: U mnie? Albo jak chcesz.
MP: U cb jest OK.

Wymiana wiadomości na WhatsAppie między Manuelem Foffo i Markiem Prato kilka dni przed morderstwem

„Statek w porcie jest bezpieczny, ale nie po to buduje się statki”.

Cytat z Johna Augustusa Shedda był ostatnim, który Ledo Prato napisał na swoim blogu, zanim się dowiedział, że jego syna oskarżono o morderstwo. Zdanie – Ledo inteligentnie dodał do niego słowa: „choć dzisiaj port nie jest już wcale tak bezpiecznym miejscem” – nie nawiązywało do relacji między rodzicami i dziećmi, ale do wyzwań, które muszą podjąć małe społeczności, aby przetrwać ekonomiczne burze XXI wieku.

Ledo Prato był menadżerem kultury, jednym z najbardziej szanowanych w środowisku. Miał sześćdziesiąt osiem lat, żonę i dwoje dorosłych dzieci. Urodził się w prowincji Foggia, po maturze przeniósł się do Rzymu, gdzie ukończył studia i rozpoczął pracę. Był poważnym mężczyzną o łagodnej powierzchowności. Ci, którzy go poznali, widzieli w nim to, czego ludzie dzisiaj oczekują, często na próżno, od mężczyzn zajmujących odpowiedzialne stanowiska: równowagę, siłę umysłu, brak narcyzmu.

Jako niezależny biegły udzielał konsultacji w ministerstwie kultury. Pełnił funkcję sekretarza generalnego w stowarzyszeniu zajmującym się ochroną dziedzictwa artystycznego. Wśród znajomych miał wysoko postawionych urzędników państwowych, prawników, akademików na rządowych stanowiskach. Niezależnie od tego, czy przemawiał do studentów uniwersytetu (prowadził popularne wykłady na różnych wydziałach), czy pisał w gazetach, jego łagodna siła i życzliwość docierały do wszystkich. Nigdy nie usłyszano z jego ust pomówień ani złego słowa, był dobrym katolikiem, a przynajmniej usilnie starał się nim być, i pomimo okrucieństw tego świata wierzył, że zdolność do pracy na rzecz dobra zawsze jest w stanie zwyciężyć niszczycielskie impulsy.

„To wyzwanie na każdy dzień”, powtórzył na swoim blogu, „czasami wygrywasz, czasami nie, ale nie wolno poddać się złu!”.

Innymi słowy, widoczna była tylko jasna strona Leda Prato. Niełatwo było sobie wyobrazić, jak wygląda, gdy wybucha gniewem. Po prostu trudno było

go przyłapać na postawie, która zaprzeczałaby publicznemu wizerunkowi. Kiedy zatem wieczorem 5 marca dowiedział się, że jego syn ma kłopoty – poważne, niewyobrażalne kłopoty – nawet ci, co go znali, nie potrafili przeniknąć jego myśli.

– Marco? *Mój syn?*

Co myślał Ledo Prato w tamtej chwili i w kolejnych godzinach? Czy pozwolił, by jego ostrożny optymizm rozpadł się pod ciężarem tego, co się wydarzyło? A może użył zdrowego rozsądku i ostrożności jako form ucieczki od najbrutalniejszej rzeczywistości?

Pierwsza zadzwoniła Ornella Martinelli. Jej numer, wraz z numerami innych przyjaciół rodziny, karabinierzy znaleźli w telefonie komórkowym Marca. Dzwonili do nich z prośbą o znalezienie państwa Prato i poinformowanie, że szuka ich policja.

Nie był to pierwszy raz, kiedy Ledo otrzymywał niepokojące wieści dotyczące syna. Zdarzyło się to już wcześniej, gdy Marco mieszkał w Paryżu, i nieco później, już w Rzymie. Od tamtego czasu minęły lata, sytuacja znacznie się poprawiła i byłoby czymś małostkowym, by wątpić w tę zmianę, ale wszystko się zmieniło w chwili, gdy zadzwonił telefon. Ledo uwielbiał Marca. Doceniał jego błyskotliwość, ducha inicjatywy. I chociaż ojciec i syn wydawali się odlegli o lata świetlne od siebie – z jednej strony nienaganny przedstawiciel katolickiej burżuazji, z drugiej jeden z najbardziej energicznych animatorów rzymskiej sceny gejowskiej – więź między nimi była głęboka. Być może łączyła ich także sekretna melancholia, którą jeden skrywał za opanowaniem, a drugi za niezwykłą żywiołowością.

– W porządku Ornello, dziękuję.

Po kolejnej serii rozmów telefonicznych Ledowi Prato udało się porozmawiać z karabinierami. Poprosili go, aby dołączył do nich w hotelu San Giusto przy piazza Bologna. Znaleźli jego syna.

– Żyje – powiedzieli. Próbował popełnić samobójstwo w pokoju hotelowym.

Ledo Prato będzie potrzebował zaledwie kilku minut – piazza Bologna była rzut kamieniem od jego domu – aby się upewnić, że Marco z tego wyjdzie. Ale czekała też na niego inna wiadomość, że jego syn jest zamieszany w potworne morderstwo. I pomimo swojej wiary we wrodzoną dobroć istot ludzkich w ciągu kilku dni zobaczy, jak wielka potrafi być skala cynizmu, podłości, przemocy, złośliwości i nienawiści.

„Teraz tatuś rzymskiej burżuazji wyciągnie synalka z kłopotów wszelkimi możliwymi sposobami”.

„Kawiorowa lewica, synalek tatusia z muchami w nosie. SZUMOWINA”.

To były najłagodniejsze internetowe komentarze spośród mnóstwa innych wpisów wymierzonych w Marca i jego rodzinę. Wściekły tłum pozbawiony jakichkolwiek zahamowań.

Ledo i jego żona Mariella błyskawicznie udali się na piazza Bologna. Statek wyszedł z portu, burza dopiero się zaczynała.

Ornella Martinelli zadzwoniła do Federiki Vitale. Obie były w kontakcie z Lorenzą Manfredi. Pierwsze szczegółowe informacje zaczęły krążyć wśród małej grupy przyjaciół. Potem wiadomość eksplodowała, przebiła się przez zaporę najbliższych znajomych. Przyjęty do szpitala z powodu próby samobójczej? I do tego zamieszany w *morderstwo*? Wstrząs łączył się z ekscytacją, jak wtedy, gdy coś niewiarygodnego dotyka osoby publiczne. Nic w tym dziwnego – Marco Prato na swój sposób był osobą publiczną.

Niezależnie od tego, czy znało się go osobiście, czy też oglądało z daleka, syna Leda Prato nie dało się nie zauważyć. Dwadzieścia dziewięć lat, piękne ciemne oczy, zaczesane do tyłu włosy, pełne usta, wąsy i przenikliwe spojrzenie. Patrzył na ciebie i nie wiedziałeś, czy to dlatego, że wzbudziłeś jego zainteresowanie, czy też przeciwnie, dodał cię do listy osób, na których nie ma sensu tracić czasu.

– To zwykły laluś, który myśli, że jest nie wiadomo kim – mówiły złe języki.

– Jedna z najbardziej przyjaznych i inteligentnych osób, jakie można spotkać – odpowiadali ci, którzy go lubili.

Marco Prato był promotorem wydarzeń pracującym w klubowym świecie. Wraz z dwoma partnerami biznesowymi organizował w Os Club na Colle Oppio aperitif pod nazwą *A(h)però*. Rozkręcał również inne imprezy. Na sylwestra wyprawił bardzo udane *party* w klubie Quirinetta. W Rzymie ten rodzaj zabawy nie był dla wielu jej uczestników nagrodą po dniu ciężkiej pracy, ale najbardziej intensywnym momentem śnienia, które mogło trwać całymi latami. Lasery towarzyszące didżejskim setom ślizgały się po murach Term Karakalli, rezonując z mrocznymi mocami miasta ukrytymi pod jego powierzchnią.

„Poszukujemy PERFORMERÓW, TANCERZY, TANCEREK, AKTORÓW, AKTOREK, WOKALISTÓW, DRAG QUEENS, ZESPOŁÓW I ARTYSTÓW wszelkich gatunków. Przesłuchania odbędą się w pierwszym tygodniu marca”.

W pracy Marco był błyskotliwy i przekonujący. Dbał o to, by robić dobre wrażenie. Nawet wtedy, gdy częścią pracy były pewne nieprzyjemności (jak choćby odmowa wstępu do klubu komuś, kogo nie uważał za godnego wpuszczenia). Był obdarzony ponadprzeciętną elokwencją, a to nie należało do standardowych kompetencji zawodowych promotora.

– Jest wspaniałym rozmówcą.

– Używa zawsze właściwych terminów; kiedy mówi, stopniowo otacza cię złożoną i wyrafinowaną retoryką.

Otacza cię czy *osacza*? Jego zdolności retoryczne mogły sprawić, że człowiek czuł się albo niezręcznie, albo – zależnie od słuchacza i nastroju mówcy – mile widziany.

– Jest naprawdę utalentowany – mówili, ale niekoniecznie był to komplement.

– Marco jest obdarzony rzadką wrażliwością. On cię *widzi*. Dostrzega to, co umyka innym. Zwierzasz mu się z sekretów, którymi wcześniej z nikim się nie dzieliłeś. A poza tym jest ciepły i opiekuńczy.

Czarna kreska wokół oczu, lakier na paznokciach. Ci, którzy spotykali go po raz pierwszy, mogliby uznać to za przesadę (czy to nie przegięcie? Bezwstydność?), ale czy nie to właśnie zapamiętuje się w ludziach – nieprzewidywalność, a nie banalność?

Marco nienawidził homofobów. Bronił sceny gejowskiej. Krytykował rzymskie „prawackie wieczory", które puszczały oko do sceny homoseksualnej tylko po to, by „mieć jakieś miejsce we współczesnym świecie".

– Co właściwie oznacza gejowskie *party*? – pytał ktoś spoza kręgu.

– Oznacza getto dla tych, którym w nim przyciasno, i przestrzeń wolności dla tych, którzy czują się w nim komfortowo – odpowiadał Marco.

Jego polityczne przekonania były letnie, ale wyraźne („politykę można sprowadzić do autostrady – mówił – zasadniczo po prawej stronie powinieneś czuć się bezpiecznie, ale tylko ten po lewej może wyprzedzać i jechać dalej. A poza tym tylko gnoje wyprzedzają z prawej"), jednak od nudy kampanii wyborczej zawsze wolał blask cekinów na sukience popularnej piosenkarki.

Nie było do końca jasne, jak wyglądały jego relacje z rodziną. Marco miał odwagę wyjść z szafy jako młody chłopak, kiedy termin *coming out* właściwie jeszcze nie istniał. Stawił czoła szyderstwom kolegów ze szkoły.

Jak mówili przyjaciele, z początku rodzice nie przyjęli tego dobrze. Dochodziło do nieporozumień z matką. Ledo był łagodniejszy. Z biegiem lat wiele napięć ustąpiło. Teraz Ledo patrzył na Marca z nieskrywaną dumą. Jak wszyscy rodzice niekoniecznie rozumiał każdy aspekt działalności syna, ale chłopak solidnie pracował, a to doceni każdy ojciec. Marco publicznie wyrażał szacunek wobec Leda, życząc mu wszystkiego najlepszego z okazji urodzin bezpośrednio na Facebooku: „Zawsze mnie wspierasz… także teraz. Wszystkiego najlepszego, Tato!". „To bardzo miłe – odpowiadał Ledo na tablicy Marca – w gruncie rzeczy wszyscy ojcowie (a także matki) wspierają swoje dzieci i zdają sobie sprawę, że może nadejść dzień, w którym role się odwrócą. Ale nie martwią się tym, ponieważ wiedzą, że jeśli wspierali dzieci jak należy, to gdy przyjdzie pora, znajdą je u swego boku, silne, wielkoduszne i zawsze potrafiące towarzyszyć swoim rodzicom. Jestem bardzo szczęśliwy, bo wiem, że z moimi dziećmi też tak będzie! Kocham Cię!"

Czasem cichy upór Leda, by czynić dobro, przynosił odrobinę bólu. Ten sam ból u jego syna przybierał mitologiczne rozmiary. Marco uwielbiał muzykę francuską i znał na pamięć wszystkie piosenki Dalidy, zbudował kult wokół piękna jej głosu i tragedii jej życia. Marco nie tylko jej słuchał, on ją *ubóstwiał*, wiedział o niej wszystko, *chciał być nią*. Pędził przez Rzym w swoim mini cooperze, na całe gardło śpiewając *Loin de moi*.

W świecie, który cię osądza i nie daje drugiej szansy, Marco zdawał się rozwiewać wszelkie wątpliwości, że wygrał decydującą bitwę. Matowość kontra połysk. Anonimowość kontra umiejętność zapisania się w ludzkiej pamięci. Czy to nie jest problem wszystkich?

Ten i ów mówił, że ostatnio Marco się zmienił. Od jakiegoś czasu wydawał się spięty, rozdrażniony, jeśli widziałeś go w klubie, mogłeś natychmiast pożałować, że do niego podszedłeś.

– Witasz się z nim, a on atakuje cię jadowitym żartem. Nie rozumiesz dlaczego. I może on też nie do końca rozumie.

– W pracy mu nie idzie. Jest spłukany i ciągle prosi o pieniądze.

– Spójrz na jego twarz. Co widzisz? To koks sprawia, że się tak uśmiecha.

Zgoda, wszyscy mamy trudne chwile, ale jak to możliwe, że teraz szuka go policja?

Znajomi Marca zareagowaliby wzruszeniem ramion na wiadomość, że spędził dwie noce w hotelu naćpany kokainą. Najbliżsi przyjaciele nie byliby

zaskoczeni nawet wiadomością o próbie samobójczej; to już się kiedyś wydarzyło. Ale morderstwo? Marco Prato zabijający kogoś? Można sobie wyobrazić co najwyżej, że do kogoś się przystawiał, że w blasku kolorowych świateł jakiegoś lokalu stawiał koktajl dopiero co poznanemu chłopakowi i doprowadzał go do zrobienia tego, co jeszcze kilka minut wcześniej obiektowi jego zainteresowań nawet się nie śniło. Ale żeby zabić? *Marco?* To było coś nie do pomyślenia, coś niemożliwego, najczystszy absurd i jedyne, co mogło go przebić (perfidnie zauważył jeden z kąśliwych komentatorów), to że zrobił to w paskudnym mieszkaniu w dzielnicy Collatino.

– Mamo, nie idź do dziadków, muszę z tobą porozmawiać.

Pani Daniela wróciła do Rzymu wieczorem. Z Molise przywieźli ją kuzyni. Nie mogła zrozumieć, jak jej były mąż i synowie mogli ją tak zostawić podczas pogrzebu. To już był bolesny dzień, a jeszcze nie wiedziała o najgorszym. Kiedy zobaczyła pod domem karetkę, a na ulicy byłego męża, starszego syna oraz postawnego mężczyznę, który zdawał się czuwać nad nimi oboma, zrozumiała, że coś się wydarzyło. *Coś innego*.

Nie zdążyła wysiąść z samochodu, gdy podszedł do niej Roberto. Powiedział, żeby pozwoliła dziadkom pójść do siebie. Musiał z nią porozmawiać. Zaraz potem pojawił się ten postawny mężczyzna. Przedstawił się jako adwokat Manuela. *Adwokat Manuela?* Nie rozumiała. Roberto powiedział, że Manuel przyznał się do popełnienia morderstwa. W jego mieszkaniu znaleziono zwłoki młodego mężczyzny, który został zabity kilka metrów nad jej głową, prawdopodobnie w tym samym czasie, kiedy przebywała w domu.

– Z tamtej chwili pamiętam tylko to, że byłam oszołomiona – powiedziała karabinierom. Tego samego dnia pochowała rodzonego brata, przed chwilą odwiozła do domu swoich starszych rodziców pogrążonych w żałobie po synu, a teraz jej mówią, że *jej* syn popełnił morderstwo.

Wraz z rodziną pojechała na posterunek karabinierów.

W tym samym czasie pozostali na via Igino Giordani karabinierzy zaczęli pukać do sąsiadów. Mieli kilka pytań. Jaki był Manuel Foffo? Czy w ciągu ostatnich kilku dni słyszeli jakieś podejrzane odgłosy? Ktoś krzyczał? Wołał o pomoc?

Mieszkańcy bloku opisywali Manuela jako „najzwyczajniejszego”, „najspokojniejszego” i „wspaniałego” chłopaka. Słuchanie, jak pospolite cechy zostają przedstawione jako superlatywy, jest zawsze interesującym doświadczeniem. Na pytanie, czy Manuel ma pracę, niektórzy lokatorzy odpowiadali z oburzeniem: „Oczywiście, że pracuje!”, by dać świadectwo,

jak dobrze znają się nawzajem. Poza tym nikt nie widział ani nie słyszał niczego podejrzanego.

– A przecież w tych mieszkaniach słychać *wszystko*, nawet odgłos sztućców upadających na podłogę, nawet kroki wchodzących czy wychodzących z domów.

Zdanie to wypowiedział nie śledczy, chcąc wprawić któregoś z mieszkańców w zakłopotanie, ale osoba, która mogła czuć się najbardziej zawstydzona ze wszystkich. I skierowała je właśnie do śledczych.

Matka Manuela powtórzyła karabinierom, że ona też nie słyszała nic dziwnego i że właśnie to powinno wzbudzić ich czujność. Chciała, by uznali ten oczywisty absurd za wskazówkę, powiedziała, że jej syn był „skryty", „grzeczny", absolutnie „pokojowo nastawiony", to niemożliwe, żeby kogoś zabił. Sam się oskarżył? Pewnie wziął na siebie winę kogoś innego.

W kolejnych dniach kobieta posunęła się jeszcze dalej.

– Wszystko, co słyszę wokół, wydaje mi się chore, niemożliwe.

Kiedy przypomniano jej, że w mieszkaniu jej syna *naprawdę* znaleziono zwłoki dwudziestotrzylatka, na odpowiedź nie trzeba było czekać.

– Ten chłopak nie należał do grupy przyjaciół Manuela. Poza tym, co on tam robił? Dwudziestotrzyletni chłopak w jego domu? Mój syn ma prawie dwadzieścia dziewięć lat i zadaje się tylko z rówieśnikami.

W tym ogromnym bloku mieszkało wielu dziwnych ludzi, dodała, *bardzo* dziwnych ludzi, jak to możliwe, że nikt nie zauważył, że cała ta sytuacja jest *bardzo dziwna*?

W godzinach następujących bezpośrednio po morderstwie nie odrzuca się żadnej hipotezy. Trzeba przesłuchać ludzi, przeanalizować dowody, porównać zeznania. Każdy może kłamać. Każdy może mówić prawdę. Karabinierzy wysłuchali opowieści kobiety do samego końca. Matka Manuela ze zrozumiałym uporem próbowała ich przekonać, że nie mają racji. Posunęła się niemal do sugestii, że ktoś wniósł zwłoki do mieszkania syna bez jego wiedzy. Śledczy uważnie analizowali każde słowo. Z czasem jednak doszli do wniosku, że kobieta próbuje jedynie projektować swój wstrząs i przerażenie.

Ale właśnie po to istnieje kryminalistyka: by rozwiać wszelkie wątpliwości.

Karabinierzy z sekcji siódmej przyszli na posterunek późnym wieczorem. Przywitali się i zapytali o pomieszczenie, w którym przetrzymywany jest

Manuel. Przedstawili się chłopakowi, wymienili kilka grzeczności. Byli bardzo uprzejmi. Następnie poprosili go o ściągnięcie spodni, butów i skarpetek, aby mogli pobrać próbki DNA.

– Jest to czynność, którą nawet karabinierzy z minimalnym doświadczeniem starają się wykonać tak szybko, jak to możliwe – mówi jeden z nich. – Podejrzani o morderstwo, a nawet ci, którzy sami się do niego przyznają, mają tendencję do mówienia prawdy w ciągu pierwszych kilku godzin. Potem mijają dni, podejrzany konsultuje się ze swoim prawnikiem, a ten na przykład go przekonuje, by zeznał, że wymusiliśmy na nim przyznanie się do winy za pomocą gróźb czy czegoś podobnego. Wersje oskarżonych mogą się zmienić. Dowody naukowe są trudniejsze do podważenia.

Manuel rozebrał się. Między palcami stóp miał małe ciemne plamki, które funkcjonariusze natychmiast zauważyli. Dostrzegli również tatuaż na łydce. Dziwne. Luca Varani miał na ramieniu wytatuowane imię i nazwisko swojej dziewczyny. Tymczasem Manuel Foffo wytatuował sobie logo jednej z rodzinnych restauracji, Dar Bottarolo, co było dość niecodzienne. Jeden z karabinierów przesunął patyczkiem po podeszwach jego stóp i po kolanach. Próbki zostały zabezpieczone i przesłane do laboratorium. Wyniki badania jednoznacznie wykluczyły możliwość, jakoby Manuel znalazł zwłoki w domu i nic o nich nie wiedział.

Dla rodziców nie ma nic trudniejszego niż odkrycie innego oblicza własnych dzieci. Są rodzice przekonani, że ich dzieci są beznadziejnymi nieudacznikami, inni wierzą, że wydali na świat geniuszy lub, skromniej, istoty niezdolne do błędu. Ten rodzaj ślepoty może być irytujący, ale w skrajnych przypadkach wywołuje współczucie. Nie wiadomo, czy to prawda czy fałsz, ale zaczęły krążyć plotki, że matka Manuela całe miesiące po jego aresztowaniu spędzała, wyglądając przez okno i czekając na powrót syna. To musiała być pomyłka sądowa. Gigantyczny błąd. Śledczym należało dać czas na zrozumienie tego, co ona, słuchając własnego matczynego serca, wiedziała od samego początku. I pewnego ranka – już niedługo, bardzo niedługo – blada postać jej syna pojawi się w głębi via Igino Giordani.

MF: O 23 u mnie? Ogarniesz zakupy? Kasę oczywiście zwrócę.

MP: Myślałem, że to ty dzisiaj wszystko załatwisz. Nie mam siana, a ostatnio wydałem 700 albo 800.

MF: OK, ale nie mogę wydać więcej niż 150.

MP: Jeszcze raz daj mi adres.

MF: Via Igino Giordani 2. Jak dojedziesz, zadzwoń.

Wymiana wiadomości na WhatsAppie między Manuelem Foffo i Markiem Prato trzy dni przed morderstwem

Ciao amore, ciao to piosenka z 1967 roku. Marco Prato miał bzika na jej punkcie.

Napisany przez Luigiego Tenco kawałek miał dość skomplikowaną genezę i przeszedł po drodze kilka zmian. Ostatnia wersja opowiadała o zagubieniu wiejskiego chłopaka po przeprowadzce do miasta, temat wciąż aktualny we Włoszech tamtej epoki. Zdaje się, że Tenco nie był z niej zadowolony. To francuska artystka Dalida, z którą Luigi miał romans, przekonała go, że piosenka może dobrze wypaść na festiwalu w San Remo. Ciąg dalszy jest już Włochom dobrze znany. *Ciao amore, ciao* przepadła w głosowaniu telewidzów i nie uratowali jej nawet jurorzy z komisji repasażowej, którzy woleli *La rivoluzione* Gianniego Pettenatiego i Gene'a Pitneya, piosenkę pamiętaną dziś tylko z powodu tej historii.

Tenco dowiedział się, że został wyeliminowany, w chwili, gdy obudził się na stole bilardowym. Prawdopodobnie zasnął na nim po pijaku. Usłyszawszy wiadomość, wstał, wrócił do pokoju hotelowego i kilka godzin później strzelił sobie w skroń. Ciało znaleziono w nocy. Obok zwłok znajdował się list pożegnalny, który przejdzie do historii festiwalu.

> Uwielbiałem włoską publiczność i zmarnowałem dla niej pięć lat życia. Robię to nie dlatego, że jestem zmęczony życiem (daleko mi do tego), ale na znak protestu przeciwko publiczności, która wysyła do finału *Io tu e le rose*, i komisji, która wybiera *La rivoluzione*. Mam nadzieję, że pomoże to komuś oczyścić umysł. *Ciao*. Luigi.

Dwa dni później sprzedano osiemdziesiąt tysięcy płyt z *Ciao amore, ciao*.

Jednak to nie wersji Luigiego Tenco słuchał przez cały czas Marco Prato, ale interpretacji Dalidy. Historia tego wykonania wygląda tak, jakby napisał ją jakiś scenarzysta, który w najmniejszym stopniu nie zatroszczył się o osadzenie jej w rzeczywistości. Po złożeniu zeznań na policji Dalida

wróciła do Paryża. Zaśpiewała publicznie *Ciao amore, ciao*. 27 lutego, dokładnie miesiąc po samobójstwie jej autora, piosenkarka udała, że wyjeżdża do Włoch. Zamiast tego pod fałszywym nazwiskiem wynajęła w hotelu Prince de Galles ten sam pokój, w którym zatrzymał się Tenco podczas pobytu w Paryżu. Zamknięta tam, napisała trzy listy pożegnalne (do byłego męża, do matki i do fanów) i połknęła zabójczą dawkę barbituranów. Uratowała ją pokojówka. W tym czasie sprzedało się już trzysta tysięcy płyt z *Ciao amore, ciao*.

Dziesięć lat później, w roku 1977, Dalida wpadła w kolejną depresję. Kilka lat wcześniej zabił się jej drugi mąż, Lucien Morisse, a kilka lat później zrobił to samo jej były partner Richard Chanfray. Epidemia samobójstw. 3 maja 1987 roku Dalida zabarykadowała się w swojej willi przy rue d'Orchampt, gdzie wypiła śmiertelny koktajl z barbituranów. Tym razem próba zakończyła się sukcesem. W liście pożegnalnym napisała po prostu: „Wybaczcie, życie jest dla mnie nie do zniesienia".

Trzydzieści lat później, 5 marca, na piątym piętrze hotelu San Giusto w Rzymie, szykowała się pełna emocji noc.

Dyżurująca pokojówka zgłosiła, że gość pokoju numer 65 słuchał na okrągło i niezwykle głośno *Ciao amore, ciao* już po południu. Goście w sąsiednich pokojach zaczęli się skarżyć.

– Marco Prato pojawił się w recepcji między północą a wpół do pierwszej – zeznał karabinierom recepcjonista – i poprosił o pokój na dwie noce. Wylegitymował się paszportem, a ja wręczyłem mu klucz do pokoju. Powiedział, że chce zapłacić z góry i wyjął gotówkę.

– Co jeszcze pan pamięta? – zapytali karabinierzy.

– Miał zamszową kurtkę i płócienną torbę. Podałem mu hasło do wi-fi. Następnie powiedział, że zamierza długo spać, więc prosi, żeby rano nie wysyłać nikogo do sprzątania.

– Czy wtedy widział go pan po raz ostatni?

– Prawdę mówiąc, nie – odpowiedział recepcjonista – zobaczyłem go w recepcji tuż przed świtem. Mimo pory nie wyglądał na zmęczonego. Zapytałem, w czym mogę mu pomóc, a on poprosił mnie o długopis. Chyba dałem mu bica. Pół godziny później skończyłem zmianę.

Karabinierzy weszli do hotelu San Giusto około godziny 21.30. Wojskowi z komendy przy piazza Dante przeczesali recepcje wszystkich hoteli

w okolicy, aż trafili na nazwisko chłopaka.

Poprosili recepcjonistę o klucz uniwersalny i wjechali na piąte piętro. W połowie korytarza znajdował się pokój, który wynajął Marco Prato.

– To piosenka Luigiego Tenco – zauważył jeden z karabinierów, zbliżając się do drzwi.

– W wersji Dalidy – uściślił kolega. Potem zapukał. Brak odpowiedzi.

Pierwszy karabinier wyciągnął klucz. Drzwi nadal się nie otwierały, musiały być zamknięte od wewnątrz. Karabinierzy sforsowali zamek.

Pokój był urządzony prosto i sprawiał przyjemne wrażenie. Podłogę pokrywała ta sama czerwona wykładzina co na korytarzu. Ściany były pomalowane na jasny kolor, a na prawej, tuż nad łóżkiem, wisiała reprodukcja *Madonny z Dzieciątkiem*. Piosenka Dalidy dochodziła z ładującego się na stoliku nocnym iPhone'a. Na podłodze leżał na brzuchu młody mężczyzna, z głową schowaną pod łóżkiem. Karabinierzy podeszli do niego i dostrzegli, że jest oszołomiony. Pięć opakowań Miniasu na biurku potwierdzało hipotezę o próbie samobójczej. Obok leżała butelka Amaro del Capo, co wskazywało, że tabletki zmieszano z alkoholem, aby wzmocnić ich działanie.

Karabinierzy podnieśli chłopaka z podłogi. Dwóch próbowało nawiązać z nim rozmowę, trzeci zadzwonił po pogotowie. Po krótkiej wymianie zdań – chłopak zdołał wymówić swoje imię i nazwisko: „Marco Prato" – karabinierzy wyciągnęli go z pokoju. Poprowadzili w kierunku windy, trzymając go za ramiona. Przed hotelem czekała karetka. Kilka metrów dalej, na ulicy, stali rodzice Marca: zdążyli dotrzeć do hotelu, zanim chłopaka zawieziono do szpitala. Gdy Ledo Prato zobaczył syna, podbiegł do niego, objęli się, Ledo szepnął coś do syna, po czym chłopak został zabrany do karetki, która z wyciem syren ruszyła w stronę szpitala Pertini.

Karabinierzy przeszukali hotelowy pokój. Na wieszaku stojącym pod ścianą znaleźli sztuczne futro. Na podłodze leżała płócienna torba, o której wspomniał portier. W środku wojskowi znaleźli usztywniany biustonosz, parę butów na obcasie w kwiatowy wzór, sukienkę mini w panterkę, koronkowe majtki i jaskrawoniebieską perukę.

Na biurku, kilka centymetrów od opakowań Miniasu i długopisu Bic, leżało siedem kartek w linie odpowiadających pięciu listom pożegnalnym.

Pierwszy został zaadresowany do rodziców. Jedenaście punktów zawierało ostatnią wolę Marca Prato.

Testament dla Mamy i Taty

1) Zorganizujcie przyjęcie z okazji mojego pogrzebu. Żadnych kościołów. Chciałbym ceremonię świecką, kwiaty, piosenki Dalidy, dobre wspomnienia. Święto! Macie się bawić!

2) Zadzwońcie do Private Friends, zakładu fryzjerskiego przy piazza Mazzini, aby zregenerowali mi włosy przed kremacją. Załóżcie mi czerwony krawat. Moje organy oddajcie na przeszczepy. Zostawcie mi czerwony lakier na paznokciach. Bawiłbym się lepiej, gdybym był kobietą!

3) Urządzajcie zawsze, raz w tygodniu / miesiącu, kolację albo obiad z moimi prawdziwymi przyjaciółmi, których tak bardzo kochałem. To Lulli, Serena, Miriam, Doda, Ornella, Francesca, Fiore, Monica, Patrizio, Guido, Fabio i wielu innych.

4) Organizujcie imprezy. Od czasu do czasu posłuchajcie Dalidy:)

5) Puśćcie *Ciao amore, ciao* na koniec mojej imprezy i wspominajcie razem wszystkie moje najpiękniejsze uśmiechy.

6) Wyrzućcie mój telefon i zniszczcie go razem z komputerem. Skrywają to, co we mnie brzydkie.

7) Zaopiekujcie się Silvaną i Loredaną, które mnie wychowywały razem z Wami.

8) Elena Maria Crinò, moja terapeutka. Proszę, bądźcie przy niej, ponieważ jest jedną z niewielu osób, które podarowały mi kilka spokojnych lat.

9) Zachowajcie moje imię i dobrą pamięć o mnie pomimo tego, co się będzie mówić.

10) Nie badajcie mojej mrocznej strony. To nie są piękne rzeczy.

11) Napiszcie na moich kontach w mediach społecznościowych, że odbędzie się impreza. Potem spróbujcie je pozamykać bez ingerencji i przeglądania.

KOCHAM WAS!

Także drugi list był skierowany do rodziców. Tutaj ton był bardziej opanowany. Pojawiły się fragmenty odsłaniające charakter ich relacji, o której karabinierzy, prokurator, psychiatrzy, kryminolodzy, dziennikarze, a także niezliczony tłum gapiów nie przestaną spekulować w kolejnych miesiącach.

Mamo i Tato,

kocham Was i zawsze Was kochałem! Nie mam do Was urazy ani złości, tylko miłość. Mamo, kochałem Cię każdego dnia mojego życia i nie wolno Ci nawet przez sekundę myśleć o naszych cichych dniach, ponieważ dla mnie one nigdy nie istniały. Jestem chory, a może zawsze taki byłem. Odkryłem straszne rzeczy w sobie i w świecie. Życie tak bardzo boli! Jest dla mnie nie do

zniesienia. Spróbujcie się kochać i dalej żyć. Nigdy nie czujcie się winni z powodu tego wszystkiego. Idźcie naprzód i wspierajcie się tak, jak mnie nauczyliście. KOCHAM WAS.

Trzeci list został skierowany do Patrizia Archettiego i Guida Bonazziego, partnerów Marca z pracy.

Dla *A(h)però*
Dla Patrizia
Dla Guida

Nieście dalej mój zapał. Nie zapominajcie o naszym dziecku. Utrzymujcie je przy życiu i karmcie tak dobrze, jak tylko możecie!

Patrizio, dbaj o siebie. Byłeś moim najlepszym przyjacielem. Pomóż sobie i nigdy nie myśl, że o tym zapomniałem.

Czwarty list był zaadresowany do przyjaciółek, magicznego kręgu kobiet, z którymi każdy, kto próbował poznać życie Marca Prato, mógł się wielokrotnie zetknąć.

Dla Lulu
Mojej opoki
Dla Sereny
Mojej pewności
Dla Dody
Mojego uśmiechu
Dla Lolli
Mojego mózgu
Dla Miriam
Mojej historii

Kocham Was wszystkie. Dbajcie o siebie. Wspominajcie we mnie to, co było piękne.

Ostatni z listów był raczej ogólny i pożegnalny, pisany coraz bardziej niedbałym pismem, znak, że pigułki zaczęły już działać.

Dla wszystkich osób, miłości i przyjaciół, o których nie wspomniałem. Kocham Was wszystkich tak samo, ale piszę to wszystko, kiedy odchodzę. Myślę o Was i proszę Was o wybaczenie. Wszystkich, których zraniłem lub o których zapomniałem wspomnieć.

Wybaczcie mi
Nie daję rady

Jestem zmęczony i jestem straszną osobą
Pamiętajcie tylko o tym, co było we mnie piękne
KOCHAM WAS

Uwalnianie ludzi od siebie, a jednocześnie wydawanie im poleceń. Sprawowanie kontroli nad tym, co zostawia się za sobą na zawsze. Jeśli istniał jakiś duch ożywiający listy Marca, to rościł sobie coś niemożliwego. Ale dla karabinierów liczyły się inne rzeczy. Na przykład prośba o zniszczenie komputera. „Skrywają to, co we mnie brzydkie", pisał Marco. No i oczywiście iPhone. To dzięki niemu śledczy w ciągu paru godzin ustalili tożsamość ofiary.

Każdy w Rzymie zna rejony piazza Bologna, gdzie mieszkała rodzina Marca Prato. Wokół poczty, imponującego modernistycznego budynku zbudowanego w czasach faszyzmu, z czasem powstała dzielnica dla wyższej klasy średniej. Niedaleko znajduje się park Villa Torlonia, dalej Villa Mirafiori. Okolica obfituje w bary i cukiernie. Wieczorem jest pełna młodych ludzi pijących i słuchających muzyki.

Tak samo każdy zna okolicę, w której mieszka rodzina Foffo. W przeciwieństwie do piazza Bologna, Collatino nie jest miejscem spotkań. Z pewnością nie stanowią atrakcji wysokie bloki przy via Bergamini, podobnie jak wysadzane drzewami aleje, gdzie samotni mężczyźni spacerują z psami. Ludzie przechodzący przez Collatino zawsze kierują się gdzie indziej, zawsze myślą o czymś innym, a ciężka architektura tego kawałka Rzymu wkrada się do umysłu jak obrazy, które przenosimy ze stanu czuwania do snu tuż przed zaśnięciem.

Są jednak w Rzymie miejsca jak ze snu. Testa di Lepre. Grottarossa. La Storta. Wielu Rzymian wie o ich istnieniu, ale nigdy tam nie było. Nazwy ich fascynują, ale nie wiedzieliby, jak je ulokować na pustej mapie miasta. Bo Rzym nie ma wyraźnych granic. Gdy minie się Watykan, jedzie się wzdłuż via Aurelia. Kilka minut jazdy i robi się przejrzyściej, domy się przerzedzają, roślinność wypiera to, co stworzone przez człowieka. Po przejechaniu pierścienia obwodnicy pojawiają się lisy, dudki, dziki. W tym momencie wielu uznaje, że Rzym się skończył. Jednak po chwili miasto się odradza. Najpierw kilka wolno stojących domów. Potem bloki mieszkalne. Znowu sosny i dzikie łąki. Za skrzyżowaniem z via Boccea horyzont się obniża. Niebo jest rozległe. Stada owiec pasą się na ogrodzonych pastwiskach. Pojawiają się pierwsze gospodarstwa, co jakiś czas zakład winiarski. I via della Storta. Pod numerem 248 jest stara stacja benzynowa. Pół kilometra dalej wznosi się budynek z czerwonej cegły. Można go rozpoznać także po tym, że wieczorem lub wcześnie rano parkuje tam furgonetka z niebieskim napisem na boku: *EURO DOLCIUMI*.

W tym domu mieszkał z rodzicami Luca Varani. Jego ojciec Giuseppe był obwoźnym sprzedawcą słodyczy i suszonych owoców. Swoim pojazdem („autosklepem”, jak go nazywał) jeździł na festiwale i święta patronalne po miasteczkach. Miał sześćdziesiąt jeden lat, ciemną karnację, krótkie włosy, krępą budowę (niezbyt wysokiego) ciała i małe oczy o twardym spojrzeniu. Na nieogolonej twarzy wyróżniały się okazałe wąsy.

O dziesiątej wieczorem w piątek 4 marca pan Varani i jego żona Silvana byli już bardzo zaniepokojeni. Luca rozpłynął się w powietrzu. Chłopak miał dwadzieścia trzy lata i był jedynakiem. Pracował w warsztacie blacharskim przy stacji metra Valle Aurelia i od czasu do czasu pomagał ojcu na festynach. Rano wyszedł z domu i do tej pory nie wrócił. Wiele dzieci nie czuje potrzeby informowania rodziców o tym, co robią, ale Luca prawie zawsze dzwonił do matki, jeśli nie wracał na kolację. Tym razem się nie odezwał, więc sama zadzwoniła do niego. Nie odbierał. Po północy był poza zasięgiem. Giuseppe i Silvana dzwonili godzinami, aż w końcu poszli spać. To była bardzo niespokojna noc.

Następnego dnia Giuseppe zadzwonił do Marty Gai. Narzeczona syna miała dwadzieścia dwa lata, pracowała w firmie cateringowej.

– Halo? Marta?

Zaraz potem dziewczyna usłyszała to samo pytanie, które chciała zadać mężczyźnie, gdy tylko usłyszała jego głos.

– Ale nie pokłóciliście się?

– Nie – odpowiedziała.

– Nie – potwierdził Giuseppe Varani, gdy Marta zapytała go o to samo.

Zerwanie kontaktu. Odcięcie się jako forma protestu. Luca robił to od czasu do czasu, a Marta Gaia nie mogła tego znieść. Wściekle kłóciła się z nim z powodu tych zniknięć bez wyjaśnienia.

Po telefonie do Marty Giuseppe Varani zadzwonił do Maria Aceto, właściciela warsztatu, w którym Luca pracował. Mężczyźni słabo się znali. Giuseppe wyjaśnił sytuację, Aceto odpowiedział, że poprzedniego dnia Luca nie pojawił się w warsztacie. Był chory, prawda?

– Chory? – To zaskoczyło pana Varaniego.

Poprzedniego dnia, wyjaśnił blacharz, Luca wysłał mu dwie jednoznaczne wiadomości. W pierwszej napisał, że boli go brzuch. W drugiej był bardziej szczegółowy: siedział przykuty do deski klozetowej i nie było szans, by dotarł do warsztatu.

– W porządku Mario, dziękuję – powiedział pan Varani.

W tym momencie było już jasne, że coś się wydarzyło.

Giuseppe wiedział, że jego syn w poprzednich dniach nie chorował, nie miał gorączki, nie bolał go brzuch, nie był przeziębiony. Mężczyzna udał się prosto na najbliższy posterunek karabinierów. Poczekał na swoją kolej, a gdy funkcjonariusz zaprosił go, by usiadł, spokojnie wyjaśnił sytuację.

Karabinierzy powiedzieli panu Varaniemu, żeby poczekał jeszcze trochę. Jego syn był pełnoletni, minął zaledwie dzień od zniknięcia, mógł się oddalić z własnej woli. Miał do tego prawo. I tak, oczywiście, że to dziwne zachowanie.

Giuseppe Varani ustalił z karabinierami, że usłyszą się później. Opuścił posterunek, kręcąc głową. Po powrocie do domu razem z Silvaną usiedli i zaczęli czekać. Południe zmieniło się w popołudnie, popołudnie w wieczór. O dwudziestej pierwszej Giuseppe Varani ponownie zadzwonił do karabinierów. Mają jakieś wieści? Odpowiedzieli, że nie, ale dadzą mu znać tak szybko, jak to możliwe. Na zewnątrz powietrze się ochłodziło, ciemność opadła na sosny i zabudowania.

MP: Spotkanie potwierdzone, zakupy też.

MF: OK, nara.

MP: Jestem tam, gdzie kościół i przejście dla pieszych.

Wymiana wiadomości na WhatsAppie między Markiem Prato i Manuelem Foffo na trzy dni przed morderstwem

Marco Prato trafił na oddział ratunkowy szpitala Pertini w sobotę 5 marca o 22.10 i opuścił go o 14.15 następnego dnia.

Personel medyczny odnotował w dokumentacji: *Zgłoszono zażycie 5 opakowań Miniasu + jednej butelki mocnego alkoholu. Pacjent częściowo współpracujący. Organy ścigania obecne na miejscu zdarzenia*.

Pomimo przybycia na miejsce w akompaniamencie wyjących syren stan Marca Prato nie był krytyczny. Ciśnienie krwi miał 130 na 75, tętno 84, saturacja 96. Analizy toksykologiczne wykazały, że zażył tabletki oraz kokainę i wypił alkohol w dużych, ale nie śmiertelnych ilościach. Nie było potrzeby płukania żołądka.

– Z tego, co przeczytałem w aktach, nie był to pacjent w stanie zagrożenia życia – powiedział kilka dni później dyrektor pogotowia ratunkowego – i mam poważne wątpliwości co do jednoczesnego przyjęcia aż pięciu opakowań Miniasu. Taka ilość lormetazepamu doprowadziłaby pacjenta do znacznie gorszego stanu.

Po wstępnych oględzinach Marco Prato został szczegółowo przebadany przez dwóch lekarzy, którzy potwierdzili jego stabilny stan zdrowia (normalne oddychanie, brak deficytu neurologicznego) i wysłali go do psychiatry. Jakkolwiek nieudolna, i prawdopodobnie sfingowana, wciąż była to próba samobójcza dokonana przez pacjenta, który przybył do szpitala eskortowany przez karabinierów.

Psychiatra natychmiast zauważyła dwa szczegóły, których żaden stetoskop by nie wychwycił. Marco Prato miał pomalowane paznokcie, a jego włosy były sztuczne. Piękne czarne włosy, które chłopak prezentował publicznie – i być może nie rozstawał się z nimi nawet w samotności – były peruką. To wyjaśniało wzmiankę o regeneracji włosów w jednym z listów pożegnalnych. Marco Prato łysiał.

Psychiatra próbowała nawiązać z nim rozmowę. Pomimo pewnej

dezorientacji – a także świadomości, że wpadł w poważne kłopoty – Marco okazał się całkowicie zdolny do podtrzymania kontaktu.

Pyta mnie, dlaczego zabrano mu telefon komórkowy i dlaczego nie może zobaczyć się z rodzicami, napisała w raporcie psychiatra, *ponadto pamięta, że był z chłopakiem o imieniu Fabrizio. Potem się poprawia i mówi, że ten chłopak nazywa się Manuel, że jest znajomym, z którym postanowił spędzić kilka dni na zażywaniu kokainy.*

Marco przyznał się psychiatrze, że od lat zażywa kokainę. Jakby się tym chełpił i robił to, biorąc pod uwagę sytuację, w sposób wprawiający w zakłopotanie.

– Jestem całym sercem za ekscesami – wyznał – kiedy przekraczasz granice, musisz zrobić to porządnie.

Nie brzmiało to jak wyznanie. Był to raczej miękki i asertywny ton, za pomocą którego Marco przekazywał taki obraz siebie, jaki najbardziej odpowiadał jemu samemu. Powiedział psychiatrze, że regularnie zażywał Stilnox. Brał go na sen. Zażył Minias, bo próbował się zabić. Kilka minut później, częściowo sam sobie przecząc, stwierdził, że ów Minias służył mu, w zależności od chwili, do tłumienia lub wzmacniania działania kokainy. Opowiadał o swojej psychiatrze, doktor Crinò. Spotykał się z nią dwa lub trzy razy w tygodniu. Następnie przeszedł do życia rodzinnego. Powiedział, że mieszkanie kupili mu rodzice, ale przez to był „pod jarzmem". Mówił o swojej pracy. Powiedział, że aby odnieść w niej sukces, trzeba umieć wykorzystać dar, który posiadał.

– Jaki to dar? – zapytała psychiatra.

– Siła uwodzenia – odpowiedział Marco. Następnie poprosił o coś do jedzenia. – Nie jadłem od sześciu dni.

Kiedy pytam go, dlaczego nic nie jadł, uśmiecha się, odnotowuje psychiatra.

Marco kontynuował opowieść, w najdrobniejszych szczegółach budował swój obraz przed publicznością zredukowaną w tym momencie do jednej osoby. Trzeba przyznać, że mu się to udawało. Jego wysiłki dla przyciągnięcia cudzej uwagi nigdy nie były żałosne ani trywialne.

Nie ma oznak depresyjnego ukierunkowania pacjenta, zapisała psychiatra, *i chociaż nie jest w pełni stabilny, wydaje się posiadać jasny umysł i dostateczną świadomość.*

To, co uderzyło śledczych, to kolejna uwaga psychiatry.

Nie dostrzegam w nim poczucia winy lub samooskarżenia, uczucia wstydu lub rozpaczy. Pacjent zachowuje wysoką samoocenę.

Kilka godzin później Marco Prato został wypisany ze szpitala.

Sytuacja sięgnęła dna wraz z zamknięciem dwóch kas biletowych w Koloseum. Na początku miesiąca to, co wydarzyło się w monumentalnym symbolu Rzymu, ujawniło plagę szczurów w stolicy. Wczoraj prokuratura wszczęła dwa kolejne postępowania w tej sprawie.

Francesco Salvatore, „La Repubblica”

Alarm na oddziale neonatologii szpitala San Camillo w Rzymie: 16 dzieci i 17 pracowników służby zdrowia zostało zakażonych gronkowcem złocistym. Przeprowadzone kontrole potwierdziły obecność bakterii u dzieci, które wykazywały objawy takie jak zapalenie skóry, zapalenie spojówek i zapalenie ucha. Personel został odizolowany od innych chorych i poddany antybiotykoterapii.

Camilla Mozzetti, „Il Messaggero”

Ulice Rzymu wciąż niszczeją, asfalt pęka, gdy pada deszcz, powstają w nim dziury. Małe i duże rozpadliny deformują aleje i ulice. Wczoraj chaos wybuchł w dzielnicy Parioli. Korki i niedogodności pojawiły się wkrótce po 17.00, kiedy zamknięto viale della Moschea. Jedni kierowcy szukali alternatywnych dróg, inni forsowali pomarańczową siatkę, która zagradzała dostęp do alei.

Adelaide Pierucci, „Il Messaggero”

Krótko przed północą na posterunek karabinierów przybył również Francesco Scavo. Urodzonemu w Rzymie pięćdziesięcioośmioletniemu prokuratorowi powierzono prowadzenie śledztwa. Wcześniej przeprowadził inspekcję na via Igino Giordani. Obejrzał zwłoki. Teraz przeniósł się do komendy przy piazza Dante, gdzie miał przesłuchać Manuela Foffo.

Francesco Scavo, niezbyt wysoki mężczyzna o żywym spojrzeniu, czarnych włosach z lekko opadającą na czoło grzywką, był rzadkim przykładem profesjonalisty, u którego szły w parze inteligencja i człowieczeństwo. Z doświadczenia wiedział, że dedukcja jest niebezpiecznym narzędziem, jeśli nie poprzedza jej wysłuchanie, a w jego przypadku skłonność do słuchania wynikała również ze szczerego zaciekawienia ludźmi, których jego profesja przed nim stawiała. Gdy się go obserwowało przy pracy, odnosiło się wrażenie, że rodzaj ludzki nie jest dla niego błędem, który należy mierzyć boską zasadą sprawiedliwości, ale bezdenną otchłanią, którą narzędzia sprawiedliwości starały się choć trochę rozświetlić.

– Scavo przybył na przesłuchanie między jedenastą a jedenastą trzydzieści – wspominał adwokat Michele Andreano. – Spojrzałem mu w twarz, wydał mi się wyczerpany. Nic dziwnego. Każdy byłby wyczerpany po zobaczeniu tego, co zrobili temu biednemu chłopakowi.

Jeśli policzyć morderstwa popełnione w Rzymie, można powiedzieć, że nie jest to aż tak niebezpieczne miasto. Było brutalne na poziomie psychicznym. Poruszając się po ogromnych dzielnicach tego miasta, oddychało się napiętym, przesyconym wściekłością powietrzem, zdolnym inspirować do najbardziej lekkomyślnych zachowań, a jednocześnie popychać do całkowitej kapitulacji. Wydawało się, że nawet łamanie prawa nie miało na celu obalenia istniejącego porządku, ale potwierdzenie groteskowej stagnacji. Zbrodnie popełniane w kręgach przestępczych emanowały atmosferą ogólnego nieładu. W zabójstwach małżonków czuło się

bezsilność. W morderstwach między krewnymi (ojciec zabija syna z broni palnej, brat rzuca się na siostrę z siekierą) wrzała uraza i frustracja. Jednak tamtego wieczoru widok mieszkania na dziesiątym piętrze bloku przy via Igino Giordani sprawiał takie wrażenie, jakby cała rozpacz, zaciekłość, arogancja, brutalność i poczucie klęski, w które obfitowało miasto, skoncentrowały się w tym jednym miejscu.

Prokurator odbył krótką wycieczkę po posterunku. Przywitał się z karabinierami i rodziną Manuela. Upewnił się, że domniemany morderca jest zdolny do przesłuchania, które miało być krótkie. Następnie przywitał się z mecenasem Andreano.

– Papierosa?

Przestało padać. Pomimo zanieczyszczenia światłem widać było kilka gwiazd błyszczących na niebie. Śmieciarki przerwały ciszę na piazza Vittorio. Bezdomni, godzinami wystający pod portykami, zniknęli. Chińskie sklepy zamknięto. Afrykanów i Bengalczyków pochłonęły cienie dzielnicy San Lorenzo. Ożywiające poprzednią dekadę marzenie o wieloetnicznej dzielnicy nie ziściło się, ale jego upadek nie wywołał konfliktu na tle rasowym ani walki klas, lecz przyniósł łagodny rozkład i sen, w który wszyscy razem z wolna zapadali pośród wymiocin i śmieci.

– Wygląda mi to na klasyczną imprezę, która się fatalnie skończyła – zaczął Scavo.

Opisał adwokatowi, co zobaczył w mieszkaniu. Nieporządek. Opuszczone okiennice. Nagie zwłoki. Podsunął Andreanowi papierosa. Adwokat zapalił i zaciągnął się dymem. Scavo również zapalił. Następnie zadał pytanie.

– Co zrobi? Odmówi zeznań?

Zdarzało się to bardzo często. Gdyby Manuel skorzystał z prawa do milczenia, przesłuchanie zakończyłoby się kilkoma szybkimi formalnościami, a ważne informacje pojawiłyby się dopiero w kolejnych dniach.

– Nie, chce mówić.

Francesco Scavo drgnął, szybko zgasił papierosa i chociaż to mecenas przekazał wiadomość (chłopak chciał się wygadać, nie miał zamiaru zasłaniać się artykułem sześćdziesiątym czwartym włoskiego kodeksu postępowania karnego), gest prokuratora był tak szybki i zaraźliwy, że Andreano również skończył palić.

– W takim razie wróćmy do środka.

I tak rozpoczęło się przesłuchanie.

Oprócz prokuratora i obrońcy w pokoju znajdowali się pułkownik karabinierów Giuseppe Donnarumma, kapitan Lorenzo Iacobone i chorąży Mauro Fioravanti. Siedzący naprzeciwko Manuel wyglądał koszmarnie, był bardzo zmęczony, ale okazał się zdolny do odpowiedzi na zadawane pytania. I wydawało się, że wręcz nie może się ich doczekać, jakby tak radykalne poddanie się złu dało mu życiową szansę, której nie otrzymał od tak zwanej normalności.

– Zarzuca się panu współudział w morderstwie ze szczególnym okrucieństwem, popełnionym wraz z Markiem Prato w nocy z 4 na 5 marca 2016 roku w Rzymie, w zajmowanym przez pana mieszkaniu – zaczął Scavo. – Czy zna pan nazwisko osoby, która została zabita?

– Nie.

– Nawet imienia?

– Nie.

– Nie przedstawiliście się sobie?

– Chyba tak, ale nie pamiętam nazwiska.

– Prawdopodobnie nazywa się Luca Varani.

– Nie wiem.

– W porządku, nie wie pan. Teraz musi mi pan powiedzieć, czy chce odpowiadać na moje pytania, czy też nie.

– Chcę odpowiadać.

– Przede wszystkim czy przyznaje się pan do zabicia tego mężczyzny?

– Tak.

– Sam czy razem z tą drugą osobą, która nazywa się…?

– Marco Prato.

– Jak zabiliście tego mężczyznę?

– Nożem. I uderzeniami młotka.

– Kto dokładnie co zrobił?

– Obaj braliśmy udział w morderstwie.

– Jak długo to trwało?

– Długo. Najbardziej boli w tej sprawie to, że, szczerze mówiąc… *bardzo* cierpiał.

Wystarczyło zadać pytanie, a odpowiedzi przychodziły bez oporu. Obecni zdali sobie sprawę, że znaleźli się w dość rzadkiej sytuacji: tym razem to nie sprawiedliwość starała się rzucić światło na mroczne zakamarki ludzkiej natury, ale dno studni gwałtownie wznosiło się w kierunku tych, którzy się

nad nią pochylali.

– Zacznijmy od początku – kontynuował Scavo.

– Na początku Marco i ja się spotykamy.

– To pan kontaktuje się z Markiem Prato, czy on z panem?

– Pisaliśmy do siebie wiadomości, uzgodniliśmy, że spotkamy się ponownie. Dodam, że poznaliśmy się dwa miesiące temu, w sylwestra, a potem spotkaliśmy się jeszcze raz na kieliszek wina.

– Znacie się od niedawna.

– Dokładnie. Tylko że… wiedzieliśmy o sobie tyle, że obaj zażywamy kokainę. Kiedy się spotkaliśmy, zostaliśmy przez trzy dni w moim mieszkaniu, ale nie zawsze było nas tylko dwóch.

– Kto jeszcze tam był?

– Na przykład przyszedł inny kolega.

– Kiedy?

– Wydaje mi się, że między środą a czwartkiem.

– Pamięta pan, kim jest ten inny kolega?

– Ma na imię Alex, widziałem go tylko raz.

– Alex jak?

– Nie pamiętam nazwiska. Zapisałem je w telefonie jako Alex Tiburtina.

– Alex Tiburtina.

– To dlatego, że poznałem go w pizzerii na Tiburtinie.

– Dobrze. Tak więc między środą a czwartkiem przyszedł także on.

– Tak, ale Alex przyszedł w okolicznościach, które… zasadniczo… to znaczy, byliśmy pod wpływem substancji odurzających, ale wciąż mieliśmy jakąś logikę tego, no…

– Wciąż mieliście samoświadomość.

– *Świadomość*, właśnie. Można było normalnie rozmawiać.

Manuel mówił słabym, drżącym głosem, był nieporadny, potem nabierał płynności, ale po kilku zdaniach wydawał się przytłoczony nudą. I te wszystkie „zasadniczo” i „szczerze mówiąc”, które są białym szumem w Rzymie, w tym wiecznym bałaganie, gdzie przypadkiem spotykasz kogoś w pizzerii, a potem nagle trafiasz w miejsce zbrodni.

– Więc przyszedł ten Alex – kontynuował Manuel – i dołączył do nas. W pewnym momencie przyszedł również kolega Marca… Nie pamiętam jego imienia… O, Damiano! Ma na imię Damiano. Ale potem, kiedy przyjechał Luca…

– Co ma pan na myśli mówiąc, że *przyjechał*? Ściągnęliście go?

– Ja go nawet nie znałem. To Marco wysłał mu wiadomości na WhatsAppie.

– Ile substancji odurzających zażyliście?

– Dużo. Nie potrafię określić ilości.

– To proszę powiedzieć, ile pan na nie wydał.

– No więc… wypłaciłem z bankomatu trochę własnych pieniędzy… a przede wszystkim Marco… powiedzmy… wypłacił z bankomatu pieniądze z karty Damiana. W sumie wyszło jakieś tysiąc pięćset euro. Dużo. W każdym razie w ciągu tych trzech dni Marco zrobił kilka rzeczy z własnej inicjatywy, na przykład wziął mój telefon i zadzwonił do niektórych moich kontaktów, albo…

– Czy Marco jest gejem?

Teoretycznie było to nieistotne pytanie, ale prokurator coś wywęszył i poszedł tym tropem.

– Tak, jest gejem – odpowiedział Manuel. Zaraz potem poczuł potrzebę wyjaśnienia. – To znaczy, ja jestem heteroseksualny, ale… w każdym razie… spotykam się z Markiem… to znaczy, *spotykać się* to duże słowo… drugi raz w życiu go widzę… faktem jest, że tak powiem… *ja nie wiem*, czy koledzy Marca są gejami czy hetero.

– A Marco – zapytał Scavo – był panem zainteresowany?

– Tak.

– Czy jasno to okazywał?

– Tak.

– Czy pan to rozumiał?

– Tak – powiedział Manuel bardzo cicho.

– I w jakiś sposób odpowiedział pan na jego oczekiwania?

– Marca poznałem przez wspólnych znajomych – wyjaśnił Manuel – spędziliśmy razem sylwestra… a potem… Marco i ja braliśmy narkotyki… on *chciał* zostać w moim mieszkaniu pod pretekstem zaoferowania mi większej ilości kokainy… i w tym momencie, co się stało… no stało się tak, że… zasadniczo… Marco Prato uprawiał ze mną seks oralny. To znaczy zrobił mi to.

Nie było nic zaskakującego w stosunku seksualnym między mężczyznami. Jednak słowa Manuela sugerowały wielki dyskomfort, a Scavo wiedział, że pewne urazy – same w sobie nieistotne, ale ważne dla tych, których dręczą – mogą odgrywać ważną rolę w skomplikowanym mechanizmie popychającym ludzi do popełniania najbardziej bezsensownych

czynów.

– Kiedy to się stało?

– Ja, szczerze mówiąc… rozumiem, że może nie jestem wiarygodny, ale byłem tym zniesmaczony. Tak bardzo, że nie chciałem więcej mieć z Markiem nic wspólnego. Ale mieliśmy wspólnych znajomych… więc z jednej strony nie chciałem go więcej widzieć, ale z drugiej *nie mogłem* go nie spotykać… ponieważ, zasadniczo, widzi pan, *dottor* Scavo… było to wideo…

– Było wideo?

– Tak.

– A kto nakręcił to wideo?

– Razem – powiedział Manuel – nakręciliśmy je razem. Wideo, na którym uprawia ze mną seks oralny.

Następnego dnia też było pochmurno. Padało, przestawało i znowu padało. Słabe, odległe słońce oświetlało pola La Storta, gdy przyjechał samochód karabinierów.

Giuseppe Varani czuwał już od jakiegoś czasu. Nie potrafiłby powiedzieć, czy w nocy spał czy nie. Napięcie utrzymywało go w trudnym do opisania stanie. Napięcie i udręka. Te same uczucia, kiedy zobaczył go po raz pierwszy. Dwadzieścia trzy lata wcześniej, kiedy go adoptowali. Luca to wiedział. Wszyscy wiedzieli. Żona Giuseppego kilkakrotnie poroniła. Lekarze mówili, że staje się to dla niej coraz bardziej niebezpieczne. Wtedy Giuseppe i Silvana zaczęli wypytywać. Słyszeli o ludziach, którzy jechali do Brazylii. Inni opowiadali o parach, które udawały się do sierocińca w Emilii-Romanii lub na obrzeżach Lacjum. Jeśli zaczniesz się interesować tym tematem, w końcu dowiesz się wszystkiego. Giuseppe i Silvana złożyli wiele wniosków adopcyjnych. Jeśli grasz na wielu frontach, szanse rosną.

Pierwszą podróż do byłej Jugosławii Giuseppe odbył z przewodnikiem pochodzącym z Macedonii. Kraj był zniszczony przez wojnę. Pojechali do Bitoli, miasta niedaleko jeziora Prespa. Mieścił się tam sierociniec prowadzony przez zakonnice, były bardzo miłe. Poprosiły o dokumenty, zarejestrowały, kazały wypełniać formularze. Powiedziały, że jeśli coś się odblokuje, skontaktują się z nim. Pożegnali się i wrócił do Rzymu, nie wiedząc, co dalej myśleć.

W maju następnego, 1993 roku Giuseppe Varani odebrał telefon. Sierociniec w Bitoli. Pojechał natychmiast, razem z Silvaną. Po drodze widzieli niebieskie berety sił pokojowych ONZ. Wojna się skończyła. Poradzili mu, aby się pospieszył: wciąż istnieje ryzyko zamachów.

W sierocińcu spotkała ich niespodzianka. Było aż troje dzieci do adopcji i sami musieli wybrać swoje. Nie wyobrażali sobie tego w ten sposób, myśleli, że przydział będzie automatyczny na podstawie dokumentów i priorytetu, tymczasem wszystko pozostawiono ich uznaniu. Przybyło trzech pracowników ośrodka, każdy z nich miał na rękach dziecko. Wyglądało to

jak scena z filmu, ale moment był dramatyczny. Wybierasz jedno, krzywdzisz pozostałe. Spojrzał nerwowo na żonę. Pierwsze z nas, które zobaczy w jednym z tych dzieci naszego syna, podejmie decyzję, a drugie to zaakceptuje. Tak sobie powiedzieli. Nie skończyli jeszcze mówić, gdy jedno się uśmiechnęło. Wspaniały uśmiech, prosto do nich. Giuseppe wziął malca w ramiona i to było wszystko, wybrali. Pracownicy sierocińca zabrali pozostałe dzieci. Uczucie było niesamowite: po raz ostatni patrzysz na kogoś, kto mógł być twoim dzieckiem. Gdybyś wybrał inaczej, byłby to ktoś inny. Inny, a nie on. On, a nie ktoś inny.

Będą przychodzić i przeprowadzać z nimi wywiady. Nie dadzą mu spokoju przez cały kolejny rok. Giuseppe się nie wycofa. Będzie opowiadał, krzyczał, awanturował się i protestował. Zyska opinię gorącej głowy. Ludzie powiedzą: „To normalne, zabili mu syna, ja na jego miejscu zrobiłbym coś jeszcze gorszego". Ale za plecami będą go oczerniać, zarzucać mu nazbyt gorący ton, pochodzenie z klasy ludowej. A jednak go potrzebowali. Trzeba było czymś wypełnić szpalty, zadbać o materiał telewizyjny – wszystko to bez wywiadu z nim było warte połowę. Wracali, by mu schlebiać. Z początku czuł się niezręcznie przed kamerą, ale po paru zdaniach się rozluźniał, mówił w rzymskim dialekcie, rekonstruował historię w każdym detalu z analityczną precyzją podminowaną wahaniami nastroju. W pewnym momencie głos mu się załamywał. Haniebny sposób, w jaki go zabili. Zrobili jego chłopcu to, co zrobili, i to im nie wystarczyło, jeszcze go oczernili. Pochodzą z zamożnych rodzin, mają dobrych prawników, zrobią wszystko, żeby się wywinąć. Dożywocie! Dożywocie! I już go mieli. Krzyczał ze wzrokiem utkwionym w obiektywie kamery. Reporter kazał operatorowi zostawić go na pierwszym planie. Cynizm był powietrzem, którym wszyscy oddychali, nikt nie będzie miał do nich pretensji.

Od czasu do czasu jakiś inteligentny dziennikarz zadawał inne pytanie.

– Panie Varani, co pan czuł, kiedy wrócił pan do Włoch z tym dzieckiem?

– Poczucie zwycięstwa – odpowiadał z dumą.

– A kiedy dokładnie nastąpił moment, w którym poczuł się pan *naprawdę* ojcem Luki?

– Natychmiast, natychmiast. Kiedy tylko go wziąłem na ręce. Wtedy poczułem, że to nasz syn.

– Kto wybrał mu imię?

– Mojej żonie podobało się imię Luca. I tak zostało.

– Jakim dzieckiem był Luca?

– Bardzo żywym. I lubianym przez wszystkich, otwartym, słonecznym. Taki był, kiedy był dzieckiem.

Gazety opublikują dziesiątki zdjęć Luki. W wieku piętnastu, osiemnastu, dwudziestu lat. Piękny chłopak. Ciepłe spojrzenie, duże oczy, wysokie kości policzkowe. Rozebrany do pasa z kotkiem w ramionach. W pozie rapera. W czarnej marynarce i białej koszuli na piazza Colonna. Potem zdjęcia z Martą Gaią. Dziesiątki zdjęć w objęciach.

Luca i Marta Gaia byli parą od czternastego roku życia. Dla niektórych był to szczyt romantyzmu. Inni uważali to za nieco przytłaczające. W tym wieku dobrze jest zdobywać doświadczenie, mówili, nie można być cały czas z tą samą dziewczyną.

Były w ich związku zapadnie, w których Luca czasami znikał. Chwile, kiedy nikt nie wiedział, gdzie się podziewa. Rzym pozwala ci się ukryć, jeśli chcesz się zająć swoimi sprawami. Zapisał się do technikum. W pewnym momencie nie zaliczył klasy i zaczął uczęszczać do szkoły wieczorowej. Krótko przed maturą zrezygnował z wieczorówki i zatrudnił się w warsztacie. Ale wróciłby do szkoły, mówili jego nauczyciele już po morderstwie. Był bystrym chłopakiem, dobrym z matematyki, zawsze ciekawym wszystkiego. Zdałby maturę, mówili, na pewno by ją zdał.

Karabinierzy zadzwonili do drzwi. Giuseppe Varani otworzył i popatrzył na nich. Byli sami.

– Proszę, wejdźcie – powiedział.

Dwóch w ubraniach cywilnych, dwóch w mundurach. Kiedy Giuseppe odwrócił się, by poprowadzić ich do salonu, pomyślał o jednym. Nie było Luki. A skoro go nie było, a pojawili się oni, to nie mają dobrych wieści. W innym wypadku po prostu by zadzwonili.

– Co się stało? – zapytał, nie czekając, aż się rozgoszczą.

– Zaraz panu powiemy – odpowiedział jeden z nich.

– Ale wiecie, gdzie jest Luca? – nalegał.

– Widzieliśmy go – przyznał inny dość niejasnym tonem.

Atmosfera była tak dziwna, że proste słowa stawały się trudne. Pan Varani zaczął się denerwować.

– Możemy prosić o kawę? – Jeden z karabinierów próbował przełamać napięcie.

– No pewnie, że wam zrobię, co miałbym nie zrobić – odparł Giuseppe.

Po prośbie o kawę uznał, że Luca wszedł w zatarg z prawem. Został aresztowany. Tak właśnie się stało. Bójka. Pobił się z kimś.

– Młodzi jednego wieczoru mogą się znaleźć w dziesięciu tysiącach dziwnych sytuacji – powiedział wiele miesięcy później, rekonstruując swoje uczucia z tamtego poranka.

To prawda, młodym wszystko może się zdarzyć. Ale to, co mieściło się w jego wyobraźni, było niczym w porównaniu z tym, co miał usłyszeć. Rzeczywistość jest zbyt brutalna dla ludzkiego umysłu, który jest tak skonstruowany, by trzymać rzeczywistość w ryzach. Reorganizuje straszliwą tajemnicę czasu. Ukrywa myśl o śmierci. Użycza nazw nagim faktom, a następnie zamienia je w symbole.

– Czy możemy rozejrzeć się po domu?

Karabinierzy działali po omacku. Nie było instrukcji postępowania. Nie było protokołu, którego mieli się trzymać. Wszystko zależało od wrażliwości. Było to trudne także dlatego, że adresaci wiadomości często od razu rozumieli, co się dzieje. Rozumieli, ale woleli czekać. Karabinierzy czuli się wtedy w obowiązku dotrzymywać im kroku, wszyscy razem zaczynali krążyć wokół tematu, aby *to* nie stało się prawdą tak długo, jak tylko możliwe.

– Możecie, możecie, no przecież wam nie zabronię.

Karabinierzy rozproszyli się po domu. Znikali za drzwiami. Potem wracali. Ani przez chwilę nie został sam.

– A jak układają się pana stosunki z synem?

– Dobrze, dobrze. W sensie normalnie.

– To prawda, że go państwo adoptowali?

– Tak, jest adoptowany – potwierdził.

– A jakie Luca ma zwyczaje?

Pytania padały ze wszystkich stron. Giuseppe odpowiadał, starając się dać z siebie wszystko. Luca nie żyje. Powiedział to nagle jeden z karabinierów. Trzeba najpierw znaleźć się w absurdalnej sytuacji, aby można było przekazać absurdalne wieści.

– Nie żyje? Jak to *nie żyje?* Co to znaczy *nie żyje*?

– Został zabity – powiedział ten sam karabinier.

W tym momencie Giuseppe Varani mógł się osunąć na ziemię. A jednak ciało wytrzymało wstrząs. Była bójka i ktoś musiał wyciągnąć nóż, pomyślał. Takie rozumowanie broniło przed bezsensem, pozwoliło mu ustać

na nogach przed karabinierami.

– Mamy ich, przyznali się – dodał pospiesznie inny karabinier.

– Ale gdzie? Gdzie go zabili? – zapytał pan Varani.

Im bardziej fala rzeczywistości niszczyła brzegi tego, co dawało się znieść, tym szybciej pędził rozsądek, by odbudować je kilka metrów dalej.

– W mieszkaniu – powiedział karabinier, ponownie przełamując mentalne bariery mężczyzny.

– W mieszkaniu?

Żeby to miało jakkolwiek sens, musiało wydarzyć się na ulicy. Chłopak nie zatrzymuje się na światłach, kierowca obrzuca go wyzwiskami. Dochodzi do bójki. Upadek, śmierć. Albo: zadzierasz z kimś niebezpiecznym. Ulica to idealne miejsce, by się z tobą rozprawić. Ale nawet takiego sensu odmówiono tej śmierci.

Kilka godzin później przewieziono go do kostnicy na rozpoznanie.

– To on – powiedzieli pracownicy obiektu. Pokazali mu go przez szybę.

– Teraz może pan spojrzeć.

Prośba była nie do zniesienia, od kilku godzin wszystko było nie do zniesienia, ale zrobił to, co należało. Ciało leżało na metalowym łóżku. Gardło było otwarte. Zęby wybite. Musieli to zrobić z niewyobrażalną furią. Ale to, co zobaczył później, jeszcze bardziej go poruszyło. Na twarzy i brzuchu jego syna znajdowało się wiele powierzchownych ran.

– Bardzo drobne ślady – opowiedział później. Na policzkach i czole chłopak był ponacinany jakimiś krętymi liniami, jakby był pokryty haftem.

Pan Varani milczał przez kilka sekund.

– Dranie – powiedział w końcu – chcieli się zabawić.

Nie wystarczyło im, że go zabili. Ta myśl była nie do przyswojenia, ale Giuseppe Varani w końcu zrobił i to: udało mu się pomyśleć to, co było nie do pomyślenia. Dopiero wtedy nabrał pewności, że rozumie, jak się sprawy mają. To nie te nacięcia spowodowały śmierć jego syna, ale w nich kryło się wyjaśnienie.

– Oni poszli dalej – powiedział – ale ja wciąż tutaj stoję.

Miał na myśli to, że czekał na odpowiedzialnych za śmierć Luki na brzegu tego, co po ludzku zrozumiałe, tam, gdzie ci, którzy dokonali mordu, prędzej czy później będą musieli wrócić. Może dlatego podczas wywiadów telewizyjnych, nawet gdy dochodził do granic wściekłości, podnosił głos i gestykulował, pan Varani rzadko nazywał morderców syna „potworami”.

Mówił, że zrobili potworną rzecz, że zachowywali się jak potwory, ale byli istotami ludzkimi, stworzeniami, dla których nie wystarczy abstrakcyjna enuncjacja zasad moralnych. To ich nie naprawi.

– Potrzeba więzienia – grzmiał – sprawiedliwej kary za to, co zrobili.

Oszukali go. I na dodatek okradli. Ale widok z Janikulum był wspaniały. Holenderski turysta usiadł na betonowym słupku. Z tego miejsca roztaczał się jeden z najpiękniejszych na świecie widoków na to miasto, ale życie tętniło niżej, na ulicach, wśród tłumów, w smrodzie. Osoba, z którą miał się spotkać, spóźniała się. To normalne, pomyślał. Jedna ze współczesnych anegdot głosiła, że Rzym jest jedyną europejską stolicą, która nie ucierpiała w atakach terrorystycznych, bo w tym mieście na niczym nie da się polegać. Dwóch terrorystów postanawia wysadzić McDonalda na piazza di Spagna. Synchronizują zegarki, ale nie udaje im się spotkać, bo strajk transportu miejskiego, bo wcześniejsze zamknięcie metra, bo niezgłoszona demonstracja na via Nazionale.

W Koloseum sprzedali mu dwa fałszywe bilety. Dwa dni później w metrze, między stacjami Lepanto a Manzoni, wyciągnęli mu z kieszeni portfel. Zauważył to dopiero na Colle Oppio. Na szczęście dokumenty i kartę kredytową zostawił w hotelu. To była jego piąta wizyta w Rzymie w ciągu ostatnich dwóch lat, nauczył się reguł: to, co miasto zabiera, jest niczym w porównaniu z tym, co ci daje, ale trzeba uważać. Zatrzymał się w hotelu Ariston. Ale potem wynajął drugi pokój dziesięć minut od piazza dei Cinquecento, tam nie trzeba było podawać swoich danych przy meldunku.

Na wyświetlaczu telefonu komórkowego pojawiła się wiadomość. Holenderski turysta przeczytał ją i odpisał.

Armata na Janikulum oddała swój zwyczajowy strzał w samo południe, co uruchomiło dzwony okolicznych kościołów. Z drzew poderwało się stado szpaków.

Holender był emerytowanym inżynierem Boeinga. Turyści jego pokroju – mężczyźni w pewnym wieku, dobrze wykształceni, o solidnej pozycji społecznej, owdowiali lub już nieżonaci – przyjeżdżali do Rzymu, by zanurzyć się w przeszłości. Kontemplowali bez zrozumienia *Mojżesza* Michała Anioła, stawali jak ogłuszeni przed mozaikami w bazylice św. Praksedy. Przekonani, że po lekturze czterech książek znają się na sztuce,

łudzili się, że to, co zostało im z życia, przybliży ich do tajemnicy tych nieśmiertelnych dzieł. To tak nie działało. Śmiertelnicy śmiertelnikom. Niezwykłość Rzymu polegała nie na pokusie transcendencji, którą mogli odczuwać jedynie idioci, ale na wszechobecnej świadomości, że wszystko jest ludzkie i wszystko niszczeje. To była lekcja, której udzielała przeszłość. Teraźniejszość najcenniejsza jest dla tych, którzy wiedzą, że umrą. Chłopak i dziewczyna śmiejący się w barze, taksówkarz śpiący z otwartymi ustami, oczy dziecka wśród straganów z jabłkami. Właśnie dlatego tam był. Na targowisku przy Porta Portese wcisnęli mu kawał żelastwa, wmawiając, że to prawdziwa etruska waza; argumenty kanciarza były tak kwieciste i w tak oczywisty sposób kłamliwe, że w końcu, pełen podziwu, sięgnął po portfel. A na lungotevere Marzio zobaczył coś, czego nie potrafił zrozumieć: jakiś chłopak zrzucił z mostu do wody nowiutki rower.

Po dzielnicy Monti spacerował wąskimi uliczkami. Głosy. Kolory. Eleganckie dziewczyny. W pewnym momencie przerażający smród niemal pozbawił go przytomności. Czarny zapach śmierci. Sklep mięsny przy via Panisperna. To tam zaopatrywali się najwyżsi urzędnicy państwowi. Prezydenci: Giorgio Napolitano, Carlo Azeglio Ciampi, a przed nimi Francesco Cossiga. Masarnię odwiedzali również zwykli ludzie, gotowi wydać parę euro więcej, aby przy stole poczuć w ustach ten sam smak, co głowa państwa. „Albo srać tym samym gównem”, mówili dowcipnisie. Teraz masarnia zbankrutowała. Kiedy urzędnicy przyszli założyć plomby, zadbali o odłączenie prądu, nie zdając sobie sprawy, że w chłodni wciąż leżą kwintale mięsa.

Holenderski turysta skręcił za róg. Smród zelżał. Jak zagubiony szukający dróg ucieczki spojrzał w kierunku via Nazionale. Zobaczył kierowców pędzących na złamanie karku po wybojach.

– Dziury w asfalcie powstają dlatego, że firmy, aby wygrać przetarg, płacą łapówkę urzędnikowi miejskiemu – wyjaśniał prezes biura antykorupcyjnego na konferencji prasowej, która odbyła się kilka dni wcześniej. – Przedsiębiorca, by odzyskać pieniądze, wykonuje swoją pracę po najniższych kosztach, czyli źle, w związku z czym wkrótce musi ona zostać powtórzona, co prowadzi do kolejnych przetargów, kolejnych łapówek, kolejnych nielegalnych oszczędności i kolejnych dziur w asfalcie.

A w te dziury wpadali wszyscy, uczciwi i nieuczciwi.

Holenderski turysta ponownie zerknął na ekran komórki, podniósł głowę i zobaczył mężczyznę. Odkleił się od betonowego słupka, odwrócił od

piękna kościołów i poszedł spotkać się z życiem.

– O, ta jest interesująca – powiedział parę minut później, wskazując na jedną z fotografii, które pokazywał mu mężczyzna.

– Kiedy wszedł Luca, to tak jakby między mną a Markiem nawiązało się milczące porozumienie – zeznał Manuel.

– Porozumienie w sprawie czego?

– Tak jakby to coś, co było między mną a nim… Jak by to powiedzieć, *jakby jeszcze było żywe*.

Była za dwadzieścia druga w nocy.

– Podsumujmy. – Scavo postanowił się upewnić. – Marco wysyła wiadomość przez WhatsAppa do Luki. Kiedy się pan o tym dowiaduje?

– Kiedy Luca pojawia się w moim domu.

– A co pan pomyślał, kiedy Luca przyjechał? Nie zastanawiał się pan, *kim w ogóle jest ten facet*?

– Tak, pomyślałem o tym, ale biorąc pod uwagę nasze życie… kokaina, alkohol, pełno ludzi w domu… To już nie było takie dziwne.

– Rozumiem – powiedział Scavo. – Co było dalej? Luca wszedł do pańskiego mieszkania i co dalej? Rozmawialiście?

– Jedyne, co pamiętam – powiedział Manuel – to że ten chłopak był adoptowany. I że był żigolakiem.

– Żigolakiem?

– To znaczy prostytuował się.

– Skąd pan to wiedział?

– Tak mi powiedział Marco.

– Gdzie się podział telefon Luki?

– Wyrzuciliśmy go do śmietnika. Miał dwa telefony. Myślę, że oprócz tego był też dilerem.

Rozmowa trwała jeszcze kilka minut. Następnie, bez żadnego związku z pytaniami, Manuel poczuł potrzebę złożenia wyjaśnień.

– Widzi pan, *dottor* Scavo, w moim kręgu przyjaciół wszyscy… no nie chodzi o to, że nie umiemy się zakochać, ale mamy tendencję… myślimy o seksie bardziej niż o czymkolwiek innym… I czasami robimy to za

pieniądze. No więc – kontynuował z wysiłkiem – no więc nie chciałbym, żeby pan myślał, że ja, skoro nie mam stałych związków na poziomie sentymentalnym… nie chciałbym, żeby pan myślał, że mogę być jednym z tych gości niezdolnych do…

Nie był Andersem Breivikiem, nie był Charlesem Mansonem. To właśnie próbował wyjaśnić siedzącym naprzeciwko. Choć fakty zdawały się świadczyć o czymś przeciwnym, był *ludzki*. Swoich oskarżycieli zdawał się prosić o rzucenie światła na to, co się stało – wyjaśnijcie mi, co zrobiłem, pomóżcie mi zrozumieć. Opowieści o morderstwach, których pełne były rubryki kryminalne w gazetach, miały za protagonistów osoby zdeterminowane do swoich działań. Tutaj przeciwnie, jakby to niezwykle brutalne, poprzedzone godzinami tortur morderstwo dokonało się niezależnie od woli sprawcy. Nie dało się dostrzec motywu. Nie dało się dostrzec emocjonalnego związku z ofiarą.

– Nie formułujemy osądów etycznych – odparł Scavo.

– Nie jesteśmy tu po to, by dokonywać ocen moralnych – dodał dla podkreślenia pułkownik Donnarumma.

– Słuchaj, Manuel – włączył się obrońca – czy przypadkiem Marco nie podżegał lub nie nakłaniał cię do użycia przemocy wobec tego chłopaka?

– Tak – odpowiedział Manuel. – Tak też było. Ale nie chodzi o to, że teraz Marco jest tym złym, a ja tym dobrym. Jestem odpowiedzialny za to, co zrobiłem.

Prokurator Scavo wstał od biurka. Była za pięć trzecia rano. Przesłuchanie dobiegło końca. Polecił wyłączyć magnetofon. Pożegnał się z Manuelem i opuścił pokój. Następnie poprosił jednego z karabinierów, aby napisał do dyrektorki więzienia Regina Coeli.

Bladym świtem Manuel Foffo po raz pierwszy w życiu przekroczył próg więzienia.

Marco Prato został wypisany ze szpitala kilka godzin później. Karabinierzy przewieźli go na komendę przy piazza Dante. Na miejscu dwóch wojskowych dokonało dość osobliwej konfiskaty. „Dnia 6 marca 2016 roku o godzinie 19.20 – napisano w raporcie – przystąpiono do konfiskaty sztucznych włosów (tupecik) sztuk 1, jako dowodu rzeczowego”. Następnie również Marco został przewieziony do Regina Coeli, pod absolutnym zakazem kontaktowania się z rodziną i Manuelem Foffo.

Dźwięk więziennych drzwi zamykających się za plecami po raz pierwszy to

doświadczenie, którego nikt nie zapomina. W Regina Coeli miesza się ono z innymi doznaniami. Placówka znajduje się w jednej z najpiękniejszych części miasta. Niedaleko wznosi się Janikulum z jego słynną panoramą miasta. Od wschodu płynie Tyber. To punkt magiczny, jeden rzut oka i można dostrzec synagogę, szerokie przęsła ponte Garibaldi, dzwonnicę San Bartolomeo. Wspaniały widok niemal na wyciągnięcie ręki. Ale pod zielonkawą taflą kryje się prawdziwa rzeka, ślepa i zimna, a jej muliste dno zamieszkują stworzenia bez twarzy.

Powierzchnia wody

Część druga

Jeżeli jednostka nie może nic wiedzieć, czemu wszystkie jednostki miałyby wiedzieć więcej?

Gustaw Flaubert, *Bouvard i Pécuchet*, przeł. Wacław Rogowicz, Warszawa 1950

Massmedia najpierw przekonały nas, że to, co wyimaginowane, jest prawdziwe, a teraz nas przekonują, że to, co prawdziwe, jest wyimaginowane.

Umberto Eco

Cristina Guarinelli zadzwoniła do mnie we wtorek 8 marca o drugiej po południu. Zapytała, czy zgodziłbym się napisać reportaż na temat morderstwa Luki Varaniego. Odrzuciłem propozycję. Kilka godzin później oddzwoniłem i powiedziałem, że jednak przyjmę zlecenie.

Cristina Guarinelli pracowała w „Venerdì", weekendowym magazynie dziennika „La Repubblica". Mimo szaleńczego tempa panującego w dziennikarskim rzemiośle umiała łączyć profesjonalizm z ludzkim ciepłem. W porozumieniu z Attilem Giordano, redaktorem naczelnym gazety, postanowiła poświęcić tej sprawie pogłębiony artykuł.

Dwa dni wcześniej, w niedzielę, kiedy dotarła do mnie wiadomość o morderstwie, siedziałem przed telewizorem jak zahipnotyzowany. Mimo że szczegóły sprawy były jeszcze nieznane, od razu poczułem coś znajomego. Uczucie podobne do tego, gdy na ulicy rozpoznajesz w przechodniu rysy twarzy osoby, której nie widziałeś od lat. Poczułem do siebie obrzydzenie, że obejrzałem ten materiał do końca, i wyłączyłem telewizor.

To był spokojny okres w moim życiu. Dawno takiego nie miałem. Tygodnie mijały bez wstrząsów. Zajmowało mnie bez reszty pisanie książki. W małżeństwie układało się dobrze. Spokojnie radziłem sobie z otaczającą mnie rzeczywistością. Wszak panujemy nad tym, co już rozumiemy. Natychmiast zacząłem się bać, że sprawa Varaniego może zniweczyć wszystko, co starałem się chronić. Dlatego poczułem irytację, gdy odebrałem telefon z gazety. Nigdy dotąd nie pisałem o przestępczości, jakie było prawdopodobieństwo, że poproszą właśnie mnie o zajęcie się tą sprawą, od której starałem się trzymać jak najdalej?

Odpowiedziałem Cristinie Guarinelli tonem, który musiała odebrać jako niegrzeczny. Powiedziałem, że nie mam czasu na tak wymagającą pracę, i odłożyłem słuchawkę.

Usiadłem z powrotem przy komputerze. Powróciłem do przerwanej pracy z dobrym nastawieniem, ale gdy tylko usiadłem przy biurku i popatrzyłem na

tekst, któremu poświęciłem kilka ostatnich miesięcy, zobaczyłem, jak strona po stronie rozpada się pod moim bezradnym spojrzeniem, niszczony nie przez genialny pomysł na nową książkę, ale przez jakąś niejasną siłę, o której nie wiedziałem. Mimo wszystko zmusiłem się do pracy. Im głębiej kopałem między przecinkami, tym mniej treści znajdowałem.

Kiedy moja żona wróciła wieczorem do domu, natychmiast wyczuła, że miałem zły dzień. Powiedziałem jej, co się stało, ale zanim przeszedłem do szczegółów, powiedziała:

– Co za szczęście.

Prawdziwym szczęściem było, że poproszono mnie o zajęcie się sprawą, o której – „przyznaj się", powiedziała moja żona Chiara – nie mogłem przestać myśleć, odkąd o niej usłyszałem. Biorąc pod uwagę pewne wydarzenia z mojej przeszłości, ta sprawa nie mogła pozostawić mnie obojętnym. Mówiąc dokładniej, zajęcia się tym tematem nie mogłem w żaden sposób uniknąć. To, od czego uciekliśmy, jest bardzo często tym, czego nie zdążyliśmy zrozumieć, i kiedy po latach *to coś* powraca, choć jest w nowym przebraniu, to zazwyczaj dlatego, byśmy teraz mogli zadać te pytania, których nie potrafiliśmy zadać w przeszłości.

„Próbuję uwolnić się od zobowiązań. Zadzwoń, kiedy będziesz mogła".

Esemes o takiej treści, w trosce o zachowanie pozorów, wysłałem do Cristiny Guarinelli.

Kiedy przyjąłem zlecenie z „Venerdì”, minęły cztery dni od morderstwa i dwa od pojawienia się go na medialnej scenie. Wiadomości nakładały się na siebie w szaleńczym tempie, po czym historia przybrała postać, pod którą opinia publiczna będzie ją widzieć jeszcze długo; postać, co oczywiste, nieprawdziwą i pełną najbardziej niepohamowanych popędów.

Początkowo sprawę przedstawiano jako wybuch niezrozumiałego okrucieństwa. Zatrzymani to dwaj normalni faceci, morderstwo nie miało motywu, trudno zrozumieć, co się stało.

Ale w jakim my świecie żyjemy?

Wygląda na to, że biedak został zabity, ponieważ mordercy się nudzili.

To miasto przyprawia o obrzydzenie!

Przez kilka pierwszych godzin komentarze w mediach społecznościowych ograniczały się do ogólnego zdumienia. Potem, w poniedziałek, zaczęły się pojawiać szczegóły. Morderstwo nabrało charakteru przestępstwa na tle społecznym.

Biedny chłopak barbarzyńsko zamordowany przez dwóch obrzydliwych morderców, dwóch leniwych maminsynków.

Mam nadzieję, że wymiar sprawiedliwości skaże Marca Prato na dożywocie, ale skoro jest z kawiorowej lewicy, to o co się założymy, że wszystko skończy się farsą?

Małomówny wieczny student, syn szorstkiego restauratora, zaprzyjaźnił się z rozwiązłym synem menadżera kultury, przyjaciela przyjaciół ludzi na stanowiskach, i wspólnie zabawiali się torturowaniem dwudziestolatka adoptowanego przez parę handlarzy z La Storty. Trzy klasy społeczne, trzy progi dochodowe, trzy różne rejony miasta, wszystko idealnie pasowało.

Rozpuśćcie ich w kwasie, chciałbym to zobaczyć!

Spalcie ich żywcem z taką obojętnością, jaką sami wykazali.

Kara śmierci wśród męki! Naćpane bestie!

Możliwość przywrócenia prawa talionu ekscytowała miłośników szubienicy. Ale i postępowcy nie pozostawali w tyle. Kilku użytkowników Twittera wykorzystało morderstwo do zaatakowania Mattea Salviniego i jego Ligi: to nie imigranci zabili Lucę Varaniego, ale dwóch białych, bogatych, dobrze wykształconych włoskich chłopaków z szanowanych rodzin, burzyli się komentatorzy, sami również biali, jak najbardziej włoscy i pochodzący z dobrych rodzin.

Fala gniewu dotarła do najważniejszych osób publicznych. Prezenterka telewizyjna Rita dalla Chiesa, córka zamordowanego przez mafię generała karabinierów, napisała u siebie na Facebooku: „Gdybym zażądała kary śmierci dla tych potworów, tak zwana inteligencja rzuciłaby się na mnie. Cóż, do dzieła, bo tym razem chciałabym kary śmierci. I to bardzo".

Dyskusja ciągnęła się do późnych godzin nocnych. Potem, wraz z nowym dniem, pojawiły się kolejne elementy układanki. Okazało się, że Marco Prato był gejem. Okazało się, że Manuel Foffo, choć deklarował się jako heteroseksualista, odbywał z nim stosunki seksualne. „Klasowe" morderstwo zostało zainfekowane tematem orientacji seksualnej.

Luca Varani zabity przez zboczonych gejów.

Jebane cioty #lucavarani.

Tak, pozwólmy im jeszcze adoptować dzieci #lucavarani.

Tablica facebookowa Marca Prato była pełna postów, w których jego orientacja seksualna pojawiała się zupełnie naturalnie, były tam teksty i filmy pełne ironii i podtekstów, w gruncie rzeczy nieszkodliwych, jednak ten rodzaj nonszalancji wzmógł tylko irytację wielu komentatorów.

Gdyby Marco Prato był faszystą, wszyscy by nas wzięli na języki. Ale jest aktywistą LGBT, klasycznym przedstawicielem kawiorowej lewicy, inteligentem, burżuazyjną gnidą zepsutą od dzieciństwa.

@marcoprato odetnę ci kciuki i sam cię zmasakruję!

Początkowa nienawiść koncentrowała się na Marcu Prato. Ale wraz z upływem kolejnych godzin podejrzenia zaczęła budzić nieobecność Manuela Foffo na cyfrowej scenie. Dlaczego nie było go w mediach społecznościowych? Nie dało się wygoogle'ować ani jednego zdjęcia, na którym by się pojawił, gazety reprodukowały tylko wyblakłą i niewiele ukazującą fotografię paszportową; trudno było powiedzieć, jak naprawdę wygląda. Niektórzy spekulowali, że to jego rodzina była tą potężniejszą: państwo Foffo mieli tak wiele powiązań, że w ciągu jednej doby załatwili

synowi zniknięcie z internetu.

Następnie pojawił się post o Adamie i Ewie.

Ci, którzy zadali sobie trud sprawdzenia profilu Luki Varaniego na Facebooku, znaleźli coś nieoczekiwanego. Na pierwszy rzut oka był to klasyczny *feed* dwudziestolatka: miłosne wyznania do dziewczyny („Chciałbym obudzić się obok Ciebie, trzymać Cię w ramionach i powiedzieć Ci najważniejszą prawdę… Kocham Cię!"), sentencje motywacyjne („każdy mijający dzień jest okazją do poprawy siebie"), wybuchy pozbawione konkretnego adresata („jesteście obrzydliwi!"), rolki z animowanych filmów Disneya z dubbingiem w dialekcie rzymskim („Królewna Śnieżka i napalone krasnoludki").

Od czasu do czasu pojawiała się jednak inna tematyka.

Były to głównie memy udostępniane od innych użytkowników. W jednym z nich pojawiło się zdjęcie Cécile Kyenge, pierwszej ministry pochodzenia afrykańskiego w historii Republiki Włoskiej. „Jestem Włoszką", wkładał w usta Kyenge autor grafiki. „A ja jestem kotem", odpowiadał pies na obrazku poniżej. Na innym memie przedstawiano wyobrażony dialog między Cécile Kyenge i Mussolinim. „Włoskie przepisy imigracyjne to hańba", mówiła ministra. A Mussolini: „Hańbą jest patrzeć, jak przyjeżdżają z Konga i dyktują prawa ludowi dumnemu ze swojej historii".

Pech chciał, że wśród tych memów pojawił się jeszcze jeden, trącący homofobią, i był to jednocześnie ostatni post opublikowany przez Lucę Varaniego przed śmiercią. Religijny obrazek nosił podpis: „Bóg stworzył Adama i Ewę, a nie Adama i Klaudiusza".

Czy te memy mówiły coś o osobowości Luki Varaniego i jego przekonaniach? Czy czyniły z niego zdeklarowanego homofoba albo prawicowego ekstremistę? Czy było roztropne, by uznawać je za manifest dwudziestolatka, o którym niczego się nie wiedziało? A jednak, wbrew wszelkiej ostrożności, Luca Varani dla sporego tłumu komentatorów natychmiast stał się heteroseksualistą zamordowanym przez dwóch gejów z powodu wsparcia „normalnej rodziny". Tę nową narrację podchwycili właśnie ci, od których piastowana funkcja wymagałaby rozwagi i opanowania: politycy.

Pierwszym, który przemówił, był Mario Adinolfi. Były deputowany Partii Demokratycznej był katolikiem, przeciwnikiem aborcji i zagorzałym zwolennikiem tradycyjnej rodziny. W roku przedterminowych wyborów Adinolfi przygotowywał się do startu na stanowisko burmistrza Rzymu.

Na swoim facebookowym profilu napisał: „Ostatni post biednego Luki Varaniego to biblijny obraz ze słowami: »Bóg stworzył Adama i Ewę, a nie Adama i Klaudiusza«. Gdybym to ja go opublikował, tygodniami wyzywano by mnie od homofobów. Luca Varani został brutalnie zamordowany przez dwóch gejów, którzy go odurzyli i torturowali. »La Repubblica« zamieszcza taki nagłówek: »Seks, nocne życie i inne szaleństwa: upadek Manuela i Marca«. Żeby znaleźć w artykule słowo »gej«, trzeba przejść do samego końca. Twierdzę, że istnieje homoseksualne lobby, które wpływa na wszelkie wiadomości mogące zaszkodzić wizerunkowi społeczności LGBT. Jak wyglądałyby nagłówki w gazetach, gdyby martwy mężczyzna był gejem zabitym przez Sentinelle[4]? Mam nadzieję, że uczciwi sędziowie zadadzą sobie pytanie, dlaczego wybrano właśnie Lucę jako ofiarę. Trzeba się zastanowić, czy cała ta brudna przemoc – za którą nas się fałszywie obwinia, a to tylko dlatego, że jesteśmy przeciwko małżeństwom osób tej samej płci i mówimy to otwarcie – nie wprawia w prześladowcze delirium, którego kulminacją jest ów akt”.

Nawet część społeczności LGBT zabrała głos i także w tym przypadku inicjatywę przejęli politycy. Vladimir Luxuria, pierwsza transpłciowa osoba, która dostała się do europarlamentu, poinformowała, że jakiś czas temu poznała Marca Prato. Luxuria pokazała na Twitterze zrzut ekranu ze starą wiadomością: Prato zapraszał ją na spotkanie poświęcone jej najnowszej książce w lokalu Os Club. Luxuria powiedziała, że była zaszokowana tym morderstwem („potwory mogą kryć się w osobach, których o to nie podejrzewasz”), i przedstawiła swoją opinię na temat zachowania ofiary: „Często największymi homofobami są geje wypierający swoją orientację, więc zbadałabym również ten aspekt. Ofiara miała niewiele ponad dwadzieścia lat i dziewczynę, co zatem robiła w piątkowy wieczór na rzymskich przedmieściach w mieszkaniu razem z dwoma otwarcie homoseksualnymi imprezowiczami, zamiast być z partnerką? Odpowiedź jest oczywista”.

Inni aktywiści twierdzili, że problemem jest nienawiść do samego siebie. Brak samoakceptacji rodził ból i frustrację, ból i frustracja rodziły przemoc, a skąd pochodziły ból, frustracja i ostatecznie przemoc, jeśli nie z homofobicznej i patriarchalnej kultury, która od pokoleń dominowała w naszym życiu? Nietolerancja uwewnętrzniona wbrew własnym pragnieniom rodziła nieszczęścia: to brak aprobaty dla własnej homoseksualności skłonił tych dwóch chłopaków do zabicia Varaniego.

Nie zabrakło interesujących opinii kryminologów i ekspertów w dziedzinie socjologii. Byli też tacy, którzy odpowiedzialność zrzucili na diabła.

Kto używa narzędzi demona, ulega złudzeniu, że zdobyłmoce, których inni nie posiadają.

Przeklęci, podli wyznawcy Szatana!

Sieć gromadzi pozbawioną hamulców emocjonalność, pomyślałem po wielogodzinnym czytaniu tych postów. Mimo to zastanawiałem się, czy w tym niepohamowaniu nie kryje się jakaś prawda, czy ton mediów społecznościowych robiących ze wszystkiego burzę pełną uproszczeń i manicheizmu nie dotyka, choć w niewłaściwy sposób, tych punktów, do których dotarłoby się (tylko że wolniej) bardziej cywilizowaną drogą?

– Nicola!

Co się jednak dzieje, kiedy to właśnie ludzie zaangażowani w sprawy takie jak ta *sami* decydują się rzucić w wir uproszczeń publicznej narracji?

– Nicola, chodź szybko!

Moja żona zawołała mnie z salonu. Zastałem ją odwróconą do mnie plecami, wskazującą na nasz stary telewizor. Na ekranie widniała teraz twarz Valtera Foffo, który cztery dni po morderstwie i zaledwie dwa po przyznaniu się syna do winy, kiedy Manuel dopiero co został zabrany do więzienia, a ciało Luki Varaniego wciąż czekało na pogrzeb, przyjął zaproszenie do talk-show, aby ku bezsprzecznemu zadowoleniu kilku milionów Włochów opowiedzieć swoją wersję tej historii.

Co mu strzeliło do głowy?

To pytanie zadawali sobie ci najbardziej pobłażliwi, gdy Valter Foffo przemawiał w telewizji, dając ogromnej publiczności okazję do oburzenia, gniewu, rzucania inwektyw, a wszystko to z dwóch głównych przyczyn: tego, co Valterowi Foffo udało się powiedzieć, i tego, czego udało mu się *nie* powiedzieć.

– Co zrobić, źle nam doradzono.

Valter Foffo zrozumiał swój błąd po czasie. Nie był już tak zdezorientowany jak w pierwszych dniach. Początkowy szok ustąpił miejsca codziennemu zmaganiu się z trudnościami; z nieznajomymi obrażającymi go na ulicy, podupadającymi interesami, długimi dyskusjami o tym, jak wyjść z masy kłopotów.

– Adwokat. To on nas przekonał.

Valter Foffo mówił to, odwracając wzrok, jakby chciał odgonić myśl, która groziła mu utratą kontroli. Ale gdzie miał patrzeć? Gdziekolwiek się obrócił, zewsząd spadały na niego kłopoty.

– To prawda, poradziłem mu to. Ale nie mogłem przewidzieć, co zacznie opowiadać. Nie wiem, co mu strzeliło do głowy.

Mecenas Andreano przedstawiał ten epizod z innej perspektywy. Zgoda, pojawienie się Valtera Foffo w telewizji było katastrofą. Ale ludzie nawet sobie nie wyobrażają, co się za tym wszystkim kryje. Nic nie wiedzą o udręce, o presji, nie mają pojęcia o autentycznym szaleństwie, które potrafi rozpętać się wokół rodziny przestępcy, gdy sprawa taka jak ta staje się publiczna. Dziennikarze, szefowie portali informacyjnych, a w pewnym momencie już wszyscy zaczęli polować na mecenasa. Chcieli, by wydał im ojca mordercy. Chcieli matki. A jeśli nie, to trudno, zadowolą się bratem.

– Przykro mi, ale rodzina Manuela nie wydaje oświadczeń.

Andreano początkowo odpierał ataki i odrzucał wszystkie prośby

o wywiady. Jednak sytuacja zmieniała się z godziny na godzinę, ogień pogardy zaczynał rozprzestrzeniać się w kierunku jego klienta. Milczenie państwa Foffo groziło dodaniem winy do winy, a prokuratura nie zawsze pozostaje obojętna na takie rzeczy. Oblegana przez dziennikarzy rodzina Manuela poprosiła o radę. Andreano zaczął się zastanawiać. Jeden wywiad. Jedna publiczna deklaracja, która mogłaby zmienić, choćby częściowo, narrację wokół sprawy.

– W porządku, pójdę.

Jeśli trzeba było grać tą kartą dla dobra chłopaka, niech to będzie przynajmniej najbardziej znany talk-show w kraju. W *Porta a Porta* działy się rzeczy gdzie indziej niemożliwe. To właśnie tam Silvio Berlusconi podpisał swój kontrakt z Włochami. To właśnie z *Porta a Porta* – co zdumiało nawet Brunona Vespę, doświadczonego gospodarza programu – sam papież postanowił połączyć się na żywo przez telefon. To tam gościli krewni mafijnego bossa Vittoria Casamoniki, tam kilka tygodni później pojawi się syn byłego szefa cosa nostry Totò Riiny i opowie historię swojej rodziny.

Valter Foffo pojawił się w studiu telewizyjnym nienagannie ubrany, w ciemnej marynarce i białej koszuli, rubinowym krawacie, ze starannie uczesaną siwizną i dokładnie ogoloną twarzą.

Zanim Bruno Vespa udzielił mu głosu, wyemitował materiał streszczający całą historię.

Lektor opowiadał o morderstwie, a na ekranie pojawiały się zdjęcia Marca Prato, Luki Varaniego i Manuela Foffo. Pokazywano całe strony protokołów z przesłuchania Manuela, słowa wypowiadane przez lektora były podświetlane na żółto („pojechaliśmy samochodem, pamiętam, że mieliśmy ochotę kogoś skrzywdzić”; „mówiliśmy sobie, że musimy go zabić”), potem jednak pojawiły się inne zdania, podświetlane, ale nieodczytywane na głos („Luca się prostytuował”; „w sylwestra Marco i ja uprawialiśmy seks oralny”). Widzom trudno było pogodzić ze sobą te wszystkie informacje. Relacja wkrótce się skończyła, w oku kamery ponownie pojawił się Bruno Vespa.

– Valter Foffo jest ojcem Manuela – zaczął gospodarz programu. – To jemu pierwszemu Manuel wyznał, że zabił Lucę. Panie Foffo, jak on to panu powiedział?

Valter Foffo westchnął. Zauważył skierowaną na niego kamerę. Chwila

ciszy. Potem zaczął mówić. Opowiedział historię z jazdy samochodem. Powiedział, że przed przyznaniem się do morderstwa jego syn powiedział mu, że zażył kokainę.

Prezenter przerwał mu:

– Przepraszam, pański syn powiedział, że brał kokainę od dziesięciu lat…

Foffo przeszedł do defensywy:

– Dziesięciu lat? Nic mi o tym nie wiadomo.

– To pański syn tak powiedział.

– Ale nie – zaoponował mężczyzna – w protokole jest wyraźnie napisane, że kiedy zaczął, był kilka lat starszy.

Vespa zdał sobie sprawę z nieporozumienia.

– Nie, nie – powiedział pospiesznie. – Nie *odkąd* skończył dziesięć lat, tylko odkąd skończył dziewiętnaście, *dziesięć lat temu*.

Jak Valter Foffo mógł pomyśleć, że pyta się go, czy jego syn uzależnił się od kokainy, gdy był dziesięcioletnim chłopcem? Czy pomyślał tak, bo był zdezorientowany? Bo w telewizji nie takie rzeczy się zdarzają? Bo coraz bardziej przyzwyczajał się do myśli, że wokół niego już wszystko może się wydarzyć? Po raz kolejny na scenę wkroczył komizm, bo możliwości tragizmu zostały wyczerpane.

– Tak właśnie jest napisane w protokole – pospieszył z odpowiedzią Valter Foffo.

– A pan przez cały ten czas niczego nie zauważył? – zapytał gospodarz.

Valter Foffo był doświadczonym przedsiębiorcą od lat przyzwyczajonym do radzenia sobie w sytuacjach, które u większości ludzi związanych z mediami wywołałyby panikę. Nigdy jednak nie był w studiu telewizyjnym. Oślepiony światłami, zdezorientowany grą kamer, wyczerpany ostatnimi dniami, ścigany pytaniem najczęściej w owym czasie zadawanym w telewizji („wie pan, że pański syn się narkotyzuje?”), Valter Foffo rzucił się w otchłań.

– Nie – zaprzeczył – niczego nie zauważyłem, ponieważ Manuel zawsze był wzorowym chłopcem. Przeciwnym przemocy. Samoukiem. Bardzo dobrym, może nawet *przesadnie* dobrym. A także powściągliwym. Z IQ powyżej średniej.

– Absolutnie tego nie kwestionuję. – Prowadzący wszedł swojemu gościowi w słowo, idealnie dobierając czas; pozwolił rozmówcy powiedzieć, że jego syn jest obdarzony ponadprzeciętną inteligencją, a potem wrócił do kwestii morderstwa.

Valter Foffo opowiedział tych kilka rzeczy, które wiedział. Czyli niewiele.

Zaskoczenie widzów wywołało jednak to, o czym sądził, że wie. Powiedział, że początkowo nie uwierzył w wyznanie Manuela („Był zbyt spokojny, wręcz *lodowato* spokojny") i podejrzewał, że odurzony kokainą mówił o rzeczach, które się nie wydarzyły. Vespa zapytał, czy to prawda, że jego syn miał problemy z alkoholem.

– Tak, sam skierowałem go do psychologa – brzmiała odpowiedź.

– I co powiedział panu psycholog?

– Nie rozmawiał ze mną, przecież obowiązuje go tajemnica zawodowa.

– Tak, oczywiście – wycofał się prowadzący. – Ale czy psycholog przynajmniej powiedział, że sytuacja pańskiego syna jest niepokojąca?

– Absolutnie nie – odparł Valter Foffo. – Manuel to *wzorowy chłopak* – powtórzył.

W tym momencie do rozmowy włączyła się Vera Slepoj, psychoterapeutka obecna wśród gości w studiu. Zapytała Valtera, czy nie wyidealizował zanadto syna. Valter Foffo odpowiedział, że przede wszystkim ma jego obraz jako chłopaka, który pilnie się uczy. Psycholożka zauważyła, że młody mężczyzna mający problemy z alkoholem i kokainą powinien jednak wzbudzić jakieś podejrzenia. Valter Foffo zaczął okazywać zniecierpliwienie. Na ratunek przyszedł mu Bruno Vespa.

– To jak w końcu postrzegał pan syna?

– Postrzegałem go *bardzo dobrze* – odpowiedział Foffo. – A jeśli chodzi o alkohol, jak powiedziałem, zainterweniowałem natychmiast. Ale prawdziwy alkoholizm, pani doktor, to *coś zupełnie innego* – zwrócił się ostro do Slepoj – alkoholik to ktoś, kto pije codziennie, podczas gdy Manuel mógł nie pić miesiącami.

W studiu był również Maurizio de Giovanni, autor powieści kryminalnych. Oświadczył, że jest zszokowany tym, co się stało. Mecenas Andreano, łączący się ze studiem z Mediolanu, powiedział, że należy ustalić stopień poczytalności Manuela w chwili, gdy zrobił to, co zrobił. Valter Foffo spekulował, że jego syn i Marco Prato stracili rozum z powodu zażywania narkotyków.

– Prawdopodobnie manipulowali sobą nawzajem – zaryzykowała psycholog.

– *Bardzo mało prawdopodobna* hipoteza – odparł stanowczo Valter Foffo.

De Giovanni zapytał, czy to prawda, że Manuel przeszedł badania

medyczne, aby odzyskać prawo jazdy.

– Tak, ponieważ pewnej nocy wracał z dyskoteki – przyznał Valter Foffo – miał stłuczkę i pojawili się policjanci.

– Tylko że nie przeprowadza się tego rodzaju badań, jeśli w grę nie wchodzą alkohol lub narkotyki – zauważył de Giovanni.

– To było półtora roku temu – bronił się Valter Foffo. – Od tamtego czasu Manuel nie tknął alkoholu. Poddał się badaniu. Powtórzył je. Wszystkie wyszły negatywne.

– Panie Foffo – zakończył dyskusję Bruno Vespa – jako ojciec rozumiem pana i współczuję. Jako dziennikarz uważam, że wyemitowano tu jakiś inny film.

Nikt nie wiedział, jakim cudem protokół przesłuchania trafił w ręce autorów programu. Pokazanie go w telewizji mogło dać przewagę prawnikom Marca Prato, dostarczając im argumentów, o których inaczej by się nie dowiedzieli. Nawet pełne przekonania zapewnienia o długotrwałej trzeźwości Manuela mogły się okazać niefortunne. Zapowiadały się trudne dni. Telewizja wciąż miała moc dawania natychmiastowej sławy tym, którzy – na swoje szczęście lub nieszczęście – potrafili przebić się przez ekran. Valterowi trudno było wyjść z domu, by ktoś na ulicy go nie obraził. „Mordercy!”, krzyczeli w jego kierunku przechodnie. I był jeszcze internet. To tam dezaprobata zamieniła się w lawinę nienawiści.

Gdybym był ojcem Manuela Foffo, nie myślałbym o pokazywaniu się w programie Vespy, ale o samobójstwie.

10 lat na kokainie i tatulek nic nie zauważył.

Tak wychował syna! Niech się schowa zamiast iść do telewizji! Wychował potwora, a teraz go broni!

Ten pan myśli tylko o obronie wizerunku swojego syna i siebie jako ojca.

Co za obrzydliwi ludzie. Krzesło elektryczne dla niego i całej rodziny.

Valter Foffo z opóźnieniem zdał sobie sprawę, że nie przemyślał wszystkiego do końca. Zapomniał na przykład, że rodzice Luki Varaniego, jego przyjaciele i dziewczyna również usiądą tego wieczoru przed telewizorem. Dlaczego nie zwrócił się do nich? To byłby dobry ruch. Mógł powiedzieć, że

jest mu straszliwie przykro z powodu Luki, mógł poświęcić im jedno dobre słowo, mógł zwrócić się do rodziców ofiary, wykorzystać telewizyjne kamery, by prosić o przebaczenie. Dlaczego tego nie zrobił?

Przymus powtarzania nie prześladuje nikogo tak bardzo, jak tych, którzy popełniają poważne błędy. W ciągu następnych dni Valter Foffo zdołał popełnić ich więcej.

Wystarczył jeden dzień, by zniszczyć życie Marty Gai Sebastiani.

Marta Gaia miała dwadzieścia dwa lata, chodziła z Lucą, odkąd miała czternaście, w ciągu jednego dnia dowiedziała się, że jej chłopak nie żyje, że to nie był wypadek, że dwóch typów, o których nigdy nie słyszała, torturowało go w mieszkaniu, do którego wszedł z własnej nieprzymuszonej woli, i jakby tego było mało, że prowadził podwójne życie.

– Męska dziwka – powiedzieli.

– Dziwka? *Luca dziwką?*

A ponieważ szaleństwo świata nie ma granic, właśnie teraz, na pierwszym kanale włoskiej telewizji publicznej pewien pan w średnim wieku mówił bez skrępowania, że jego syn, przyznający się do popełnienia przestępstwa, był wzorowym chłopakiem.

Czterdzieści osiem godzin wcześniej wszystko toczyło się całkiem zwyczajnie. Teraz zostało zrównane z ziemią.

Marta Gaia mieszkała na Casalotti, przy ulicy niskich budynków i krzewów magnolii. Od niedawna pracowała w firmie cateringowej. Czuła się szczęściarą, że znalazła tę pracę, ale tak naprawdę za szczęściarza powinien uważać się każdy pracodawca, który zatrudnił kogoś takiego jak ona. Była rzetelna i sumienna, jeśli potrafiła wykonać jakieś zadanie, robiła to z największym zaangażowaniem, a kiedy czuła, że nie podoła, starała się tego nauczyć. W szkole hotelarskiej nauczono ją tylko koniecznego minimum, nie miała pojęcia, co to znaczy harować między stołami a kuchnią, dopóki nie przekroczyła progu miejsca zatrudnienia. Początkowy brak doświadczenia nadrabiała uporem, lojalnością i zdolnością do pracy zespołowej. To była dobra inwestycja. A poza tym Marta Gaia miała *jego*.

1. Jesteś piękna.
2. Wyglądasz wspaniale we wszystkim, w co się ubierzesz.
3. Wzrusza mnie każde Twoje spojrzenie.

4. Oddałbym duszę diabłu za Twój jeden uśmiech.
5. Jesteś ciepła i troskliwa.
6. Kiedy się śmiejesz, słońce się rumieni.
7. Dla mnie jesteś synonimem życia.
8. Wiesz, jak mnie uspokoić.
9. Znasz moje największe marzenia.
10. Strzeżesz mojego serca.
11. Rozumiemy się jednym spojrzeniem.
12. Czynisz mnie częścią swojego życia.
13. Przeczytasz ten list i poprawisz w nim błędy.
14. Wiesz, jak mnie dotknąć i sprawić, że zadrżę.
15. Gdy podrzucasz mi jakąś myśl do rozważenia, zawsze trafiasz.
16. Znosisz moje bezużyteczne tyrady.
17. Zjadłaś to, co ugotowałem (odważna).
18. Kiedy śpisz, wszystko wokół Ciebie lśni.
19. Jesteś zaskoczona, gdy robię Ci niespodzianki, choć już wcześniej o nich wiedziałaś.
20. KOCHAM CIĘ.

Dwadzieścia powodów, by powiedzieć jej, że ją kocha, zapisanych na dwóch kartkach w linię.

Dwadzieścia było ich magiczną liczbą. Przekształcili ją w swoje zawołanie bojowe: „Marta Gaia + Luca zjednoczeni na zawsze przeciwko wszystkiemu i wszystkim od 20/10/2007!”.

Gdy zobaczyli się po raz pierwszy, mieli po czternaście lat. Wracali ze szkoły tym samym autobusem. Siedział z tyłu, rozmawiał z Vincenzem Giuntą. Marta Gaia znała Vincenza, ale nigdy jeszcze nie widziała tego przystojnego, wysokiego, szczupłego, ciemnowłosego chłopca.

– Hej! *Kto to zrobił?*

Luca rzucił swój plecak między pasażerów autobusu. Marta potknęła się o niego.

– Trochę się popisywał, żeby zwrócić na siebie uwagę – wspomina Vincenzo z lekkim uśmiechem.

– Kto to zrobił? – powtórzyła Marta Gaia.

Luca spojrzał na nią bez słowa. Marta pomyślała, że jego oczy są piękne. Tymczasem autobus zbliżał się do jednego z ostatnich przystanków, wkrótce miała wysiąść.

Wyciągnęła rękę, zanim było za późno.

– Mam na imię Marta Gaia.

– Jestem Luca – uścisnął jej dłoń.

Stali się nierozłączni. Spotykali się tak często, jak to było możliwe, w ciągu dnia wciąż do siebie dzwonili lub wymieniali wiadomości. Ona była „żoneczką", on „maskoteczką". „Zakład, że się pobiorą?", mawiali przyjaciele. Każde miało swoją szkołę, każde miało swoją paczkę. Marta spotykała się ze swoimi przyjaciółmi z Casalotti, których Luca znał. Luca spotykał się z przyjaciółmi z Battistini, ale tej grupy Marta Gaia nigdy nie poznała. Nie poznała ich celowo. Kompletnie się jej nie podobali.

– Ale mnie kochasz?

– Oczywiście, że cię kocham.

– Wymieniłbyś mnie na inną?

– Nie.

– A jakby ta inna była moją ulepszoną wersją, bez wad, szczuplejszą i pozwalałaby ci na wszystko, czego zechcesz?

– Doskonałości się nie poprawia.

Marta Gaia miała mocny charakter, była uparta, energiczna, nie brakowało jej zdrowego rozsądku. Luca był trochę wsobny, ale nie samolubny, niespokojny, ale nie złośliwy, znajdował spokój i schronienie w jej ramionach. Od czasu do czasu rozmawiali o przyszłości. Chcieli zamieszkać razem, znaleźć lepszą pracę, pobrać się i mieć dzieci. Wiedzieli, że czasy są trudne, że nic nie dostaną za darmo, nie byli bogaci, nie mieli ważnych przyjaciół, żadnych przywilejów, byli świadomi, że dalsze bycie razem będzie wymagało zaangażowania, zdolności do przezwyciężania własnych wad i gotowości do walki. Wszystko to dodawało im skrzydeł.

– Jesteś kobietą mojego życia. Kocham cię, żoneczko!

W najlepszych chwilach, gdy Marta Gaia słuchała jego słów, wydawało się jej, że Luca jest najczulszym chłopcem na świecie. Czasem jednak stawał się porywczy, mroczny, złościł się z tylko jemu znanych powodów. Wtedy znikał. Jakby płynęło w nim drugie, podskórne życie. Jakby nie wyrósł z żywiołowości dziecka, które w swoim wewnętrznym świecie codziennie odkrywa nowe krainy i walczy z przeciwnościami. Kiedy Luca znikał, Marta Gaia się złościła, zasypywała go wiadomościami, dopóki nie odpowiedział, kłócili się wściekle na WhatsAppie – spierali się, obrzucali oskarżeniami – a potem godzili. Pętla autobusu 905 była ich miejscem spotkań. Sprzeczali się, a potem przytuleni wychodzili z wieczornego cienia. Szli na pizzę, a on mówił:

– Dzięki tobie ludzie stają się lepsi.

Po morderstwie złośliwi mówili, że Marta Gaia próbowała trzymać Lucę na krótkiej smyczy. Musiała to robić, jeśli nie chciała, by pewnego pięknego dnia zniknął i już nigdy nie wrócił. Luca był tak przystojny, mówili, że nikt by mu się nie oparł, i tylko dzięki jej wytrwałości pozostali razem tak długo. Inni mówili, że świat nie dzieli na tych, co wiedzą, i tych, co nie wiedzą, ale na tych, którzy mają odwagę wiedzieć, i tych, którzy chodzą z klapkami na oczach, byle nie zobaczyć. Innymi słowy, Marta Gaia miała do dyspozycji wszystkie wskazówki, które pozwoliłyby jej wyciągnąć odpowiednie wnioski, gdyby tylko miała odwagę to zrobić.

Spotkał się z nią w czwartek. Było około piątej po południu. Rozmawiali przez chwilę. W pewnym momencie Luca powiedział, że potrzebuje nowego kabla do telefonu.

– Idę wysępić trochę drobnych od Cornelii.

Był chronicznie bez grosza. Niektórzy znajomi mówili, że wyłudzał drobne na papierosy lub benzynę. Kiedy wychodził z Martą Gaią, często to ona płaciła. Od czasu do czasu Luca prosił ją o drobne pożyczki, Marta nie odmawiała. Był jej już winien prawie sto euro. Kiedy miał trochę banknotów w kieszeni, nie robił problemu z wydawaniem na innych. Był hojny, obsypywał Martę Gaię prezentami, zabierał ją na kolację, a następnego dnia znów nic nie miał. W warsztacie zarabiał sto pięćdziesiąt euro tygodniowo. Niestety na Boccei było wiele salonów gier. Wydawał mnóstwo na automatach.

Luca pojawił się ponownie przed wieczorem. Poszedł z Martą Gaią na trening siatkówki. Gdy przyszedł czas na mecz towarzyski, zapisywał punkty. Dobra zabawa. Trening skończył się o wpół do dziesiątej, w samą porę na ostatni kurs autobusu numer 31. Za dziesięć jedenasta Luca i Marta całowali się pod osłoną nocy.

Następnego dnia od samego rana zaczęli wysyłać sobie wiadomości na WhatsAppie. („Kicia, co robisz?” „Właśnie wstałam, zaraz idę do pracy”). On napisał jej, że idzie do warsztatu, ale tak jak okłamał swojego pracodawcę, tak teraz i ją okłamał. (W kolejnych dniach Marta Gaia wykalkulowała, że ostatnie wiadomości pisał do niej, gdy był już pod mieszkaniem Manuela Foffo). Po kilku minutach kontakt się urwał, Marta Gaia wysłała kolejne wiadomości przez WhatsAppa, Luca nie odpowiadał. Próbowała się do niego dodzwonić. Nie odbierał. Znowu to zrobił, pomyślała. Rozpłynął się w powietrzu. Co za okropny chłopak! Uznała, że

pokłócił się z rodzicami. A jeśli nie poszedł do pracy? Może jest z tymi ćpunami z Battistini? Marta zaczęła wysyłać wściekłe wiadomości, dzwoniła co chwilę. Co mu się stało? Po kilku godzinach komórka Luki przestała odpowiadać. Dobra, spokojnie, pomyślała Marta Gaia. Luca był roztrzepany, mógł gdzieś zostawić telefon. A może mu padł. Ładowarka mu nie działała, prawda? Tak było. Ale nadszedł wieczór, a numer Luki wciąż był poza siecią.

Następnego dnia, w sobotę, Marta Gaia rozmawiała przez telefon z panem Varanim.

W niedzielę od rana była w pracy. Menu dnia: *fettuccine all'amatriciana*, *calamarata* z grzybami, eskalopki z cytrusami. Jak zawsze w weekend pojawiło się wielu gości, pracy było dużo. W pewnym momencie Marta Gaia podniosła wzrok i zobaczyła swoją matkę. Dziwne.

– Cześć, mamo, co się stało?

Kobieta spojrzała na nią z wyrazem twarzy, jakiego Marta Gaia nigdy wcześniej nie widziała. Wpadły sobie w ramiona.

Teraz Marta Gaia szlochała. *Nie żyje*, mówili. Ale wszystko w jej ciele twierdziło coś przeciwnego. Całkiem jakby ją zapewniali, że na zewnątrz pada śnieg, podczas gdy jej oczy jeszcze widziały słońce. Wszyscy mówili o Luce. Mówiła o nim cała okolica, wkrótce potem całe miasto, a wieczorem całe Włochy. Włączało się telewizor i na ekranie pojawiało się jego zdjęcie. Telefon Marty Gai zaczął się zapełniać wiadomościami, zaczęli do niej dzwonić przyjaciele, nauczyciele. Przeróżni ludzie pytali, czy mogą ją odwiedzić.

Zadzwonili również karabinierzy.

Marta Gaia pojawiła się u karabinierów przy piazza Dante po przerwie obiadowej.

Podała swoje dane osobowe, uścisnęła dłoń chorążemu i zaczęła odpowiadać na pytania. W pewnym momencie poczuła się zaskoczona tym, co mówi. Zobowiązana do relacjonowania faktów zgodnie z prawdą, mówiła rzeczy, które zdawały się dowodzić istnienia w życiu Luki szarych stref. Niejasności, na które dotąd nie zwracała należytej uwagi. Jak bardzo powinniśmy zastanawiać się nad tym, co wiemy, a czego nie wiemy o ludziach, których kochamy? A nawet gdyby można było wiedzieć o nich wszystko, czy byłoby to słuszne?

Po przesłuchaniu wróciła w domu. Była oszołomiona, obolała, potrzebowała miejsca, w którym poczułaby się bezpiecznie. Otworzyła Facebooka. Jej tablica była pełna wpisów. Mnóstwo krótkich wiadomości, wszystkie dla niej. Otrzymywała kondolencje, życzenia siły, krótkie wyrazy solidarności. Pisali do niej przyjaciele, ale głównie nieznajomi.

Szczerze ujęta tymi gestami wsparcia Marta Gaia napisała post z podziękowaniami.

> Naprawdę dziękuję Wam wszystkim za myśli, za słowa… Tym, których nigdy nie poznałam, a teraz dodają mi otuchy. I DZIĘKUJĘ moim wieloletnim przyjaciołom, otrzymałam tak wiele wiadomości i telefonów. Ból jest ogromny i nie do opisania, ale mimo wszystko to nie może się tak skończyć. Chciałabym, aby wszyscy zapamiętali Lucę jako ciepłego i wrażliwego chłopca, a nie słabego czy czasami aroganckiego. Nic a nic nie obchodzą mnie plotki. Kocham go i będę kochać na zawsze, ale nie Lucę, który był ze wszystkimi, tylko Lucę, który był ze mną… który był moją MASKOTKĄ.

Dopiero później zauważyła wiadomość od Valerii Proietti.

Znalazła ją na Messengerze w „innych”. Jakie to dziwne. Valeria Proietti należała do ekipy z Battistini, była blondynką o figurze dziewczyny z plakatu i reprezentowała sobą wszystko, czego Marta Gaia nie znosiła. Była

wyzywająca, żywiołowa (na zdjęciach wydymała usta pomalowane bardzo jaskrawą szminką lub wystawiała język, aby pokazać, że ma w nim kolczyk) i lubiła prowokować agresywnymi tekstami. „Zawsze mówiłam, że kiedy ludzie cię nienawidzą, to wiesz, że robisz dobrze". Miała siedemnaście lat.

Marta Gaia i Valeria nie były przyjaciółkami, nie miały swoich numerów, znały się na odległość. Valeria była dziewczyną Alessandra Manciniego, byli w tej grupie jeszcze dwaj jego bracia, siostra Valerii, Daniele Spada, Gabriele Rivetti, jakiś Adriano, jakaś Alessia i może ktoś jeszcze. To była ekipa z Battistini. Na ulicy mówiło się, że niektórzy z nich ćpali. Prawda, czy nie, mieli reputację próżniaków niezdolnych do zaplanowania czegokolwiek sensownego i kompletnie niezainteresowanych zmianą swojej sytuacji życiowej. Marta Gaia nigdy nie chciała mieć z nimi nic wspólnego. Uważała, że dla kogoś takiego jak Luca byli doskonałą pokusą, towarzystwem zdolnym odwrócić jego uwagę od wszystkich dobrych zamiarów. To, że nadal się z nimi spotykał, było jedynym powodem, dla którego Marta zgodziła się porozmawiać z Valerią.

Kliknęła na ikonkę. Następnie przeczytała:

> Hej Marta tamci powiedzieli że znają go od niedawna ale to nie prawda bo kiedy Luca był z nami to z tym pedziem już miał kontakt i nam mówił że pożycza od niego pieniądze i znikał na pół godziny i wracał… Ja nie wiem co tam robił ale przysięgam że tego się po nim nie spodziewałam był taki spoko. A ty możesz być pewna, że zawsze będzie blisko cb.
>
> Bo mi mówił, że kocha cb do szaleństwa i ze cie ochroni przed wszystkim…

Chociaż Valeria wykazywała nieprzesadną znajomość pisanej włoszczyzny, było aż nazbyt jasne, co chciała powiedzieć. Marta Gaia siedziała oszołomiona.

> Nie mam słów. I po co mu były te pieniądze? Co z nimi robił? Nie wierzę. Nie wiem, czy coś wiesz, ale jeśli tak, to proszę, powiedz.

Valeria Proietti odpowiedziała.

> Tak
>
> …no więc według mnie szedł tam i miał relacje z tym tam, boto powiedział mi, Alessandrowi, filippowi i mojej siostrze… Ale to była jego sprawa… był moim przyjacielem, lubiłam go takim, jakim był, zawsze był spoko…. filippo, kiedy się dowiedział, zwariował… naprawdę go lubili. Ale co się stało z jego

telefonem??? Z niego można się czegoś dowiedzieć, chociaż on zawsze wszystko kasował…

Tak, ćpał.

Mówiłam mu, żeby czasem brał cię ze sobą albo żeby ci mówił kiedy gdzieś idzie z nami…. zawsze mówił, że nie chciałaś żeby się spotykał z alessandrem i filippem. A oni tak go lubili… A ostatecznie i tak robił po cichu to co robił.

Wiadomo, że Marta Gaia nie chciała, by Luca spędzał czas z ekipą z Battistini. Czy jej się tylko zdawało, czy rzeczywiście Valeria teraz się jej za to rewanżowała? Czy tu chodziło o wyrównanie rachunków?

Zaniepokojona tym, co zdawała się czytać między wierszami, Marta Gaia nie odpisała. To nie zniechęciło Valerii Proietti, która powróciła do oskarżeń.

Marta, słuchaj, napisałam do cb tylko po to, żeby ci pomóc, bo nie mam teraz nic poza bólem po stracie przyjaciela.

Poza tym weź to zrozum… ile ćpał… jak bardzo go uzależnili… A może to dlatego że nie chciał ruchać, wściekli się i go załatwili.

Ale radze ci zapamiętać go takim, jak sama powiedziałaś… takim, jakim był, bo zawsze był dobry dla wszystkich… i ufaj, że zawsze będzie przy tb i będzie cię chronił, ponieważ byłaś kobietą jego życia… zawsze mi o tobie mówił!!!

Uściski

Przepraszam, że ciągle do cb piszę

Ale przysięgam, Filippo był w domu cały dzień i płakał.

Kondensacja oszczerstw i rzekomej przyjaźni. Marta Gaia w końcu uległa.

Nie wiem… Nie mogę uwierzyć, że Luca naprawdę się prostytuował…

Nie czekała długo na odpowiedź Valerii.

Ale moim zdaniem robił to tylko wtedy, gdy potrzebował pieniędzy, nie cały czas. Może nam to mówił dla jaj. Ale chodził do niego i wracał z pieniędzmi… tego jestem pewna. Na początku powiedział nam, że je dostaje. Ale nikt ci nie daje pieniędzy za friko…

Po dalszej wymianie zdań Marta Gaia się zdenerwowała.

Pieprzysz bzdury.

Valeria Proietti weszła na inny rejestr.

Chciałabyś. Hahaha. To nie miałoby sensu. Hahaha
Dobra, Marta
Myśl sobie, co chcesz
Nawet nie wiesz jaka byłaś naiwna przez 9 lat Hahaha.
Nie będę więcej do cb pisać
Ciaoooo

Marta Gaia była zdezorientowana; z pewnością nie spodziewała się takiej reakcji i dała się wciągnąć w dyskusję.

Tak w ogóle, to nie było 9 lat, zerwaliśmy, a to, co robił, kiedy nie byliśmy razem, to już jego sprawa.

To była prawda. Pod koniec 2010 roku ona i Luca zrobili sobie przerwę. Fakt, że Marta wykorzystała ten temat do obrony, powinien wzbudzić współczucie. Ale Valeria Proietti nie była osobą gotową do współczucia.

Wiedziałam, że zerwaliście na chwile, ale nieważne, to się zdarzało jak byliście razem, bo pisał do ciebie, że jest w szkole, ale był z nami
No to cze
Nie moja sprawa
Niech ci bedzie, ze piepsze
Tylko po co bym miała, przecież nic złego o nim nie mówię. Ale go znałam i widywałam prawie codziennie.

Marta zebrała resztki sił, by skończyć rozmowę.

Słuchaj, nie pisz do mnie więcej, naprawdę nie mam ochoty słuchać tych bzdur.

Co wstępowało w ludzi? Co sprawiało, że byli tak okrutni?

Marta Gaia była zbyt wstrząśnięta, by się zagłębiać w podobne rozważania. Także dlatego, że zerkając na ekran, zauważyła coś jeszcze. Jej ostatni post, w którym podziękowała składającym kondolencje, zebrał ponad dwa tysiące polubień. Posty z kilku dni przed morderstwem nie sięgały dziesięciu lajków. A ponieważ po wymianie zdań z Valerią Marta Gaia zrobiła się naprawdę wściekła, postanowiła poeksperymentować ze swoimi nowymi mocami i ponownie usiadła do klawiatury.

Nie wypowiadam się, ponieważ wszystko, co sobie wyobrażacie, stawia was na równi z mordercami Luki. Zhańbienie pamięci najbliższej mi osoby, aby wyżebrać lajki lub pieniądze, jest naprawdę nie do opisania. Wam to przejdzie, bo na szczęście to was nie dotyka, ja będę nosiła ten ból do końca życia […].

Włoskie prawo jest obrzydliwe! To, co się stało, jest obrzydliwe! A jak koszmarnie obrzydliwe jest to, co się wymyśla na temat Luki!

Ledwie opublikowała post, a pojawiły się pierwsze reakcje. Dziesiątki, a potem setki lajków i serduszek. Zalew nowych obserwujących.

Musimy się zjednoczyć, aby sprawiedliwości stało się zadość!!!!

Chcemy sprawiedliwości, ponieważ to, co stało się z Twoim chłopakiem, mogło przytrafić się nam wszystkim.

Nie zwracaj uwagi na tych, co paplają bez zastanowienia, idź prosto swoją drogą, Wojowniczko.

Jest nas wielu i razem z Tobą domagamy się sprawiedliwości dla Luki.

Wszyscy się z nią zgadzali i wszyscy ją wspierali. Post szybko zebrał ponad trzy tysiące polubień. W ciągu kilku godzin rozdzwoniły się telefony z gazet i telewizji. Nie była już dziewczyną sprzed kilku dni ani nawet dziewczyną sprzed kilku godzin. Marta Gaia Sebastiani stała się osobą publiczną.

Następnego dnia swoją wersję wydarzeń podał Marco Prato.

Oskarżony stawił się przed sędzią śledczym w pokoju przesłuchań więzienia Regina Coeli. Towarzyszyli mu prokurator Francesco Scavo i obrońca Pasquale Bartolo.

Mimo niedawnej hospitalizacji Marco wydawał się w dobrej formie. Był spokojny i w pełni sił umysłowych. Brak tupeciku odbierał mu nieco uroku, ale jednocześnie dodawał mu aury odpowiedniej do gry, jaka się miała rozegrać, począwszy od oskarżenia o morderstwo z premedytacją, które mogło go kosztować dożywocie.

– Zacznijmy od formalności. Nazywa się pan Marco Proto, prawda? – zapytał sędzia.

– Prato – poprawił go chłopak.

– Urodzony?

– 14 czerwca 1984 roku w Rzymie.

– Mieszka pan sam czy z innymi osobami?

– Obecnie z rodzicami.

– Czy ma pan kogoś jeszcze w najbliższej rodzinie?

– Mam starszą siostrę, która jest mężatką.

– Czyli pańska siostra nie mieszka z panem?

– Mieszka w tym samym budynku, ale nie w tym samym mieszkaniu.

– Stan cywilny?

I tutaj, kilka minut od rozpoczęcia przesłuchania, Marco Prato po raz pierwszy pozwolił sobie na swobodę.

– Panna.

– Chciał pan powiedzieć: *kawaler*? – skorygował sędzia.

– Kawaler, przepraszam – poprawił się Marco.

Dziennikarze rzucili się na Leda Prato i Marię Pacifico, rodziców Marca, tak samo jak w poprzednich dniach na państwa Foffo. Mecenas Bartolo odrzucał wszystkie prośby o wywiad. Reporterzy zaczęli obserwować okolice piazza

Bologna, czaili się na każdym rogu ulicy, za każdym barem lub klubem, gdzie mógł pojawić się krewny lub przyjaciel Marca. Im mniej znajdowali, tym bardziej się denerwowali. Im bardziej się denerwowali, tym bardziej kusiło ich, by źle o nim pisać.

Bartolo zadziałał jako tarcza. W dniu przesłuchania pojawił się na via della Lungara, dokładnie naprzeciwko więzienia Regina Coeli, i rzucił się dziennikarzom na pożarcie.

– *Dottor* Bartolo, niech pan poczeka!

Bartolo, łysiejący mężczyzna w ciemnym płaszczu, o szczupłej i nieco nerwowej twarzy, zwolnił. W mgnieniu oka otoczyła go mała armia uzbrojona w kamery i mikrofony.

– Mam do powiedzenia przede wszystkim to, że postanowiliśmy odpowiedzieć na wszystkie pytania prokuratury, które zostaną zadane – oznajmił prawnik.

– Zatem oskarżony nie skorzysta z prawa do milczenia? – zapytała jedna z dziennikarek.

– Wyjaśni, jaka jest jego rola w tej sprawie.

Dziennikarka zmieniła ton:

– Jaki jest stan pańskiego klienta? Czy rozmawialiście ze sobą?

– To stan kogoś, kto właśnie próbował popełnić samobójstwo.

– Ale czy okazał skruchę?

– Okazał skruchę jako chłopak, który zrobiwszy coś, w następstwie próbuje popełnić samobójstwo – odparł Bartolo. – Myślę, że nie ma tu nic do dodania.

Tak, ale czym dokładnie było to *coś*?

Ojciec Luki Varaniego zaczynał mówić. Pan Foffo swoim wywiadem w *Porta a Porta* nakarmił prasę na długie tygodnie. Państwo Prato otoczyli się murem. Ani ojciec Marca, ani jego matka, siostra, inni krewni czy bliscy przyjaciele nie wydali żadnego oświadczenia.

– Milczą jak zaklęci – narzekali niepocieszeni dziennikarze.

Można uciec przed prasą, ale nie przed karabinierami, kiedy przychodzą z nakazem przeszukania domu.

Śledczy bardzo chcieli dostać w swoje ręce komputery Marca Prato. Instrukcje w listach pożegnalnych napisanych w hotelu San Giusto były jasne: zniszczcie komputer i telefon, „skrywają to, co we mnie brzydkie”. Karabinierzy zadzwonili do drzwi państwa Prato o 20.40. Otworzyła im pani

Maria. Przeszukano mieszkanie. W pokoju Marca śledczy znaleźli laptop. Brakowało drugiego komputera. Pani Maria wyjaśniła, że przekazała go adwokatowi, aby mógł lepiej przygotować się do obrony. To nie spodobało się karabinierom. Komputer mógł zostać przekazany obrońcy w celu zniszczenia dowodów. Błyskawicznie uzyskali zgodę na natychmiastowe przejęcie urządzenia.

Po przeanalizowaniu zawartości iPhone'a i dwóch komputerów wojskowi informatycy zasygnalizowali obecność plików, które powinny zostać włączone do akt sprawy: „Dwa nagrania wideo w sposób rażący pedopornograficzne" („Znajomi mi je wysłali, to nie moja wina", bronił się Marco). Dodano do nich trzy nagrania, na których Marco uprawiał seks oralny z innymi mężczyznami, w tym z Manuelem Foffo. Karabinierzy oznaczyli również strony internetowe, które Marco przeglądał na swoim telefonie komórkowym, zanim został mu odebrany: artykuł na temat adopcji przez pary homoseksualne; filmy porno; google'owanie firm dowożących jedzenie do domu; wyszukiwanie, również przez Google, informacji o tym, jak popełnić samobójstwo przez przedawkowanie Miniasu.

Problemem były dokumenty przechowywane w chmurze. Kiedy karabinierzy do niej weszli, nie znaleźli nic ważnego, ale dostrzegli, że ostatnio wprowadzono tam zmiany, których nie dało się cofnąć.

– To kompletny absurd, że Apple wam nie pomaga, gdy w grę wchodzi morderstwo – powiedziałem jakiś czas później jednemu z karabinierów, który skrupulatnie zajmował się tą sprawą.

Spojrzał na mnie ze szczerym zdziwieniem, jakbym właśnie przyleciał z innej planety.

– Ale przepraszam bardzo – zapytał – czy pamięta pan masakrę w San Bernardino?

Skoro Apple odmówiło FBI podania hasła do iPhone'a terrorysty, który spowodował śmierć czternastu osób w imię ISIS, to czego można było się spodziewać, gdyby prośba przyszła z posterunku karabinierów na Eskwilinie w związku z zabójstwem chłopaka z rzymskich przedmieść?

– Jakie ma pan wykształcenie? – zapytał sędzia, kontynuując przesłuchanie.

– Ukończyłem nauki polityczne na LUISS – odpowiedział Marco Prato – a następnie kurs specjalizacyjny z marketingu i organizacji wydarzeń w Paryżu.

– Jaką pracę pan wykonuje?

– Organizuję wydarzenia. Mam zarejestrowaną działalność gospodarczą. Z dwoma partnerami biznesowymi prowadzę działalność o nazwie *A(h)però*. Zajmuję się także doradztwem i reżyserią artystyczną dla różnych lokali.

– Jak długo wykonuje pan tę pracę?

– Od mojego powrotu z Paryża. W dwa tysiące jedenastym próbowałem tam popełnić samobójstwo po zakończeniu związku. Wróciłem do Włoch, żeby wylizać się z ran.

– Wrócił pan do Włoch.

– Tak, spędziłem jakiś czas w klinice psychiatrycznej.

– Czy może mi pan wyjaśnić, jakiego rodzaju miał pan problemy?

– Widzi pan – Marco nie dał się prosić – problemy osobowości takiej jak moja są złożone i wieloaspektowe. Jeden z aspektów dotyczy tego, że moja siostra zachorowała na dystrofię mięśniową. Miała wtedy czternaście lat, ja siedem. Od tamtej pory zaczęło mi brakować miłości mojej matki i zacząłem poszukiwać innych źródeł miłości, aby wypełnić tę pustkę. W mojej rodzinie dominują postacie kobiece. Moja matka jest kobietą o silnej osobowości. Moja siostra, mimo że niepełnosprawna, również ma silną osobowość. Moja babka też taka była. Punktem odniesienia jest kobieta. To rozwinęło we mnie homoseksualność… a także, w pewnym momencie, chęć zmiany płci.

– Więc jest pan homoseksualny.

– Tak, ale pociągają mnie heteroseksualiści – podkreślił Marco. – Miałem wiele związków z homoseksualistami. Ale tak naprawdę pociągają mnie hetero.

Tak jak Manuel domagał się prawa do zniknięcia, tak Marco obnosił się ze swoją samoświadomością, mówił powoli i monotonnie, jakby ujawniał swą udrękę, domagając się przy tym, by nikt nie podawał jej w wątpliwość. Znam siebie, wiem kim jestem, zdawał się mówić, a wy nie. Piszcie. Stenografujcie. Teraz wam powiem.

– Zakładam, że jest pan świadomy treści oskarżenia – kontynuował sędzia. – Zarzuty są bardzo poważne. Morderstwo ze szczególnym okrucieństwem w zmowie z Manuelem Foffo. Przede wszystkim pytam: czy przyznaje się pan do zarzucanego czynu, czy też całkowicie mu zaprzecza?

– Nie zaprzeczam całkowicie.

Nie zaprzeczył, że był w domu Manuela. Nie zaprzeczył, że pośredniczył w spotkaniu z Lucą Varanim. Nie zaprzeczył, że widział jego śmierć. Mimo

to wiele pozostawało do wyjaśnienia.

– Widziałem Manuela Foffo dwa razy w życiu. Pierwsze cztery dni od 1 do 4 stycznia. Kolejne cztery dni w związku z ostatnią sprawą.

Tą ostatnią sprawą była śmierć Luki.

– Pozostawaliście w przyjaznych stosunkach? Czy między wami było coś więcej?

– Powiedzmy, że byłem jego laleczką.

– Jego czym? – upewnił się sędzia.

– Jego laleczką. Jego obiektem seksualnym. A ponieważ Manuel uważa, że jest heteroseksualny, nie zgodził się, żebym… to znaczy, nie chciał, żebym był mężczyzną. Więc mnie depilował. Używał swoich maszynek do golenia. Potem malował mi paznokcie. Wciąż mam na palcach lakier do paznokci jego matki.

– Manuel nakładał panu kobiecy makijaż.

– Tak.

– I to było w styczniu?

– Na pewno widział pan moje stare zdjęcia, obecnie są wszędzie dostępne. Być może zauważył pan, że na tych zdjęciach mam brodę. Ale teraz jej nie mam. Ogoliłem się w domu Manuela. Chciał mnie takiego. Ogoliłem się, wydepilowałem ręce. Lakier do paznokci, jak już mówiłem, należał do jego matki. Perfumy też. Szminka i tusz do rzęs…

– W porządku, wróćmy do styczniowych dni – przerwał mu sędzia – czy spożywaliście wtedy alkohol?

– Alkohol i kokainę.

– W jakich ilościach?

– Żeby spędzić cztery dni z Manuelem bez zmęczenia, zwłaszcza przy tym, co mi kazał robić, byłoby trudno bez dużych ilości.

– Pan kupował kokainę?

– Kupowałem ja, ale diler tylko przychodził pod dom. A ponieważ Manuel wstydzi się opinii innych ludzi, sam po nią schodził. Nie chciał, żeby sąsiedzi widzieli mnie w kobiecym przebraniu.

Wspomniał też o wideo, które Manuel nakręcił swoim telefonem komórkowym.

– Chciał mieć pewność, że to nagranie się nie rozejdzie.

Potem Marco wrócił do mówienia o sobie. Powiedział, że ze swoją matką nie rozmawiał od roku, że w ostatnich miesiącach miał romans („z gejem, który straszliwie mnie nudził”), dodał, że w marcu, kiedy wrócił na via Igino

Giordani, on i Manuel kupili więcej kokainy i zaprosili kilka osób. Przyszedł ten Alex Tiburtina. Potem pojawił się jeszcze jeden facet.

– Pracownik restauracji ojca Manuela. Nie pamiętam, jak się nazywa – wyjaśnił Marco. – Ja nazywam go *Cicciabomba*, grubasek.

– Pojawił się… – przerwał sędzia. – Przepraszam na moment, czy ta osoba ma imię? Proszę sobie przypomnieć, w przeciwnym razie skończy się na tym, że i ja będę go nazywał *Cicciabomba*.

Marco powiedział im, że zadzwonili również do Damiana Parodiego, jego kolegi, zamożnego faceta. To on przedstawił mu Lucę.

– Luca Varani był mechanikiem z Valle Aurelia – powiedział Marco – z Valle Aurelia lub Primavalle, nie pamiętam dobrze.

– I jeśli dobrze zrozumiałem – stwierdził sędzia – Luca był kimś w rodzaju osoby, która się prostytuowała.

– Nie był *kimś w rodzaju osoby, która się prostytuowała* – uściślił Marco – on *się prostytuował*.

– On się prostytuował – powtórzył sędzia.

– Był męską dziwką – dodał Marco – ale też dilerem narkotyków. Od czasu do czasu dzwonił do mnie, żeby sprzedać mi koks.

Sędzia zapytał, jak udało mu się zwabić Lucę do domu Manuela.

– Powiedziałem mu: *Chodź, dostaniesz sto pięćdziesiąt euro*.

– Więc to była wyraźna umowa zawarta przez telefon?

– Jasne.

– I pan mu powiedział…

– *Chodź, jest nas dwóch, jest mój kumpel hetero, a ja jestem zrobiona na kurwę. Damy ci sto pięćdziesiąt euro*. Myślę, że powiedziałem mu coś takiego.

– On się zgodził?

– Tak, zgodził się.

Sędzia zapytał, co stało się później. Marco przedstawił swoją wersję wydarzeń. Ten chłopak miał za sobą dwie próby samobójcze, jeszcze nie zmetabolizował alkoholu i narkotyków, tęsknił za bliskością matki, został wypuszczony ze szpitala, właśnie doświadczył więzienia, gdzie prawdopodobnie długo pozostanie, przeszedł przez cztery dni delirium, którego kulminacją było zabicie chłopaka, a mimo to mówił tak, jakby miał wszystko pod kontrolą, jakby każdy szczegół, każdą chwilę, nawet odmienne stany świadomości, był w stanie spójnie uporządkować, aby wyeksponować

je w sposób niebudzący zastrzeżeń u jego oskarżycieli.

Marco zakończył rekonstrukcję morderstwa, przedstawił swoją wersję tego, kto co zrobił, a przede wszystkim stwierdził, że nigdy nie uderzył Luki.

– Istnieją ogromne różnice w zeznaniach oskarżonych – zauważył prokurator Scavo.

– Tak – potwierdził sędzia – są istotne rozbieżności między pańską wersją wydarzeń a tą, którą podał Manuel Foffo. Proszę powiedzieć – zwrócił się do Marca – czy oglądał pan telewizję w ostatnich dniach?

Odnosił się do możliwości, że Marco Prato i jego obrońca ustalili linię obrony w oparciu o to, co Manuel powiedział prokuratorowi, o czym by nie wiedzieli, gdyby nie wywiad w telewizji przeprowadzony przez Bruna Vespę.

– Zostaliśmy zaproszeni do udziału w tym programie – przyznał obrońca – ale odmówiliśmy. Oglądając telewizję, nie mogłem nie zauważyć, że pokazywano protokół z przesłuchania.

– On nie powinien wyjść na zewnątrz – stwierdził prokurator.

– Zapewniam pana, że Manuelowi łatwiej jest myśleć, że zabił kogoś dla przyjemności, niż wyobrazić sobie, że jest gejem – zmienił temat Marco Prato.

– W porządku, może pan podpisać protokół – oznajmił sędzia, kończąc przesłuchanie.

Ludzie ścigali się ze sobą o to, kto ma z nimi najwięcej wspólnych znajomych na Facebooku.

Ja z Markiem Prato miałem trzech. W moim kręgu wszyscy mieli z nim wspólnych znajomych. Nikt z Lucą Varanim. Bardzo niewielu z Martą Gaią Sebastiani.

Mój facebookowy krąg składał się z pisarzy, dziennikarzy, nauczycieli licealnych, ludzi, którzy w różnym charakterze pracowali w świecie radia lub w branży wydawniczej. W kręgu Marca byli projektanci wnętrz i mody, aktorzy telewizyjni, właściciele klubów. Te dwa światy komunikowały się ze sobą. Wystarczyło kilka telefonów i siedziałem w barze na Zatybrzu ze Stefanem.

– To jeden z tych, co wciągają kreskę, zaczynają się pocić w klubach i myślą, że wszyscy są przeciwko nim. Taki był Marco Prato.

Stefano miał czterdzieści siedem lat, kilka sklepów z odzieżą w okolicach via Cola di Rienzo i kręcił się po dzielnicach Prati i Monti, przy moście Mulwijskim i na *gay street*, jak nazywano pewien odcinek via San Giovanni in Laterano odchodzącej od Koloseum. To były miejsca spotkań. Rzadko kiedy znajomi Marca udawali się na przedmieścia.

– A ta historia z Dalidą? Nie uważasz, że to kompletna żenada? – dodał i upił łyk soku.

Nasze środowiska miały punkty styczne. Ale krąg Stefana i Marca, w przeciwieństwie do mojego, ostrożnego i powściągliwego, składał się z ludzi, którzy choć trochę próbowali wziąć się za bary z losem. Otwierali butiki, kluby nocne, galerie sztuki. Podejmowali ryzyko. Sprawiali, że pieniądz krążył.

– Nosił tupecik, bo miał kompleks na punkcie swoich włosów. Starał się, by go widywano w towarzystwie sławnych ludzi. Posunął się nawet do udawania chłopaka Flavii Vento.

– Flavii Vento, tej *showgirl*?

Stefano powiedział, że imprezy organizowane przez Marca nie były niczym szczególnym. Czy byłem kiedyś na *A(h)però*? Powiedział, że wystarczy posiadać odrobinę wyczucia estetycznego, aby nie być pod wrażeniem.

– A jego rodzina? – zapytałem.

– Zwykłe nieporozumienia. Ale to nie ma nic wspólnego z morderstwem.

Wszyscy mamy skomplikowaną historię rodzinną, zauważył, wszyscy walczyliśmy o to, by nas nie zniszczyła.

– Mój ojciec był okropny. Kiedy usłyszał, że jestem ciotą, przestał się do mnie odzywać. Nie widzieliśmy się od lat. I co, myślisz, że z tego powodu chodzę po mieście i zabijam ludzi? Nożeż kurwa!

Za bardzo to przeżywa, pomyślałem. Mieszkaliśmy w mieście, w którym wybuchowa i pełna urazy reakcja na tragedię była formą obrony. Nadymaliśmy się cynizmem, by przetrwać cynizm, który w Rzymie był pierwszą lekcją życia.

– Facet taki jak Marco nie przetrwa w więzieniu – orzekł Stefano i spochmurniał. – Ale Prato mają koneksje, stać ich na najlepszych prawników.

Stefano przyjechał do Rzymu z Kalabrii dwadzieścia lat wcześniej. Harował jak wół. Kelner, sprzedawca, instruktor pływania. Otworzył swój pierwszy sklep za pieniądze z odprawy. Nie mógł wybaczyć Marcowi, że zaczął z uprzywilejowanej pozycji, a skończył w tak straszliwej historii.

– Czy ty masz, kurwa, pojęcie, jak musiałem się narobić, żeby wyjść na prostą w takim miejscu? Rzym to miasto, gdzie się już niczego nie produkuje – potrząsnął głową. – Tu nie ma przemysłu, nie ma kultury biznesowej, gospodarka jest pasożytnicza, turystyka trzeciorzędna. Masz ministerstwa, Watykan, telewizję, sądy. Z tego właśnie jest zrobiony Rzym, to miasto produkuje już tylko władzę, władzę, która się rzuca na inną władzę, a ta miażdży jeszcze inną władzę, a tamta jeszcze inną traktuje jak gówno. Zero postępu. To normalne, że ludziom tu odbija.

Zamawiam kolejny sok.

– Dowiedz się, co twój Marco nawyprawiał, gdy ostatnim razem był na Mykonos – rzucił z jeszcze większą pogardą.

Porozmawialiśmy przez chwilę. Potem udałem się na kolejne spotkanie.

– To była noc czarownic, serio, zresztą zaraz potem rozpętała się ta potężna burza nad miastem – mówiła Elisa.

Byliśmy na piazza Vittorio, parę kroków od siedziby karabinierów, w której przesłuchiwano Manuela. Elisa była kilka lat młodsza ode mnie. Znaliśmy się od dawna. Smukła blondynka, mocno podkreślone czarne brwi. Pracowała w studiu graficznym, obracała się w kręgach didżejów, ludzi z reklamy, młodych stylistów marzących o pracy dla Gucciego.

– Wieczorem na *gay street* wybuchła panika – opowiadała – wszyscy gapili się w smartfony, widząc w sobie potencjalne ofiary. Marco miał kilka kont na Grindrze.

Przeszliśmy się do parku na Colle Oppio. Powiedziała, że rozeszła się plotka o rosyjskiej ruletce. Marco Prato i Manuel Foffo, mówiła, wysłali dziesiątki esemesów do losowo wybranych osób. Zaproszenie na imprezę. Gdyby ktoś skorzystał, mógłby podpisać na siebie wyrok śmierci. Tak więc teraz, na via di San Giovanni in Laterano, jednym z najbardziej uczęszczanych miejsc spotkań społeczności gejowskiej, ci, którzy otrzymali wiadomość od Marca Prato w poprzednich dniach, wpadli w histerię.

Weszliśmy na Colle Oppio. Po lewej stronie znajdował się bar otoczony sosnami, powietrze było świeże, światło dyskretne, na ławkach spali włóczędzy.

– Skłonności manipulacyjne, kompleks wyższości, całkowity brak empatii. Dodaj do tego narkotyki – powiedziała Elisa, próbując przedstawić swoją osobistą wersję wydarzeń.

– Zdaje się, że wciągnęli dwadzieścia osiem gramów kokainy w trzy dni – zauważyłem. – Jak to w ogóle możliwe?

– Prawie wszyscy moi przyjaciele to cioty – zmieniła temat. – Kultura homoseksualna w pewnych kręgach zmieniła się w porównaniu z czasami, kiedy byliśmy dziećmi, myślę o tych, którzy rozumują kategoriami rynkowymi. Każdy ma określoną rolę, każdy odgrywa jakąś postać. Każdy rywalizuje z każdym. Dlatego atmosfera jest taka napięta.

– Świat hetero wcale nie działa inaczej – stwierdziłem.

Elisa wróciła do ulewnego deszczu, który spadł zaraz po morderstwie. Jakby miasto, od tygodni trapione bolączkami, znalazło sposób, by się od nich uwolnić. Ale to była krótka ulga. Już po chwili świerzb powracał.

Wtedy to zauważyliśmy. Stary amfiteatr w głębi alei, blady i szary jak księżyc, kiedy wisi nad horyzontem tak nisko, jakby miał zaraz spaść. Koloseum w zimnym marcowym powietrzu, śmieci, bezdomni, stęchła woda w fontannach. Niedaleko, ledwo osłonięty żywopłotem, na świeżym powietrzu sikał mężczyzna w średnim wieku. W Rzymie każdy robi, co mu

się, kurwa, podoba, pomyślałem. Pijani kibice Feyenoordu wskakiwali do fontanny di Trevi i obtłukiwali fontannę Berniniego na piazza di Spagna, wandale dekapitowali posągi poetów w Villa Borghese, wielkie worki ze śmieciami przelatywały od budynku do budynku, ludzie sikali wszędzie, w powietrzu unosił się odpust zupełny, a ja, choć w innym mieście prędzej pozwoliłbym, by eksplodował mi pęcherz, sam niejednokrotnie zwilżałem mury serwiańskie.

– Ależ to niewiarygodne miejsce – powiedziałem, myśląc na głos.

– Kiedy ty i twoja żona tu przyjechaliście?

– Ja osiemnaście lat temu, ona szesnaście. Ona z Piacenzy, ja z Bari.

– A co myślisz o was tutaj, teraz?

– Kiedy przyjechaliśmy, wszystko było wspaniałe – powiedziałem. – Rzym nigdy się dla nas nie kończył. Nawet teraz się nie kończy, ale już w inny sposób.

– Zrobiło się wam duszno?

– Powiedzmy, że od czasu do czasu czujemy, że w nim grzęźniemy. A czasami obawiam się, że my też, w pewnym sensie, jesteśmy częścią tej duchoty, choć może nawet nie zdajemy sobie z tego sprawy.

– Jest taki facet – powiedziała Elisa – ma na imię Michele. On znał Marca znacznie lepiej niż ja. Pogadaj z nim.

Pół godziny później byłem przy Portyku Oktawii. Złapałem autobus jadący na piazza Venezia. Koło largo di Torre Argentina zobaczyłem taksówkarza bijącego się z klientem. W pobliżu piazza del Gesú, między kościołem a kamienicą naprzeciwko, odniosłem wrażenie, że słyszę świst wiatru przypominający rozżalony płacz starca. Znalazłem pub, gdzie Michele pił z przyjaciółmi. Przedstawiłem się. Wyszliśmy porozmawiać przed lokal.

– Grubas i niezdara. Prześladowany w szkole za homoseksualność. Zdezorientowani rodzice. To mogło go zniszczyć – powiedział mi – a tymczasem zniknął na parę lat i wrócił na scenę jako ktoś całkiem inny. Chodząca reklama siłowni.

Michele miał trzydzieści pięć lat. Wysoki, długie włosy, dżinsowa kurtka i czarna czapka.

– To nieprawda, że te jego imprezy to był paździerz – kontynuował – *A(h)però* w ostatnim czasie zrobiło się modne. Zaczęły się pojawiać VIP-y. Nadia Bengala, była miss Włoch. Od czasu do czasu przychodził jakiś aktor. Zaczęli przychodzić pedzie, którzy gardzili gejowskimi imprezami, co jest

dla gejowskiej imprezy największą pochwałą. Marco był bystry, szybki, miał dobrą intuicję, był też ekscentrykiem, ale kto nie lubi przyciągać spojrzeń?

– Był pieprzonym egocentrykiem i stalkerem – wtrącił się chłopak, który podsłuchał naszą rozmowę. – Jestem Alessandro, miło mi.

– Dlaczego mówicie o Marcu w czasie przeszłym?

– Zaczepił mnie na Grindrze kilka miesięcy temu – wyjaśnił Alessandro. – Wyszedłem z nim kilka razy. Marco był pasywny, mówił, że jest dwubiegunowy, takie tam bzdury, by podbić sobie bębenek. W każdym razie ja nie byłem w jego typie, a on nie był w moim, ale niektórzy kumple mówili, że ich napastował.

– W jakim sensie napastował?

– To mówili kumple hetero. Słuchaj, mam się spotkać z ziomkami na stacji Re di Roma, jeśli chcesz, możesz iść ze mną.

Zabrał mnie do klubu niedaleko via Faleria, zapoznał z przyjaciółmi. Wszyscy byli młodsi ode mnie. Usiedliśmy, żeby się napić.

– Powtarzał do znudzenia starą melodię, że żadna, nawet najbardziej chętna dziewczyna nie obciągnie ci tak dobrze, jak facet – powiedział trzydziestoletni Roberto. – Tłukł to tak długo, dopóki ktoś się nie poddał. Czuł się wtedy kobietą, która podbijała prosto do heteryków.

– Był dziwny we wszystkim. Kiedy wciągał koks, wydawał się zgaszony.

– A skoro już o tym mówimy: idzie ktoś do kibla przypudrować nosek?

– Tam, gdzie się pojawiał, robił się bajzel.

– Kiedyś dosłownie porwał chłopaka hetero. Rodzice chcieli wezwać policję.

– Ej, to chyba nie było tak.

– W liceum należał do lewicowej organizacji. Podczas wieczorów filmowych popisywał się. Gadał i gadał. Był w tym naprawdę dobry. Spierał się z faszolami.

– Jakość pierwsza klasa – oznajmił jeden z chłopaków wracających z łazienki.

– W szkole udzielał kumplom korepetycji za darmo.

– W ostatnim roku nie szło mu w interesach. Złapał doła.

– Na Mykonos wślizgnął się do willi obrzydliwie bogatych mediolańczyków. Okazało się, że chciał wyłudzić darmowe wakacje. Wyrzucili go za drzwi.

– Był jednym z najbardziej inteligentnych i wrażliwych ludzi, jakich

kiedykolwiek spotkałem – powiedział chłopak w swetrze z warkoczowym splotem. – Myślę, że gówno rozumiecie.

– Strasznie się przejmował przedwczesnym łysieniem.

Mówili o nim tak, jakby nie żył. Nawet ci, którzy go bronili, dystansowali się od niego. Odniosłem wrażenie, że bali się nie tyle powiązania z morderstwem, co z nazbyt żenującym epizodem, tak jakby to właśnie – śmieszność, nie groza – stanowiło niebezpieczeństwo.

– W niedzielę, kiedy wyszło na jaw morderstwo, w Os Club miało się właśnie zacząć *A(h)però*.

– Partnerzy Marca byli zdezorientowani. Nie wiedzieli, co robić. Takiego przypadku nie opisuje podręcznik organizacji idealnego aperitifu. W końcu jednak zrobili tę imprezę.

– Sytuacja była niepojęta.

– Wszyscy pili spritze i rozmawiali o morderstwie.

– Zdaje się, że urządzili casting na ofiarę.

– Dwadzieścia trzy takie same wiadomości. *The Ring* na Collatino, film produkcji 20th Cweltury Fox. Czyja kolej do kibla?

Aluzję do słynnego horroru rzucił gość, który kazał na siebie mówić Vanilla. Facet po trzydziestce. Kiedy mówił, ciągle wysuwał pulchną stopę ze skórzanego mokasyna i przyciskał ją do podłogi takim ruchem, jakby chciał zgasić papierosa. Do klubu wszedł ktoś, kogo znałem.

– Paolo! – krzyknąłem. Odpowiedział mi uśmiechem, przywitał się z pozostałymi. Musiał się tu czuć jak w domu. Pracował w drukarni pod Rzymem, poznaliśmy się kilka lat wcześniej. Przysiadł się do nas.

– Czy ktoś z was zna Manuela Foffo? – zapytałem, kiedy wróciliśmy do rozmowy.

– Przed niedzielą nigdy o nim nie słyszałem – powiedział Roberto.

– On nie jest z naszej bańki.

– Nie widziałem, nie słyszałem.

– Najwyraźniej jakiś pechowiec.

– A Lucę Varaniego?

– Tę męską dziwkę? Niezaliczona.

– Żigolak *never covered*.

– Żigolak *never mind* – rzucił inny, machając ręką, jakby chciał się pozbyć irytującej myśli.

– Zapalimy? – zapytał w końcu Paolo, zirytowany kolejnymi tekstami

tego typu.

Wyszliśmy z klubu i wznowiliśmy rozmowę. Patrzyłem na samochody pędzące ulicą.

– Słyszałeś, jak oni rozmawiają? – zapytał Paolo, biorąc mnie na stronę. – Obnoszą się po *gay street*, ale na Boże Narodzenie jadą do rodzinnej pipidówki i opowiadają starym, że znaleźli sobie dziewczynę w Rzymie. Tutaj wszyscy nienawidzą wszystkich, a najbardziej samych siebie.

Paolo był w moim wieku. Pochodził z innego środowiska niż ludzie, z którymi się spotkaliśmy. Z dumą i determinacją wyszedł z szafy, gdy był jeszcze chłopcem. Jako nastolatek bardzo podziwiałem takich jak on. Takich, którzy zanurzyli się z otwartymi oczami w tajemnicę swojej seksualności i wyszli z niej na przekór ludzkim uprzedzeniom. Chłopcy w wieku piętnastu, szesnastu lat, chłopcy, którzy kochali chłopców i nie bali się kochać nawet dużo starszych mężczyzn. Wtedy to zawsze była kwestia pożądania.

– Nie rozumiem pogardy dla Luki Varaniego – powiedziałem.

– Czysty i prosty klasizm – wyjaśnił Paolo. – Nie zapominaj, że część kultury homoseksualnej jest teraz prawicowa.

– Przecież oni wszyscy głosują na lewicę.

– Mylą kult pieniądza z kultem piękna. Dla nich piękno to osiemdziesiąt milionów followersów Rihanny. Władza. Jacht. Wakacje w tropikach. Ci, którzy nie prowadzą takiego życia, nie są godni istnienia. Problem polega na tym, że przede wszystkim *oni* nie prowadzą takiego życia.

Chociaż nic nie wiedzieli o Luce, założyli, że był męską prostytutką, i chociaż było to moralnie nieistotne dla wydarzenia, usilnie starali się przypisać temu dyskryminującą wartość: krytykowali, aby ukryć, że polują na słabych. Dodatkowo połączenie morderstwa z prostytucją, a nie z przypadkiem, dawało im poczucie bezpieczeństwa. Mnie to nigdy nie spotka, myśleli.

Samochody wokół nas kłębiły się w gigantycznym roju, rozjeżdżały promieniście z piazza Re di Roma, oddalały w głąb via Appia, spieszyły w kierunku Cinecittà. Światła reflektorów, światła stopu. Nagle pomyślałem, że w rozkładzie i upadku Rzymu jest jakaś logika. Cynizm zajmował miejsce wiary, nuda – nadziei, acedia – pracowitości. To była ścieżka koksu, biała sieć energetyczna zasilająca miasto. Im mniejsze znaczenie dla ludzkich relacji miały ulice, tym bardziej koka wypełniała je swoim własnym sensem,

wyganiała z domów pracowników biurowych, specjalistów, studentów, robotników, dyrektorów, dentystów, śmieciarzy, łączyła wszystko ze wszystkimi bez rozróżniania na rasy, płcie, wyznanie czy klasy społeczne, była potężnym społecznym klejem sprawiającym, że spotykali się ludzie, którzy inaczej nigdy by się ze sobą nie zetknęli. Zmuszała ich do poznawania się, rozmawiania, tworzenia więzi.

– Żyjąc w świecie, który zasadniczo nami gardzi – ciągnął Paolo – my, geje, musieliśmy ciężej pracować, by zbudować sobie własną sentymentalną gramatykę. Ale u nich – wskazał na resztę grupy – brak odniesień jest uderzający. Społeczeństwo oferuje ci setki modeli wydmuszek do wyboru, jeśli chcesz uciec od koszmarnego wysiłku zrozumienia, kim jesteś.

Daje ci lustro wody, pomyślałem, ale nie będziesz w stanie zobaczyć, co kryje się w głębi.

– Dlaczego interesuje cię ta sprawa? – zapytał Paolo.

– Znajduję w niej rzeczy, które mnie dotyczą.

– W sensie?

Nie chciałem go okłamywać, ale nie miałem też ochoty opowiadać o sobie.

– Rzeczy, które mi się przydarzyły, kiedy byłem nastolatkiem.

– Cokolwiek to było – odparł – wydaje mi się mało prawdopodobne, żebyś znalazł analogie. Jesteśmy dinozaurami. Nowe pokolenia mają własne problemy, zasoby, paranoje, cechy charakteru, które trudno nam sobie wyobrazić. Przeszłość już prawie nie istnieje. A przyszłość należy do nich. Na nasze szczęście.

Minęła północ. Byłem śpiący, pożegnałem się ze wszystkimi, przeszedłem przez ogrody wzdłuż via Carlo Felice, następnie minąłem bazylikę Świętego Krzyża z Jerozolimy. Niebo było pełne gwiazd. Zamykały się pizzerie prowadzone przez Egipcjan i wypełnione towarami po sufit sklepy Bengalczyków. Minąłem martwą strefę między via Pietro Micca i via Balilla. Jakiś facet, oparty plecami o sklepową kratę, zaciągał się papierosem i patrzył gdzieś w dal.

Po powrocie do domu przebrałem się w piżamę i włączyłem komputer. Sprawdziłem pocztę, odpisałem na kilka maili. To, co interesowało mnie najbardziej, zostawiłem na koniec. Google Alert. Setki nowych powiadomień o sprawie Varaniego. Przeczytałem pierwsze artykuły. Aż podskoczyłem. Tego się nie spodziewałem. Ledo Prato wyszedł z ukrycia. Stateczny,

trzeźwy profesjonalista z katolickiej burżuazji postanowił przerwać milczenie. Nie zrobił tego w stylu Valtera Foffo, nie był tak nierozważny, by zaufać oku kamery. Napisał długi refleksyjny post na swoim blogu. Kliknąłem w link. *Bez względu na wszystko wciąż jestem sobą*. Tak brzmiał tytuł wpisu. Zacząłem czytać.

Drogie Przyjaciółki, Drodzy Przyjaciele,

chcę Wam publicznie podziękować za liczne wiadomości od was, wyrażające bliskość, przywiązanie i smutek z powodu tragedii, która dotknęła moją rodzinę i krewnych. Życie niesie ze sobą wiele niespodzianek, niektóre są szczęśliwe, inne nie. Jedne i drugie nadają mu charakter, kolor, kształt, treść. […] Przez te długie lata starałem się przekazywać ludziom nadzieję, odwagę i ufność, budować piękno, zachowywać podstawowe wartości życia, wierzyć w dobrą przyszłość. Czasami mi się to udawało, czasami nie, co dobitnie pokazała ta tragedia. Być może myślimy, że możemy odegrać decydującą rolę w relacjach międzyludzkich i rodzinnych, ale nie zawsze tak się dzieje.

Czasami przypisujemy sobie umiejętności, których nie posiadamy. Przykład egzystencji czerpiącej inspirację z uczciwości, szacunku dla życia – własnego i cudzego – które zostało nam dane i którego nie jesteśmy absolutnymi panami, zderza się z trudnymi kontekstami i relacjami międzyludzkimi, z nie zawsze godnymi pochwały wyborami. Z decyzjami radykalnie sprzecznymi z wyznawanymi przez ciebie wartościami, a te decyzje wydają się niweczyć misję życia, któremu poświęciłeś wszystko bez reszty.

W dzisiejszych czasach, gdy prasa rozdarła na strzępy życie trzech rodzin dotkniętych nieszczęściem, każda w dramatycznie inny sposób, można było przeczytać generalizujące osądy, półprawdy lub prawdy wygodne, wyrażenia sięgające najciemniejszych czasów na kartach naszej historii. Przychodzi mi na myśl fragment Ewangelii sprzed kilku tygodni. Bohaterem jest drzewo figowe, które nie przynosi owoców i z tego powodu proponuje się jego ścięcie. Postanawia się jednak postąpić inaczej, okopuje się je, podlewa i wyznacza czas: jeśli nie przyniesie owocu w ciągu trzech lat, zostanie ścięte. To nie tylko akt miłosierdzia, to akt mądrości, który sugeruje roztropność, cierpliwość, ponieważ czas na poszukiwanie prawdy jest długi, a ludzka sprawiedliwość głęboko ograniczona. […]

Czujcie się wolni, jeśli chcecie opuścić tę stronę, wycofać swoją przyjaźń, jeśli nasza tragedia sprawia wam ból lub powoduje irytację, jeśli nie jesteście już zainteresowani czytaniemtego bloga, dzieleniem się refleksjami, ponieważ straciliście zaufanie do autora. […] Chcę przywołać tylko jeden mały fragment spośród wielu. Jego autorem jest mój drogi przyjaciel, starszy ode mnie, pod każdym względem mądrzejszy i bardziej doświadczony, którego znam od

ponad dwudziestu lat. Napisał: „Twoja bezgraniczna zdolność do łączenia, mediowania, uspokajania, szukania szczelin, w które można włożyć rozwiązanie lub wbić klin, pozwoli ci pozostać mocnym w wierze, nie wpaść w czarną dziurę, utwierdzić się w wartości tego, co zrobiłeś, a także pomóc Marcowi. Jesteś osobą zdolną przemienić zło w dobro i tym razem musisz to udowodnić w sposób, który zadziwi świat”.

Mogę to zrobić i jestem to winien całej mojej rodzinie, moim bliskim, moim licznym przyjaciołom. […] Z waszą pomocą, z pomocą Pana, który nigdy nie zostawia nas samych, ponieważ jest gotowy wejść w naszą grzeszną historię, przygotowujemy się do przejścia z łagodnością przez tę burzę lekkim krokiem. Niech Bóg pomoże tym, którzy są w potrzebie.

Ledo Prato

W poprzednich dniach uważnie słuchałem, jeśli można tak powiedzieć, milczenia Leda Prato. Obserwowałem jego nieobecność, nie wiedząc, co mam o niej myśleć. Jego dyskrecja mogła być godnym podziwu dowodem szacunku lub wręcz przeciwnie, wybiegiem, dzięki któremu jedni ludzie nie pozwalają innym zrozumieć, co tak naprawdę ci pierwsi mają na myśli. Kiedy kusiło mnie, by obwiniać Leda Prato, podejrzewałem, że to z powodu mojego nieczystego sumienia, a kiedy byłem bliski uznania go za rzadki przykład cnoty, obawiałem się, że wpadam w retoryczną pułapkę. Ale teraz Ledo Prato przerwał milczenie, oddając swoje zasady w służbie najbardziej niewdzięcznego z zadań. Mimo to w jego tekście było coś, co mnie raziło. Ponownie go przeczytałem. Formalnie nie było w nim nic złego, ani jednego zdania, które gramatyk mógłby wyodrębnić, aby na jego podstawie domagać się krytyki czy wręcz potępienia. Zastanawiało mnie jednak to, co, jak sądzę, dostrzegałem między wierszami. Ledo Prato przedstawiał się jak dobry ojciec rodziny, atakował prasę, podkreślał wartość uczciwości i szacunku, jakby dziennikarze deptali te cnoty bardziej niż zabójcy Luki Varaniego, cieszył się otrzymywanymi głosami solidarności, okazywał ostentacyjne zrozumienie dla tych, którzy go obwiniali. Cytował Ewangelię. Ja za zasłoną tego wyznania pokory wyczuwałem oburzenie z powodu zagrożonej reputacji autora. To właśnie skłoniło go do pisania, pomyślałem.

Nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni, upominałem się w duchu. Powtarzałem sobie, że to człowiek udręczony, przytłoczony przez coś większego niż on sam, bez względu na to, jak bardzo stara się zachować spokój, nie kontroluje swoich działań.

A jednak coś w tym tekście wywoływało mój sprzeciw. Czy chodziło

o sposób, w jaki ryzykował zrównanie trzech rodzin? Czy o wysiłki, by wykazać się cnotą? A może spokojny ton, próba otoczenia tragedii murem rozumności, przekonanie, że można poddać rygorom zdrowego rozsądku coś, wobec czego należałoby właściwie skapitulować? Dopiero czytając wpis po raz trzeci czy czwarty, natknąłem się na coś, czego wcześniej nie dostrzegłem. Na szczegół, na którym się nie skupiłem, choć jego obecność podskórnie czułem. A raczej powinienem powiedzieć: nieobecność. Ledo Prato ani razu nie wspomniał bezpośrednio o swoim synu. Imię Marca pojawiło się tylko raz, w cytacie z listu od przyjaciela rodziny, który napomknął o chłopaku wyłącznie po to, by wychwalać charakter ojca. Niespodziewanie Marco Prato wydał mi się najbardziej samotną osobą na świecie. I na dowód tego, jak bardzo ta sprawa była gęstwiną sprzeczności, post Leda Prato tak mnie zirytował, że wywołał przedziwne uczucie. Przyłapałem się na współczuciu dla młodego mężczyzny oskarżonego o potworne morderstwo.

Kiedy Marta miała zadanie klasowe, robiła zdjęcie i wysyłała do niego. Był dobry z matematyki. Odsyłał jej rozwiązanie przez WhatsAppa. Pewnego dnia pojawił się w jej domu z kartką pełną równań zbudowanych z ważnych dat w ich historii: zgodnie z prawem liczb, byli sobie przeznaczeni na zawsze.

Marta Gaia myślała o tym teraz, kiedy jego już nie było.

Chorąży karabinierów zapytał:

– Co rozumiesz przez to, że w czwartek Luca chciał wysępić pieniądze na kabel do iPhone'a?

– Kiedy musiał kupić jakieś niedrogie rzeczy, często mówił, że idzie coś wysępić – wyjaśniła Marta Gaia – nawet jeśli chodziło tylko o kawałek pizzy. To była część jego filozofii życia. Żył z dnia na dzień.

Luca mówił:

– Dasz mi buziaka?

Marta Gaia:

– O pocałunki się nie prosi, pocałunki się daje.

Aby uczcić ich pierwszy wspólny miesiąc, przygotował dla niej prezent. *Pierdółkę*. Żartobliwie nazwali to tak po tym, kiedy otworzyła paczkę.

– Mam dla ciebie wisiorek w kształcie serca, dziewczyny lubią takie rzeczy.

– Nie jestem jak inne dziewczyny.

– Wziąłem go, ponieważ przypominał mi ciebie, a ty jesteś moim sercem, tylko wstydziłem się ci to powiedzieć.

– Tak już lepiej.

Chorąży zapytał:

– Luca zwykł znikać? Wychodził z domu, nie zostawiając wiadomości?

Marta Gaia odpowiedziała:

– Kiedy się kłóciliśmy, przestawał odbierać ode mnie telefony. Kiedy kłócił się z rodzicami, zdarzało się, że znikał z domu na kilka dni, wtedy spał

w samochodzie, przynajmniej do czasu, kiedy musiał go zezłomować.

Moja miłości, napisała do niego przez WhatsAppa pewnego wieczoru kilka tygodni wcześniej. A kilka minut później: *Mój Szczeniaczku*. Potem: *Moje Nieszczęście*. „Hej! – napisała wreszcie. – Dlaczego nie odbierasz?”. „Nie czuję się dziś dobrze” – odpisał Luca. „W takim razie zadzwonię do ciebie”. „Nie jestem w stanie rozmawiać”. No jasne, pomyślała. „Dobra, ukrywasz coś przede mną”. Kłócili się milion razy i milion razy Luca obiecywał jej, że to się nigdy nie powtórzy. Ale wciąż się powtarzało.

Chorąży zapytał:

– Czy kiedykolwiek proponował ci zażycie narkotyków?

– Powiedział mi, że boi się tych substancji – odpowiedziała Marta Gaia – a ja nawet nie palę papierosów.

Jak wszystkie pary, wymyślili swój własny język. Udawali, że są dziećmi. Używali zwrotów takich jak *Che taa faaa?* [Co robisz?] lub *pituuu emersensa baaaaaasettooooooo* [kochanie, potrzebuję buziaczka]. Bawiło ich to do łez. *Tiii* oznaczało tak, *pitto* – to, a *pillo* – tamto. Wszędzie pisali swoje imiona. Marta + Luca BWM. Albo *L+M 20.10.2007*. Pewnego razu, gdy dopiero zaczynali ze sobą chodzić, podczas ulewy Luca próbował ochronić ją przed deszczem liściem zerwanym z drzewa. Wiele lat później, aby uczcić to wspomnienie, sfotografował się z koniczyną na głowie.

Chorąży zapytał:

– Czy znasz któregokolwiek z jego bliskich przyjaciół?

Marta Gaia odpowiedziała:

– Znam Filippa Manciniego i jego braci. Luca miał grupę znajomych z Battistini, ale nigdy nie chciałam się z nimi spotykać. Niektórzy brali narkotyki, to mi się nie podobało. Nasz wspólny przyjaciel, Edoardo Petroni, zwierzył mi się, że Luca zażywał całe mnóstwo kokainy. Powiedział mi też, że Luca palił crack i że dilował. Nie wiem, czy to była prawda.

Był przełom 2012 i 2013 roku, szukali miejsca, żeby coś zjeść w sylwestra. Uwielbiał McDonalda, ale okazało się, że jest zamknięty. Pojechali do chińskiej knajpy z jedzeniem na wynos. Świętowali w samochodzie, zrobili sobie selfie. Na zdjęciu on wystawiał język, ona podnosiła kciuk, trzymając jedzenie w folii. Wyglądali promiennie.

Chorąży zapytał:

– A inni znajomi Luki?

Marta Gaia odpowiedziała:

– Był takim klasycznym przyjacielem wszystkich. – Zamilkła na chwilę. – Edoardo powiedział mi, że razem z braćmi Mancini Luca czasami dokonywał „napadów”, w tym sensie, że chodzili i kradli wisiorki.

Chorąży zapytał:

– Czy miał jakieś słabości?

Innym razem był karnawał. Luca odwoził ją do domu. Nagle zatrzymali samochód na parkingu, włączył na pełny regulator *A te* Jovanottiego, wysiedli z samochodu i zaczęli śpiewać na całe gardło, filmując się smartfonem.

Marta Gaia odpowiedziała:

– Słabości? Cóż, był hazard, to była jego słabość. Zarabiał sto pięćdziesiąt euro tygodniowo w warsztacie blacharskim i przepuszczał to na automatach. Kończyło się na tym, że kiedy wychodziliśmy coś zjeść, ja płaciłam. Nie zawsze, ale zdarzało się to często. *Zawsze* miał problemy z pieniędzmi, czasem myślałam, że dla pieniędzy jest w stanie zrobić wszystko, raz zapytałam go, czy przyjąłby pieniądze w zamian za seks z kobietami.

Oboje dostali kiedyś niską ocenę w szkole. Rodzice dali im szlaban, Marcie udało się uzyskać pięć minut wolności, zadzwoniła do niego. Zapytał:

– Jak mnie dziś rano nazwałaś?

Marta Gaia:

– Maleńki kochanieńki?

Luca:

– Ach, myślałem, że chłopaczek łobuziaczek.

Cisza. Wtedy Luca wybuchnął śmiechem. Zaśmiał się i powtórzył:

– Maleńki kochanieńki. Chłopaczek łobuziaczek.

Roześmiał się niespodziewanie, głośno. Nigdy nie słyszała, żeby śmiał się w taki sposób.

– Powiedział mi, że z żadną by mnie nie zdradził – odparła Marta Gaia. – Kiedy stawiał kolację lub dawał mi prezenty, pytałam go, skąd ma pieniądze. Mówił mi, że dał mu je pewien Giorgio. Ten Giorgio, którego nigdy nie widziałam, wiem tylko, że jest gejem. Miał siwiejące włosy i nosił okulary. Widziałam jego zdjęcie na WhatsAppie Luki. Czasami Luca pokazywał mi wiadomości, które wysyłał mu Giorgio. *Jesteś słodki. Śniło mi się, że uprawiamy seks*. Zapytałam Lukę, czego ten facet chce w zamian za pieniądze. Odpowiedział mi, że nie pociągają go geje.

Dwa tygodnie wcześniej kończyli swoją nocną pogawędkę na czacie.

„Dobranoc, kochanie”, napisała.

„Do zobaczenia jutro, dziubku”, odpisał Luca.

„Tęsknię za tobą”.

„Ja też”.

A ona: „Dobrze, to buziaczek”.

A on: „Nie mogę się oprzeć, chcę z tobą spać”.

A ona: „Boszsz, jakie to słodkie!”.

I wtedy, być może nawet nie wiedząc dlaczego, Marta Gaia napisała: „Słuchaj Luca, muszę cię o coś zapytać”.

„Dawaj”, napisał.

„Przysięgniesz mi, że nigdy nie sprzedałeś swojego ciała za kasę, albo żeby mi coś kupić?”

„Za kogo mnie masz?”

„To było pytanie”.

„A to jest moja odpowiedź. Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił”.

„Chciałabym, żebyś tu był”.

„Kochana moja, jestem obok ciebie, w twoim sercu”.

Skąd przyszło jej do głowy takie pytanie? Czy miała jakikolwiek powód, by coś podejrzewać? Czy elementy układanki tkwiły jej w głowie, zanim w ogóle zdała sobie sprawę z ich istnienia? A może to wszystko było jedną gigantyczną pomyłką?

W tych samych dniach Manuel Foffo zaczął atakować własną rodzinę. Zrobił to z więzienia Regina Coeli, gdzie został ponownie przesłuchany.

– Przez lata nagromadziłem w sobie wiele gniewu – powiedział prokuratorowi. – Żywię silną urazę do mojego ojca.

– Jakiego rodzaju urazę? – zapytał Scavo.

– Widzi pan, *dottore* – powiedział Manuel – mój ojciec zawsze preferował mojego brata. Jak tylko się urodziłem, pomyślał: *To nie jest mój syn, ten jest po matce*.

Manuel zaczął sporządzać długą listę zaniedbań, ignorowania, traktowania z góry – zachowań, których, jak twierdził, Valter nie szczędził mu przez lata.

– Ojciec na przykład chciał, żebym studiował prawo. Ja z kolei chciałem studiować ekonomię, ponieważ mój umysł jest bardziej ekonomiczny niż prawniczy. Ale nie było dyskusji, musiałem iść na prawo.

Scavo przyglądał się mu bez słowa.

– On zawsze uważa, że ma rację – kontynuował Manuel. – Był przekonany, że idąc na studia prawnicze, będę bardziej przydatny w rodzinnej firmie. Szkoda tylko, że potem odsunął mnie od biznesu.

Prokurator wrócił do okoliczności morderstwa.

– Myślę, że straciłem tam głowę, zwłaszcza gdy pojawił się temat mojego ojca – wyjaśnił Manuel.

– Co to znaczy?

– Temat mojego ojca – powtórzył chłopak. – Kiedy pojawia się temat mojego ojca, wraca do mnie cała trucizna.

– A czy nie było tak – zapytał Savo – że wszystko to pan zrobił, żeby się na ojcu zemścić?

– Nie wykluczam tego – odpowiedział Manuel.

– I czy to nie przypadek – zaryzykował Scavo – że pan i Marco Prato rozmawialiście również o zabiciu pańskiego ojca? Może nawet czysto

abstrakcyjnie.

– Prawdopodobnie tak.

– Co to znaczy *prawdopodobnie*?

– To znaczy, że mam taki przebłysk.

– Czy ma pan ten przebłysk teraz, czy też miał go pan wcześniej?

– Miałem go zeszłej nocy. Wściekłem się, ponieważ… widzi pan, ja czuję to wszystko… to dzieje się od lat.

– Czyli co, Manuel Foffo zabił Lucę Varaniego, aby zemścić się na ojcu?

– To jak, Valter Foffo idzie do telewizji, aby chwalić swojego syna mordercę, a jego syn opluwa go przed prokuratorem?

Dziennikarze znów zaczęli szaleć. Przeprowadzenie wywiadu z Valterem Foffo ponownie stało się tematem numer jeden dla wszystkich gazet.

Alessio Schiesari był młodym reporterem pracującym dla „Tagadà", popołudniowego programu kanału telewizyjnego La7. Stacja poświęciła tej sprawie wiele reportaży, a opinia publiczna z niecierpliwością czekała na rozwój wydarzeń. W tym czasie ludzie pracujący nad sprawą morderstwa poznawali się nawzajem, zaczęli się spotykać, pisać do siebie, wymieniać się opiniami i dokumentami. Skontaktowałem się z Alessiem dzięki wspólnej znajomej. Powiedział mi, że właśnie jest po dwóch dniach bezowocnych poszukiwań. Był z ekipą w Bottarolo (restaurację zastał zupełnie pustą), a następnie na via Igino Giordani (gdzie nie poszło mu lepiej).

W wieczór naszej pierwszej rozmowy Alessio postanowił wrócić do Bottarolo. Szczęściu trzeba pomóc. Tym razem nie zabrał ze sobą ekipy telewizyjnej, po prostu wszedł do restauracji w towarzystwie koleżanki. Klientów było niewielu. Usiedli, zamówili i zaczęli rozmawiać o niczym, udając normalnych gości. Minęło kilka minut. Wtedy Alessio go zobaczył.

Valter Foffo dyskutował z kelnerem. Skończył rozmowę, przeszedł przez korytarz, rozejrzał się i wyszedł z restauracji. Alessio natychmiast wstał. Ponieważ nie miał ze sobą operatora, uruchomił kamerę na swoim telefonie komórkowym. Tymczasem Valter szedł w kierunku zaparkowanego samochodu.

Najprostsze otwarcie na świecie.

– Przepraszam, ma pan ogień?

– Proszę – powiedział Valter Foffo, zbliżając zapalniczkę do twarzy młodego mężczyzny.

– Czy mogę zadać pytanie?

W tym momencie Foffo zrozumiał.

– Jeszcze jeden – warknął. – Trzydziesty siódmy dzisiaj.

Miał na sobie jasną koszulę i kardigan, w głosie czuć było zmęczenie.

– Jestem dziennikarzem z La7 – przedstawił się Alessio – i chciałem zrozumieć coś z oświadczeń, które pojawiły się w gazetach.

– Jakich oświadczeń?

– Tych, które pański syn złożył prokuratorowi. Tych, według których Manuel… – zaczął szukać właściwego określenia – *rozpalił się* po rozmowie z Markiem Prato na pana temat. Jest pan w stanie to sobie wytłumaczyć?

– A jak według pana mogę to wytłumaczyć? – westchnął Valter Foffo. – Sam niech pan sobie odpowie. Czekam, aż się to skończy – dodał. – Chcę przeczytać wszystkie dokumenty, chcę zobaczyć badania toksykologiczne.

– Jak pan to wytłumaczy jako ojciec?

– Mam pełne zaufanie do prokuratora Scavo. – Foffo uchylił się od odpowiedzi. – Do niego i do władz.

– Podobno pański syn powiedział, że przez całe życie narzucał mu pan wiele rzeczy – naciskał Alessio. – Na przykład wybór kierunku studiów. Manuel chciał studiować ekonomię, a pan zmuszał go do pójścia na prawo.

Naprawdę o tym rozmawiali? O tym, że syn Valtera stał się mordercą, ponieważ dziesięć lat wcześniej odbyła się rodzinna kłótnia na temat wydziału, na który miał się zapisać?

– Wszystko to są wytwory wyobraźni – uciął krótko mężczyzna. – Nie wiem, jak mój syn wpadł na to, by coś takiego powiedzieć.

– Czy nadal wierzy pan w niewinność Manuela?

– Teraz to ja już w nic nie wierzę. Czekamy na badania. Kryminalistyka działa. Są karabinierzy. Sami profesjonaliści, nie mam racji? Słuchaj. – Nagle zmienił temat. – Jak masz na imię?

– Alessio.

– Słuchaj, Alessio, rozumiem, że to twoja praca. Ale potrafisz sobie wyobrazić, jak my się czujemy?

– Może mi pan wierzyć – odparł reporter. – Dobrze się bawię, gdy mam opowiadać o skandalach włoskiej polityki. Ale kiedy znajduję się w takich sytuacjach, nie jest mi przyjemnie.

– Restauracja jest pusta, ludzie krzyczą na nas: *Jesteście mordercami!* Rozumiesz, jak się czujemy? Ludzie krzyczą. Wymyślają na nasz temat niestworzone rzeczy.

– Bo to jest przerażająca historia.

– *Mordercy* – powtórzył Valter Foffo. – Do mnie! Ja nawet muchy bym nie skrzywdził.

– Nie lubię upubliczniać nagrań robionych w ukryciu – powiedział dziennikarz – więc zapytam wprost: czy byłby pan skłonny odpowiedzieć na te pytania przed kamerą? Dziesięć minut, tyle co czas na papierosa, którego właśnie wypaliliśmy.

– Alessio – odparł mężczyzna – rozumiem, że pracujesz, ale spójrzmy prawdzie w oczy, dziennikarze żyją z cudzych nieszczęść.

– Reflektory mediów skierowały się na pana z powodu wypowiedzi pańskiego syna – próbował wyjaśnić chłopak. – On twierdzi, że cała ta furia wynikała z jego relacji z panem.

– Z relacji ze mną – powtórzył mężczyzna. – Nie wiem, co odpowiedzieć. Zapytamy go pewnego dnia, jeśli zobaczymy go na wolności.

– Kilka dni temu poszedłem do Varanich.

– Naprawdę? – zaciekawił się. – Co to za ludzie?

– Sprzedają słodycze.

– Słodycze – powtórzył mężczyzna, jakby nie do końca zrozumiał.

– Sprzedają słodycze na targach i festynach.

– Czyli handel obwoźny.

– Tak, obwoźny – powtórzyli chórem Alessio i jego koleżanka, która do niego dołączyła.

– Luca Varani nie był ich biologicznym dzieckiem – dodała dziewczyna.

– Posłuchajcie – zareagował żywo Valter Foffo. – Kto zazwyczaj adoptuje dziecko? Albo robią to ludzie tacy jak wielcy aktorzy, co mają ogromne pieniądze, ale w takim przypadku nie tyle adoptują, ile powierzają je niani. Albo te rodziny, które nie mogą mieć dzieci, a to adoptowane dziecko to, jak to powiedzieć, ich mały skarb. Zdajecie sobie sprawę, że ktoś zabrał ten skarb Varanim? A więc jak to jest, idziesz tak sobie porozmawiać z rodzicami Luki Varaniego? Kto w ogóle ma odwagę się z nimi spotkać? Pójdę do nich i co im powiem? Że mi przykro?

– A rozmawiał pan z rodzicami Marca Prato?

– Nie znam jego rodziny, wiem tyle, że to porządni ludzie. Wszyscy tutaj jesteśmy porządni. Problemem są dzieci. Wciąż nie mogę uwierzyć, że w ogóle z wami rozmawiam.

W następny wtorek Valter Foffo odwiedził swojego syna w więzieniu. Minęły kolejne dwa dni i chociaż obiecał sobie, że nie będzie się zwierzać

dziennikarzom, wciąż to robił. Nie wiadomo, czy za każdym razem dawał się złapać w pułapkę, czy też czekał na okazję, by powiedzieć to, co chciał, do coraz większej publiczności. Tym razem dał się przyłapać przed barem na Tiburtinie, niedaleko swojej restauracji.

– Camilla Mozzetti, „Il Messaggero” – przedstawiła się kobieta.

– Niech pani na mnie popatrzy – powiedział Valter, demonstracyjnie przesuwając dłonią po twarzy – cały się łuszczę. Lekarze mówią, że to ze stresu.

Kobieta wypaliła bez skrupułów.

– Manuel powiedział podczas przesłuchań, że chciał pana zabić.

– Absolutnie tego nie powiedział – zaprotestował mężczyzna. – Nie odnosił się do mnie. Powiedział mi to, kiedy poszedłem się z nim zobaczyć. Może to pani zweryfikować, w więzieniu wszystko nagrywają.

– Wyznał panu, że to on zabił Lucę Varaniego?

– Powiedział mi, że pierwszy i ostatni cios zadał Marco Prato.

– Zaczynają się wzajemnie oskarżać.

– Mój syn był szantażowany. Spotkał się z tym Prato parę miesięcy temu, w sylwestra. Przy tej okazji odbył z nim stosunek seksualny. Prato nagrał wszystko telefonem komórkowym, zagroził, że rozpowszechni nagranie. Mój syn poczuł się zapędzony w kozi róg.

– Twierdzi pan, że pański syn jest ofiarą?

– Czekam, aż wszystko się wyjaśni – powrócił do swojej starej śpiewki. – Wierzę prokuratorowi, czekamy na badania toksykologiczne, jestem przekonany, że kokaina i kto wie jakie jeszcze inne substancje przyczyniły się do zmącenia jasności umysłu mojego syna, który – dodał – nie jest gejem.

– Lepiej narkoman niż homoseksualista?

Valter Foffo zamilkł. Dziennikarka naciskała.

– Z akt sprawy wynika, że pański syn miał stosunki seksualne z Markiem Prato na krótko przed popełnieniem morderstwa.

– To również nieprawda. Odbyli tylko jeden stosunek seksualny, 31 grudnia. My, Foffo, nie lubimy gejów – powiedział – my lubimy prawdziwe kobiety. I mój syn nie jest inny.

Tego samego wieczoru zadzwonił do mnie Alessio Schiesari. Powiedział, że następnego dnia, wczesnym rankiem, raz jeszcze jedzie z ekipą filmową na via Igino Giordani. Czy chcę się z nim zabrać?

Ludzie grzebali w śmietnikach.

Zdarza się to w każdym mieście, ale ostatnio w Rzymie wiele się zmieniło. Wcześniej robili to imigranci i bezdomni. Teraz były to osoby starsze. Oraz młodzi. Biali, dobrze ubrani, z głowami wetkniętymi w kosze na śmieci. Na piazza dei Quiriti trzydziestoletni mężczyzna w dżinsach i szarej bluzie kawałkiem drewna zabezpieczył przed opadnięciem pokrywę kontenera i zabierał się do roboty. Holenderski turysta przeszedł obok, dotarł na via Cola di Rienzo i wziął taksówkę.

– Viale Trastevere – poprosił.

Kierowca jechał jak szaleniec, wykrzykując i przeklinając po drodze. Holenderski turysta wysiadł z taksówki, trzymając się za brzuch. Wszedł w ciasną zabudowę Zatybrza. Krótkie i wąskie uliczki, czerwone dachy. Olśniło go złote tło mozaiki w apsydzie bazyliki Najświętszej Marii Panny na Zatybrzu.

Rzym. Wspólna matka wszystkich ludów. I ogromny garaż włoskiej klasy średniej. Tak się dzieje, gdy zabytki jakiegoś miasta stoją zbyt długo.

Po przybyciu do restauracji zapytał o pana Franco. Kelnerzy zaczęli wokół niego skakać. Jak się pan ma, *dottore*? Co za przyjemność znów pana widzieć. Czy nie znudziło się panu w Holandii? Oczywiście, że się znudziło, rzucił inny, w przeciwnym razie nie byłoby go tutaj. Pan Franco jeszcze nie przyjechał. Ale dlaczego pan nie usiądzie? Dzisiaj jest makaron z ciecierzycą, są *puntarelle* – cykorie szparagowe. Holenderski turysta poczuł niepokój: niedobrze, że został rozpoznany. A przecież wiedział, że ten strach był nieuzasadniony. Jak tylko opuści restaurację, przestanie dla nich istnieć. W Rzymie po pamięci tych, którzy przed chwilą się z tobą spoufalali, spływałeś niczym woda po kamieniach.

Turysta poddał się komplementom, usiadł i zamówił, a czekając na jedzenie, zaczął słuchać rozmów między klientami.

– W Villa Torlonia, gdzie znajdują się archiwa z czasów wojny –

perorował jakiś mężczyzna do dwóch kolegów siedzących naprzeciwko – czytałem listy, które papież Pius XII kazał napisać do brytyjskich i amerykańskich generałów sił powietrznych podczas wojny. Jeden z nich brzmiał: *Szanowny Panie Generale Henry Arnold, mamy nadzieję, że dobrze się Pan czuje, piszemy w imieniu Ojca Świętego. Jeśli zamierza Pan kontynuować bombardowanie Rzymu, chcielibyśmy prosić, by powstrzymał się Pan od tego między godziną czternastą a piętnastą trzydzieści: tutaj w Watykanie o tej porze Jego Świątobliwość odpoczywa. Pokój i dobro*. Jego Świątobliwość odpoczywa. Widzisz, co za gość z tego papieża?

Rzym, złota moneta, która wystarczy na całą długość drogi w mroku[5]. Targowisko, na którym wszyscy publicznie wyznają winy, aby zacieśnić więzy wspólnej tajemnicy.

Kelner przyniósł kawę. Holenderski turysta poprosił o rachunek. Kelner spojrzał na niego niemal żałośnie, ależ nie ma mowy, żeby pan płacił. Dodał, że pan Franco nie przyjdzie, a zobaczywszy rozczarowanie na twarzy turysty – „Ależ nie, nie zrozumiał pan" – kelner pospieszył wyjaśnić, że pan Franco pije kawę w barze Caruso i tam na niego czeka.

Sąsiad przy stoliku obok kichnął. Holenderski turysta wytarł z irytacją dłoń w papierową serwetkę, wstał od stolika i ruszył w stronę wskazanego baru. Tam powiedziano mu, że pan Franco poszedł załatwić jakieś sprawy w pobliżu. Holenderski turysta nie miał ochoty na drugą kawę, ale wypił ją, by nie wyjść na gbura. Na ladzie leżał rozłożony egzemplarz „Il Messaggero". Nagłówek: „Gdybym miał syna homoseksualistę, wrzuciłbym go do kotła i podłożył ogień". Powiedział to jeden z radnych z ramienia Ligi. Przy innym stoliku dwóch mężczyzn rozmawiało o pogrzebie.

– W pewnym momencie z nieba spadł deszcz płatków róż. Zaczęła grać muzyka. Ludzie płakali. Wszyscy się wzruszyliśmy.

Zmarły był bossem drugiej najważniejszej organizacji przestępczej w mieście. Tą najważniejszą, jak żartowano, byli kamienicznicy. Pogrzeb był godny głowy państwa. Kwiaty zrzucano z helikoptera, wystawiono gigantyczne zdjęcie bossa ubranego na biało jak papież, orkiestra towarzyszyła trumnie przy nutach motywu z *Ojca chrzestnego* Nina Roty.

– Taki dzień, że szkoda gadać. Przepraszam, że kazałem ci czekać. – Rozległ się głos za plecami holenderskiego turysty. Odwrócił się.

Pan Franco się uśmiechał, miał zaczerwienioną twarz i okulary w grubych oprawkach, był taki sam jak rok wcześniej, kiedy się ostatnio widzieli. Miał na sobie ładną niebieską marynarkę i koszulę w prążki. Holenderski turysta chciał wstać, pan Franco powiedział, że spokojnie mogą zostać tutaj, nikt nie będzie na nich zwracał uwagi. Włożył rękę do kieszeni marynarki, wyciągnął kopertę, w środku był klucz do mieszkania i kartka z adresem. Holenderski turysta z kolei wyciągnął portfel, przeliczył banknoty, siedem pięćdziesiątek. Pieniądze przeszły z ręki do ręki. Jeszcze przez chwilę rozmawiali o tym i owym, z grzeczności.

Każdy rzymski taksówkarz jest szalony na swój wyjątkowy sposób. Ten na przykład przy dziesiątym korku zrobił coś, czego holenderski turysta nigdy jeszcze nie widział. Taksówkarz zgarnął drobne monety z deski rozdzielczej, opuścił szybę, po czym zaczął ciskać nimi w samochody blokujące pas dla pojazdów uprzywilejowanych.

– Rusz się, zjebie!

Bezceremonialność była znakiem rozpoznawczym miasta. Ale ludzie byli bardziej nerwowi niż rok wcześniej. Byli wściekli. Dochody spadły, dopadła ich czarna fala kryzysu, mieli powód, by się denerwować. Choć w głębi duszy, pomyślał, wciąż byli takimi samymi mięczakami jak zawsze.

Na wysokości ponte Sublicio wydawało mu się, że zobaczył mężczyznę zrzucającego rower do rzeki. Był zdumiony. Musiała to być jedna z tajemnic miasta, do których wciąż nie miał dostępu.

Taksówka zatrzymała się przy bazylice Matki Bożej Większej. Stosunkowo niedaleko znajdowała się bazylika Świętego Piotra w Okowach. Był tam kilka dni wcześniej, minął zacienione schody prowadzące do świątyni, po czym wszedł do środka, stanął i patrzył na obiekt najwyższego niezrozumienia tak wielu turystów. W oczach głupców *Mojżesz* Michała Anioła był kwintesencją wewnętrznej siły, gloryfikacją wiary, która umożliwia najznakomitsze czyny. Nic bardziej mylnego – ta rzeźba była świadectwem porażki. Gdyby ci, którzy tam przychodzili, zadali sobie trud doinformowania się, przeczytania przynajmniej dwóch stron podręcznika historii sztuki, wiedzieliby, że pełne pasji spojrzenie Mojżesza nie wyrażało wiary, ale oburzenie. Michał Anioł unieruchomił proroka na sekundę przed tym, jak wpadł w furię, gdy po zejściu z Synaju z tablicami Prawa zastał lud wybrany tańczący wokół złotego cielca. W następnej chwili – której posąg nie udokumentował – Mojżesz potłukł tablice, rzucając nimi o ziemię.

– Dwajścia euro, *dottore*.

Holenderski turysta wszedł do hotelu, udał się do swojego pokoju, opłukał twarz, umył zęby, zmienił ubranie. Przez chwilę patrzył z okna na wspaniały spektakl dachów i kościołów. Ludzkość była stracona, od zawsze. Wziął klucze, które dał mu restaurator i ponownie wyszedł na miasto.

Skręcił za róg i sceneria natychmiast się zmieniała. Teraz szedł wzdłuż via Cattaneo. Minutę wcześniej kościelne złoto i marmury, teraz pijacy i bezdomni. Piazza Manfredo Fanti przypominała wysypisko. Przeczytał adres na kartce. Róg via Turati. Małe chińskie sklepiki. Stanął przed bramą, wyciągnął klucze. Korytarz był ciemny i wilgotny, wsiadł do windy i wjechał na piąte piętro. Z klatki schodowej dobiegały krzyki w nieznanych językach. Wsunął klucz do zamka.

Mieszkanie było małe i obskurne. Małżeńskie łóżko z koniecznym minimum pościeli, stolik nocny, brzydka szafa. Odurzające uczucie. Tam w środku był nikim. Nie było rejestru gości z jego nazwiskiem na liście. Stolica występków. Najpiękniejszy kosz na zgniłe jabłka.

Na via Igino Giordani dotarłem, jadąc przez Casal Bruciato. Zobaczyłem ich z daleka. Alessio Schiesari i ludzie z ekipy filmowej rozmawiali zaledwie kilka kroków od kościoła Gesú di Nazareth, masywnego i pozbawionego wdzięku. Naprzeciwko znajdował się blok, z którego Manuel Foffo wyszedł na pogrzeb swojego wuja. Oprócz Alessia byli tam dźwiękowiec, kamerzysta i dwóch chłopaków z ekipy. Nie zdążyliśmy się przywitać.

– Skurwysyny – powiedział jakiś głos za naszymi plecami.

Sprzed baru patrzyła na nas wrogo mała grupka mężczyzn. Spluwanie na ziemię, pogarda dla sępów przychodzących dziobać pod ich domami.

– Gnoje – rzucił inny z pogardą.

– Lepiej już chodźmy – zasugerował Alessio.

Przeszliśmy przez ulicę. Drzwi na klatkę schodową. Alessio losowo naciskał przyciski domofonu, aż ktoś w końcu otworzył.

Zaczęliśmy się wspinać po schodach, zanurzeni w żywym bezruchu, oświetleni sztucznym światłem. Budynek wyglądał jak gigantyczne betonowe jelito ciągnące się w górę. Gdy weszliśmy na wyższe piętro, cisza stała się tak głęboka, że dało się słyszeć brzęk naczyń. Spodki, szklanki, garnki szczękające w zlewach. Ludzie zabarykadowali się w domach. Musieli czuć się osaczeni. I zaniepokojeni, źli, przestraszeni. Zaledwie kilka metrów od ich mieszkań popełniono morderstwo, o którym rozprawiali wszyscy, piętrowiec został już naznaczony, setki razy pokazywany w telewizji i internecie, nazwany „blokiem z koszmaru” lub „przeklętym budynkiem”. Na czwartym piętrze starszy pan w swetrze i spodniach dresowych zniknął za drzwiami swojego mieszkania, gdy tylko nas zobaczył. Piętro wyżej dwoje drzwi otworzyło się i zamknęło, ale nikt nie wyszedł. Wtedy jeden z członków ekipy odwrócił się do Alessia i do mnie, spojrzał na nas z wyrazem twarzy pozbawionym emocji i powiedział, że choć to absurdalne, ma takie wrażenie, jakby cały budynek był zanurzony we krwi. Dodał, że niemal czuć jej woń. Nie chodziło o prawdziwy zapach, poczuł się w obowiązku to podkreślić, ale o *ideę* mdlącej emanacji, zdolnej

wyprowadzić z równowagi każdego, kto był na nią wystawiony przez długi czas.

– To już, kręcimy.

Po przybyciu na dziewiąte piętro Alessio zawołał operatora, by szedł za nim. Zbliżył się do drzwi, by przeczytać nazwisko na tabliczce.

– To tutaj – powiedział. Mieszkanie matki Manuela. Alessio zadzwonił do drzwi. Pomyślałem, że gdy kobieta otworzy, wyraz jej twarzy uchwyci kamera, a jej dezorientacja stanie się rozrywką dla setek tysięcy telewidzów kilka godzin później. Alessio ponownie nacisnął na dzwonek. Drugi raz, trzeci. Drzwi się nie otworzyły.

Kiedy Alessio próbował zrealizować swój plan, ja spojrzałem na schody, czyste i zimne w ten słoneczny poranek. Wszedłem piętro wyżej.

Pierwszą rzeczą, którą zauważyłem na dziesiątym piętrze, były panele na podłodze. Drugą, że zamiast klasycznych okien klatki schodowej był półkolisty otwór chroniony metalowymi prętami, aby nikt przez niego nie wypadł. Czułem powiew na twarzy. Z tej wysokości roztaczał się widok na wschodnie przedmieścia. Widać było autostradę do L'Aquili, słupy wysokiego napięcia. Po drugiej stronie były magazyny, salony bingo, otynkowane na biało samowolki budowlane. Wiatr wiał przez kraty, wirował na schodach. To wtedy się odwróciłem. Kilka metrów dalej, w cieniu utworzonym trwale przez układ murów, znajdowało się to mieszkanie. Drzwi były oklejone taśmami karabinierów. Wstęgi w biało-czerwone pasy układały się w gwiazdę na ościeżnicy, do której przyklejono trzy identyczne kartki z zawiadomieniem o zakazie wejścia. Tam się to wydarzyło. Zbliżyłem się; wychowano mnie tak, bym nie wierzył w nawiedzone domy, ale uczucie, którego doświadczałem w tym miejscu, było rzeczywiste. Czułem się, jakby nagły wzrost masy powodował spowolnienie czasu, aż po kres, w którym nie było już bezruchu, tylko absurd, samotność i rozpacz.

Jakbym zanurzył rękę w Styksie i wciąż czuł, że jest nabrzmiała mrokiem, pomyślałem po powrocie do domu. Czy istnieje zło miejsc, pytałem w duchu, czy można mówić o fizycznym trwaniu zła po tym, jak się już ono dokonało? A może tylko uległem potędze sugestii?

Po południu wybrałem się na spacer po Eskwilinie. Byłem zdenerwowany. Najpierw błądziłem wśród chińskich sklepów, potem znalazłem się przy Porta Maggiore, następnie skręciłem w via Casilina. Szedłem w kierunku Tor Pignattara, po prawej miałem tory kolei regionalnej,

przed sobą rozległą panoramę miasta. Za pierścieniem autostrady, za ostatnimi zabudowaniami, za polami pełnymi rowów i ruin wznosiła się łagodnie dzielnica Castelli. Patrząc z daleka na skąpane w błękitnym świetle budynki, poczułem, że gdzieś na powierzchnię świadomości wynurza się uczucie, którego doświadczyłem przed mieszkaniem Manuela Foffo. Uciec od tego wszystkiego. Uciec z Rzymu.

Takiej myśli nie potrafiłem dotąd nawet sformułować, a teraz nagle wydała się jedyną właściwą rzeczą, jaką mogłem zrobić.

Kiedy tu przyjechałem przed dwudziestu laty, nie znałem nikogo. Miałem mało pieniędzy i żałosną pracę, a w ciągu kilku tygodni miasto przytłoczyło mnie swoją nieuporządkowaną szczodrością – było chaotyczne, witalne, przeraźliwie cyniczne, a więc i niezdolne do poważnego traktowania nawet własnego zła. Jeśli miałeś jakąkolwiek ambicję, miasto rozkładało ci ją na części, jeśli odważyłeś się wyznać, że chcesz dojść do czegoś w życiu, a może nawet odnieść sukces, poklepywało cię po plecach i kpiło. Myślałeś, że gdzie jesteś? Rzym istniał od dwóch tysięcy siedmiuset lat, widział wszystko, zawierał w sobie jedyne w swoim rodzaju stężenie paraliżu i retorycznej sztuczności włoskiej polityki, a do tego był epicentrum globalnego teokratycznego rozczarowania. Tutaj ludzie nie byli aż tak naiwni, by sądzić, że wiara w siebie, albo jeszcze gorzej, sława i chwała, są cokolwiek warte. W Rzymie poznawałeś najróżniejszych ludzi, mieszałeś się z innymi ciałami, jeśli szło dobrze, wkładałeś trochę grosza do kieszeni, umierałeś, a łagodny podmuch *ponentino* z zachodu wywiewał nawet popioły pamięci o tobie.

Wszystko trwało w zawieszeniu między harmonią a nieporządkiem, pięknem a niedbalstwem, towarzyskością a nieładem. Potem zaczęło się gwałtownie przesuwać w stronę nocy. Doszło do skandalu, który dziennikarze nazywali *Mondo di mezzo* – Świat Środka, świat tego, co pomiędzy. Prokuratorskie dochodzenie obejmowało osoby prywatne i urzędy oskarżone o przeróżne przestępstwa. Ustawione przetargi, korupcja, oszustwa, spekulacje dotyczące mieszkań socjalnych, imigracji, wywozu śmieci, kupowanie i sprzedawanie decyzji urzędniczych, wymuszenia, pranie brudnych pieniędzy. Gigantyczna afera. Nazwa śledztwa wzięła się z podsłuchu przeprowadzonego przez karabinierów: „Jest coś takiego, jak teoria Świata Środka – powiedział jeden z podsłuchiwanych – są żywi na górze i martwi na dole. Jesteśmy pośrodku, ponieważ istnieje Świat Środka, w którym wszyscy się spotykają. Powiesz: *Jak to, kurwa, możliwe, nie*

wiem, na przykład, że jutro będę jadł kolację z Berlusconim? A jednak możliwe. Tu każdy spotyka każdego. Znajdziesz tu ludzi z *nadświata*, ponieważ mogą mieć interes w tym, aby ktoś z *podświata* wyświadczył im przysługi, których nikt inny nie może wyświadczyć.

Świat Środka nie był niczym nowym. W Rzymie od zawsze znajdowało się sposób, by spotkać, kogo się chce. W nocy 40 roku n.e. Messalina, siedemnastoletnia żona cesarza Klaudiusza, zrzucała królewskie szaty („czarny włos peruka kryła rudziejąca… pierś w złocie", jak relacjonował Juwenalis[6]) i szła się prostytuować w miejskich slumsach.

Minąłem Pigneto. Szedłem dalej wzdłuż linii kolejowej. Rzym umierał i zmartwychwstawał wiele razy i nie byłem na tyle arogancki, by wierzyć, że obecny upadek jest ostateczny. Ale mógł takim się stać, gdybym go mierzył prognozowaną długością życia mojego i tych, których kochałem. Miasto na dole karmiło się miastem na górze, umarli pożerali żywych, bezkształt zwyciężał. Nadzieja nie była już postrzegana jako naiwność, ale jako śmiertelna zniewaga. To, co pozostało z życia, przyciągało agresję, ukąszenie przenoszące zarazę, a ta mała drewniana bariera, drzwi do mieszkania Manuela Foffo – myślałem, wciąż patrząc na wzgórza w oddali – symbolizowała koniec długiego procesu degeneracji. Jednocześnie było to przeczucie i obietnica. *Wszyscy tędy przejdziecie, jeśli jeszcze tego nie zrobiliście*.

– Luca Varani się nie prostytuował. Dam sobie rękę uciąć. Znam go. Wiem, kim jest. Byłem jego nauczycielem.

Davide Toffoli miał czterdzieści trzy lata i uczył włoskiego w Instytucie Einsteina-Bacheleta, dokąd Luca uczęszczał na zajęcia wieczorowe.

– Był taki przezroczysty – kontynuował – z trudem ukrywał swoje prawdziwe uczucia, co tu więc mówić o prowadzeniu podwójnego życia.

Spotkałem się z Toffolim w barze na Primavalle. Piliśmy mrożoną herbatę. Była siedemnasta, złote światło zalewało okoliczne bloki. Popołudnie, spokój, przestrzeń. Był łagodnym mężczyzną o śniadej karnacji i szczupłej sylwetce świadczącej o regularnej aktywności fizycznej. Jako nauczyciel był uważny i opiekuńczy, po godzinach uczestniczył wolontariacko w projektach integracyjnych. Od razu zrobił na mnie doskonałe wrażenie.

– Jaki był w szkole? – zapytałem.

– Bezpośredni, żywy, zawsze miał swój punkt widzenia, bronił go, ale się nie upierał. Kiedy miał dobry dzień, nie przestawał zadawać pytań, rozgadywał się. Nie można było wymagać od niego zbyt wiele nauki w domu, ale był klasycznym przypadkiem chłopaka, który odrabia połowę zadań, uważając na lekcjach. No i jeszcze więzi emocjonalne. Jak na swój wiek był niezwykle dojrzały, wciąż mówił o Marcie Gai, to był piękny związek.

– Więc twoim zdaniem to, co piszą gazety, to fałsz.

Toffoli spojrzał na mnie, unosząc brwi, ale bez irytacji. Było mu po prostu przykro, strasznie przykro, że istoty ludzkie mogą osiągnąć taki poziom podłości.

– Ci, którzy znali Lucę, wiedzą, że pewnych rzeczy by nie zrobił. Teraz zaczęły krążyć przedziwne plotki, że to, co się stało, było po części jego winą. To oburzające. Czy koniecznie chcemy znaleźć w nim winę? Proszę bardzo: naiwność. Ufanie ludziom stało się niebezpieczne. Trudno to przyznać komuś, kto wykonuje mój zawód.

To, co Toffoli powiedział w spokojny sposób, im bliżej byłem La Storty, słyszałem w coraz bardziej rozgorączkowanej formie..

– To był zwykły chłopak – powiedział właściciel baru z trafiką. – Przychodził do mnie po papierosy. W paczce po dziesięć, żeby wydać mniej.

– Czasem kończyło mu się paliwo – mówił mężczyzna po pięćdziesiątce, który pracował w pobliżu. – Pamiętam zeszłe lato. Na via della Storta utworzył się długi korek, wyprzedziłem wszystkich na motocyklu i zobaczyłem, że to przez niego. Pchał samochód. Zatrzymałem się więc, wyjąłem dziesięć euro i kupiliśmy benzynę.

– Coś mi się robi, kiedy czytam gazety – powiedział chłopak koło dwudziestki: szczupły, wysoki, kręcone włosy, skórzana kurtka. – Te plotki są haniebne. Klika pismaków. Obrzucają błotem tych, którzy już nie mogą się bronić.

– O tym, że umarł, dowiedziałem się z Facebooka. – Inny dwudziestolatek, króciutko ostrzyżony, biała koszula, bomberka i łańcuch. – To, co ludzie gadają, to nonsens. Mówią nawet, że był ciotą. Ale co z niego za ciota. To oni są ciotami.

– Luca ani się nie prostytuował, ani nie dilował – dodała dziewczyna, która mu towarzyszyła; włosy zaczesane do tyłu, wypielęgnowane brwi. – Widywaliśmy go na Casalotti. Gdyby działo się coś dziwnego, zauważylibyśmy.

– Skurwysyny. Gnoje. Oczerniają biedaka, kiedy już nie żyje. – To był Stefano. Biały tiszert, ponure spojrzenie, rozmawialiśmy przed salonem gier. – Rzygać się chce od tego, co piszą w gazetach – kontynuował. – Ludzie nie mają za grosz godności. Żyją kłamstwami. Pasożyty.

Za nami słychać było dźwięki automatów do gier.

– Jaki diler? Jaki pedał? – śmiała się młoda dziewczyna przed multipleksem Andromeda. – Podobały mu się wszystkie moje koleżanki.

Choć uogólnienia zawsze ograniczają, po kilku dniach spędzonych na zadawaniu pytań doszedłem do przekonania, że znajomi Luki z grubsza dzielą się na drobnomieszczańskich nastolatków i tych, których kiedyś nazwano by ulicznikami. Ale nowe stulecie zmieniło, jeśli nie wywróciło do góry nogami, znaczenie tych kategorii.

O ile Marco wywodził się z kręgów postępowych, wielu przyjaciół Luki tych kręgów nie znosiło. Nazwanie ich prawicowcami byłoby tak samo niepoprawne, jak stwierdzenie, że część z nich miała faszystowskie sympatie

(w dobie pomieszania pojęć nazywanie wielu przyjaciół Marca Prato lewicowcami byłoby równie mylące), ale bez wątpienia nienawidzili dyżurnych rzeczników słusznej sprawy, politycznej poprawności, tęczowej kultury i ostentacyjnej manifestacji wartości, które kojarzyły im się z klasą rządzącą. Stwierdzenie, że niektórzy przyjaciele Luki byli homofobami, jak pisał ten i ów, było równie błędne. W większości nie nienawidzili oni homoseksualistów ani ich nie marginalizowali, co nie przeszkadzało im patrzeć z nieufnością na kulturę gejowską, która ich zdaniem wykorzystywała orientację seksualną jako narzędzie dyskryminacji społecznej. Oczywiście, uważali Marca Prato i Manuela Foffo nie tylko za przedstawicieli gejowskiego lobby, ale też za dwóch uprzywilejowanych synków tatusia, którzy powinni gnić w więzieniu do końca swoich dni.

Grupa z Battistini była inna. Bardzo młodzi, dzicy, w rozmowach nie podejmowali tematów politycznych, ale właśnie dlatego byli polityczną awangardą. Jeśli ulicznicy z powieści Pasoliniego byli zamknięci w zaczarowanej prehistorii, to pół wieku później młodzi z Battistini – pomimo ich wątpliwej edukacji, nieoczytania, absolutnego braku ideologicznej ochrony – byli bardziej nowocześni niż ich rówieśnicy z centrum. Młodzież z Parioli słuchała De Gregoriego zamknięta w swoich pokojach. Ekipa z Battistini chodziła na koncerty techno i tańczyła całą noc w spoconym, nafaszerowanym extasy tłumie. Młodzi z centrum stawiali na ładne ciuchy, młodzi z Battistini na piękne ciała. Ich rodzice nie byli notariuszami, dziennikarzami, prezesami fundacji, ale hydraulikami, magazynierami, fryzjerkami, nocnymi portierami. Nie mieszkali w pięknych domach, nie stać ich było na drogie samochody, polegali na ciałach: gładkich, jędrnych, umięśnionych, agresywnych, niekiedy poprawianych przez chirurga plastycznego, eksponowanych na wszelkie sposoby na ulicy i w mediach społecznościowych. Ciała były ich dziedzictwem i zemstą. Co do reszty – byli bezczelni, żywiołowi i przechodzili przez okres dojrzewania w towarzystwie podejrzeń, że ani dorosłość, ani normalna dawka szczęścia nie pomogą im w emancypacji.

Ale bez względu na to, czy była to ekipa z Battistini, czy ta bardziej świadoma młodzież z Primavalle czy La Storty, wszyscy ze złością odrzucali tezę, że Luca się prostytuował.

Odrzucali je, ponieważ uznawali je za niehonorowe; ponieważ w przeciwnym razie ofiara i kat znaleźliby się na tym samym poziomie;

ponieważ zaakceptowanie tego twierdzenia oznaczałoby zgodę na narrację wroga. Liczyły się nie tylko fakty, ale także sposób, w jaki zostały retoryka, która je wspierała, a odrzucenie tego, że Luca się prostytuował, oznaczało zaprzeczenie fałszywej narracji, nawet jeśli była prawdziwa; tym dogłębniej zepsutej narracji, im bardziej wybrukowana była dobrymi intencjami.

Sprawa podwójnego życia Luki zaczyna oddalać od sedna sprawy, pomyślałem. Była doskonałą retoryczną pułapką, mogła być ważna dla osobistej relacji między Lucą a Martą Gaią, a Giuseppe i Silvana mogli się zastanawiać, jak spędzał czas ich syn, kiedy nie był z nimi. Ale poza osobistą relacją, na poziomie etycznym, nie mówiąc już o zwykłej odpowiedzialności, nie miało to nic wspólnego z jego śmiercią.

Dlaczego więc tego rodzaju narracja rozeszła się tak szeroko, że przekonała ludzi do tego, że Luca sam był sobie winny, lub – co gorsza – że dzielił los ze swoimi zabójcami? Czy była to wina dziennikarzy? Czy dramaturgicznej skuteczności opowieści? (Żyliśmy w epoce przedstawiania historii, kiedy pozbawieni skrupułów profesjonaliści posługiwali się akcesoriami do budowania fikcyjnych światów, aby kształtować przekonania i podsycać nienawiść). A może to publiczność była głodna niskiej rozrywki?

Starałem się zrozumieć, ale to było jak zaglądanie do studni po zachodzie słońca. A jako że w ciemności człowiek gotów jest przysiąc, że widzi najbardziej absurdalne rzeczy lub przeczuwa te najbardziej interesujące, pomyślałem, że sama ta historia wraz z jej nieodłącznym złem. Pomyślałem, że posiada ona własną wolę, własne interesy. Że zło przyzywa zło, a jego pewne formy retoryczne służą, by nas usidlić. I myślałem jeszcze, że bawi się nami, że zwodzi, używa odprysków rzeczywistości, aby przekonać nas do czegoś, co nie jest prawdziwe.

Dalej błąkałem się po La Storta, zadawałem pytania, szukałem wspomnień, okruchów, które pomogłyby mi zrozumieć. Luca zajmował się osiowaniem wałów w warsztacie. Śmiał się z przyjaciółmi. Rozmawiał przez telefon z Martą Gaią, planowali wspólnie kupić micrę. Marta robiła Luce wyrzuty, że nie trzymają się go pieniądze. Luca chodził z nią na siatkówkę, denerwowała się, bo trener nie pozwalał jej grać w oficjalnych meczach. Luca mówił: „Zadzwonię do ciebie później”, po czym znikał. Marta Gaia nazywała go wtedy kłamcą, twierdziła, że nie uda się im być razem, jeśli tak dalej będzie robił, ale gorsze od ucieczek było milczenie, pisała w wiadomościach, sposób, w jaki się na nią zamykał i nie odzywał. Ale Luca, gdziekolwiek był, zawsze o niej mówił. „Kiedy rzucisz palenie?”,

pytała Marta w jego objęciach. „W lutym”, śmiał się Luca. „Zmieniłeś Stoppinowi wodę?” – Stoppino był ich chomikiem. Luca czasami chodził na Battistini. Marta nie chciała, żeby się spotykał z tą paczką, ale jemu zależało. Czasami późno wracał do domu. Rodzice spali, Luca po wymianie wiadomości z Martą szedł do kuchni, brał garnek i podgrzewał zupę, otaczała go cisza La Storty, drzewa tańczyły w ciemności, za nimi pola ciągnęły się w świetle księżyca, on patrzył na zewnątrz albo po prostu myślał o jedzeniu z głową pochyloną nad talerzem… i oto! Nagle wybuchał w mojej głowie płomień i wydawało mi się, że go widzę, uwolnionego ze zwojów, które redukowały to, co niezmierzone, od narracyjnego schematu: oto prawdziwy Luca, myślałem bez cienia wątpliwości.

Po kilku chwilach płomień gasł i już go nie widziałem. Bez takich intuicji jest się jak bez wiary. Wracałem niczym niewolnik do tej opowieści. Zastanawiałem się, jak doszło do morderstwa. Czy było coś szczególnego – gest, wymiana zdań – co okazałoby się decydujące dla zrozumienia?

W kolejnych tygodniach rzeczywistość sprowadziła mnie z powrotem do centrum. W dzielnicy Prati byłem umówiony z Savinem Guglielmim. Guglielmi był prawnikiem Marty Gai Sebastiani, która zdecydowała się wnieść oskarżenie prywatne. Kancelaria adwokata znajdowała się przy via Valadier. Mecenas był szczupłym mężczyzną po czterdziestce, w marynarce i pod krawatem. Okazał się znakomitym rozmówcą. Powiedział mi, że śmierć Luki, co zrozumiałe, miała na Martę przeogromny wpływ.

– Ich związek przez lata był rodzajem strefy wolnocłowej. Kiedy ona i Luca byli razem, reszta świata znikała.

Co oczywiście nie przeszkadzało światu nadal istnieć. Marta Gaia rozpocznie proces terapeutyczny, będzie wspierana przez psychologa. Nie zapoznała się ze wszystkimi aktami procesowymi, niektóre ich części były bardzo trudne, zmierzy się z nimi, gdy będzie gotowa.

Życie, o którym myślimy, że przeżyliśmy. Życie jak jeden dzień.

– Jest pan żonaty? – zapytał nagle mecenas Guglielmi.

– Tak. – Bałem się zgadywać, dokąd zmierzał.

– Myśli pan, że zna swoją żonę?

– Znam ją bardzo dobrze.

– A da pan sobie rękę włożyć w ogień za to, że żona nie prowadzi podwójnego życia?

Prawie zobaczyłem wielki czerwonawy płomień na prawo od mecenasa,

między popielniczką a kodeksem cywilnym. Musiałem tylko wyciągnąć rękę, a ta nowoczesna próba poświadczyłaby absolutną przejrzystość mojego życia małżeńskiego.

– Nie, nie włożyłbym ręki w ogień – powiedziałem – także z szacunku dla wolnej woli mojej żony. A przede wszystkim – dodałem, uśmiechając się – nie włożyłbym jej, ponieważ nigdy nie wiemy wszystkiego o ludziach, których kochamy.

– My nie – odpowiedział z uśmiechem adwokat – ale może Facebook wie.

Rozmawialiśmy o okropnej wymianie wiadomości między Martą Gaią i Valerią Proietti. Rozmawialiśmy o wiadomościach na WhatsAppie od Luki Varaniego znalezionych na telefonie komórkowym Marca Prato, o tysiącach informacji – esemesy, WhatsApp, rozmowy, chronologie, geolokalizacja – zdolnych do zdestabilizowania w dowolnym momencie życia prywatnego każdej osoby, informacji, do których na szczęście nie mieliśmy dostępu w części dotyczącej naszych uczuć, ale wielkie korporacje trzymały je na swoich serwerach niczym bomby, które w każdej chwili mogą eksplodować.

Pułkownik Giuseppe Donnarumma kierował wydziałem operacyjnym karabinierów, któremu powierzono tę sprawę. Spotkałem go 11 marca, tydzień przed tym, jak ciało Luki Varaniego zostało w końcu zwrócone rodzinie. Badanie próbek z autopsji trwało dłużej niż oczekiwano, pogrzeb zapowiadano w gazetach już kilka razy, a następnie odwoływano.

Przybyłem na piazza di San Lorenzo in Lucina o dziewiątej rano. Przejrzyste światło oświetlało fasady budynków i kościołów. Po raz pierwszy od początku roku temperatura przekroczyła piętnaście stopni. Z Montecitorio[7] wylegli parlamentarzyści, aby cieszyć się słońcem i kawą w Caffè Ciampini.

Poprosiłem karabiniera o jasnych oczach, żeby zapowiedział mnie szefowi. Wszedłem po wielkich schodach prowadzących na pierwsze piętro.

– Czy można? – zapytałem przed drzwiami, które mi wskazano.

– Nicola, niech pan wejdzie! – usłyszałem energiczny głos.

Pułkownik Donnarumma powitał mnie w swoim wielkim i nienagannie uporządkowanym gabinecie. Był postawnym mężczyzną po pięćdziesiątce. Uścisnął mi dłoń i od razu zaczął mnie wypytywać. Ile mam lat, gdzie się urodziłem, jakie studia skończyłem, jaką pracę wykonywałem. To nie było przesłuchanie. To było państwo nadstawiające ucha na głos jednego ze swoich dzieci, aby dowiedzieć się więcej o jego historii. Za jego plecami znajdowały się trójkolorowa flaga republiki i zdjęcie prezydenta.

– Niech pan siada, proszę.

Dystans pomiędzy ludźmi władzy a ludźmi instytucji bywa we Włoszech przepastny. Ludzi władzy, których poznałem, zawsze otaczała aura pośpiechu, mnogości zajęć, a w ostatecznym rozrachunku – bylejakości. Urzędowali w gabinetach przepełnionych szpargałami i bezużytecznym sprzętem albo siedzieli w pomieszczeniach skrajnie aseptycznych, gdzie dzieło projektanta wnętrz było jedynym dowodem rzeczywistej pracy kogokolwiek. Łączyli w sobie żarłoczność i silne poczucie nietrwałości: już mieli ugryźć kawałek publicznego tortu, ale nagle znikali, przechodząc na

inne stanowiska. Byli hazardzistami. W przeciwieństwie do nich ludzie tacy jak Donnarumma – a wraz z nim starzy dyrektorzy szkół, wybitni lingwiści i inni rzetelni profesjonaliści, dla których duch służby był ważniejszy niż kariera – działali w powściągliwie urządzonych przestrzeniach. Były to pokoje dostojne, nigdy luksusowe, nawet wygodne, czasami zbyt obszerne.

– A zatem, czym mogę panu służyć? – zapytał Donnarumma.

Przygotowałem mnóstwo pytań, ale najpierw starałem się wyjaśnić, dlaczego ta sprawa wydała mi się interesująca. Mówiłem ogólnie o Luce Varanim, o Marcu Prato, o Manuelu Foffo; mówiłem, że życie każdego z nich rzuca odmienne światło na miasto, mówiłem o tym, jak prasa i opinia publiczna reagują na wydarzenie, podkreślałem absurdalność pewnych zbrodni, pozornie pozbawionych motywu, mówiłem o nieokiełznanej przemocy, o tym, jak ludzie uważani za normalnych mogą dokonywać czynów, które są dla nich samych niezrozumiałe.

– Biedni chłopcy – powiedział w pewnym momencie Donnarumma.

Pułkownik wychodził z założenia, że człowiek jest kruchą istotą i że czasem tylko żelazna etyka i niezachwiana siła woli powstrzymują go przed pogrążeniem się w katastrofie.

– Poza tym to, co mają wokół siebie, nie pomaga – dodał.

Nawiązywał do miasta.

Zapytałem go, co sądzi o *Mondo di mezzo*. Dochodzenie wypełniało gazety każdego dnia na równi ze śledztwem w sprawie Varaniego. Rozmiary skorumpowanego systemu robiły wrażenie. Nie było jednak jasne – i to właśnie w tej kwestii ścierały się opinie w debacie publicznej – czy były podstawy do postawienia zarzutu uczestnictwa w zorganizowanej grupie przestępczej typu mafijnego.

– Mam ogromny szacunek dla wymiaru sprawiedliwości – powiedział pułkownik. – Jakakolwiek będzie decyzja sędziów, uznam ją za słuszną. Ale jeśli się nad tym zastanowić, to trudno powiedzieć, co jest gorsze.

Gdyby nieobecność prawdziwej organizacji mafijnej – ze wszystkimi jej rytuałami przynależności, sztywną hierarchią, paramilitarnym arsenałem – sprawiała, że odetchnęlibyśmy z ulgą, mogłoby to oznaczać, że korupcja w Rzymie przybrała jakąś nieokreśloną formę o niepewnych granicach. Że wdychaliśmy wielki obłok trującego gazu, zmieszany z niewielką ilością czystego powietrza. Dodał, że w środowiskach, w których korupcja jest wszechobecna, ludzie popełniają przestępstwa, nie zdając sobie z tego sprawy.

– Ale wróćmy do naszej sprawy – zakończył.

– Był pan z prokuratorem Scavo w tym mieszkaniu – zagaiłem.

– Jestem w służbie od wielu lat – odpowiedział pułkownik – i widziałem różne rzeczy. Ale kiedy byliśmy w tym mieszkaniu… cóż, wyszliśmy wytrąceni z równowagi.

Są morderstwa i morderstwa. Okrucieństwo, dzika przemoc, całkowita bezcelowość tego, co się stało. Wszystko to umieszczało tę historię w najgłębszych ciemnościach.

– Nicola, czy wierzy pan w Boga?

Od bardzo dawna nikt nie zadawał mi tego pytania. Chciałbym odpowiedzieć, że wierzę w Syna, ale nie w Ojca. Zamiast tego powiedziałem, że praktykuję banalne wielobóstwo, jestem agnostykiem. Pułkownik Donnarumma zapytał mnie, co przez to rozumiem. Wyjaśniłem.

– Człowiek całe życie się uczy. Widzi pan, Nicola – kontynuował – ja mówię, że my, karabinierzy, aby dobrze wykonywać naszą pracę, musimy mieć specjalną ochronę.

– Ochronę? – Nie byłem pewien, czy dobrze zrozumiałem.

– Aurę, ekran chroniący nas przed tym, z czym mamy do czynienia.

Zło. Każdego dnia mieli do czynienia ze złem. Pułkownik powiedział, że zło nie jest pojęciem abstrakcyjnym, ale też nie można go sobie wyobrazić jako bytu zdefiniowanego raz na zawsze. Zło było mobilne, wielopostaciowe, a przede wszystkim zaraźliwe. Im dłużej przebywałeś w jego pobliżu, tym bardziej ryzykowałeś, że zaczniesz działać zgodnie z jego planami. Mówił, że nie ma nic smutniejszego niż karabinier hańbiący swój mundur. To się czasem zdarzało. Dlatego ten, kogo otaczała ochronna aura – wydało mi się, że miał na myśli: „Ten, kto swoim działaniem sobie na nią zasłużył” – mógł mieć nadzieję na godne wykonywanie swojej pracy.

Zapytałem go, co sądzi o Marcu Prato i Manuelu Foffo.

– Spotkali się – odparł Donnarumma – i tu jest problem.

Zbrodnie dokonane przez wspólników, którzy dopiero co się poznali, przebiegały niemal zawsze według tego samego schematu. Nie trzy, nie pięć, nie osiem. Dwa było powtarzającą się liczbą. Inkub i sukkub. Manipulowany i manipulujący, chociaż role często były wymienne. W pojedynkę nie popełniliby – niemal bezwiednie – czynów, za które trafili do więzienia. Nie mieliśmy do czynienia z seryjnymi mordercami. Teoretycznie byli to normalni ludzie.

– To jaka jest prawda o prywatnym życiu Luki Varaniego? A o życiu jego

zabójców?

Ja również starałem się zadawać pytania prosto z mostu.

– No niestety – uśmiechnął się pułkownik Donnarumma – tego nie mogę powiedzieć. Mamy jakąś hipotezę i w miarę postępu śledztwa ona się nam potwierdza, ale musi się pan przygotować na wszelkiego rodzaju scenariusze.

– To prawda, że Foffo i Prato wysłali dwadzieścia trzy esemesy, aby wybrać ofiarę? Coś jak loteria śmierci?

– Wysyłali wiadomości. Nie przysięgnę, że było ich naprawdę dwadzieścia trzy, jak piszą gazety, i niekoniecznie nazwałbym to *loterią śmierci*. Spędzili trzy dni zamknięci w domu, zażywając kokainę i rozmawiając bez przerwy, w pewnym momencie zaczęli wysyłać wiadomości.

– Czy to prawda, że Manuel chciał zabić swojego ojca?

– Manuel żywił urazę do swojej rodziny. Widziałem to podczas przesłuchania, to było dramatyczne.

– Czy zwrócił pan uwagę, że w tej sprawie mówią przede wszystkim mężczyźni? Kobiety milczą.

– Wie pan co? – Pułkownik zmienił ton. – Śledztwo będzie kontynuowane, w pewnym momencie rezultaty zostaną upublicznione. Będzie pan kontynuował swoje badania, wyobrażam sobie, że spotka pan wielu ludzi, przeprowadzi wywiady, poskłada elementy w całość i kawałek po kawałku zrekonstruuje całą historię. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby prawo zostało zastosowane w najlepszy możliwy sposób. Ale pan, jak widzę, chyba chce wejść głębiej. Skoro tak, to w tej kwestii, jeśli pan pozwoli, miałbym kilka rad.

Pułkownik Donnarumma otworzył szufladę. Wyciągnął z niej coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało na przegląd prasy. I rzeczywiście, to były wycinki z gazet. Zaczął grzebać w pliku, wyciągnął jedną kartkę.

– Proszę – powiedział. – Na tym powinien się pan skoncentrować.

Przekazał mi gazetę. Zacząłem czytać. W pierwszej chwili pomyślałem, że pułkownik pomylił artykuły. Spojrzałem na niego, ale potwierdzająco skinął głową. Wróciłem do lektury.

Był to artykuł z „Il Giornale”. Ukazał się kilka dni wcześniej i donosił o słowach ojca Amortha, jednego z najsłynniejszych egzorcystów na świecie. Stary i schorowany Gabriele Amorth bardzo się przejął morderstwem Luki Varaniego. „Za tą zbrodnią musi się kryć znamię diabła – powiedział ksiądz

swoim współpracownikom. – W tym sensie czynię własnymi słowa słynnego psychiatry ateisty, profesora Emilia Servadio, który powiedział: *Kiedy widzi się perfidię osiągającą szczyty, których nie da się wyjaśnić po ludzku, widzę działanie diabła*”.

Gdybym w tym momencie wstał i odwrócił się plecami do Donnarummy, zobaczyłbym dyplom uznania wiszący na ścianie. Był to certyfikat odznaczenia Medalem za Męstwo Obywatelskie przyznanym w 2007 roku przez prezydenta republiki Giorgia Napolitano. Kilka lat wcześniej w Cagliari ówczesny kapitan Donnarumma, nie będąc na służbie, odegrał decydującą rolę w ratowaniu ludzi uwięzionych w płonącym budynku. Po ewakuacji rzucił się z powrotem do środka. Wszedł na czwarte piętro do jednego z mieszkań, z którego nikt jeszcze nie wyszedł. W środku znalazł starszą kobietę leżącą na łóżku. Donnarumma wyniósł ją i uratował, a sam, podtruty tlenkiem węgla, spędził tydzień w szpitalu.

Co oznaczało, że naprzeciwko mnie siedział mężczyzna odważny aż do granic heroizmu, o niekwestionowanej prawości, którego inteligencja – miał dyplom z inżynierii przemysłowej – opierała się na racjonalnych podstawach. I porównywał morderstwo Luki Varaniego do przypadku opętania. Widząc moje lekkie zdziwienie – nie chciałem go lekceważyć, a ponadto czułem, że w jego punkcie widzenia jest coś interesującego – mówił dalej.

Powiedział, że kiedyś, wiele lat wcześniej, kiedy odbywał służbę na północy Włoch, przyszło mu prowadzić sensacyjną sprawę. Bardzo biedna rodzina: matka i trzy córki. Dom na głębokiej prowincji, niedaleko rzeki Adda. Ojciec zmarł albo ich porzucił. Matka utrzymywała się z prostych prac fizycznych. Najmłodsza córka, osiemnastolatka, była kelnerką. W pewnym momencie dziewczyna zaręczyła się ze strażnikiem łowieckim. W takim środowisku oznaczało to możliwość awansu społecznego. Chłopak był przy okazji przystojnym mężczyzną, co bynajmniej nie przeszkadzało. Ale ludzkie uczucia podążają krętymi ścieżkami. Choć matce trudno było się do tego przyznać – a przynajmniej można było przypuszczać, że tak było na początku – poczuła palącą zazdrość. Im dłużej trwała ta relacja, tym więcej urazy chowała. Pewnego wieczoru, leżąc w łóżku, matka usłyszała córkę i jej narzeczonego w sąsiednim pokoju. Kilka godzin później strażnik wyszedł z domu na obchód. Matka wstała z łóżka i zajrzała do łazienki, gdzie jej córka się myła. Kobieta chwyciła za miotłę i zaczęła tak brutalnie uderzać dziewczynę improwizowaną bronią, aż ją zabiła.

– Mieliśmy wiele dowodów, ale brakowało nam przyznania się do winy – powiedział Donnarumma. – Wezwaliśmy więc matkę na posterunek i rozpoczęliśmy przesłuchanie. Nigdy tego nie zapomnę. Wyjaśniłem kobiecie, że nie ma szans, że lepiej będzie, jeśli się przyzna. Patrzyła na mnie bez słowa. Wtedy zmieniłem ton. *Wyrodna matko! Mamy mnóstwo dowodów przeciwko tobie! Oskarżymy cię nawet o ukrywanie zwłok. A to oznacza dożywocie! Przyznaj się, nieszczęsna matko, przyznaj się!* W tym momencie kobieta chwyciła mnie za ramię i poczułem jakieś trudne do opisania gorąco rozchodzące się po ciele. Przyznała się do winy i zemdlała. Byłem wstrząśnięty. Widzi pan, w tym nienaturalnym gorącu było coś podobnego do tego, co się czuło, gdy wchodziło się do mieszkania Manuela Foffo.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę na różne tematy. Słuchałem i próbowałem się zastanowić. Zbyt łatwo było sprowadzić ostatnią część rozumowania pułkownika do przesądów. Donnarumma był katolikiem, ale nawet jeśli oddzielić religię od jego słów, ramy dyskursu pozostawały. Jeśli wyobrazić sobie zło jako opętanie, można z nim walczyć, nie tracąc całkowicie nadziei pokładanej w istoty ludzkie. Nie byliśmy nieodwracalnie źli. Byliśmy słabi. A ktoś tam, gdzieś na zewnątrz, był znacznie od nas silniejszy. To było jedno z możliwych wyjaśnień. W zależności od etymologii był „przeciwnikiem”, „oszczercą”, „niosącym światło”, a także „tym, który dzieli”. Co tak skutecznie dzieliło nas od siebie w tych niespokojnych latach? I czy oszczerca, aby odnieść sukces, nie musi być również dobrym narratorem?

Alex Quaranta rozmawiał przez telefon ze swoją dziewczyną, gdy w telewizji zobaczył wiadomość. Już wcześniej słyszał o morderstwie. Był wtedy bez grosza i często spał po hostelach i w domach przyjaciół. Dziwnych spotkań miał całkiem sporo. Dziwne rzeczy działy się w Rzymie przez cały czas.

– Przepraszam cię na moment.

Alex odsunął telefon od ucha. W materiale telewizyjnym pokazywano właśnie mieszkanie, w którym popełniono morderstwo.

– Co to, kurwa…

Nie jest niczym niezwykłym, że telewizja opowiada historie o ludziach, którym przytrafiają się najbardziej niesamowite rzeczy. Ale co się dzieje, gdy osoba, o której mówią, to ty?

– Oddzwonię do ciebie – powiedział Alex do dziewczyny. Czuł, że serce mu wali.

Otarł się o śmierć i dopiero teraz się o tym dowiadywał. Na dodatek miał pseudonim, o którym najwyraźniej wiedzieli wszyscy oprócz niego. *Alex Tiburtina*.

Kilka dni wcześniej to samo dotknęło Damiana Parodiego.

Było niedzielne popołudnie i Damiano jechał samochodem do Mediolanu. Kierował się do szpitala San Raffaele, gdzie leczył zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, na które cierpiał od lat. W radiu usłyszał wiadomość o morderstwie dwudziestotrzyletniego mężczyzny. Nie zwracając zbytniej uwagi na to, co mówił spiker, zmienił stację.

Kilka godzin później zadzwonił do niego przyjaciel, Angelo Vecchio. Damiano ćwiczył akurat w hotelowej siłowni.

Angelo był wyraźnie przejęty.

– Myślałem, że nie żyjesz, albo że jesteś zamieszany w tę sprawę z Rzymu – powiedział.

– Ale co się stało? – Damiano nie rozumiał.

Angelo Vecchio powiedział mu, że zamordowanym chłopakiem był Luca Varani, a Marco Prato został aresztowany.

Tiziano De Rossi dowiedział się od swojej matki. Powiedziała mu, że w wiadomościach podano informację o znalezieniu zwłok w domu Manuela.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedział Tiziano, starając się powstrzymać emocje i jednocześnie wracając pamięcią do tego, co wydarzyło się kilka nocy wcześniej.

Zostaną przesłuchani przez karabinierów, a następnie dziennikarze ruszą za nimi w pościg. Cała trójka nie znała się ani nigdy nie spotkała. Jednak przez tę sprawę zostali ze sobą związani na zawsze. Byli jedynymi, którzy widzieli, którzy postawili stopę w mieszkaniu na Collatino, zanim wszedł do niego Luca Varani. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, czy jego los stałby się udziałem któregoś z nich? Czy powinni myśleć o sobie jako o ocalałych z katastrofy? Pewne pytania są nieuniknione, choć nie służą niczemu.

Pogrzeb Luki Varaniego odbył się 19 marca, dwa tygodnie po jego śmierci. Wydział medycyny sądowej Uniwersytetu La Sapienza poinformował prokuratora Scavo o wynikach autopsji, a ten polecił, by zwrócono ciało rodzinie.

Była sobota, w całym mieście świeciło słońce. Kościół Santa Gemma, zbudowany w latach pięćdziesiątych XX wieku, zaczął się wypełniać już wczesnym rankiem. Masywny prostopadłościan świątyni górował nad małą grupą domów na Porcareccia, niedaleko La Storta. Na dziedzińcu pełno było ekip telewizyjnych i karabinierów, na schodach składano bukiety i wieńce. Kwiaty od Instytutu Einsteina-Bacheleta. Kwiaty od krewnych Luki. Kwiaty od przyjaciół. Potem wiele białych baloników związanych ze sobą sznurkiem. Na drzwiach kościoła widniał napis: „Na wyraźne życzenie rodziny Varanich wstęp wzbroniony dziennikarzom, fotografom i kamerzystom".

Gdy znalazłem się w środku, zdałem sobie sprawę, że przestrzeń jest zatłoczona do granic możliwości. Nie dało się podejść do ołtarza. Próbowałem znaleźć miejsce na chórze. Tam również było pełno ludzi. Dorośli z pochylonymi głowami. Młodzież z zaciśniętymi pięściami. Znalazłem miejsce z tyłu. Proboszcz, zasłonięty przez tłum, wspominał o ośmiu błogosławieństwach. Jego głos rozbrzmiewał wyraźnie. Mówił, że ludzie opisani w tej Ewangelii cierpią z powodu przemocy, doświadczają niesprawiedliwości, ale Bóg im mówi: „Nie rozpaczajcie, to nie jest ostatnie słowo w waszym życiu, ja jestem waszą poręką". Zgromadzenie słuchało w pełnym emocji skupieniu. Proboszcz mówił, że ostatnim słowem Luki nie może być to, co się wydarzyło, że Bóg nie chciał, aby chłopak umarł w ten sposób, że wszystko nie zamknęło się w krótkich latach jego życia, bo tajemnica, którą jest każdy człowiek, nie może zostać wyczerpana – nawet gdyby ten jeden człowiek żył sto lat, zawsze jest jakaś brakująca część, jakaś kontynuacja, część, której nie widzimy, i to ona nadaje sens całości. Bóg ją widzi. I Bóg uczynił siebie poręczycielem Luki.

– A my wraz z Bogiem – powiedział ksiądz, zapraszając nas do podniesienia rąk z otwartymi dłońmi.

Zabrzmiały organy i rozległ się kobiecy śpiew, po chwili do pieśni dołączył męski głos. Izajasz 62. Poczułem gęsią skórkę. Dziewczyna śpiewała wspaniale, jej głos był melodyjny, mocny, a brzmienie chłopaka, stanowcze i poważne, było idealnym tłem. Fragment Biblii, do którego przygotowali muzykę, mówił o odkupieniu narodu wybranego po zniszczeniu Jerozolimy.

Przez wzgląd na Jerozolimę nie spocznę,
dopóki jej sprawiedliwość nie błyśnie jak zorza
i zbawienie jej nie zapłonie jak pochodnia[8].

Następnie organy zamilkły i w absolutnej ciszy dziewczyna zaintonowała dalsze słowa proroka.

Nie będą więcej mówić o tobie „Porzucona”,
o krainie twej już nie powiedzą „Spustoszona”.

Kobieta obok mnie zalała się łzami. Dwa rzędy dalej inna pani zaczęła szlochać. Obok niej mężczyzna z szeroko rozłożonymi ramionami i otwartymi dłońmi zaciskał zęby, a po jego policzkach spływały łzy. Poczułem, jak ściska mnie w gardle. Tak, jak to się dzieje od wieków podczas zbiorowych rytuałów, setki ludzi wibrowało *unisono*. Byliśmy tak nieprzyzwyczajeni do odczuwania podobnych emocji, że czuliśmy się przytłoczeni już przez samo zaskoczenie. Nagle wiedzieliśmy, że nie jesteśmy sami, że żyjemy w mieście, które ogarnia wszystkich, żywych i umarłych. Proboszcz prosił Boga, aby przyjął płacz rodziców Luki, jego narzeczonej Marty Gai i jego przyjaciół. Mówił, że wiara nie wyklucza oczekiwania na ludzką sprawiedliwość. Wezwał na ambonę Davidego Toffolego, nauczyciela języka włoskiego, z którym rozmawiałem kilka dni wcześniej. Stanąłem na palcach, by go zobaczyć.

– Niegodziwy jest ten, kto sieje śmierć – mówił z ambony Toffoli. – Niegodziwy jest również ten, kto myli ofiarę z katem. *Ciszej płacz nad zmarłym, bo znalazł odpoczynek*, mówi Księga Syracha, *życie zaś głupiego gorsze jest od śmierci*.

Po zakończeniu mszy ludzka masa wylała się z kościoła. Czerwone twarze. Gorączkowe spojrzenia. I powstrzymywany aż do tej chwili gniew.

– Dranie. – Słychać było pomruki. Mężczyźni i kobiety, chłopaki i dziewczyny, naładowani energią, która trzymała ich razem podczas mszy, zaczęli rozpraszać się po placu, jakby dokładnie wiedzieli, co robić, jakie słowa wypowiedzieć, jaką postawę zachować. Reporterzy rzucili się na nich.

– Pracował ze mną w warsztacie – powiedział jakiś dwudziestolatek, gdy podsunięto mu mikrofon. – Ostatni raz widziałem go dzień przed morderstwem. Wyjątkowy człowiek. Przychodził do pracy z uśmiechem i wychodził z uśmiechem. Teraz najważniejsze jest to, żeby tym bestiom wymierzono sprawiedliwość, obawiam się tylko, że unikną należnej im kary.

– Pamiętam go ze szkoły – powiedział inny w czarnej kurtce. – Chłopak taki jak my. Był naiwny, zwabili go w pułapkę.

Mama i tata Luki ginęli w uściskach żałobników. Marta Gaia w okularach przeciwsłonecznych i ciemnej sukience płakała w tłumie.

Z dziennikarzami rozmawiali dawni koledzy Luki ze szkoły. Grupa młodych stworzyła kolaż ze zdjęć przedstawiający zmarłego w różnych momentach życia. Trzymały go dwie dziewczyny, każda z jednej strony, jako dowód i świadectwo. Była też ekipa z Battistini. Trzymali się z dala od kamer i karabinierów. Dumni, bystrzy, kontrolowali otaczającą ich przestrzeń, jakby byli prawdziwymi gwarantami porządku. Nagle rozległ się krzyk, a po nim oklaski. Wyprowadzono trumnę z kościoła. Niesiona na ramionach przez ośmiu mężczyzn, została złożona wśród kwiatów w karawanie. Proboszcz przeszedł przez tłum, podszedł do trumny i udzielił błogosławieństwa. Wszyscy zaczęli zbierać się wokół karawanu. Kto mógł, wkładał głowę do bagażnika i całował trumnę. Najpierw krewni Luki. Potem chłopacy z wieczorówki. Przyszła kolej na Martę Gaię. W końcu na ekipę z Battistini. Jej liderem był wysoki, szczupły chłopak o mięsistych ustach, włosach wygolonych po bokach i z tatuażem na wysokości prawej brwi. Położył obie ręce na trumnie. Ktoś za nim syknął:

– Dożywocie dla gnojów.

Chłopak nadal wpatrywał się w trumnę ze skrzyżowanymi rękami, jego grobowe spojrzenie zmieniło się w gorzki uśmiech, jakby rozmawiał z duchem Luki i tylko on był do tego upoważniony. W końcu uderzył otwartą dłonią w drewno na pożegnanie, pozwalając odejść zjawie. Było gorąco. Tłum robił się niespokojny. Ktoś przeciął sznurek, baloniki uleciały ku niebu. Rozległy się oklaski, potem głosy. Ludzie wznosili pięści.

– Sprawiedliwość!

– Sprawiedliwość!

– Sprawiedliwość!

Chór

Część trzecia

Moje własne sprawy nudzą mnie śmiertelnie. Wolę cudze.

Oscar Wilde

Wszystko, co mówisz, świadczy o tobie, zwłaszcza kiedy mówisz o kimś innym.

Paul Valéry

– Gdy byłem dzieckiem – powiedział Marco Prato prokuratorowi – były takie chwile, że szedłem do łóżka i się modliłem. Modliłem się o to, abym rano w magiczny sposób obudził się w ciele dziewczynki. Tak bardzo tego pragnąłem.

Federica Vitale

Znam Marca Prato mniej więcej od piętnastu lat. Byliśmy w tej samej klasie aż do matury. Nasze relacje z czasem się zacieśniły, być może dlatego, że oboje jesteśmy homoseksualni. Zawsze uważałam Marca za osobę wrażliwą. W szkole koledzy się nad nim znęcali, naśmiewali się z niego zarówno dlatego, że był gejem, jak i dlatego, że był gruby. Po maturze zapisał się na LUISS i zaczęliśmy się rzadziej widywać.

W 2011 próbował popełnić samobójstwo. Robił magisterkę w Paryżu. Nigdy tak naprawdę nie zrozumiałam, co się stało, chyba zerwał wtedy ze swoim chłopakiem.

Pod koniec ubiegłego roku znów zaczęliśmy się widywać. Cieszyło mnie to. Raz w tygodniu szliśmy na pizzę. Opowiadał mi o swojej nowej pracy jako organizator imprez. Podczas jednej z rozmów zwierzył mi się, że chce zmienić płeć. Miałam wrażenie, że mówi mi to tylko po to, żebym pochwaliła jego wybór. Zaraz potem zapytał mnie, czy ja też mam zamiar zrobić to samo. Odpowiedziałam, że nie. Nigdy nie myślałam o zmianie płci.

Ostatnio mieliśmy się spotkać 2 marca. Nagle odwołał spotkanie, napisał mi, że przenieśli mu termin spotkania biznesowego.

Trzy wieczory później byłam z przyjaciółkami w restauracji. Nagle dzwoni do mnie Ornella Martinelli. Bardzo poruszona. Podobno karabinierzy zadzwonili do Lorenzy i powiedzieli jej, że wzięli Marca do szpitala i że trzeba powiadomić rodzinę. Zaczęłyśmy wydzwaniać wszędzie, gdzie się dało, aby się dowiedzieć, co się stało. Niczego się jednak nie dowiedziałyśmy.

Następnego ranka przesłali mi link z wiadomością o dwóch chłopakach aresztowanych za morderstwo popełnione na Collatino. Wtedy zrozumiałam.

Serena Palladino

W dzieciństwie graliśmy na tym samym boisku do siatkówki. Uważam Marca za swojego najlepszego przyjaciela. Z czasem rozwinęliśmy niemal symbiotyczną relację. Zawsze wierzyłam, że cokolwiek przydarzy mi się w życiu, on będzie przy mnie.

Prawie zawsze spotykaliśmy się w moim klubie. Ja kończę o pierwszej nad ranem, on przychodził na ostatniego drinka.

W ostatnim czasie nie miał prawdziwego chłopaka, były tylko okazjonalne relacje zarówno z gejami, jak i heterykami. Czytałam jakieś dziwne rzeczy w gazetach, dlatego chcę podkreślić, że były to związki między dorosłymi osobami, które wyraziły na to zgodę.

Bardzo rzadko, mniej więcej raz w miesiącu, zażywał kokainę. Chciałam, żeby przestał. On też chciał się z tego wyzwolić, więc w listopadzie zawarliśmy umowę: Marco powierzy mi pieniądze, które zarobił na organizowanych przez siebie imprezach, a ja je przechowam. Działało przez jakiś miesiąc.

Niestety, interesy nie szły mu najlepiej. Nie pracował tyle, ile wcześniej, co oznaczało, że miał dużo wolnego czasu, a to był problem.

Niezwykle inteligentny. Wykształcony. Błyskotliwy. Doskonała pamięć. Elokwentny. Taki jest Marco Prato. Nie uważam, by był zdolny do fizycznej agresji, nie jest brutalny. Jest bardzo empatyczny i współczujący. I wielkoduszny.

Jakiś miesiąc temu, kiedy jedliśmy razem kolację, powiedział mi, że postanowił porozmawiać z matką. Sytuacja nie była łatwa. Żalił się, że nie może się z nią porozumieć, cierpiał z tego powodu, uważał, że jej miłość do niego jest uwarunkowana kwestią homoseksualności. Powiedział jej, że jest gejem, kiedy był nastolatkiem. Pamiętam, że jego matka zadzwoniła do mnie w tamtym czasie. Powiedziała mi, że jej syn jest chory i trzeba go zabrać do psychologa. *Psychologa?* Odpowiedziałam, że nie ma nic złego w byciu homoseksualistą, przecież to żadna choroba. Od tamtego dnia matka Marca nie chciała mieć ze mną nic wspólnego.

W poprzednią niedzielę przeczytałam artykuł w „La Repubblica”. Pobiegłam do szpitala Pertini, ale nie chcieli mnie wpuścić.

Lorenza Manfredi

Robiliśmy razem studia pierwszego stopnia na LUISS, był przyjacielem mojego chłopaka.

W liceum miał problemy z powodu swojego wyglądu. Był gruby. Sam nam to powiedział, pokazał nawet zdjęcia. Trzeba powiedzieć, że kiedy go poznaliśmy, wciąż ważył trochę za dużo i nie miał takiej sylwetki jak teraz. Mówił o tym z ironią, ale myślę, że nigdy całkowicie nie przezwyciężył tego wstydu.

Po licencjacie wyjechał do Paryża, gdzie robił studia magisterskie. To tam próbował się zabić. Zmieszał pigułki z alkoholem. Wysłał wiadomość do nas, swoich przyjaciółek. Były w niej frazy zaczerpnięte z piosenek Dalidy.

Pamiętam, że jak tylko dostałyśmy ten esemes, natychmiast zadziałałyśmy. Udało nam się znaleźć znajomą, która mieszkała w Paryżu. To ona go uratowała. Przyczyną próby samobójczej był niejaki Nicolas, Francuz. Zdaje się, że zerwali ze sobą.

Marco ostatecznie nie ukończył tych studiów. Po powrocie do Rzymu ponownie próbował popełnić samobójstwo. Przyczyną wciąż był Nicolas. Dziwne było tylko to, że z tego, co pamiętam, to Marco zostawił Nicolasa, a nie odwrotnie. Marco musiał źle zareagować, gdy usłyszał, że Nicolas spotyka się z innymi facetami.

Po tych wydarzeniach straciliśmy kontakt. Ja wyjechałam do Chile.

Usłyszeliśmy się ponownie we wrześniu, niemal przez przypadek. Powiedział mi, że teraz dobrze zarabia, i dodał, że jak jakiś głupek wydaje wszystkie pieniądze na kokainę. Byłam oszołomiona. Jeśli dobrze pamiętałam, wcześniej nie zapalił nawet jointa.

Również podczas tej rozmowy telefonicznej powiedział coś, co sprawiło, że poczułam się zaniepokojona.

Powiedział, że pewnej nocy wracał ze swojej imprezy i przechodził obok stacji Tiburtina, która jest blisko jego domu. Zauważył tam dwóch gości siedzących w zaparkowanym samochodzie. Było widać, że są nieco wstawieni i że są obcokrajowcami. Marco zapukał w okienko i zapytał, czy czegoś nie potrzebują. Okazało się, że byli Australijczykami, i że faktycznie potrzebowali pomocy. Zgubili się. Szukali swojego hostelu. A wtedy Marco, pod pretekstem pomocy, zabrał ich do swojego domu.

Maurizio Valli

Pierwszy raz rozmawiałem z nim 6 września 2015 roku. Pamiętam dokładnie datę, ponieważ wtedy były urodziny mojego przyjaciela Paola Leporego. Paolo i ja przyszliśmy na Wyspę Tybrową o wpół do pierwszej w nocy. Pracował tam Claudio Bosco, nasz wspólny przyjaciel. Byliśmy trochę wstawieni i choć nie należę do regularnych konsumentów narkotyków, dałem się namówić Marcowi Prato, który uznał, że trzeba dodać trochę kolorów tej imprezie.

Ale po kolei.

Kiedy przybyliśmy na miejsce, było spokojnie. Claudio stał za barem. Marco Prato siedział niedaleko i przyglądał się nam. W pewnym sensie też był tam w pracy, prowadził ten lokal ze wspólnikami. Pierwszy koktajl, drugi, wieczór zaczął się na dobre, kiedy Claudio wyparował z tym swoim głupim żartem, to znaczy powiedział, że wyglądam jak Kim Rossi Stuart. Na co Prato podniósł głowę i powiedział: *No okej, jesteś przystojnym facetem, ale nie przesadzajmy*. Zgodziłem się, nie ma aż takiego podobieństwa. Marco podszedł do nas, zapytał co robimy zawodowo. Powiedziałem mu, że zajmuję się kinem, w tym sensie, że po studiach zacząłem montować, demontować, pracować z filmami wideo, takie tam rzeczy. Paolo powiedział, że jest traderem, chociaż w rzeczywistości siedzi cały dzień przed komputerem i sprawdza różne rzeczy, a wszystko, co naprawdę ważne, robi za niego algorytm, który dzięki analizie wielu czynników pozwala inwestować w papiery wartościowe.

Rozmawialiśmy i muszę powiedzieć, że było całkiem przyjemnie. W pewnym momencie Marco mówi: *To co, może kreseczkę?*

Może to przez to, że piliśmy, a może przez aurę świętowania, w każdym razie Paolo i ja powiedzieliśmy, że okej. Tylko Claudio poszedł do domu, bo musiał wstać wcześnie następnego dnia.

Marco zaczął przygotowywać kreski, nie za grube i nie za długie. Po pierwszym snifie zaproponował, żebyśmy kontynuowali u niego w domu. Był miły. Kiedy chcieliśmy zapłacić za drinki, odpowiedział: *Myślicie, że wam na to pozwolę?* Zanim wyszliśmy, wyznałem mu, że nie wciągam za często. Powiedział: *Daj spokój, myślisz, że ja to robię codziennie?*

Mieszkanie Marca znajdowało się w suterenie. Małe i w remoncie. Ze ścian wystawały rury, brakowało nawet aneksu kuchennego. W salonie były kanapy, niski stolik z komputerem, nie było nawet podciągniętej linii telefonicznej, więc używał swojej komórki jako routera.

Marco miał na sobie krótkie spodnie i fantazyjną koszulę zapiętą pod samą szyję. Było gorąco, więc w pewnym momencie zasugerował, abyśmy zdjęli spodnie i siedzieli w bieliźnie. Tak zrobiliśmy. Marco w tym czasie przygotował drinki. Wódka, gin cytrynowy. Wypiliśmy. Wciągnęliśmy jeszcze po kresce. Na początku Paolo i ja siedzieliśmy obok siebie, potem Marco zajął miejsce między nami.

Wtedy wyszedł z dwuznacznymi tekstami, nazwałbym to „badaniem gruntu". *Wiem, nie jesteście homoseksualistami*, powiedział, *wiem, że się boicie, ale nie musicie się niepokoić, teraz obejrzymy film porno*. Grała muzyka. Znowu wciągnęliśmy kreskę. Czułem się rozluźniony, odurzony wszystkim, co robiliśmy, chciałem pokazać Marcowi kilka wideo, które zrobiłem. Mam je na swojej stronie, to moja praca, chciałem pokazać je komuś, kto mógłby mi coś doradzić. Marco obejrzał je, a potem powiedział: *Dobrze, to teraz pooglądajmy porno*. Zaproponował nam również masaż stóp. Zgodziliśmy się. To było całkiem przyjemne.

Na początku to Marco wybierał filmy, wyszukiwał je na XTubie, TubeGalore, YouPornie. TubeGalore było właściwie moim pomysłem. Obejrzeliśmy kilka. Marco powiedział, że mu się podobają, bo on identyfikuje się z kobietami.

W tym momencie wkroczyliśmy w wymiar, który zdefiniowałbym jako „konfesjonał". Marco zaczął w stylu: *Maurizio, ty teraz idź tam, a Paolo zdradzi mi swój sekret*. Nieoczekiwanie znalazłem się poza pokojem. Próbowałem podsłuchiwać, ale nic nie rozumiałem z tego, co mówili. Usiadłem więc na podłodze i zacząłem palić. Dwadzieścia minut później pojawił się Paolo. *Co się stało?* Dał mi do zrozumienia, że odbyli stosunek oralny. Potem powiedział: *Daj spokój, Maurizio, raz w życiu… co się przejmujesz, też spróbuj!* Odpowiedziałem, że nie mam zamiaru.

Wróciłem do pokoju, w którym przebywał Marco Prato. Gdy mnie zobaczył, od razu zaproponował mi kolejny masaż stóp. Powiedział: *Chodź, zrelaksuj się*. Pozwoliłem mu. Czułem się dobrze. Po pewnej chwili powiedziałem mu, że jedyne na co byłbym skłonny mu pozwolić, to dałbym się mu masturbować, o ile zrobi to przedmiotem, a nie rękami. Marco był zdumiony. *Ale co by to zmieniło, przepraszam?* Tak zapytał. *Ten przedmiot byłby tylko substytutem ręki*. W tym momencie wrócił Paolo. Podszedł i powiedział mi, że jeśli chcę wiedzieć, to Claudio, znany kobieciarz, również był w tym mieszkaniu. Być może to zdecydowało.

Marco zaczął obiema rękami. Siedząc na środku sofy, prawą ręką masturbował mnie, a lewą Paola. Paolo nie miał erekcji. Ja miałem. Nie pamiętam, czy Marco miał. Starałem się na niego nie patrzeć. Już jego owłosione nogi mnie brzydziły, miał szerokie biodra, duży, trochę bezkształtny tyłek. Oni dalej oglądali porno.

Chwilę przed tym, jak miałem dojść, powstrzymałem go. *Stop*, powiedziałem. Złapałem go za rękę i ją odciągnąłem.

Marco zaczął mnie besztać: *To głupie nie zaspokajać pożądania*, powiedział, *nie lubię ludzi, którzy krzywdzą siebie w ten sposób*.

Starałem się odpowiedzieć spokojnie, bardzo uważałem na słowa, byłem jego gościem i zauważyłem, że moja odmowa go zdenerwowała. Wróciliśmy do wciągania koksu.

Po godzinie zdecydowaliśmy, że na nas pora. Marco zaoferował, że odwiezie nas samochodem, ponieważ Paolo nie był w stanie prowadzić skutera.

Po powrocie do domu poczułem się okropnie.

Czułem się źle zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Było ze mną tak niedobrze, że poprosiłem ojca, aby zabrał mnie do psychologa. Powiedziałem ojcu tylko o koksie. Miałem gulę w gardle, czułem obrzydzenie, nie mogłem się już nawet masturbować, a wcześniej robiłem to codziennie. Musiałem o tym porozmawiać, musiałem powiedzieć *wszystko* mojej dziewczynie. Jest Dunką, w tym momencie nie było jej nawet we Włoszech, wysłałem jej esemes, potem zadzwoniliśmy do siebie przez Skype'a. Opowiedziałem jej wszystko. Wyjaśniłem, że gdybym jej o tym nie powiedział, dostałbym ataku paniki. Był to również wyraz szacunku wobec niej. Po tym, jak skończyłem mówić, moja dziewczyna mnie uspokoiła. Była przy mnie. Powoli wszystko zaczęło się układać.

Problem polegał na tym, że trzy dni później to ja musiałem skontaktować się z Markiem Prato. Zostawiłem prawo jazdy i kartę ubezpieczeniową w jego samochodzie. Byłem przerażony na samą myśl o spotkaniu. Umówiliśmy się w pobliżu mojego domu. Kiedy pojawił się przede mną, serce mi waliło. Zapytał mnie, jak się czuję, powiedziałem prawdę, że do dupy. Miał reakcję w stylu: *Ech, mamma mia, no coś takiego…*

Jakoś w listopadzie znów go szukałem. Wysłałem mu wiadomość na WhatsAppie. Napisałem mu coś perwersyjnego. Chciałem, żeby załatwił mi trójkąt z dwiema dziewczynami. Odpisał, że ma kilka przyjaciółek, z którymi

mógłby mnie zapoznać. Napisałem mu: „Jeśli załatwisz mi te twoje przyjaciółki, pozwolę ci skończyć to, czego wtedy nie dokończyłeś”.

Nie odpisał.

Ornella Martinelli

Jest zdolny do psychicznego okrucieństwa, z pewnością jest manipulatorem, ale nigdy nie był agresywny. Przynajmniej nie w sensie fizycznym.

Jestem Ornella, mam dwadzieścia dziewięć lat, razem z ojcem prowadzę pensjonat. Znam Marca Prato od czasów gimnazjum.

Już wtedy był otwarcie homoseksualny i zawierał bardzo bliskie przyjaźnie z dziewczynami. Starał się otaczać kobietami o silnych osobowościach, od przyjaciółek chciał całkowitej, bezwarunkowej akceptacji. Takiej, jakiej być może nie otrzymał od matki. Była w nim jakaś przesada, emocjonalna natarczywość, narzucał się i nie omieszkiwał oceniać naszego życia. Widziałam, jak wykorzystywał swoją przewagę intelektualną, by ranić ludzi. Potrafił to robić w bardzo wyrafinowany sposób, miał w głowie archiwum wszystkiego, co zrobiłyśmy w przeszłości, i wykorzystywał to w odpowiednim momencie.

Gdy próbował popełnić samobójstwo w Paryżu, zaczęłam myśleć, że za całym tym ekshibicjonizmem i narcyzmem skrywał się cierpiący człowiek.

Kiedy wyszedł ze szpitala, zapisał się na siłownię. Zmienił sposób życia. Poświęcił się, że tak powiem, kultowi piękna. Zeszczuplał. Założył tupecik. Gdy wyzdrowiał fizycznie, poczuł się pewniej, zaczął zaniedbywać swoje dawne przyjaźnie, zdystansował się od nas wszystkich, zanurzył w życiu rzymskiej społeczności gejowskiej.

Ostatni raz widziałam go trzy tygodnie temu. Przyszedł do mnie do domu z Monicą i Sereną. Opróżnił mi lodówkę, wypił nawet *limoncello*, które ze sobą przyniósł. Był nieprawdopodobnie irytujący, dawno go takiego nie widziałam. Wygłaszał dziwne przemowy na temat jakichś tabletek nasennych. Wiem, że leczył się u psycholożki, doktor Crinò. Biorąc pod uwagę, że Marco naprawdę potrafi narzucić innym swoją wersję rzeczywistości, nie do końca potrafiłam wyczuć, na ile ta Crinò potrafiła go ocenić, a na ile zdawała sobie sprawę, że Marco był w naprawdę popapranym okresie.

Na jaw wyszły akta z Sant'Alessandro z 2011 roku. Sant'Alessandro to klinika, do której Marco Prato został przyjęty po swojej pierwszej próbie samobójczej.

Rozmawiałem o niej z Chiarą Ingrosso, dziennikarką pracującą dla „Il Fatto Quotidiano".

Spotkaliśmy się na piazza di Pietra. Dotarłem tam z okolic Ostiense, gdzie schowana w połowie drogi między Tybrem a stacją kolejową znajdowała się szkoła prowadząca kursy włoskiego dla osób ubiegających się o azyl. To właśnie tam każdego dnia pojawiały się najbardziej niewiarygodne historie, jakie można usłyszeć w Rzymie na początku XXI wieku: o Hamidzie, który przepłynął morze w łodzi pełnej martwych dzieci, Szorszu miesiącami gwałconym w Libii szyjką butelki, Alim, Syoumie, Gabrielu… Pomimo tego, co ci ludzie przeżyli, większość z nas wolała ignorować ich historie, udawaliśmy, że nie istnieją, jakby jakieś zaklęcie uniemożliwiało nam szerokie otwarcie oczu i uszu na to, co działo się tak blisko.

– Doszło do tego, że Marco Prato i Manuel Foffo zaczęli śnić mi się po nocach – wyznała mi Chiara.

W centrum miasta kawa i świeżo wyciskany sok z cytrusów. Prawnicy. Szychy z publicznej telewizji. Zupełnie inny świat.

Skontaktowałem się z Chiarą Ingrosso po tym, jak usłyszałem jej audycję w radiu. Po sposobie, w jaki mówiła o morderstwie, można było wywnioskować, że zaangażowała się w sprawę bez reszty. Była młodsza ode mnie o piętnaście lat, przez jakiś czas pracowała w dyskotece, a w wolnych chwilach robiła małe reportaże dla internetowego wydania „Il Fatto Quotidiano". Odkąd jednak zajęła się tą sprawą, nie mogła myśleć o niczym innym. („W sobotę 5 marca robię w dyskotece. Idę spać o świcie. Kilka godzin później, kiedy jestem jeszcze przymulona, dzwoni do mnie szef wydania internetowego. Powierza mi sprawę morderstwa, zakładając, że doszło do niego w tym samym środowisku, w którym się obracam. Zrywam się z łóżka, wychodzę z domu i zaczynam wypytywać znajomych. Tak to się

zaczęło. Nie odpuściłam, a wszystko inne zniknęło z mojego życia"). Chiara rzuciła pracę w dyskotece, siedziała przy tej sprawie dniem i nocą, wypytywała ludzi, zbierała dokumenty, tak jakby to morderstwo stało się centrum jej życia, także na poziomie emocjonalnym. Jednocześnie otworzyło jej oczy na prawdziwe zawodowe powołanie: reportaż kryminalny. Marco Prato i Manuel Foffo, jak powiedziała, byli ludźmi, o których myślała najczęściej w ciągu dnia.

– Zobaczmy te papiery.

Z dokumentacji medycznej kliniki Sant'Alessandro wynikało, że Marco próbował popełnić samobójstwo w Paryżu 28 maja 2011 roku (leki przeciwhistaminowe zmieszane z alkoholem), a następnie w Rzymie 15 czerwca tego samego roku (opakowanie Tranquiritu, alkohol, płytkie nacięcia na nadgarstkach). Anamneza psychiatryczna mówiła o osobowości „przedchorobowej" charakteryzującej się poczuciem pustki, niestabilnością nastroju, ciągłym poszukiwaniem cudzej uwagi. Badanie psychologiczne wykazało, że był to młody człowiek o wysokim poziomie inteligencji, przyzwyczajony do uważnego monitorowania otaczającego go świata. Musiał cały czas kontrolować sytuację, zbierał informacje o osobach, z którymi miał do czynienia. Tak zwana „metoda racjonalna", z którą zresztą radził sobie bardzo dobrze, przestała się jednak sprawdzać, gdy zbytnio zbliżał się do innych, zwłaszcza wtedy, gdy relacja stawała się emocjonalna. Jego „intelektualizujące" podejście do emocji (mówienie o nich zamiast ich doświadczania) mogło mieć cel ochronny. Tylko przed czym? Został wypisany z diagnozą narcystycznego zaburzenia osobowości.

– Być może nigdy nie otrząsnął się z traumatycznych przeżyć z dzieciństwa – rzuciłem banałem. – Może to milczenie matki. Albo dręczyciele w szkole.

– Mnie on przypomina jednego z tych radykalnych filozofów z końca XIX wieku – stwierdziła Chiara, gdy ja wpatrywałem się w zwęglony rower stojący w pobliżu śmietnika z odpadkami, które były rozsypane dookoła na asfalcie.

– W jakim sensie?

– Mam wrażenie, że przez wyolbrzymianie, przeciąganie struny i przekraczanie granic znalazł się oko w oko z jakąś ostateczną pustką, czarną dziurą zdolną pochłonąć znaczenie całej reszty. Pamiętasz, co napisał w jednym z listów pożegnalnych? *Odkryłem straszne rzeczy w sobie i w świecie*.

– Co takiego jest w tej sprawie, że tak się nią pasjonujesz? – zapytałem.

– Chcę zrozumieć. Widziałam wielu chłopaków takich jak Marco. Może nie kończą w czymś tak straszliwym, ale ścieżka jest podobna. Od razu ich rozpoznaję, patrzę na Marca i od razu widzę innych. To moje pokolenie, nie? Dyskoteki, afterki, chemseks. Pracowałam w dyskotece, widziałam to wszystko. Kiedy zaczynasz żyć takim życiem, łatwo jest spaść na drugą stronę. Gdyby nie pojawiła się ta sprawa, gdybym się nią nie zajęła, może w pewnym momencie też bym wpadła w to samo miejsce. Kto wie?

– Moi rodzice zawsze byli w domu osobno – powiedział Manuel prokuratorowi. – Patrzyłem na ich kłótnie od urodzenia. Kiedy byłem mały, leżałem w łóżku i nadstawiałem uszu, czy się nie kłócą. Ja i mój brat zawsze byliśmy gotowi do ucieczki, gdyby wybuchła bójka.

– Proszę posłuchać… – zaczął prokurator.

– Widzi pan, *dottore* – zignorował go Manuel – kiedy byłem nastolatkiem, miałem skuter. Moje życie było wspaniałe, spotykałem się z dziewczyną, grałem w piłkę, w szkole nie miałem problemów. I co się stało? Kiedy skończyłem liceum, mój ojciec niespodziewanie oddał mój skuter facetowi, który pracował w jakimś barze. Poczułem się okropnie.

– Dlaczego go oddał?

– Zawsze się nad tym zastanawiałem. Z tym skuterem miałem emocjonalną więź, taką nierozerwalną. A potem była toyota yaris. Zapytałem ojca: *Kupisz mi yarisa*?

– Yarisa?

– Miałem już plan, jak powinienem żyć. Na przykład powinienem mieć spokojny samochód. Yaris był więc idealny. Wygodny, mały, odpowiedni dla kogoś, kto dopiero zrobił prawo jazdy. Ale ojciec powiedział, że potrzebuję solidnego samochodu, na wypadek stłuczki. Kupił mi volkswagena garbusa. Ten garbus przysporzył mi wielu problemów. Zaraz po tym, jak go dostałem, zacząłem pić, zacząłem brać narkotyki, musiałem rzucić piłkę, zerwałem z dziewczyną. To wszystko naraz mi się przytrafiło… seria sytuacji, które, jakkolwiek banalnie to brzmi, doprowadziły mnie do porażki, miałem tę piękną dziewczynę… miałem skuter, który mój ojciec…

– Sprzedał – przyszedł z pomocą Scavo.

– Nie – zaprzeczył Manuel – po prostu go oddał. Nic mi nie mówiąc. Gdy jeździłem garbusem, miałem wiele wypadków. Raz uderzyłem w mur, poduszka powietrzna eksplodowała, samochód się zapalił, musiałem z niego wyskoczyć, żeby się ratować… A mówiłem ojcu: *Kup mi skromny*

samochód. Bo widzi pan, *dottore*, lepiej byłoby, gdyby wielu młodych mężczyzn, zwłaszcza tych, którzy pochodzą z zamożnych rodzin, nie miało od razu dużego samochodu, ponieważ kobiety… dziewczyny w tym wieku nie gonią za pieniędzmi… myślą o pieniądzach *później*… kiedy jesteś młody, zdobywasz dziewczyny w inny sposób. Więc jeśli masz duży samochód, wyglądasz jak facet, który ma pełno kasy, ale nie zarobił jej sam. Rozumie mnie pan? Właśnie dlatego garbus był zły. Ja w tym samochodzie, który mnie zresztą brzydził, musiałem zmienić osobowość. W końcu nie wiedziałem, jak…

– Przepraszam – przerwał mu Scavo. – Czy pan właśnie powiedział, że volkswagen garbus zmusił pana do zmiany osobowości?

– Może…

– Uważam to za nieco niepokojące stwierdzenie.

– Może przesadziłem – wycofał się Manuel. – Chodzi o to, że czuję się bardzo spięty.

Giordano Perotti

Pracuję w spółdzielni usługowej. Manuela poznałem, kiedy miałem jakieś piętnaście lat. Byliśmy przyjaciółmi, spędzaliśmy ze sobą sporo czasu. Ostatnio widywałem go rzadziej. Manuel zaczął mieć problemy po długim pobycie na Ibizie. Kiedy z niej wrócił, nie był już taki sam. W tamtym czasie kokainy używaliśmy sporadycznie, najwyżej jakiś gram w sobotni wieczór i to nawet nie co tydzień. Ja później całkiem skończyłem z kokainą. Manuel przeciwnie, po Ibizie zażywał kokainę znacznie częściej, na dodatek dużo pił.

Zaczęło się to powtarzać za każdym razem, gdy wychodziliśmy. Manuel się upijał. A sposób, w jaki się zachowywał po alkoholu, był bardzo dziwny. Robił się wyobcowany, z nikim nie rozmawiał, stał nieruchomo z zagubionym wzrokiem. Na początku się z tego śmialiśmy, ale na dłuższą metę sytuacja stawała się niezręczna. Chcieliśmy rozwiązać ten problem, mówiliśmy sobie, że musimy z nim porozmawiać, ale niczego nie zrobiliśmy. Zamiast tego zdystansowaliśmy się od niego.

2 marca Manuel utworzył na WhatsAppie grupę „Cristian”. Byłem w niej ja i Luciano Invernizzi. Używaliśmy tej nazwy wiele lat temu, to była aluzja do koksu. Mówiliśmy: *Dziś wieczorem wychodzimy z Cristianem*. Manuel stworzył tę grupę i zaczął wysyłać nam dziwne wiadomości.

W zasadzie zapraszał nas do siebie na kreskę. *No to yolo i furanko*. Używał słów, których nie było do tej pory w jego słowniku. Z Lucianem komentowaliśmy między sobą, że to jakieś dziwne, ale nie odpisywaliśmy mu.

– Przez matkę musiałem zrezygnować z piłki nożnej – powiedział Manuel prokuratorowi. – Bo co się dzieje, kiedy zaczynasz być dobry? Inni chłopacy zaczęli mi zazdrościć. Moja matka, która jest niemal psychopatką, uznała, że mogą mnie skrzywdzić, płakała całymi dniami. Więc w końcu zrezygnowałem.

– Jakie są pana relacje z matką?

– Moja matka jest gospodynią domową – odparł Manuel. – Z tych bardzo prostych. Nie mam z nią o czym rozmawiać. Nie jest wykształcona. Potrafi za to bardzo dobrze gotować, dobrego jedzenia nigdy mi nie brakowało i to mnie cieszy, wypełnia moje serce, kocham ją. Ale to tyle. Jeśli mam problem, na pewno nie mogę z nim iść do matki.

– Kto zatem jest punktem odniesienia w pańskim życiu?

– Nikt.

– Nikt?

– Mój ojciec najpierw zmusił mnie do pójścia na prawo, ponieważ w ten sposób miałem być bliżej firmy, a potem do tej samej firmy wziął mojego brata, a mnie się pozbył. Można powiedzieć, że mnie odcięli, więc zostałem na lodzie, zdezorientowany, bez studiów, na których mi zależało, bez pracy, byłem naprawdę zagubiony. Wtedy powiedziałem sobie: *Manuel, pozostała ci teraz ścieżka samouka*. Zacząłem czytać te wszystkie książki. Uwielbiałem czytać. Czytałem cały czas. Magazyny biznesowe, ekonomiczne, wszystko. Aż po trzech latach stworzyłem ten superprojekt, aplikację piłkarską. My Player. Poszedłem do federacji młodych piłkarzy, odbyłem rozmowy, przyprowadziłem brata, wybrałem najlepszych inżynierów oprogramowania… wszystko było prawie gotowe. Rozmawialiśmy już z sekretarzem generalnym, był entuzjastycznie nastawiony: *Teraz trzeba tylko zgody prezesa*. Gdyby prezes podpisał, byłbym milionerem. Nie chodzi tylko o pieniądze. Chodzi o satysfakcję. Byłem o włos od celu. Nie udało się. Zawsze, gdy wciągałem kreskę, myślałem o bólu, który w sobie noszę. Nigdy mnie nie rozumiano. Nawet Anna, kelnerka z mojej restauracji, mówiła mi: *Manuel, jesteś niezrozumianym geniuszem*. Więc może to oznacza, że stres, kokaina,

alkohol i całe to niezrozumienie pewnego dnia sprawiły, że oszalałem i zrobiłem to, co zrobiłem.

Prokurator patrzył na niego bez słowa.

– A Marco Prato – dodał po chwili Manuel – mówił mi, że miał wspaniałe relacje ze swoimi rodzicami.

Mauro Bergamaschi

Znam się z Manuelem od czasów szkolnych. Pierwszy tatuaż zrobił sobie na lewym ramieniu. Mógł to być 2007 albo 2008 rok. Kazał sobie wydziarać litery M i F, swoje inicjały, ale zostały tak zaprojektowane, że mogły być również inicjałami jego rodziców. Drugi tatuaż przedstawia karpia. Gdy powstawał, byłem tam z nim. Utrzymywał kontakt z tatuażystami od karpia, potem wydziarali mu jeszcze gejszę. Następny tatuaż przedstawiał łucznika. Na koniec kazał sobie wytatuować na kostce beczkę. Ma ona nawiązywać do nazwy rodzinnej restauracji Dar Bottarolo, w rzymskim dialekcie: U Bednarza.

Przez ostatnich kilka miesięcy całe popołudnia spędzał w restauracji. Może pracował na komputerze. Albo rozmyślał. Może surfował w sieci. Kiedyś założyłem mu konto na Facebooku, żeby mógł wziąć udział w turnieju Fantacalcio[9]. Nigdy nie użył tego konta, bał się, że ktoś może go zaprosić do znajomych i że będzie musiał go przyjąć. Nie chciał, aby inni wiedzieli cokolwiek o jego życiu. W każdym razie w ostatnim okresie był kompletnie rozbity. Nie rozumiałem dlaczego. A teraz, przeglądając gazety, przeczytałem o tym wideo, które miało przedstawiać jego i Marca Prato uprawiających seks oralny. Pomyślałem, że zmiana nastroju może mieć z tym związek.

Ostatni raz rozmawialiśmy 2 marca. Gadaliśmy o błahostkach. A 5 marca o 18.56 na mój telefon komórkowy przyszła bardzo dziwna wiadomość. Cytuję dosłownie: „Byłem oddanym przyjacielem dla wszystkich, ale myślę, że nie zasługuję na waszą przyjaźń. Nawet jeśli nie możecie tego zrozumieć, chciałbym zostać zapomniany”.

Loredana Casella

Wszystko szło gładko aż do 2015 roku. Poprzedniego lata zaczęły się problemy.

Mam czterdzieści dziewięć lat i pracuję w branży gastronomicznej. Marca

Prato poznałam latem 2013 roku, kiedy zaczęłam prowadzić restaurację na Testaccio. Marco przychodził tam jako zwykły klient. Był miły, przyjazny i naprawdę znał się na swojej robocie. Dwa lata później wraz z synem i synową podjęłam się prowadzenia w sezonie letnim restauracji rybnej na Wyspie Tybrowej, nazywała się Il Mediterraneo. Wtedy Marco dołączył do spółki.

Claudio Bosco

La falopa, la falopa, la falopa… La falopa, la falopa… [10]

Boże, nie mogę tego wyrzucić z głowy.

Mam dwadzieścia sześć lat, jestem agentem nieruchomości, gram w zespole na basie, ale latem 2015 roku można mnie było znaleźć na Wyspie Tybrowej. Byłem jednym z chłopaków, którzy pracowali w Il Mediterraneo. Właścicielami byli Loredana, jej syn i synowa. Potem do firmy dołączył Marco.

Myślę, że Loredana wzięła go do spółki, bo miała nadzieję, że przyciągnie nowych klientów z kręgów gejowskich. Jednocześnie ufała, że pomoże jej w prowadzeniu restauracji. Nic bardziej mylnego. Marco był zajęty swoimi wieczorami *A(h)però* i prawie nigdy nie pojawiał się w restauracji. Dodajcie do tego kokainę.

W restauracji było wiele rzeczy, które Marco powinien był robić, a nie robił, i takie, które robił, a nie powinien. Loredana na przykład powierzyła mu zaopatrywanie baru w alkohol, a on w ogóle się tym nie przejmował. W końcu sama musiała się tym zająć, ładowała te wszystkie butelki do samochodu, no a ma już swoje lata. Kolejnym problemem byli tak zwani „ważni przyjaciele", których Marco zapraszał do restauracji i nie brał od nich pieniędzy. To samo dotyczyło drag queens, które występowały wieczorami na *A(h)però*, a które potem przychodziły do nas. Kilka razy zrobił sobie zdjęcie z Flavią Vento, raz nawet, kiedy się całowali. Udawali, że flirtują. Te zdjęcia trafiły do gazet.

Damiano Parodi. Pamiętam go. Gej, bardzo w porządku osoba, mówią, że to on przedstawił Lucę Varaniego Marcowi Prato. Damiano był cichy, miał zupełnie inny charakter. Kiedyś słyszałem, jak żartował: *Żeby przespać się z mężczyzną, nie muszę go faszerować dragami*.

Właściwie to w tej kwestii nikt nikogo do niczego nie zmusza. Po jakimś tygodniu pracy w restauracji Marco zapytał mnie:

Ej, a ty coś bierzesz?

Na początku myślałem, że pyta, bo ma zamiar zwolnić tych z nas, którzy brali kokę. Nic z tych rzeczy.

Zaczął mnie pytać, czy chcę z nim wciągnąć. *Chcesz falopę, chcesz falopę, chcesz falopę…*? Tak to nazywał, *falopa*. To było jak refren, który nie może się od ciebie odczepić. Po kilku tygodniach pracy w restauracji zgodziłem się wciągnąć z nim kreskę. Przychodziłem na wyspę około siedemnastej. Loredana pojawiała się o 19.30. Marco jeszcze później. Czasami wciągaliśmy po zamknięciu restauracji. Marco zaczynał od serii komplementów na temat mojego wyglądu, a potem żartów: *Zanurzysz swoje ciasteczko w moim cappuccino?* Takie tam.

Jestem hetero. Kiedy pierwszy raz poszedłem do niego, wciągnęliśmy kreskę, wypiliśmy, a potem kazał mi wybrać porno z netu. Kazał mi się rozebrać pod pretekstem, że w mieszkaniu jest gorąco. Zaczął mnie dotykać. Spójrzmy prawdzie w oczy: nie musiał się aż tak starać. Trochę poudawałem, ale w końcu mu pozwoliłem. Czułem się dobrze, mimo że nawet nie miałem erekcji. Tego wieczoru rozmawialiśmy też o muzyce, o różnych ważnych ludziach, których podobno udało mu się uwieść, i o dziewczynach, które mnie się podobały.

Następnego dnia dopadły mnie uczucia typu *Boże, co ja zrobiłem?* Wiadomo, zjazd po koksie sprawia, że wpadasz w lekką paranoję. Zadzwoniłem do Diega, zaufanego przyjaciela. Powiedział: *Dobrze się bawiłeś? No to się nie martw, nie ma problemu*.

Ale była sprawa Lorisa. Jak już mówiłem, gram na basie w zespole. Loris na perkusji. Żeby się za bardzo nie rozgadywać, Loris również wylądował w domu Marca. Szkoda tylko, że to nie był zwykły dzień. Mieliśmy ważny koncert, Loris zniknął na całe popołudnie, oddzwonił do mnie o ósmej wieczorem, był kompletnie porobiony, powiedział mi, że jest gotowy przyjść i zagrać. Nigdy nie pojawiłbym się na koncercie z członkiem zespołu w takim stanie, również dlatego, że był to pierwszy raz, kiedy mój ojciec przyszedł nas posłuchać. Ostatecznie odwołaliśmy koncert. Byłem wściekły.

Ale przejdźmy do drugiego razu, kiedy pojechałem do Marca. Zaprosił mnie. Okej, jest gejem, powiedziałem sobie, ale przecież ostatnio dobrze się bawiłem. Pierwszą kreskę wciągnęliśmy chyba jeszcze w restauracji. Kontynuowaliśmy u niego. Powiedział *jeszcze jedna kreseczka, no dalej*. Wrzuciłem na luz. Wtedy zaczął mi obciągać, chociaż tym razem też nie

miałem erekcji. W pewnym momencie powiedziałem, że jest mi przykro. Było mi przykro, że nie mogłem odwzajemnić się stosunkiem analnym. Uspokoił mnie: *Ale daj spokój, nie martw się, jesteś moim gościem…* Byłem jego gościem. W kółko proponował mi kokę. W pewnym momencie dostałem ataku paniki. I to takiego, jakiego nigdy nie miałem. W przeciwieństwie do ataków, które miałem jako chłopiec, kiedy było tylko trochę niepokoju i trudności z oddychaniem, teraz czułem się okropnie. Kołatanie serca, poty, trudności z mówieniem. Cały się trząsłem. Czułem się tak, jakbym był *czymś innym* niż moje ciało, myślałem, że umrę.

Marco, muszę mu to przyznać, natychmiast przyszedł mi z pomocą. Objął mnie, podał szklankę wody, pomógł położyć się na kanapie, próbował włączyć odpowiednią muzykę, mówić mi odpowiednie rzeczy, aż w końcu zasnąłem. Obudziłem się po dwóch lub trzech godzinach. Poszliśmy na kebaba.

Po tym epizodzie zaczął żartować w stylu: *Hej, tylko pamiętaj, że uratowałem ci życie*. Poza tym wydawało się, że się uspokoił. Ale trwało to tylko kilka dni. Zaczął znowu. *Chcesz falopę, chcesz falopę, chcesz falopę…* normalnie chińska tortura wodna. Zaczął nawet żartować: *Jeśli się nie zgodzisz, to cię zwolnię*. Powiedziałem mu: *Spoko, zwolnij mnie, tylko co powiemy Loredanie?* Wtedy zmieniał temat: *Daj spokój, przestań, załatwię ci granie w klubach u ludzi, których znam*.

Nie licząc tego, co wydarzyło się w ten wieczór, kiedy miałem atak paniki, muszę przyznać, że Marco Prato jest inteligentnym, charyzmatycznym, a nawet miłym facetem, jeśli chce. Umiał rozśmieszać ludzi. Ale czasem go nienawidziłem.

Po tym ataku zacząłem coraz bardziej nienawidzić kokainy. A razem z tym nienawidzić zawodu barmana. W tym fachu wszędzie widzisz koks, naprawdę chciało mi się rzygać na jego widok.

Kiedy dowiedziałem się o morderstwie, od razu poszedłem pogadać z Lorisem. Powiedział mi, że zbiera mu się na wymioty, był zszokowany, mówił, że przecież coś takiego mogło się jemu przytrafić. Ja też czułem się fatalnie. Nie mogłem czytać gazet. Moi rodzice niczego nie zauważyli. Oczywiście matka zadała mi kilka pytań, wiedziała, że Marco był moim pracodawcą. Rozmawiałem też z tatą Marca. Po rozmowie z nim poczułem się lepiej.

Ale staram się w ogóle nie myśleć o zabójstwie Luki Varaniego. Jak już

wspomniałem, jestem agentem nieruchomości. To taka praca, że klient od razu wyczuwa, w jakim jesteś nastroju.

– Czyli cierpiał pan, ponieważ to brat był ulubieńcem ojca?

– Widzi pan – odpowiedział Manuel – że był ulubieńcem, to zawsze wiedziałem, ale nigdy nie odczuwałem zazdrości. Kocham Roberta. Kiedy stało się to, co się stało, zaraz po moim aresztowaniu, pomyślałem, że *ja* mogę dostać pięćdziesiąt lat więzienia, podczas gdy *on*… Roberto nosi to samo nazwisko co ja, ma trzydzieści dwa lata, dwójkę dzieci, ciężko pracuje, jest szanowaną osobą, też mnie kocha… Pomyślałem, że zrujnowałem mu życie. Ale to prawda, że byliśmy nierówno traktowani.

– Czy tak było od dzieciństwa?

– Kiedy moja matka zaszła w ciążę po raz pierwszy, rodzice nie chcieli jeszcze dziecka, ale gdy Roberto się urodził, był bardzo kochany. Drugi syn był planowany, a okazało się, że byłoby lepiej, gdyby go wcale nie było. Kiedy dorastałem, starałem się to zrozumieć. Pytałem: *Mamo, opowiesz, jak tata o mnie mówił?* I kiedyś matka powiedziała mi coś, czego nigdy nie zapomniałem. To dotyczyło czasów, kiedy dużo piłem. Pewnego dnia ojciec miał powiedzieć do mojej matki: *Kiedyś pocałujesz zwłoki swojego syna*. Jak można zapomnieć coś takiego? Kiedy kłóciłem się z ojcem, zwracał się do mnie w liczbie mnogiej: *Zrobiliście to, jesteście odpowiedzialni za tamto…* Długo zastanawiałem się, dlaczego używał liczby mnogiej. Potem zrozumiałem. Wkładał mnie i moją matkę do tego samego worka, jakby chciał powiedzieć, że ona i ja jesteśmy tacy sami.

– Jest pan pewien, że matka była całkowicie szczera, kiedy przytaczała słowa pańskiego ojca?

– Może pan powtórzyć pytanie?

– Może pańska matka żywi urazę do pańskiego ojca? – przeformułował myśl prokurator.

– Na pewno tak. Ale matka opowiadała mi też o tym, że spędzili razem wiele dobrych chwil.

– Powiedział pan, że nie może uważać swojego ojca za punkt odniesienia.

– Spróbuję podać inny przykład. Wśród moich kolegów są ludzie, którzy wiedzą, jak postępować z dziewczynami. To znaczy, że musieli zaliczyć więcej niż czterysta albo pięćset dziewczyn. Ci koledzy wiedzą, że dzisiejszym dziewczynom naprawdę podobają się brody. Tylko jeśli w domu pojawię się z brodą, to od razu jestem skreślony.

Prokurator okazał zdziwienie.

– Mój ojciec nie lubi brody – kontynuował Manuel. – Broda wywołuje u niego podejrzliwość. Mówi: *Jeśli facet ma brodę, to mu nie ufam, tylko podli ludzie noszą brody*. Przyjaciele pytali mnie: *Manuel, dlaczego nie zapuścisz brody?* No i kiedy zacząłem ją zapuszczać, oczywiście wbrew ojcu, to myśleli, że zmieniłem osobowość. Więc z tego czy innego powodu, *dottor* Scavo, u wszystkich uchodziłem za kogoś, kto ma trochę nie po kolei w głowie.

– Jak zdefiniowałby pan swoje relacje z kobietami?

– Zasadniczo opierały się na seksie. Ale żeby było jasne, nie jestem playboyem. Związki, w które wchodziłem z dziewczynami, są… cóż… jak powiedziałem, nigdy nie było prawdziwej miłości… zresztą nie mogę się podobać kobietom taki, jaki jestem. Nie mogę zagwarantować kobiecie prawdziwej stabilności finansowej… pogody ducha też nie. Bo dobry nastrój też jest ważny dla związku. Oprócz finansów, ma się rozumieć.

– Niech pan opowie o dziewczynach, które ostatnio były dla pana nieco ważniejsze.

– Szczerze mówiąc, to nie…

– O dziewczynach, z którymi spał pan powiedzmy trzy lub co najmniej cztery razy.

– No to jedna nazywa się Marcella.

– A nazwisko?

– Santoro. Marcella Santoro. No więc ta Marcella… jak to powiedzieć… to brzydka dziewczyna… jest brzydka, ale przydatna, bo kiedy jestem w domu i nic nie robię, dzwonię do Marcelli, ona przychodzi, obciąga mi, a potem ją odsyłam. Narzeka, bo nigdy nie uprawiam z nią „prawdziwego” seksu. Rzecz w tym, że nie lubię jej aż na tyle. Poza tym jest w porządku. Zresztą nie chodzi tylko o seks oralny. Czasem gadamy ze sobą na czacie, bo ona… to znaczy, cenię również jej mózg… ma dyplom z ekonomii, mówi ciekawe rzeczy… Zawsze rozmawiam z nią o moim biznesie, ona dużo mi doradza.

– Ojciec odwiedził pana w więzieniu.

– Ojciec, kiedy odwiedził mnie w więzieniu, zaczął od tego, że bardzo mnie kocha. Dla mnie, *dottor* Scavo, to jest coś takiego, jak… jak jubileusz, zdarza się raz na dwadzieścia pięć lat. To wzruszające. Płakałem przez pół godziny. Ale potem wzruszenie minęło i… dalej wszystko jest po staremu. Mam na myśli gniew. Znów poczułem gniew.

Marcella Santoro

Mam dwadzieścia siedem lat, ukończyłam ekonomię i odbywam staż w firmie konsultingowej. Manuela poznałam dziesięć lat temu przez wspólnych znajomych.

Cichy, opanowany, inteligentny facet, przy tym bardzo miły. Nigdy nie był agresywny, nigdy nie podnosił głosu. Wiedziałam, że w weekendy brał kokainę ze swoimi przyjaciółmi.

To, o czym zaraz opowiem, zdarzyło się kilka razy. Kiedy byliśmy u niego w domu, rozmawialiśmy, wymienialiśmy opinie i tak dalej, a potem czasami kończyliśmy w łóżku. I wtedy, w najlepszym momencie, on się wycofywał. To znaczy, wycofywał się z pełnego stosunku seksualnego. Ale potem prosił mnie, żebym zaspokoiła go w inny sposób.

W ciągu ostatnich pięciu miesięcy spotkałam się z nim tylko dwa albo trzy razy. Dużo rozmawialiśmy. Ulubionym tematem Manuela był jego projekt informatyczny. Mówił o nim cały czas. Mówił, że lubi ze mną rozmawiać, bo uważa mnie za inteligentną osobę. Doradzałam mu. W końcu znam się na ekonomii.

Gdybym nie nalegała na pełny stosunek seksualny, może widywalibyśmy się trochę częściej. A może wystarczyłoby, żeby otwarcie powiedział, że widuje mnie tylko po to, żeby porozmawiać. Nie byłoby w tym nic złego. Ale tego nie zrobił. Więc w pewnym momencie zaczęłam go olewać, zwłaszcza ostatnio.

– Niech pan posłucha – kontynuował *dottor* Scavo – czy nie jest tak, że w pewnych momentach życia pański ojciec służył panu jako wymówka?

– Mój ojciec zawsze był przeciwko mnie – odpowiedział Manuel. – Raz próbował mnie pobić tylko dlatego, że potrzebował się wyżyć. Pamiętam to dobrze, była tam też jego nowa kobieta… bo ta kobieta… on jest jednym z tych facetów, którzy lubią być zauważani, robi sobie brwi, chodzi na

solarium… robi wszystko, żeby się podobać, taki jest mój ojciec.

– Kiedy próbował pana pobić?

– To było w dwa tysiące czternastym, właśnie otworzyliśmy Dar Bottarolo. Jak mój ojciec otwiera nowy biznes, to mówi, że robi to dla rodziny. Gdyby pan poszedł go zapytać, powie, że pracuje dla dobra swoich dzieci. To nieprawda, on to robi wyłącznie dla własnej satysfakcji. Ale chcę opowiedzieć o czymś innym. W dwa tysiące dziesiątym otworzyliśmy kolejną restaurację, stworzoną i zaprojektowaną przez mojego ojca i wujka Pietra, on jest bardzo w porządku. I co wymyślili? Założyli luksusową restaurację na Pietralata. Lubię tę okolicę, ale ekskluzywna to ona nie jest. Może to nie taki dramat jak Tor Bella Monaca, ale do Parioli jej naprawdę daleko. A oni założyli tę luksusową restaurację i nazwali ją Les Chic. Tak z francuska. Widać ją było już z zewnątrz… wyglądało to tak, no… było bardzo na pokaz… taka atmosfera, że klienci odruchowo mówili do siebie szeptem… to wszystko było żenujące. Na początku ojciec i wujek chcieli zrobić tam restaurację rybną. Po miesiącu przychody były niskie i postanowili, że tylko mięso. Po kolejnym półtora miesiąca nadal szło im źle. Spójrzmy prawdzie w oczy, ta restauracja nie była ani mięsna, ani rybna. Oni się nawet nie reklamowali. Myśleli, że mogą prowadzić luksusową restaurację bez prób przyciągnięcia ludzi na pewnym poziomie. Na Pietralata! Problem polega na tym, że próbowałem im powiedzieć, że to nie ma szansy wypalić, ludzie w dzisiejszych czasach zdobywają informacje w internecie, to działa inaczej niż w przeszłości… Nie wzięli moich rad pod uwagę. Ostatecznie restauracja upadła.

– I to właśnie wywołało u pana…

– Stres – dokończył Manuel – wywołało stres. I to nie koniec. Weźmy Dar Bottarolo. To ja wymyśliłem jej formułę. Wiedział pan o tym? Zacząłem robić tak zwany *food cost*, przestudiowałem całą serię sytuacji biznesowych… plan promocji… *wszystko*, porządnie się przygotowałem. W pewnym momencie idę do mojego brata, bo ojciec nigdy by mnie nie posłuchał, idę do Roberta i proponuję mu, byśmy otworzyli taką restaurację. Z określonym wystrojem, określonym profilem, ludźmi, którzy mogliby wstać od stołu i nalewać sobie wino bezpośrednio z beczek, z typową kuchnią rzymską. Moja bratowa projektuje logo, mój brat wymyśla ładną nazwę, Dar Bottarolo.

– I tak narodziła się restauracja.

– W zasadzie to ja ją wymyśliłem. Na początku pracowało nas tam troje.

Ja, mój brat i bratowa, każde z innym zakresem obowiązków.

– I co potem?

– Przez pierwsze pięć miesięcy chodziłem tam i byłem kelnerem. Potem, czytając „Millionaire” i inne magazyny biznesowe, które prenumeruję, wpadłem na pomysł start-upu. Zacząłem rzadziej przychodzić do restauracji. No i mój ojciec…

– Ojciec pana odciął? – zasugerował prokurator.

– Ojciec mówi ludziom: *My, rodzina Foffo, decydujemy*. Ale w rzeczywistości to zawsze on decydował. Albo on i mój brat.

– I pokłóciliście się o to?

– Nie, to ja się poddałem. Poświęciłem się start-upowi. Pracowałem nad nim jak szalony. Miałem w sobie tyle złości, że potem, wieczorami… no właśnie, piłem.

– Dlaczego nie znalazł pan siły, by zareagować?

– Próbowałem! – odparł Manuel. – Na przykład, dawno temu, bo relacje rodzinne zawsze były burzliwe, zarejestrowałem się przez internet w agencji pośrednictwa i pojechałem pracować do Londynu. Mieszkałem w dzielnicy Whitechapel z kilkoma innymi chłopakami… Dobrze się bawiłem, rano pracowałem w kawiarni, parzyłem cappuccino, zmywałem naczynia… w ciągu kilku miesięcy nabrałem językowej swobody, zacząłem nawet śnić po angielsku… *niewiarygodne*… śnić po angielsku… Czułem się dobrze, w końcu byłem niezależny… Ale w pewnym momencie co się dzieje? Mój brat dzwoni do mnie i mówi: *Słuchaj Manuel, musisz wrócić do domu, mama jest chora*.

– Co się stało pana matce?

– Matka ma problemy z równowagą psychiczną. Schizofrenia paranoidalna. Jacyś lekarze tak powiedzieli. Mój brat z kolei nie potrafi znieść cierpienia z powodu takich rzeczy w samotności. Jeśli matka jest chora, udaje, że tego nie widzi, dopóki nie musi… to dlatego poprosił mnie, żebym wrócił… No i wróciłem do domu, do Włoch.

– Więc wrócił pan z powodu matki.

– Po separacji matka walczyła z ojcem o alimenty… ta kobieta tak bardzo cierpiała…

– Czy przeszkadzało panu, jak ojciec traktował pańską matkę?

– Oczywiście, że mi przeszkadzało. Wie pan, kiedyś byliśmy w restauracji w Belpoggio… Pamiętam, jakby to było wczoraj… Mój ojciec nagadał

mojemu bratu… Tego dnia stary był strasznie wredny, ział nienawiścią, powiedział, że mamy okazywać mu szacunek, ponieważ jeśli zniszczy psychicznie moją matkę, to ja też będę zniszczony… jeśli jedno upadnie, to drugie też… Jakby więź istniała między matką a mną, a nie między mną a ojcem. Rozumie pan? Moje życie rodzinne zawsze było pełne nieporozumień, napięć. Kiedy byłem dzieckiem, w niektóre wieczory kładłem się do łóżka i przed zaśnięciem myślałem: *Albo zostanę piłkarzem, albo wpadnę w kłopoty*.

Aurora Valenti

Odpoczywałam z przyjaciółmi na plaży w Ostii. Był początek sierpnia. Manuel i jeszcze inny facet, z zawodu strażnik miejski, który znał jednego z moich znajomych, dołączyli do nas na plaży. Przedstawiono nas sobie. Tak to się zaczęło.

W Rzymie zaczęliśmy ze sobą chodzić. Manuel był bardzo cichy. W niektóre wieczory w ogóle się nie odzywał. Pytałam go, o czym myśli, a on odpowiadał: *Rozważam*. Albo: *Myślę o start-upie*. Domyślałam się, że miał jakieś problemy z ojcem, ciążyło mu, że wielu jego przyjaciół miało pieniądze. Ale jego rodzinie też się dobrze powodziło. Tylko że Manuelowi trudno było prosić o kasę.

Seks mieliśmy całkowicie normalny.

Ale uważam, że sposób, w jaki mnie zapoznał ze swoją rodziną, był trochę absurdalny. Od razu zaprosił mnie na chrzciny bratanka. Byliśmy ze sobą bardzo krótko. Pamiętam, że podczas kolacji jego ciotka podeszła, spojrzała na mnie, na niego, a potem z niedowierzaniem i zdumieniem wypaliła: *No popatrz, Manuel! Znalazłeś naprawdę dobrą dziewczynę!* Powiedziała to tak, jakby to było coś niezwykłego. Jakby dla Manuela wszystko zdarzało się po raz pierwszy.

Zaczęliśmy wychodzić prawie każdego wieczoru. Od czasu do czasu zatrzymywał się w barze i zamawiał gin z colą. Na początku mnie to nie zastanawiało. Ale uderzył mnie inny szczegół. Manuel nigdy nie miał samochodu. Wiecznie bez samochodu. Kiedy zapytałam go dlaczego, odpowiedział, że pożyczył go matce. Cóż za zbieg okoliczności, pomyślałam. Zastanawiałam się, jak to możliwe, że jego matka musiała brać samochód akurat wtedy, gdy wychodziliśmy na miasto. Zaczęłam drążyć. W końcu przyznał się, że odebrano mu prawo jazdy. Za jazdę pod wpływem.

Rozbił się po pijaku o kontenery na śmieci.

Od czasu do czasu w rozmowie wychodziła sprawa ojca i brata. Powiedział mi nawet, że ojciec groził mu śmiercią. Moim zdaniem to nie była prawda, czasami Manuel przesadzał. Na przykład na chrzcinach zauważyłam, że jego ojciec do niego podszedł. Ale to Manuel go unikał.

Opowiadał o swojej matce, że ma schizofrenię, mówił, że to wina jego ojca, że jest teraz chora.

Problemem stał się alkohol. Manuel potrafił wypić pół karafki wina naraz. Opróżniał jeden kieliszek za drugim, jakby wciąż czegoś mu brakowało. I nie ograniczał się tylko do wina. Kiedyś bardzo się pokłóciliśmy. Jedliśmy obiad w restauracji jego rodziców, a on wypił sam pół karafki. Z restauracji trafiliśmy do baru. Usiedliśmy na zewnątrz, a on zamówił gin z colą. Zdenerwowałam się. Jestem abstynentką, poczułam, że mnie w ten sposób lekceważy. Poza tym się nudziłam. Powiedziałam mu to prosto w oczy. Bardzo się zdenerwował i podniósł głos. Zrewanżowałam się tym samym. Wyszła z tego straszna kłótnia. Zrobiliśmy show, wszyscy na nas patrzyli. W pewnym momencie powiedział, że jeśli mamy się tak kłócić, to równie dobrze mogę wracać do domu. Wziął telefon i zadzwonił po taksówkę. Szkoda, że nie umiał nawet powiedzieć, gdzie jesteśmy. Był tak pijany, że nie potrafił odczytać numeru na budynku.

A potem była ta kropla, która przelała czarę goryczy.

Jednego wieczoru zjedliśmy razem kolację i jak zwykle po wizycie w barze poszliśmy spać do niego. Nie mógł zasnąć. W środku nocy wstał i poszedł do kuchni. Kiedy wrócił, był w dziwnym stanie, to było jak jakieś delirium czy oszołomienie. Bełkotał coś niezrozumiałego. Zapytałam: *Manuel, co tam robiłeś? Wziąłeś krople? Dlaczego bełkoczesz?* Odpowiedział: *Nic się przed tobą nie ukryje… tak, wziąłem krople*. Powiedział to wciąż w miarę normalnym tonem. Dziwnym, ale jeszcze normalnym. Przypuszczam, że to były krople En, silnie uspokajające. Wrócił do łóżka. Ale po chwili się zerwał, podszedł do szafy i zaczął z wściekłością otwierać szuflady. Grzebał w ubraniach, szukając kostiumów kąpielowych. *Muszę włożyć kostium kąpielowy, inaczej mnie zobaczą!* A ja: *Manuel, kto cię zobaczy?* Przestraszyłam się. Miałam wrażenie, że za chwilę stanie się coś złego.

Manuel grzebał w szufladach i burczał w moją stronę: *Wkurzasz mnie! Zawsze masz jakieś pretensje! Jak moi starzy! Mam już tego dość!*

Potem wyszedł na kilka minut do kuchni, wrócił do łóżka, wsunął się pod kołdrę, zamknął oczy i w końcu zasnął.

Krople, pomyślałam, krople zaczęły działać.

On spał, ale ja już nie mogłam zmrużyć oka. Byłam przerażona. Chciałam odejść. Jednocześnie czułam się sparaliżowana ze strachu. Postanowiłam więc poczekać do rana, a wtedy zwyczajnie wstać z łóżka, wyjść z jego mieszkania i nigdy więcej się z nim nie zobaczyć.

Przypomniał mi się jeszcze jeden epizod. Kiedy zaczęliśmy się spotykać, pewnego wieczoru przyszłam do niego do rodzinnej restauracji. Przyprowadziłam ze sobą kolegę geja. Mój znajomy zrobił sobie selfie i wrzucił je na Facebooka. Oznaczył również restaurację. Następnego dnia Manuel zadzwonił do mnie. Był wściekły. Krzyczał przez telefon, że muszę powiedzieć temu koledze, że ma usunąć to zdjęcie, nie chciał, aby ludzie widzieli, *że on ma do czynienia z ciotami*.

Wtedy też się pokłóciliśmy.

Nasz związek trwał w sumie półtora roku.

Ornella Martinelli

Tamtego wieczoru poszliśmy wszyscy na kolację do hinduskiej restauracji. Potem wróciłam do pensjonatu. Przyjechali goście, którymi musiałam się zająć. Pozostali dołączyli do mnie później. Weszliśmy do jednego z wolnych pokoi, zaczęliśmy pić i rozmawiać. Zaznaczam, że nie zażywaliśmy żadnych narkotyków.

Następnego ranka dowiedziałam się, że Samuele nie wrócił. W tym momencie wybuchło pandemonium.

Fulvio Rosini

Mam sześćdziesiąt dwa lata, pracuję w urzędzie skarbowym. 20 stycznia 2016 roku, niecałe dwa miesiące temu, złożyłem na posterunku policji przy piazza Vescovio w Rzymie zgłoszenie o zaginięciu mojego syna. Jestem ojcem Samuelego.

Samuele Rosini

Potwierdzam, jedliśmy wtedy w hinduskiej knajpie. Potem przenieśliśmy się do pensjonatu Ornelli Martinelli. Oprócz Ornelli byli tam Enrico Bevilacqua, Serena Palladino i Marco Prato. Rozmawialiśmy. W pewnym momencie ktoś powiedział, że przydałaby się butelka wódki. Zaproponowałem, że po nią pójdę. Marco do mnie dołączył. Gdy zeszliśmy na ulicę, zauważyłem ciemną sylwetkę. Mężczyzna niskiego wzrostu, krótkie falowane włosy, obcokrajowiec, zdecydowanie z Europy Wschodniej. Patrzył na nas. Tak to wyglądało, jakby się tam z Markiem umówili.

Marco podszedł do niego, chwilę porozmawiali, a potem udali się razem do bankomatu. Mężczyzna był najwyraźniej dilerem. Marco do mnie wrócił. Jeszcze zanim poszliśmy po wódkę, wróciliśmy do budynku. Tam, na klatce schodowej, Marco usypał kreskę na wyświetlaczu telefonu komórkowego.

Wciągnął. Przygotował drugą dla mnie. Nie powinienem był się zgodzić, ale byłem zmęczony, minęły dwa miesiące, odkąd siedziałem zamknięty w domu i pisałem pracę magisterską.

Poszliśmy po wódkę.

Po powrocie do pensjonatu piliśmy i rozmawialiśmy. Byłem w euforii, inni dobrze się bawili, Marco nalał mi drinka i szepnął, że kolejna kreska czeka na mnie w łazience. Kiedy wróciłem z toalety, moja szklanka znów była pełna wódki.

Około trzeciej nad ranem zaczęliśmy się rozchodzić. Powiedziałem Enricowi, że podwiozę go skuterem. Kiedy schodziliśmy po schodach, Marco podszedł i szepnął: *Powiedz, gdzie mieszkasz, spotkamy się przed twoim domem na ostatnią kreskę*. Podałem mu adres. To mu nie wystarczyło, więc podałem mu również mój numer telefonu.

Odwiozłem Enrica i wróciłem do siebie. Kiedy zabezpieczałem skuter łańcuchem, uświadomiłem sobie, że samochód Marca stał już zaparkowany przed drzwiami mojego bloku. Pamiętając, co powiedział wcześniej, wsiadłem do samochodu. Wtedy on, zamiast zrobić mi kreskę, uruchomił silnik i odjechał. Nie rozumiałem, co się dzieje. Zapytałem, dokąd jedziemy, mówiłem, że następnego dnia muszę usiąść nad magisterką, a już i tak się zasiedziałem.

Nie martw się, powiedział, *po prostu nie mam ochoty zostawać w samochodzie. Mieszkam niedaleko. To nie potrwa długo, potem odwiozę cię do domu*.

I tak znaleźliśmy się u niego.

Mieszkanie było jeszcze w trakcie urządzania, nie skończyli remontu. Usiadłem na worku cementu leżącym obok stolika. Ale lodówkę już miał, wyjął z niej kolejną butelkę wódki, wyciągnął dwa kieliszki, przygotował dwie kreski, zaczęliśmy znowu rozmawiać. W pewnym momencie zwierzył mi się, że chce zmienić płeć, poddać się operacji, a jednocześnie ciągle robił mi te drinki. Potem zaczął się do mnie przystawiać. Stawał się coraz bardziej natarczywy. Rozpiął mi spodnie, ściągnął je, zrobił mi laskę. Wszystko działo się na tym worku z cementem.

Po wszystkim powiedziałem, że muszę wracać do domu. *Praca magisterska*, dodałem. A potem zasnąłem.

A przynajmniej tak mi się wydaje. Nie mam jasności.

Pamiętam jednak dobrze, że gdy się obudziłem, Marco poprosił mnie

o hasło do mojego konta na Facebooku. Najwyraźniej szukali mnie rodzice. Podałem mu hasło, a on napisał na Messengerze do moich braci. Zorientowali się, że to nie ja piszę, styl był inny. To się chyba działo o jedenastej rano, ale nie wiem, czy na pewno, bo żaluzje zewnętrzne były opuszczone, trudno się było zorientować. Potem musiałem znowu zasnąć. W pewnym momencie pojawił się Marco z dziwną miną, wpatrywał się w wyświetlacz komórki, wyglądał na przejętego. Niedługo potem telefon zaczął dzwonić, Marco odebrał, przekazał go mnie. To był Enrico Bevilacqua, powiedział mi, że moi rodzice zgłosili na policji zaginięcie. Uznali, że zostałem porwany. Zacząłem się denerwować, czułem, że nieźle namieszałem. Muszę się pozbierać, pomyślałem. Telefon zadzwonił ponownie. To była moja matka. Marco podał mi aparat. Porozmawiałem z nią, rozłączyłem się, pobiegłem przemyć twarz, włożyłem kurtkę i powiedziałam Marcowi, że muszę już iść.

Następnego dnia Marco znów się odezwał. Zaczął wysyłać mi wiadomości na WhatsAppie. Był wściekły. Domagał się przeprosin od moich rodziców, uważał za skandal to, że złożyli skargę, przecież nie był przestępcą. Jeśli przeprosiny nie nadejdą, pisał, to upoważni swoich prawników do interwencji. Zaniepokoiłem się tym. Zadzwoniłem do Marca i natychmiast przekazałem mu moją matkę. Zaczęli rozmawiać. Po kilku minutach usłyszałem, jak moja matka go przeprasza, myślę, że to był sposób na zakończenie sprawy.

I jeszcze jedno. To było dziesięć lat po tym, kiedy przestałem zażywać narkotyki.

Gazety skojarzyły Marca Prato i Manuela Foffo z siepaczami z ISIS. Należało na nich patrzeć jak na miejskich *foreign fighters*, pisały. Niektórzy felietoniści twierdzili, że morderstwo Luki Varaniego przypominało starożytną praktykę składania rytualnych ofiar, z tą różnicą, że w przeszłości kozioł ofiarny umierał zgodnie z paktem społecznym zawartym dla uśmierzenia gniewu bogów, podczas gdy tutaj były tylko obrzydliwe i obsceniczne pożądanie, nieporządek i samouwielbienie oraz dramatyczna niezdolność do widzenia czegokolwiek poza sobą.

Siedziałem w barze przy via Flaminia. Czekałem na wiadomość, gdzie będę mógł spotkać dziennikarza, który obiecał, że pozwoli mi przeczytać raport kryminologiczny wydobyty z prokuratury. Przysłuchiwałem się rozmowom klientów siedzących przy pobliskich stolikach. Kilka metrów ode mnie pan po sześćdziesiątce, dość zaniedbany mężczyzna z długimi włosami i zmierzwioną brodą, trzymał za rękę znacznie młodszą, piękniejszą i na pierwszy rzut oka zamożniejszą od niego kobietę. Nieco dalej, jakby dla przywrócenia równowagi, młody mężczyzna namiętnie całował kobietę dwa razy starszą od siebie. Dostałem wiadomość od dziennikarza. Umówił się ze mną na dworcu Termini. Zapłaciłem rachunek. Są takie chwile – pomyślałem, patrząc na barowe stoliki – że miasto potrafi ci sprawić miłą niespodziankę. W Rzymie bariery społeczne potrafiły czasem runąć, różnice wieku i rozbieżności estetyczne stracić na znaczeniu, a wszystko to nagle i niespodziewanie.

Pojechałem wzdłuż Lungotevere, znalazłem się na Prati. Kiedy mijałem piazza Mazzini, zdałem sobie sprawę, że na Termini będę przed umówioną godziną. Postanowiłem więc zejść schodami prowadzącymi do ścieżki rowerowej, gdzie cichnie uliczny zgiełk, kilka kroków dalej powoli płynie rzeka, a dzika roślinność porasta brzegi. Podczas spaceru na kawałeczku lądu pomiędzy szarymi wodami Tybru zobaczyłem wrak roweru. Nad głową miałem cień ponte Umberto I, potem niebo. Kilka kroków od błotnistego skrawka ziemi, wśród drzew wyłaniających się z wody, grupa nastolatków

słuchała muzyki. Nieco dalej kolejny rower. Utknął na rzecznej wysepce. Jakaś lampka zapaliła się w mojej głowie, na początku nie mogłem się na tym skupić, ale czułem, że zaraz zmieni to miłe uczucie, którego doświadczyłem w barze. Kiedy pięć minut później zobaczyłem coś, co kiedyś mogło być rowerem, ale teraz stanowiło kupę złomu, prawdopodobnie podpalonego lub wielokrotnie kopanego i uderzanego czymś ciężkim, sytuacja nagle stała się jasna. Przez cały tydzień podczas spacerów *nieustannie* widywałem porzucone rowery. Rowery z wykrzywionymi lub połamanymi ramami, z kołami wygiętymi w ósemkę, rozbitymi siodełkami, oderwanymi kierownicami, rowery wbite w ziemię, wrzucone pod mosty, brutalnie wepchnięte do kontenerów na śmieci. Rowery, nawiasem mówiąc, identyczne. Były tak wyraźną częścią ulicznego krajobrazu, że nie zdawałem sobie z nich sprawy. Należały do nowej sieci rowerów miejskich, którą od kilku lat ktoś w Rzymie próbował wprowadzić. Najpierw starały się o to władze miasta. Bez powodzenia. Przyszła kolej na zagraniczne firmy, amerykańskie korporacje, Chińczyków. Ogłosili swój projekt z wielką pompą, a kilka tygodni później setki nowych pojazdów pojawiły się w mieście. W ciągu miesiąca nic z nich nie zostało. Rzymianie zrzucali je z mostów, palili, dewastowali na wszelkie możliwe sposoby, niszczyli ze ślepą, pierwotną furią.

Innymi słowy, odmawiali przyjęcia jałmużny. Przywiezienie tych rowerów do Rzymu było arogancją równą leczeniu umierającego za pomocą aspiryny, było zniewagą, upokorzeniem, gorzej jeszcze, było udawaniem, że podążamy za najnowszymi trendami technologicznymi w mieście, które koncepcję postępu strząsnęło z siebie ze wzgardą i trwało dalej w zastoju, w chronologicznej próżni, podobnej do pyłu na piramidach po upadku cywilizacji egipskiej, z tą paradoksalną różnicą, że Rzym wciąż tętnił życiem.

Dotarłem do mojego kontaktu na Termini. Dziennikarz pracował dla dużej ogólnokrajowej gazety. Był mężczyzną po pięćdziesiątce. Znaliśmy się od kilku lat.

– Chodź, poszukajmy jakiegoś miejsca – zasugerował. Usiedliśmy w brzydkim barze przy via Marsala, zamówiliśmy coś do picia, a on wyjął z plecaka dokument liczący około siedemdziesięciu stron. Znajdowały się w nim profile kryminologiczne Marca Prato i Manuela Foffo oraz tak zwana analiza wiktymologiczna Luki Varaniego, która oczywiście, w przeciwieństwie do profili oskarżonych, była wynikiem pracy wykonanej

in absentia, śledztwa w sprawie kogoś, kogo już nie było.

Giuseppe Varani

Przejdźmy do sedna, bo inaczej niczego nie zrozumiemy. Luca poszedł na Collatino w dobrej wierze. Wyszedł z domu z plecakiem, jak do pracy. Jasne? Kompletnie sobie nie wyobrażał, co może się stać.

Ile rzeczy już powiedziano, wykorzystując to, że ofiara nie może mówić. Że mój syn poszedł się prostytuować! Że poszedł do mieszkania za sto dwadzieścia euro! Takie rzeczy mówili. *Ale kto to powiedział?* Luca nie potrzebował pieniędzy. Pracował! Prostytucja to historia wymyślona po to, żeby sprowadzić wszystko do imprezy, na której coś poszło nie tak. Ale powtarzam, imprezę zorganizowali Prato i Foffo… I powtarzam, motywy są takie, że… Motywem było przyglądanie się temu, jak ktoś cierpi. Chodziło o to, żeby *napawać się* tym cierpieniem. I napawali się do samego końca. Trzeba to głośno powiedzieć. Trzeba z tym skończyć. Powiedzieli, że był męską dziwką. Ale nie powiedzieli, kim *oni* są.

Nie spocznę, dopóki nie spotka ich sprawiedliwość. Dożywocie. Tu nie ma o czym gadać.

Mario Aceto

Jestem właścicielem warsztatu blacharskiego w Valle Aurelia, gdzie Luca Varani uczył się fachu. Poza tym, że pracował u ojca, oczywiście. Był otwartym, chętnym do pracy chłopakiem. Zdaje się, że ciągnęły się za nim jakieś długi za niezapłacone rachunki.

4 marca wysłał mi wiadomość, że nie przyjdzie do pracy. Następnego dnia zadzwonił do mnie jego ojciec. Nie mogli go znaleźć.

Luca nigdy nie prosił mnie o pożyczkę. Co najwyżej dawałem mu niewielkie kwoty jako zaliczki potrącane z pensji, ale mówimy o dziesięciu czy piętnastu euro. Nigdy nie myślałem, że bierze narkotyki. Ja zawsze jasno mówię ludziom, którzy dla mnie pracują: nie chcę u siebie ćpunów.

Antonella Zanetti

Tamtego ranka widziałam się z Lucą Varanim. Znam go od lat, chodziliśmy razem do szkoły. Spotykałam go w drodze do pracy, korzystaliśmy z tego samego środka transportu. Tego ranka trafiliśmy na siebie w barze na stacji La Storta-Formello. Ja piłam kawę, on kupił papierosy. Pogadaliśmy, zapytałam, co u niego. *W porządku*, odpowiedział. Wsiedliśmy do tego samego pociągu. Usiadłam tam, gdzie zwykle, a on poszedł do górnego przedziału, są tam gniazdka, chciał naładować telefon. Kwadrans później, między Appiano a Valle Aurelia, spojrzał w dół schodów i zawołał mnie. Usiadłam obok niego. Zapytał mnie, jak dostać się na Tiburtinę. Nie rozumiałam, czy chodzi mu o stację, czy o okolicę. Potem pożegnaliśmy się, życzyliśmy sobie udanego weekendu i nigdy więcej się nie zobaczyliśmy.

Edoardo Petroni

„Luchetto", tak go nazywano. Poznałem go dość nietypowo. Jechałem autobusem miejskim, w pewnym momencie znaleźliśmy się w nim sami. To znaczy w autobusie był tylko on i ja, nikogo więcej. Zaczęliśmy gadać. O dziewczynach i innych rzeczach. Był miły, spokojny, towarzyski, dobrze się z nim rozmawiało. Potem nie widziałem go przez jakiś czas. Zobaczyliśmy się ponownie, kiedy zacząłem trzymać się z ekipą z Battistini, niedaleko stacji metra.

Z tego, co widziałem, Luca nie miał silnego charakteru. Wydawał te swoje parę zarobionych groszy na automatach tylko dlatego, że ludzie wokół niego mu mówili, że tak trzeba. Kazali mu grać. Albo po prostu widział, jak grają, i to wystarczało.

Od tego lata nie spotykam się już z tą ekipą, trochę dlatego, że mam daleko, mieszkam na Casal del Marmo, ale też dlatego, że w pewnym momencie pokłóciłem się z Lucą. Zasadniczo to dlatego, że przystawiałem się do Marty Gai. Od tamtej pory go nie widziałem.

Przeczytałem wiadomość o jego śmierci na Facebooku, potem zobaczyłem gazety i mogę powiedzieć z absolutną pewnością, że tych dwóch facetów podejrzanych o morderstwo nie należało do naszej grupy.

Marta Gaia Sebastiani

Wszyscy mnie pytali: *Jak możesz mówić, że będziesz go kochać na*

zawsze? Po prostu odpowiadałam: *Wiem to i już.* Ta odpowiedź nie wystarczała, więc cierpliwie wymieniałam wszystkie powody, dla których wiedziałam na pewno, że Luca będzie tym jedynym, ale to wciąż było za mało, kpili ze mnie, widziałam roześmiane twarze, mówili mi: *Zostawisz go, wiesz ilu facetów jeszcze spotkasz w życiu?*

To prawda, spotkałam wielu, rozmawiałam z wieloma, śmiałam się z prawie wszystkimi, ale tylko on sprawiał, że nie miałam słów, po prostu dlatego, że wiedział o mnie wszystko, wystarczyło, że na mnie spojrzał, a nie jest łatwo się porozumieć, nie mówiąc nic, i jeśli możesz to zrobić z jakąś osobą, to znaczy, że jest między wami coś wspaniałego.

Właśnie, chciałabym wam powiedzieć, że jeśli nigdy nie kochaliście nikogo tak bardzo, to nie obrażajcie uczuć tych, którzy w miłość włożyli całe serce, głowę, duszę i czas. Jestem marzycielką, uważam, że wszyscy ludzie mają w sobie dobro, żyję nadzieją, że pewnego dnia wszystko zmieni się na lepsze. Nikt nie jest w stanie odebrać mi myśli, że to Luca będzie tym jedynym.

(fragment postu opublikowanego na Facebooku 10 kwietnia 2016 roku)

Alice Pepe

Poznałam Lucę na początku listopada. Pamiętam to dobrze, bo w tym czasie, dokładnie od siedemnastego, zaczęłam chodzić z Filippem Mancinim. Mieszkam w Muratelli, mam siedemnaście lat. Lucę Varaniego spotykałam na Battistini, w barze niedaleko szkoły albo w McDonaldzie na Cornelii. Jeździł do pracy w warsztacie na Valle Aurelia, kończył około osiemnastej, potem się widywaliśmy. Nie mówił zbyt wiele o swojej pracy, narzekał na słabą płacę, bo chciałby zabrać swoją dziewczynę na kolację, dawać jej prezenty, ale pieniędzy miał mało i nie mógł niczego odłożyć.

W tym czasie czuł się źle z powodu Marty Gai. Zerwali ze sobą na jakiś czas tego samego dnia, kiedy się poznaliśmy. Tak naprawdę to nie wiem, co się stało.

Był wesoły i miły. Kiedy się widywaliśmy, mówił, że czuje się dobrze, bo wywołuję uśmiech na jego twarzy. Nie ubierał się elegancko. A odkąd zerwał z Martą Gaią, nawet się trochę zaniedbał. Potem, kiedy wrócili do siebie, chyba w styczniu, znacznie się pod tym względem poprawił. Ale też zaczął się rzadziej pojawiać. Marta Gaia była zazdrosna.

Z naszą paczką z Battistini dogadywał się dobrze, zwłaszcza z moim

Filippem. Znali się od dawna. Ja poznałam Filippa, kiedy pracował w pizzerii na Casalotti, później się stamtąd zwolnił i nie szukał dalej innego zatrudnienia.

Ostatni raz widziałam Lucę po moich urodzinach. Było to już po moim zerwaniu z Filippem. Luca stał koło stacji metra Cornelia. Sam. Może czekał na Martę Gaię.

Marta Gaia Sebastiani

Dzień dobry wszystkim!!!!!

Dziś na RAI 3, w programie *Chi l'ha visto* zostanie wyemitowany wywiad ze mną. Nie wiem dokładnie, o której godzinie (najprawdopodobniej program rozpocznie się ode mnie), ale z tego, co rozumiem, będzie mowa o Luce w taki sposób, aby dać mu głos i sprawić, by zobaczono go moimi oczami i opowiedziano moimi słowami. Szczerze dziękuję wszystkim pracownikom telewizji i tym, którzy będą oglądać.

(post na Facebooku z 13 kwietnia 2016)

– Luca jest osobą, z którą dzieliłabym życie – powiedziała Marta Gaia przed kamerą – nigdy nie zakochałam się w nikim innym. Mówiłam mu: *Piękniejsze od gwiazd są tylko twoje oczy*. Wystarczyło, że na niego spojrzałam, żeby być szczęśliwa. Wiem, że był zwykłym chłopakiem, ale dla mnie był wszystkim.

– Jakie były wasze plany? – zapytał prowadzący rozmowę.

– Chciał się ze mną ożenić. Codziennie mówił mi: *Chodź, pobierzmy się w tajemnicy przed wszystkimi*.

– Jak długo byliście razem?

– Dziewięć lat. Luca nieszczególnie lubił się uczyć – na ustach dziewczyny pojawił się uśmiech – ale w pewnym momencie zdecydował się pójść do szkoły wieczorowej. Jego rodzice są sprzedawcami słodyczy, Luca powiedział, że chce kontynuować ich pracę, gdy dorośnie. Lubił przebywać wśród ludzi.

– Czy Luca zajmował się tym, co przypisują mu Manuel Foffo i Marco Prato? – zapytał w pewnym momencie dziennikarz.

Kiedy wywiady dochodziły do tego tematu, atmosfera zwykle się zmieniała.

– Nie, to nie jest Luca. – Dziewczyna spochmurniała. – Oni mówią

o zupełnie innej osobie. To nie jest mój Luca.

– Ale wiemy, że Marco Prato miał jego numer telefonu.

– Ja tego nie wiedziałam. – Spojrzenie dziewczyny było pełne bólu.

– Jaki miał Luca stosunek do pieniędzy?

– Kochał je zarabiać, żeby móc wydawać, jak wszyscy, bo w przeciwnym razie po co mielibyśmy pracować – odpowiedziała Marta lekko zbita z tropu.

– Zadałem pani to pytanie – wyjaśnił prowadzący – z konkretnego powodu. Rankiem 4 marca Marco Prato miał wysłać Luce esemes, w którym wspomniał o możliwym zarobku. Mowa o stu dwudziestu euro. Czy Luca sprzedałby się za sto dwadzieścia euro?

– Nie. Nigdy – zdecydowanie zaprzeczyła dziewczyna. – Nie sprzedałby się za żadne pieniądze na świecie. Absolutnie nie.

– W takim razie, i jest to pytanie, które zadaje wiele osób, co tak naprawdę wydarzyło się tamtego ranka? Dlaczego poszedł spotkać się z tymi dwoma?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Każdego dnia sama je sobie zadaję i wciąż nie mogę znaleźć odpowiedzi.

Valeria Proietti

Mam dziewiętnaście lat, mieszkam niedaleko Torresiny, znałam Lucę Varaniego mniej więcej od roku. Wiem, że pracował. Wiem też, że miał dziewczynę. Nie znam jej. Ale widywałam Lucę, kiedy dzwonił do Marty Gai. Kiedy rozmawiał z nią przez telefon, często ją okłamywał, mówił, że jest w szkole, podczas gdy w rzeczywistości był z nami na Battistini. Od czasu do czasu znikał na jakąś godzinę, szedł do swojego kumpla pedała. Myśleliśmy, że jedzie tam uprawiać seks, być może w zamian za pieniądze. Może dlatego tak myślałam, bo raz przeczytałam kilka wiadomości, w których Luca pisał, że musi iść i zorganizować jakieś trzydzieści euro. Widziałam te wiadomości przelotnie, widziałam numer osoby, do której pisał, był zapisany w jego telefonie komórkowym jako „ciota”. W każdym razie to nie tak, że zawsze chodził do właśnie tego faceta.

– To Damiano Parodi poznał mnie z Lucą Varanim – zeznał Marco Prato w obecności prokuratora. – Damiano bywał na moich imprezach. Jest zamożny, bardzo zamożny. I jest gejem. Czasem korzystał z płatnego seksu, niekiedy wspomagał się wtedy kokainą. Brałem w tym udział. Nie w płatnym seksie, ale w niektórych z tych imprez. To musiał być październik

lub listopad. Zobaczyłam tam Lucę po raz pierwszy. Spotkaliśmy się u Damiana, na piazza Ungheria. Luca odwiedzał go mniej więcej raz w tygodniu. Damiano dawał mu pieniądze nawet bez seksu. Widzi pan – kontynuował – Damiano cierpi na zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne, myślę, że dawał Luce pieniądze ze strachu.

Damiano Parodi

Jestem wolnym słuchaczem na wydziale prawa na LUISS. Chociaż zapisałem się na uniwersytet, nigdy nie ukończyłem studiów z powodu choroby, na którą leczę się w Mediolanie i w Rzymie. Mieszkam w Rzymie, moi rodzice w Lugano, mam trzydzieści lat i cierpię na zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne.

Marca Prato poznałem pewnej nocy w październiku zeszłego roku, przedstawił nas sobie mój przyjaciel Angelo Vecchio.

Tamtej nocy Angelo i ja poszliśmy potańczyć do Lanificio. Potem przenieśliśmy się do mojego mieszkania na piazza Ungheria. Odkąd zerwałem z chłopakiem, mieszkam w nim sam. Marco Prato przyszedł późno, zaprosił go Angelo. Później przyszedł również Luca Varani, zaproszony z kolei przez Andreę. Ten Andrea to dwudziestopięcioletni chłopak, z którym pod koniec września uprawiałem seks za pieniądze. No, męska prostytutka. Andrea poderwał mnie w pobliżu piazza dei Cinquecento. Tak więc Varaniego przyprowadził Andrea, podczas gdy Prata zaprosił Angelo. Tak poznali się Prato i Varani.

Marco miał kokainę, piliśmy i wciągaliśmy, dla mnie był to drugi lub trzeci raz. Wkrótce mieszkanie zaczęło wypełniać się ludźmi. Przybyły nawet dwie drag queens. Sytuacja robiła się nie do opanowania, Marco stał nadąsany na balkonie, mój wieloletni przyjaciel Ivan Beretta, który również przyszedł, był kompletnie zdezorientowany. W pewnym momencie Andrea powiedział przy wszystkich, że Luca też się prostytuuje, dodał też, że Luca ma dłuższego niż on, a wtedy Varani ściągnął spodnie, aby nam go zademonstrować. Wszyscy byliśmy pijani. Ludzie zaczęli wychodzić.

Ponownie spotkałem Marca miesiąc później, znów przyszedł do mnie na piazza Ungheria. Z tej okazji kupiliśmy kokainę za trzysta euro. Dostarczał mu ją niejaki Armando, można powiedzieć: zaufany diler. Armando był koło czterdziestki, miał krótko obcięte brązowe włosy, najwyżej metr sześćdziesiąt wzrostu. Z powodu pewnego rodzaju upośledzenia – nie do

końca rozumiałem, o co chodzi – nie mógł prowadzić samochodu, więc chciał, byśmy płacili mu za taksówkę, co zawsze robiliśmy. Armando nie jest Włochem, powiedział mi, że jest albańskim dziennikarzem, który uciekł przed prześladowaniami w swoim kraju. Marco zapisał go na liście kontaktów jako Trovajoli. Armando Trovajoli.

Ale wróćmy do naszych ostatnich spotkań. Pod koniec lutego wybraliśmy się z Markiem do dyskoteki Qube. Na zakończenie wieczoru poszliśmy do mnie, Marco zadzwonił do dilera, Armando przyszedł z koką. Zamówiliśmy alkohol, a następnie weszliśmy na Grindra, aby skontaktować się z jakimiś facetami. Nie mogliśmy znaleźć nikogo, kto by chciał przyjść do domu. Niedługo potem usłyszałem dzwonek do drzwi, poszedłem otworzyć i zobaczyłem dwóch gości, których nigdy wcześniej nie widziałem. Przedstawili się jako przyjaciele Marca, obaj mieli na imię Alessandro, jeden kazał się nazywać Alexander, ponieważ był pochodzenia niemieckiego, a drugi Alessandro Japończyk, ponieważ miał wyraźnie azjatyckie rysy twarzy. Zapytałem Marca, czy ich zna – znał – więc wpuściłem ich do środka. Braliśmy kokainę, piliśmy alkohol. Alexandrowi zrobiłem laskę. Następnie Marco i Alexander zamknęli się w moim gabinecie, podczas gdy ja rozmawiałem z „Japończykiem". Gadaliśmy o wielu rzeczach. Alessandro Japończyk jest hetero.

Kiedy wróciłem do gabinetu, zauważyłem, że Marco i Alexander zerwali zasłonę. Alessandro Japończyk przed wyjściem poprosił, żebym mu pożyczył okulary przeciwsłoneczne. Lubiłem te okulary, były chyba jedynymi, w których dobrze się czułem, nie wiem, dlaczego w ogóle mu je dałem. Następnego dnia próbowałem je odzyskać, poprosiłem Marca, żeby skontaktował mnie z „Japończykiem", prosiłem, żeby dał mi jego numer. Ale Marco tego nie zrobił.

Kilka dni temu zdałem sobie sprawę, że brakuje mi dwóch pierścieni. Trzymałem je w pracowni, tam, gdzie Marco i Alexander zamknęli się na klucz. Pierwszy to złoty pierścionek mojej matki, odziedziczony po babci, wart dziesięć tysięcy euro. Drugi ma dla mnie wielką wartość sentymentalną, to sygnet z czasów starożytnego Rzymu, również złoty, z kamieniem, mam zdjęcie mojego dziadka, jak go ma na palcu. Te dwa pierścienie były zamknięte w metalowej szufladzie pod biurkiem. Jestem pewien, że to ci dwaj je ukradli, zastanawiam się nad złożeniem formalnego oskarżenia o kradzież, oczywiście oprócz tej sprawy z bankomatem.

Ivan Beretta

Kiedy Damiano powiedział mi, że Marco Prato dał mu spróbować narkotyków, przejąłem się. Damiano jest moim bardzo bliskim przyjacielem, był moim partnerem do lata 2015 roku. Cierpi na zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne, bierze leki, myślę, że mieszanie ich z kokainą jest niebezpieczne.

Wiedziałem, że Marco i Damiano zaczęli się spotykać, wiedziałem o koksie, chciałem lepiej zrozumieć, co się dzieje, więc w sobotni wieczór udałem się prosto na piazza Ungheria. Znalazłem pozostałości po imprezie, wszędzie walały się butelki. Oprócz Damiana i Marca było tam dwóch nieznanych mi chłopaków, bardzo młodych, jeden z nich był chyba obcego pochodzenia. Poprosiłem Damiana, żeby ich odesłał: wyglądali na stuprocentowych żigolaków. Potem wziąłem Marca na bok i powiedziałem mu, żeby zostawił Damiana w spokoju, także dlatego, że nigdy nie widziałem w tym domu takich ludzi.

Obawiam się, że Damiano znalazł się w sytuacji psychologicznego uzależnienia. Pomyślałem też, że odkąd go zostawiłem, boleśnie doświadcza samotności. A Marco to wykorzystał.

Filippo Mancini

Tylko ja wiem, jak się sprawy miały.

Nazywam się Filippo, mam dziewiętnaście lat, mieszkam na La Storta, znałem Lucę od dłuższego czasu. Moja przyjaźń z Luchettem umocniła się, gdy pewnego dnia – jak zwykle czekałem wtedy na przystanku autobusowym – zaproponował, że podwiezie mnie samochodem. Miał białą micrę. Wracałem z Montespaccato, miałem dołączyć do mojej ekipy. Od tego czasu Luca stał się częścią naszej paczki.

W grupie Luca rozmawiał ze wszystkimi, ale to ze mną szczególnie się zaprzyjaźnił. To pewnie dlatego, że mamy podobne charaktery. Obaj jesteśmy bardzo prości, a przede wszystkim nie jesteśmy interesowni.

Z biegiem czasu Luca robił rzeczy, które cementowały naszą więź. Odwzajemniałem się, to była prawdziwa przyjaźń. Na przykład podwoził mnie do mojej dziewczyny i czekał, aż wyjdę. Ja z kolei zwolniłem się z warsztatu, w którym pracowałem, a on zaczął w nim pracować dzięki mojej rekomendacji. W zasadzie rzuciłem pracę, żeby oddać mu to miejsce.

Kiedy go poznałem, spał w samochodzie, bo pokłócił się z ojcem, ale nie

wiem, o co im poszło.

Kiedy przeprowadzono ze mną wywiad do programu *Chi l'ha visto*, powiedziałem im nieprawdę, że Luca się nie prostytuował, zrobiłem to z szacunku dla niego. Zaczął to robić dla pieniędzy. Mówił: *Proszę cię, bracie, tylko nikomu nic nie mów*. Nawet gdybyś zostawił dziesięć tysięcy euro na stole i wyszedł, Luca za nic by ich nie ukradł, czegoś takiego by nie zrobił, ale tamto niestety zaczął robić, być może wydawało mu się to bardziej „uczciwe", a potrzebował pieniędzy.

Zdałem sobie z tego sprawę jakoś rok temu. Była wiosna 2015 roku. Luca zaczął chodzić do kogoś na Selva Nera, do nowych bloków. Nie wiem, kim był ten facet. Starszy od nas, miał chyba trzydzieści pięć lat. Luca tam szedł, a ja mu towarzyszyłem. Kiedy dochodziliśmy na miejsce, czekałem na niego przez godzinę, a on wracał z setką euro. Kilka pierwszych razy powiedział mi wymijająco, że tamten facet jest mu winien pieniądze, ale na dłuższą metę to się nie trzymało kupy. Więc za kolejnym razem poprosiłem go, żeby powiedział mi, po co naprawdę chodzi na Selva Nera. Nie trzeba było wiele, żeby się domyślić, ale to on musiał mi to powiedzieć. Więc mi powiedział. Jestem pewien, że Marta Gaia nic o tym nie wiedziała.

Z tym gościem z Selva Nera w pewnym momencie Luca się pokłócił, myślę, że poszło o pieniądze.

Potem pojawili się Marco Prato i Damiano Parodi i rozpoczął się kolejny okres, że tak powiem.

– Czy mogę panu zadać pytanie? – zapytała Marca Prato Flaminia Bolzan.

Bolzan, lat dwadzieścia dziewięć, była kryminolożką, którą prokurator Scavo wyznaczył na biegłą.

– Oczywiście – zgodził się Marco.

– Jaką opinię miał pan na temat Luki Varaniego?

– W jakim aspekcie?

– Jako o człowieku – uściśliła Bolzan.

– Nie znałem go wystarczająco dobrze – powiedział Marco. – Ale zdarzało się, że u Damiana, kiedy rozmawialiśmy podczas przyjmowania narkotyków, zbyt swobodnie opowiadał o swoim podwójnym życiu. To mnie denerwowało, raniło, bo myślałem o jego dziewczynie.

– Czy kiedykolwiek nazwał go pan *żigolakiem po dwóch klasach podstawówki*? Przypomina pan sobie coś takiego?

Sformułowanie „Nie jestem żigolakiem po dwóch klasach podstawówki” zostało użyte przez Marca w wymianie wiadomości na WhatsAppie z Damiano Parodim. Według Parodiego, Marco miał na myśli Lucę.

– *Żigolak po dwóch klasach podstawówki?* Boże, nie wiem – odparł Marco. – Wydaje mi się to trochę zbyt cierpkie jak na mój…

– Innymi słowy chodzi o to – przerwał *dottor* Scavo – że nie miał pan zbyt wysokiego mniemania o Luce Varanim.

– Z jakiego punktu widzenia, *dottore*? – zapytał Marco. – Na poziomie intelektualnym rzeczywiście nie, nie miałem na jego temat dobrego zdania. Ale Luca był pogodną, roześmianą osobą, nigdy tego nie zapomnę. Pewnego razu poszedłem na przebieraną imprezę do mojego przyjaciela; bardzo wyjątkową imprezę, było tam kilka ważnych osobistości, mój przyjaciel jest świetnym prawnikiem, ja przebrałem się za telewizyjną *showgirl*, miałem profesjonalnie zrobiony makijaż, miałem nawet sztuczne piersi. Po imprezie skontaktowałam się z Lucą, spotkaliśmy się. Jak tylko mnie zobaczył, zaczął mnie obsypywać komplementami, powiedział, że jestem *fascynujący*. Byłem bardzo zadowolony, więc wydaje mi się dziwne, że miałbym go później oczerniać. Oczywiście, intelektualnie prawdopodobnie nie darzyłem go szacunkiem, ale oddzieliłbym poziom ludzki od intelektualnego.

– Nie uważał go pan za kogoś, kto by spełnił wszystkie pana życzenia, gdyby tylko pan poprosił? – zapytał Scavo. – Inaczej mówiąc, czy nie był dla pana kimś słabym? Przedmiotem, z którym, za jego zgodą, mógł pan…

– Ależ nie – przerwał mu Marco. – Wręcz przeciwnie. Chłopak dorastający na przedmieściach, dilujący, prostytuujący się, cóż… to ktoś, kogo osoba taka jak ja powinna się *obawiać*, a nie uważać za słabą. Ktoś taki jak ja mógłby pomyśleć, że ktoś taki jak on może być uzbrojony lub w inny sposób agresywny. Ale uważałem, że Luca zrobiłby wszystko dla pieniędzy. Zdawałem sobie sprawę z jego sytuacji finansowej. Wiedziałem, że ma problemy rodzinne. Zwierzał mi się.

Filippo Mancini

Pewnego wieczoru, to był czwartek albo piątek, towarzyszyłem mu na piazza Ungheria, ale najpierw pojechaliśmy po chłopaka, który się nazywał Andrea. Czekał na nas przy ławkach na stacji metra. Nie wiem, jak Luca go poznał. To chyba Tunezyjczyk.

Tamtego wieczoru umówiłem się z dziewczyną, miała na imię Giorgia,

była z Mediolanu i przyjechała na wakacje do Rzymu. Nie zobaczyłem jej więcej i nawet nie zdążyłem poprosić o numer telefonu. Prowadziłem samochód, ona siedziała obok mnie, Andrea i Luca z tyłu. Andrea zapytał, czy mogę go podwieźć na piazza Ungheria, musiał zdobyć trochę pieniędzy, a potem jeszcze poprosił, żebym pożyczył mu telefon. Dałem mu go. Usłyszałem, jak mówi: *Możesz mi dać Damiana?*

Kiedy dotarliśmy na piazza Ungheria, niespodziewanie Luca wysiadł z samochodu razem z Andreą i poprosił mnie, żebym wrócił po niego koło północy.

No, nie całkiem niespodziewanie. Po drodze Luca i Andrea szeptali do siebie. Ale i tak ich słyszałem. Wyraźnie słyszałem zwrot „robienie loda".

Po północy Luca zaczął do mnie dzwonić. Trzy, cztery, pięć telefonów. Na początku ich nie słyszałem, bo byłem na imprezie po drugiej stronie miasta z tą dziewczyną z Mediolanu. Potem zobaczyłem na wyświetlaczu nieodebrane połączenia.

Wróciłem na piazza Ungheria, mogło być wpół do drugiej. Wysiadłem z samochodu, rozejrzałem się, podszedłem do domofonu i nacisnąłem ten sam przycisk, którym wcześniej dzwonił Andrea. Spodziewałem się nieznanego głosu. Tymczasem odpowiedział mi Luca. Powiedziałem: *Chodź brachu, zejdź, jest późno*. On, nieco dziwnym głosem, odpowiedział: *Cześć brachu… słuchaj, zostanę tutaj, ale zaraz zejdę na dół i przyniosę ci pieniądze*. Miał na myśli pieniądze za benzynę. Odpowiedziałem: *Dlaczego zostajesz, jak twój ojciec się zorientuje, że nie wróciłeś na noc do domu, to cię zabije*. Było późno, a jego ojciec był bardzo surowy. No i zależało mi, żeby Luca przyjechał ze mną, bo nie miałem przy sobie prawa jazdy. Powiedziałem mu o tym przez domofon, on na to, że mogę dać poprowadzić tej dziewczynie z Mediolanu. Tak, jasne. Tylko że dziewczyna z Mediolanu już sobie poszła. Poprosiłem Lucę, żeby pozwolił mi wejść na górę, chciałem zobaczyć, co się dzieje. Odpowiedział: *Nie, nie, zejdę na chwilę, nie możesz wejść na górę*.

Tylko że zamiast Luki na dole pojawił się Marco Prato. Zmierzył mnie wzrokiem, odwzajemniłem się tym samym. Podał mi dwadzieścia euro i powiedział: *To od Luki*. Zapytałem, dlaczego Luca nie zszedł. *Luca jest zajęty i nie chce schodzić*, odpowiedział. Zaczynałem rozumieć, co się dzieje, więc dałem mu do zrozumienia, że ja też jestem „otwarty". Miałem na myśli dragi. Ale przede wszystkim chciałem zobaczyć, co się dzieje na

górze. Marco Prato nie czekał. Zniknął w budynku i wrócił z torebką kokainy. Jakieś pięć gramów. Zasugerował, żebyśmy wzięli razem, powiedziałem okej, przygotował porcję na swoim telefonie, ściągnęliśmy kreskę i dopiero w tym momencie zaprosił mnie do mieszkania. *Chodź*, powiedział, *rozmawiałem wcześniej z Lucą, wiem, że możemy ci zaufać*.

Poszliśmy na górę. Otworzył nam facet koło trzydziestki. Właściciel mieszkania, Damiano. Już po głosie można było poznać, że jest gejem. Potem usłyszałem głosy Andrei i Luki. Trudno było ich nie usłyszeć, bo się kłócili. Wrzeszczeli na siebie. Przebiegli obok mnie, wyszli z mieszkania, ciągle krzycząc. Zbiegłem za nimi po schodach, Andrea był wkurzony, mówił, że Luca wziął więcej niż on, dali mu sto, podczas gdy on miał tylko czterdzieści, i powiedział, że to przecież on przedstawił go tym klientom. Luca próbował dać mu dwadzieścia euro, Andrea wziął banknot, podarł go i rzucił mu w twarz, powiedział Luce, że nie powinien się tak więcej zachowywać, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł.

W tym momencie my też powinniśmy byli wyjść. Ale wróciliśmy na górę, by zabrać rzeczy Luki, jego kurtkę i plecak.

Jak tylko wróciliśmy, Marco zabrał nas do pokoju, w którym było wiele książek, sofa i mały stolik. Taki gabinet. Marco wyciągnął kokę i zaczął przygotowywać cztery kreski. Ktoś nalał wódki do kieliszków. Ja tylko umoczyłem usta, bo od wódki robi mi się niedobrze. Zaczęliśmy wciągać. Trwało to jakiś czas, Marco za każdym razem przygotowywał trzy duże kreski dla nas i jedną małą dla Damiana. Wydaje mi się, że Damiano nic z tego nie rozumiał. Marco wykorzystywał sytuację. Tej nocy więcej niż raz szedł do bankomatu wypłacić pieniądze z karty Damiana.

Damiano mnie nie podrywał. Zapytał, czy jestem biseksualny, powiedziałem, że mam dziewczynę i to wystarczyło. Marco natomiast już po drugiej kresce zaczął mi się naprzykrzać. Powiedział: *Co ty sobie myślisz, przychodzisz się nafurać za darmo? Musisz co najmniej pozwolić sobie zrobić loda, my geje robimy to lepiej niż kobiety*. Mało brakowało, a oberwałby ode mnie. Nie lubię takich gierek. Dałem mu jasno do zrozumienia, że jeśli spróbuje, będzie miał kłopoty. Nawet mnie nie dotknął.

Ale wtedy Marco przystawił się do Luki, a ten ściągnął spodnie, majtki i stał tak z fiutem na wierzchu. Wtedy wybuchłem, obrzydziła mnie ta scena, krzyknąłem, żeby robili te rzeczy gdzie indziej, ale to ja wyszedłem z pokoju, nie oni. Postałem na korytarzu. Po chwili zapukałem, nie

odpowiedzieli. Otworzyłem drzwi i zastałem ich w takiej samej sytuacji, w jakiej ich zostawiłem wcześniej.

Wtedy poszedłem do salonu, włączyłem telewizor i położyłem się na kanapie. Damiano poszedł do sypialni. Marco i Luca wciąż byli zamknięci w gabinecie.

Wyszliśmy, kiedy przyjechał były facet Damiana. Luca i ja pożegnaliśmy się, zeszliśmy na dół, wsiedliśmy do samochodu i odjechaliśmy.

Ze stu euro, które Luca zarobił tamtej nocy, dwadzieścia porwał mu Andrea, dziesięć przeznaczyliśmy na papierosy, a te dwadzieścia, co mi je dał na benzynę, przegraliśmy na automatach, więc zostało mu tylko pięćdziesiąt.

Nigdy więcej nie rozmawialiśmy o tym wieczorze, ponieważ te rzeczy przyprawiają mnie o mdłości.

Mój znajomy dziennikarz zamówił drugą kawę. Siedziałem naprzeciwko i przeglądałem raport Flaminii Bolzan, kryminolożki z prokuratury.

Dokument wskazywał, że morderstwo nie miało motywu, zostało dokonane w przypadkowy sposób – z wyjątkiem miejsca zbrodni: odpowiednio dobranej, intymnej, rodzinnej przestrzeni, niedostępnej dla osób postronnych – i z przerażającą dawką brutalności i okrucieństwa.

W odniesieniu do Marca Prato raport mówił o „psychicznym wycofaniu". Był to stan umysłu, który prowadził do wyobcowania z rzeczywistości uznawanej za niemożliwą do zniesienia (ta nieznośna rzeczywistość, jak wskazywano w raporcie, mogła być u niego związana z osłabionym postrzeganiem męskiego „ja" – lub zupełnym brakiem tego postrzegania – wywołanym przez problemy z dzieciństwa, a być może relacje z rodzicami). Chodziło zatem o „wycofanie się" w wymiar ekstatyczny, do którego droga prowadziła przez perwersję.

Jeśli chodzi o Manuela Foffo, to wysunięto hipotezę o obecności elementów narcystycznych i paranoidalnych związanych z doświadczaną przez długi czas frustracją. Zranienia związane z odrzuceniem przez rodzinę – rzeczywistym czy wyobrażonym – mogły wygenerować w nim fantazje o wielkości, które nieustannie rozbijały się o doświadczanie rzeczywistości.

Zacząłem czytać o Luce Varanim.

„Varani nie posiadał wykształcenia ani kompetencji potrzebnych do znalezienia lepiej płatnej pracy niż ta, którą wykonywał w warsztacie – pisała kryminolożka – i prawdopodobnie nie miał nawet umiejętności relacyjnych niezbędnych do odniesienia się do innego kontekstu społecznego niż ten, z którego pochodził, ani też możliwości dostępu do niego w charakterze innym niż męska prostytutka". Podkreślając dobitnie, że żadna ofiara nie zasługuje na bycie ofiarą (przekonanie, że „sam się o to prosił", zawsze jest nonsensowne), kryminolożka wyjaśniała, że Luca Varani mógł być idealnym celem dla obu mężczyzn. Ze względu na swoje pochodzenie

społeczne, słabość ekonomiczną, nawyki, temperament, budowę fizyczną, brak umiejętności i formalnego wykształcenia, do czego należy dodać sposób, w jaki odnosił się do Marca, gdy prosił go o pieniądze – podejście „niżej stojący w hierarchii", jak wskazano w raporcie – Luca był bardziej skłonny wpaść w pułapkę niż ci, którzy wcześniej odwiedzili tamto mieszkanie.

Rozmowy prowadzone za pośrednictwem aplikacji WhatsApp, odczytane z telefonu komórkowego Marca Prato, zdawały się potwierdzać tę dynamikę.

(„Możesz przyjść dziś wieczorem na piazza Ungheria z Andreą?", pytał Marco Lucę w jednej z wiadomości. „Nie sądzę", odpowiedział Luca. A Marco: „Dlaczego? Zapłacę ci!". Luca: „O której?". W innej rozmowie Marco do Luki: „Jak się masz? Co robisz?". Luca: „Właśnie wstaję, co tam?". Marco: „Jestem u Damiana, snifuję i piję w opór. Jak nie masz nic do roboty, wpadaj". Luca: „Nie, dzięki, nie interesuje mnie już takie życie. Potrzebuję tylko pieniędzy. Dzięki Marco, dzięki Damiano". Ale już kilka minut później Luca pisze: „Potrzebuję 50 euro: jeśli ten gość jest dziś wieczorem, mogę wpaść. W zasadzie, wiesz co, i tak wpadnę". Innym razem to Luca kontaktuje się z Markiem: „Dobry wieczór, możesz mi pomóc? Mam śnieg do wydania. Mogę od razu. Potrzebujesz?". Marco: „Nie, Luca, nie potrzebuję". Luca: „Kurwa, potrzebuję 50 euro na badanie". Marco ucina: „Luca, ja nie rozdaję pieniędzy").

Kiedy dotarłem do wiadomości na WhatsAppie, którą Luca napisał do Marca w Wigilię („Wszystkiego najlepszego dla Ciebie i Twojej rodziny"), zdałem sobie sprawę, że mam zamglony wzrok.

– Halo? Jest tam kto? – oderwał mnie od lektury i zamyślenia zniecierpliwiony dziennikarz.

Czułem złość, miałem wrażenie, że Luca przeżywał jakiś wewnętrzny konflikt, z którego regularnie wychodził pokonany. Chciał sobie oszczędzić randek z Markiem, ale w końcu ulegał. Marco z kolei rozwinął niezwykłą umiejętność rozpoznawania u innych wahań i słabości. Wiedział, jak przejść do ataku lub stać z boku i czekać. Ale nawet nie o to chodziło – myślałem, gdy mój kolega dziennikarz patrzył na mnie zdziwiony – prawdziwy powód mojej frustracji dotyczył mechanizmu, który mógł dotknąć każdego z nas. Morderstwo rzuca światło na ofiarę i kata i zawsze jest to światło niepełne, perwersyjne, bo morderstwo jest złem, a zło jest tu narratorem. Morderstwo rzuca też światło na siebie, by resztę pozostawić w cieniu, by ofiara i kat

zmieszali się ze sobą w wyjątkowości tego, co się stało. Sprawiając, że postrzegamy sprawców jako potwory, uniemożliwiamy sobie zbliżenie się do nich na poziomie emocjonalnym; gdy sprowadza się ofiarę do niezwykłości jej losu, odbiera się jej naszą empatię. Handel narkotykami i prostytucja były działaniami obcymi zwyczajom zwykłych ludzi; powodowały, że trudno było dostrzec w Luce siebie samego. Ale poza tym zwodniczym snopem światła była cała reszta: Luca pracujący w warsztacie blacharskim, Luca podgrzewający w kuchni talerz z makaronem, Luca kłócący się z Martą Gaią, Luca i jego dawni nauczyciele. A jednak nawet to, pomyślałem – wyciąganie odpowiednich kart z talii, szukanie zwykłych chwil z życia Luki, aby zyskać do niego szacunek – było obraźliwe, ponieważ wtrącało ofiarę w sam środek anormalnego, zaburzonego kontekstu dowodowego. Niewinna ofiara nie potrzebuje dowodów, jej ciało jest święte. Jeśli narrator, czyli morderstwo, dąży do zniekształcenia naszego spojrzenia (doprowadzając nas z jednej strony do tego, że nie odczuwamy miłości do ofiary, a z drugiej do łudzenia się, że to, czym gardzimy u sprawcy, jest nam obce), ruch uwolnienia się z tej pułapki powinien być dwojaki. Należy kochać ofiarę, nic o niej nie wiedząc. Należy wiedzieć bardzo wiele o oprawcy, by zrozumieć, że dystans dzielący nas od niego jest mniejszy, niż nam się wydaje. Tego drugiego ruchu można się nauczyć, jest on rezultatem wychowania. Pierwszy jest o wiele bardziej tajemniczy.

– Czy możesz mi wyjaśnić, co cię tak cholernie interesuje w tej sprawie? – zapytał ponownie dziennikarz, dopiwszy swoją kawę.

Damiano Parodi

Nieraz Luca zwierzał mi się, że nie lubi Marca. Był uprzejmym, bystrym, bardzo miłym i skromnym facetem. Myślę, że się prostytuował, bo potrzebował pieniędzy, a nie dla przyjemności. Wielokrotnie zwracał się do mnie z pytaniami o pożyczkę. Nieraz spełniałem jego prośby, dawałem mu od dwudziestu do trzydziestu euro. Czasami zwracał się do mnie wprost o sto pięćdziesiąt euro, a następnie obniżał sumę. Sugerował, że wynagrodzi mi seksem. Często mówił, że potrzebuje pieniędzy, aby zabrać dziewczynę na kolację. Naprawdę mnie rozczulał, zacząłem go szczerze lubić, mimo że widywaliśmy się rzadko. Powiedział, że jest bardzo przywiązany do tej dziewczyny, myślę, że byli razem od dzieciństwa.

Jeśli Marco mówi, że pożyczałem mu pieniądze ze strachu, to jest w błędzie. Nigdy nie bałem się Luki Varaniego.

Tak, to prawda, myślę, że dilował. Nawet kilka pierwszych razy, kiedy się widzieliśmy, mówił mi, że jeśli chcę mieć lepszą kokę niż ta, którą przynosił Trovajoli, mogę poprosić jego. Miał się zaopatrywać u jakiegoś tajemniczego faceta, który robił w tym biznesie. Nie wiem, czy to prawda. Nigdy nie kupiłem od niego działki.

Od czasu do czasu Luce towarzyszył ten Filippo. On również oferował mi narkotyki, ale zawsze odmawiałem.

Podarowałem Luce rolexa. Podróbkę rolexa, należał do mojego ojca. Patrzył na niego, więc mu go dałem. *No dalej, weź go*, powiedziałem. Oczywiście przyznałem się, że to podróbka. Nie wzdrygnął się. *Myślę, że mogę na nim zarobić* – stwierdził.

Chłopaki, mogę zrobić wszystko, ale jestem aktywem. W tej kwestii zawsze był stanowczy – zeznał prokuratorowi Marco Prato. – Mógł mnie penetrować, ja mogłem zrobić mu fellatio, mogłem lizać go od stóp do głów, on mógł oddawać na mnie mocz, robić ze mną różne rzeczy, seks ma nieskończenie wiele odsłon, ale nigdy nie wziął go do ust i nigdy nie został

spenetrowany. Był w tym naprawdę nieugięty. Myślę, że w ten sposób wyznaczał granicę między swoim normalnym a sekretnym życiem i zachowywał we własnych oczach przekonanie o własnej heteroseksualności. Dopóki granica między *aktywnością* a *pasywnością* nie została przekroczona, Luca mógł nadal spotykać się ze swoją dziewczyną jako heteroseksualista.

Filippo Mancini

Następny raz miał miejsce kilka dni później. Luca i ja byliśmy razem w warsztacie, kiedy zadzwonił telefon. Poprosił mnie, abym podwiózł go na Prati. Musiał do kogoś pojechać. Wyszliśmy z warsztatu i wsiedliśmy do samochodu. Kiedy dotarliśmy na miejsce, Luca wysiadł i poprosił, żebym na niego poczekał. Czekałem ponad pół godziny. Potem do niego zadzwoniłem. Nie odbierał. Zdenerwowałem się. Powinniśmy wracać do warsztatu. Po kolejnych próbach w końcu odebrał, powiedział: *Jedź, jedź, odwiozą mnie*.

W następnych miesiącach widywaliśmy się bardzo rzadko. Luca zszedł się z Martą Gaią, ona była bardzo zazdrosna, więc w grupie pojawiał się tylko od czasu do czasu. Ale sądzę, że Damiano nadal dawał mu pieniądze. Luca powiedział mi, że czasami, gdy Damiana nie było w domu, zostawiał on pieniądze bezpośrednio pod wycieraczką.

Wiele z tych pieniędzy Luca wydawał potem na automatach.

Jestem prawie pewien, że ostatnio widziałem go w Jokerze, to taka sala z automatami do gry. Pamiętam, bo tego dnia przegrałem tam jakieś siedemset euro. Luca grał sam. Przed wyjściem dał mi trzydzieści euro na taksówkę. To też przepuściłem.

W następną sobotę zadzwonił do mnie jego ojciec. Powiedział, że Luca nie wrócił do domu, nie mogą go znaleźć od dwóch dni. Więc napisałem do niego: *Brachu, gdzie ty, kurwa, jesteś? Twój ojciec dzwonił do mnie, mówi, że nie wróciłeś do domu, daj mi znać i zadzwoń.*

Nie mam już wiadomości, które wymieniłem z Lucą. Wyrzuciłem kartę telefoniczną, bo postanowiłem zerwać stare znajomości. Zmieniłem swoje życie. Zmieniłem też miasto. Od dwóch tygodni pracuję w centrum handlowym w Weronie.

Leonardo Maggio

I tak nadszedł grudzień. Marco i Manuel się poznali. Tego wieczoru Lorenza, moja dziewczyna, i ja jedliśmy kolację u przyjaciela mojego brata. Pozostali zdecydowali się pójść z Manuelem na posiłek do Bottarolo. Potem wszyscy razem udaliśmy się na imprezę sylwestrową, którą Marco Prato zorganizował w klubie Quirinetta. To właśnie tam, że tak powiem, zeszły się dwa wątki opowieści.

– Więc tak – powiedział Manuel Foffo – poznałem Marca rankiem 1 stycznia. Po wieczornym wyjściu z przyjaciółmi zdecydowaliśmy się pójść do mnie. Pojawił się tam Marco Prato, nigdy wcześniej go nie widziałem, ale znał się z Lorenzą, zaczęliśmy rozmawiać o tym i owym, wciągnęliśmy trochę koksu. W pewnym momencie, widząc, że nie mam w domu alkoholu, Prato zapytał: *Kto pójdzie kupić trochę wódki?* Ponieważ znałem okolicę, zaproponowałem, że z nim pójdę. Zeszliśmy na dół i kupiliśmy alkohol. Gdy wracaliśmy do domu, Marco Prato powiedział: *Słuchaj, a może wezmę jeszcze trochę?* Miał na myśli kokę. *Wezmę trochę więcej, ale czy potem będę mógł zostać u ciebie?* Nadal nic nie rozumiałem.

– Nie wyczuł pan… – podpowiedział Scavo.

– Że się do mnie przystawiał? Z początku nie wyczułem.

– A jak to robił? Zaczął pana dotykać? A może tylko słowami?

– Nie, nie, żadnymi słowami… Ale zbliżył się i zaczął mnie dotykać. A ja… widzi pan… pomimo tego, że nigdy w życiu nie miałem homoseksualnych fantazji, pomimo tego, że byłem tym nieco zniesmaczony… cóż, stanął mi.

Pociągi wjeżdżały na Termini jeden po drugim. Nieliczne taksówki stojące na piazza dei Cinquecento brali szturmem podróżni, którzy właśnie przybyli do miasta. Na ulicy powoli wzmagał się jednostajny szum. Holenderski turysta obserwował z okna zachód słońca. Anteny telewizyjne. Dwie wielkie chmury nad starą wieżą ciśnień. Włóczędzy wśród marmurowych płyt. Chińczycy w swoich sklepach. Z klatki schodowej dobiegały głosy. Krzyki oburzenia. Krzyki rozkoszy. Anteny telewizyjne zmieniły kolor na czerwony, mieniły się, a potem wróciły do swojego zwykłego koloru. Słońce znikło.

Holenderski turysta otworzył okno, wieczorny wiatr pieścił mu twarz. Miasto, w którym wszystko już się wydarzyło. Po tygodniowym pobycie w Rzymie prezydent Stanów Zjednoczonych stałby się takim samym dupkiem jak każdy. Ci, którzy potrzebują złudzeń, unikają długich pobytów w tym mieście. W Rzymie ludzie władzy patrzą w lustro i widzą trupią czaszkę, wiedzą, że wszyscy zdążamy do cienia. Że po Auguście nastaje Tyberiusz. Że każdy człowiek ma swoją cenę. Że ciało jest słabe. Że na skrzyżowaniu via di Porta Maggiore z viale Manzoni pracuje czyściciel okien, który ma tylko jedną rękę.

Kobieta na dole wciąż jęczała. Przestała udawać, wybuchła długim śmiechem.

Triumf podrobów i wina rozcieńczonego wodą. Wieczna pustka pamięci.

Holenderski turysta słyszał coraz wyraźniejsze kroki na schodach. Usłyszał pukanie. Drzwi się otworzyły i pojawił się w nich chłopak.

Był ciemny, szczupły, miał kręcone włosy. Ubrany w dżinsy i bluzę z jasnej bawełny. Libijczyk, a może Egipcjanin lub Tunezyjczyk. Miał nie więcej niż piętnaście lat. Holenderski turysta wyjął rękę z kieszeni, pokazując banknot. Pięćdziesiąt euro. Chłopiec zaczął się rozbierać. Bez zbędnych ceregieli. On nie mógł się obejść bez ciała chłopca, chłopiec nie mógł się obejść bez jego pieniędzy.

– Najpierw prysznic – powiedział po angielsku.

Chłopiec skinął głową bez uśmiechu.

– Czy możesz mi wyjaśnić, co u licha uważasz za tak interesujące w tej sprawie?

Kiedy miałem siedemnaście lat, nie powiedziałem dziennikarzowi, to mało brakowało, a zabiłbym nieznajomą dziewczynę. Następnego lata ponownie wystawiłem się na podobne ryzyko. To był czas, kiedy moim głównym uczuciem była złość. Moi rodzice rozwiedli się, gdy miałem pięć lat i nie umieli poradzić sobie z tą sytuacją. Mieszkałem wtedy w Bari. Nie będę wymieniał dąsów, kłamstw, ciosów poniżej pasa, prób ranienia siebie nawzajem, jakich nie oszczędzali sobie ojciec i matka. Powiem tylko, że nie byli przygotowani na zmierzenie się z tym, a oczywiste jest, że ja też nie byłem. To były jeszcze czasy, kiedy w pewnych częściach Włoch na rodzinach rozwiedzionych ciążyło piętno społeczne. Pochodziliśmy z małego miasteczka, tam dezaprobata potrafiła przybrać okrutne formy. Moi rodzice spotkali się z wrogością ze strony przyjaciół, a nawet krewnych. To było tak przykre, że w szkole, w pierwszej klasie, skłamałem. Powiedziałem, że moi rodzice nadal są razem. Udawałem tak aż do gimnazjum. To było bolesne i żenujące, koniec gimnazjum przeżyłem jako wyzwolenie. Jeszcze tylko parę miesięcy, myślałem, a nowa szkoła pozwoli mi zacząć od zera. Pierwszego dnia w liceum zobaczyłem jednak w klasie trzech kolegów z poprzedniej szkoły. Szczęście mi nie sprzyjało. Myślałem nad tym długo, ale nie miałem siły nic zrobić, pozwoliłem innym mówić za mnie, skazując się na utrzymywanie pozorów, z tą okolicznością obciążającą, że życie społeczne na kłamstwie budował nastolatek, który pod koniec liceum osiągnie pełnoletność. Czułem się w pułapce.

Kiedy teraz o tym myślę, wszystko wydaje się zupełnie nieprawdopodobne, ale w tamtym czasie nie było w moim życiu niczego bardziej prawdziwego. Spędzałem dni pogrążony w udręce, nie wiedziałem, czego się domyślali moi koledzy z klasy i nauczyciele, zastanawiałem się, czy moi rodzice byli świadomi, co się ze mną działo. Jeśli nie, musieli być ślepi. Jeśli tak, to dlaczego mi nie pomogli? Potem, ku mojemu zaskoczeniu,

uświadomiłem sobie, że moi rodzice nie tylko zdawali sobie sprawę z sytuacji – choć nieustannie próbowali o niej zapomnieć – ale ją wprost akceptowali. Zamiast pomóc mi wyjść z kłamstwa, wspierali mnie, że tak powiem, w milczeniu. Wstydzili się jeszcze bardziej niż ja. Zacząłem pić. Zacząłem też wychodzić w nocy. Bari było otwartym i na swój sposób kosmopolitycznym miastem, przynajmniej w porównaniu z małym miasteczkiem, z którego pochodziliśmy. Prowadziłem intensywne życie towarzyskie, spotykałem się z rówieśnikami. Ale sytuacja rodzinna, w której się znalazłem, sprawiała, że czułem się gorszy. Nocami się upijałem. Piłem i krzyczałem na całe gardło. Albo piłem i mdlałem na ulicy. Na początku koledzy uważali te występy za interesujące. Wkrótce sprawa się skomplikowała. Pewnego czerwcowego wieczoru, jednego z tych wspaniałych letnich wieczorów na nadadriatyckiej prowincji, na najwyższym piętrze budynku przy via Camillo Rosalba odbywała się impreza. Byłem tam z grupą przyjaciół. Po wypiciu wszystkiego, co udało mi się znaleźć w lodówce gospodarza, zacząłem bredzić, odciągałem na bok tańczących i zamęczałem ich dziwacznymi tekstami. Nie wiem, o czym gadałem. Pamiętam jednak bardzo dobrze, że w pewnym momencie zacząłem rzucać butelki z tarasu. Pięć lub sześć butelek po wódce poleciało jedna po drugiej z wysokości ośmiu pięter. A potem wróciłem do tańca. Nagle zaczął dziko dzwonić domofon. Niedługo potem napadła na mnie wściekła dziewczyna, wyzywając od zjebów. Pozostali też zaczęli na mnie krzyczeć. Byłem zaskoczony, nie rozumiałem, co się dzieje. Oświecili mnie: dziewczyna szła ulicą, gdy nagle, kilka metrów od niej, eksplodowała na asfalcie butelka po wódce. Dziewczyna krzyknęła. Dziesięć sekund później druga butelka rozbiła się o ziemię, a następnie trzecia. Dziewczyna przeraziła się, ale na szczęście nie doznała żadnych obrażeń. Wtargnęła na imprezę tylko po to, by popatrzeć prosto w oczy idiocie, który mógł ją zabić. Ubrana była w biały tiszert i ogrodniczki. Wrzeszczała na mnie z taką furią, że w pijackim otępieniu zaczęło mi schlebiać, że ktoś poświęca mi tyle uwagi. Wybełkotałem, że ją kocham. Zrobiłem to w taki sposób, że wszystko to brzmiało żałośnie. Byłem tak niepewny siebie, a jednocześnie tak nakręcony, że zniweczyłem i tak już zerowe szanse na sukces.

– A weź się pierdol! – krzyknęła przed wyjściem.

Były też inne epizody. Zaledwie tydzień później, w środku nocy, wypiwszy absurdalną ilość piwa, wsiadłem na motorower i zmusiłem czterech kolegów, by wsiedli razem ze mną. Rozbiliśmy się o śmieciarkę.

Dwa miesiące później znowu rzucałem butelkami. Tym razem jechałem pociągiem na wakacje do Sibari w Kalabrii. Podczas podróży upiłem się (cointreau), a następnie wyrzuciłem pustą butelkę przez okno. Niedługo potem do przedziału wszedł jakiś mężczyzna i rzucił się na mnie z pięściami. Okazało się, że butelka uderzyła w słup znajdujący się kilka metrów od torów i deszcz szkła spadł na podróżnych przez okno sąsiedniego przedziału.

– Co ty masz w głowie, gówno? – krzyknął mężczyzna.

– Tak! Gówno! Gówno! – odpowiedziałem, kompletnie pijany.

Dotarłem do Sibari i wystarczyło kilka dni, bym został wyrzucony z obozu za rozbicie kamieniami lamp ogrodowych. Pamiętam noc, którą spędziłem na dworcu.

I tak dochodzimy do roku 1991. Byłem w ostatniej klasie liceum, uczyłem się mało, miałem dziewczynę. Wytrwale podtrzymywałem fikcję dotyczącą rodziców. Moja dziewczyna nic nie wiedziała. Moja matka od lat była w nowym związku. Mój ojciec ożenił się ponownie i miał jeszcze dwójkę dzieci. Można sobie wyobrazić, jak skomplikowane było ukrywanie tego wszystkiego przed dziewczyną, z którą widywałem się dwa lub trzy razy w tygodniu, z którą rozmawiałem, wymieniałem zwierzenia i próbowałem się przespać, kiedy moich rodziców (tak, ale w jakim sensie?) nie było w domu. Pewnej niedzieli pod koniec maja jeden z przyjaciół, który był na tyle nierozważny, by się ze mną spotykać, Cristiano, zaprosił mnie do siebie na obiad. Jego rodzice wyjechali, więc gdy tylko znaleźliśmy się w jego domu, od razu zrozumieliśmy, jak wykorzystać tę okazję. Przelaliśmy trzy butelki rumu i pięć puszek coli do dużej salaterki. Wypiliśmy wszystko z zadziwiającą szybkością. Pijani, postanowiliśmy przypieczętować naszą przyjaźń paktem krwi. Cristiano wziął nóż skautowy i próbował naciąć sobie nadgarstek. Próby były nieśmiałe, nie popłynęła nawet kropla krwi. Zniecierpliwiony powiedziałem:

– Zostaw to mnie.

– W porządku – odpowiedział.

Zachęcony jego zgodą, chwyciłem duży nóż kuchenny, taki do krojenia chleba. W ramach demonstracji zacząłem ciąć sobie lewe przedramię, aż trysnęła krew.

– Daj mi swoje ramię – powiedziałem do Cristiana. Ciachnąłem go dwa lub trzy razy, aż i on zaczął krwawić. Widok krwi wprawił nas w euforię.

– Teraz potrzebujemy ofiary z człowieka – oznajmił.

Znikł w swoim pokoju, a po chwili wrócił, wymachując dużą książką.

To było *Imię róży* Umberta Eco. Jego nauczycielka literatury kazała mu przeczytać tę powieść podczas zimowych ferii świątecznych[11], on ją znienawidził, a teraz chciał się zemścić.

– Zabijemy Umberta Eco!

Wzięliśmy nóż kuchenny, którego użyliśmy do paktu krwi, i zaczęliśmy dźgać książkę, rozrywając ją na strzępy. W tym momencie, mogła być trzecia po południu, przypomniałem sobie, że byłem umówiony z dziewczyną.

– Musimy po nią jechać – jęknąłem.

– Nie możemy – zaoponował Cristiano – jesteśmy pijani.

– Ja poprowadzę, czuję się na siłach.

– Nie masz prawa jazdy – przypomniał mi.

– Ale mam *foglio rosa*[12] – zauważyłem. Chłopackie historie to bardzo często historie praw jazdy. Cristiano dał się przekonać do powierzenia mi kluczyków. Wyszliśmy z domu. Wsiedliśmy do clio jego matki, usiadłem za kierownicą. Popędziliśmy w kierunku dzielnicy Poggiofranco, prowadziłem z rozmachem. Ale kręciło mi się w głowie. Na dowód tego, że przypadek jest najlepszym scenarzystą ludzkiego życia, a może tego, że niektóre miejsca zachowują pamięć o tym, co było, i przekształcają pamięć w magnetyczne przyciąganie, na via Camillo Rosalba, tej samej ulicy, gdzie jakiś czas wcześniej zrzucałem butelki z tarasu, straciłem panowanie nad kierownicą. Uderzyliśmy w zaparkowany samochód. Na szczęście w środku nikogo nie było, ale stłuczka była gwałtowna. Rozbita przednia szyba, wielki huk. Kilka sekund ciemności. A potem znów byłem przytomny.

– Wszystko w porządku? – zapytałem.

– Myślę, że tak – odparł Cristiano bardzo dziwnym głosem.

– Ej, coście narobili?

– Co za bajzel!

– Ożeż kurwa!

Te głosy dochodziły z zewnątrz. Zdałem sobie sprawę, że nasz samochód otoczyli ludzie. Jeszcze przed chwilą ulica była opustoszała, teraz zebrała się wokół nas niewielka garstka gapiów. Wszyscy byli mężczyznami i wszyscy patrzyli na nas wrogo. Nagle poczułem się zupełnie trzeźwy, może to przez szok. Ostrożnie opuściłem szybę, starając się uspokoić rosnący z chwili na chwilę tłumek. Pamiętam, że powiedziałem: „Mamy ubezpieczenie”. Powiedziałem: „To ewidentnie nasza wina”. Powiedziałem: „Zapłacimy za szkody, nikomu nic się nie stało”. Wtedy usłyszałem gwałtowne otwieranie i zamykanie drzwi. I głos Cristiana, który krzyczał: „Zabiliśmy Umberta

Eco!”. Mój przyjaciel, wciąż wyraźnie pijany, wysiadł z samochodu. Koszulę miał zakrwawioną, nóż kuchenny zaciśnięty w pięści, ramię pokryte zakrzepłą krwią. „Zabiliśmy Umberta Eco!”, powtórzył. „I chuj z nim!” Otaczająca go publiczność nie składała się ze znawców literatury. Należy dodać, że w tamtym czasie morderstwa w Bari nie były rzadkością, rywalizujące ze sobą klany ciągle wyrównywały rachunki. Ktoś uwierzył, że faktycznie zadźgaliśmy faceta zwanego Umberto Eco i jeszcze mieliśmy czelność się tym chwalić. Jak inaczej wytłumaczyć tyle krwi? A nóż?

– Mordercy! Wezwać policję!

Usłyszałem, jak otwierają się drzwi, dwoje potężnych ramion podniosło mnie i wyrzuciło z samochodu. Poczułem asfalt na ustach, znałem ten smak, upadki po pijaku mnie do niego przyzwyczaiły. Tłum ścisnął się wokół nas. Groził nam lincz. Uratował nas znajomy, ojciec naszej wspólnej koleżanki, który akurat przechodził obok, rozpoznał nas i krzyknął:

– Zostawcie ich!

Ten człowiek, najwyraźniej święty Pański, przemówił do ludzi, poręczył za nas, zapewnił obecnych, że nie jesteśmy mordercami, zdołał uspokoić tłum, a następnie sprawić, by się rozszedł.

Po tym wydarzeniu coś się przestawiło w mojej głowie. Zmieniłem życie. Wyznałem dziewczynie moją prawdziwą historię rodzinną. Wszystkim się przyznałem. Przestałem pić i zacząłem się uczyć. W krótkim czasie ukończyłem prawo z najwyższymi ocenami. W łóżku przed jedenastą, na nogach przed świtem. Każdy mój gest był poddany surowej dyscyplinie, ale byłem młody i wciąż bardzo niedoświadczony. Po ukończeniu studiów opuściłem Bari i udałem się do Mediolanu. Po niespełna roku przeniosłem się do Rzymu. Miałem bardzo mało oszczędności, obietnicę pracy i żelazne postanowienie: za nic w świecie nie wracać do Bari. W Rzymie nie znałem nikogo. Czułem hojność miasta, ale dopiero co przyjechałem, nie wiedziałem, jak to wykorzystać. Kilka dni po przeprowadzce okazało się, że jestem bezrobotny. Zbyt poważnie potraktowałem słowa drobnego biznesmena, który obiecał mi pracę. Byłem naiwny, a teraz na dodatek spłukany. Gdybym nie znalazł rozwiązania w ciągu dwóch tygodni, musiałbym opuścić wynajęty pokój. Internet dopiero się rozkręcał. Jednym z wielu rozwiązań, które wymyśliłem, aby uniknąć porażki, było umieszczenie ogłoszenia na portalu randkowym dla mężczyzn. Zaproponowałem również siebie na innej stronie jako osobę do towarzystwa dla kobiet. Moja heteroseksualność nie przeszkodziła mi w zdaniu sobie

sprawy, że ten pierwszy rynek kwitł bardziej niż drugi. Tak jak sobie wyobrażałem, tylko z męskiej strony przychodziły informacje zwrotne. Pisali do mnie głównie starsi mężczyźni. Zwlekałem z odpowiedzią. Kiedy upłynął termin, który sobie narzuciłem przed rozpoczęciem kariery męskiej prostytutki – wyobrażałem to sobie jako tymczasowe rozwiązanie – nadal zwlekałem. Grałem na zwłokę. Nie chciałem się tak poniżyć. I zarazem chciałem. Kilka dni później znalazłem prawdziwą pracę i nigdy więcej o tym nie myślałem.

Kiedy obwiniałem o swoje młodzieńcze problemy rozwód moich rodziców, przedstawiałem tylko częściową wersję wydarzeń. Cierpienie jest niekiedy tylko pretekstem, by dać upust własnej durnocie lub pozbawionemu hamulców narcyzmowi. Jeśli chodzi o mnie, nie potrafię powiedzieć, czy wpędziły mnie w kłopoty bezbrzeżna głupota czy kruchość. Jestem jednak pewien, że gdybym nie wpadł w tarapaty, nie zareagował tak lekkomyślnie, byłoby ze mną gorzej. To skomplikowane i brzmi absurdalnie, ale moje doświadczenie w tamtym czasie było tak skromne, że nie pozwoliłoby mi wydostać się ze ślepej uliczki, w którą się wpakowałem, bez szaleństw – i to niebezpiecznych szaleństw. Potrzeba było więcej niż jednego gwałtownego potrząśnięcia, by się wyrwać.

Miałem szczęście.

Ale co by się stało, gdyby butelka trafiła w dziewczynę?

Co by było, gdybym zamiast zaparkowanego samochodu najechał na pieszego?

Gdybym w zamian za sto tysięcy lirów uprawiał seks z nieznajomym starcem, co by się stało z moją samooceną? Czy bym się utrzymał? A może bym się kompletnie pogrążył?

To dlatego, kiedy po raz pierwszy usłyszałem o morderstwie Luki, natychmiast poczułem coś znajomego. Porażenie prądem. Oczywiście podobieństwo było mniej niż częściowe. Rzucenie butelką z balkonu to co innego niż dźgnięcie nożem innego człowieka. Wiedziałem, co to znaczy wejść pół kroku w mrok, wiedziałem, że trzeba się wycofać tak szybko, jak to możliwe. Ale co potem? Co się działo z tymi, którzy nie chcieli lub nie mogli się zatrzymać? Tego w ogóle nie wiedziałem. Co stało się z tymi, którzy zanurzywszy się w mrok, kontynuowali schodzenie po ciemnych schodach? Za pewnym progiem otwierał się nieznany świat.

Na dnie studni

Część czwarta

Wstęp łatwy do Awerna domu.

Wergiliusz, *Eneida*, przeł. Tadeusz Karyłowski, Kraków 1924

Sądzę, że znajduję się w piekle, więc jestem w nim.

Arthur Rimbaud, *Sezon w piekle*, przeł. Artur Międzyrzecki, Kraków 1980

Zamknięty w celi Manuel starał się odtworzyć porządek wydarzeń. W nocy, kiedy leżał na pryczy, wspomnienia nagle powracały. *Bam!* Obraz zamieniał się w błysk światła, po czym pochłaniała go ciemność. Kiedy raz poprosił o długopis, aby zanotować te przebłyski przed utratą ich na zawsze, strażnik więzienny odpowiedział:

– Teraz śpij, długopis dostaniesz jutro.

Ale następnego dnia nie dostał długopisu. Obawiano się, że użyje go do popełnienia samobójstwa.

Z tego, co pamiętał, wpadł na to Marco. Ale gdyby posłuchać Marca, to właśnie Manuel go prosił, by przebrał się za kobietę. Był 1 stycznia, to Manuel pamiętał, i po czymś kompletnie nieoczekiwanym – obciągnął mu facet, którego dopiero co poznał, a na dodatek, co jeszcze bardziej zaskakujące, czuł potrzebę sfilmowania wszystkiego swoim telefonem komórkowym – zostali razem w mieszkaniu, dopóki słońce nie rozjaśniło jego ponurej ciszy.

– Co robimy?

Kiedy koka się skończyła, Marco ponownie skontaktował się z Trovajolim: „Armandino mój najlepszy – napisał – przywieź mi trzy mocne kawy. Via Igino Giordani 2. Szybko! Za taksi płacę”. Diler przyjechał, Marco i Manuel wrócili do ćpania i wtedy zaczęły się zwierzenia. Manuel opowiedział Marcowi o wszystkich swoich troskach, o separacji rodziców, o swoim ogromnym smutku z powodu tego, jak został wyrzucony z rodzinnego biznesu, o swoim bracie, o matce, o odebranym prawie jazdy, opowiedział mu także o projekcie informatycznym, dzięki któremu chciał wyjść na prostą.

Marco okazał się niezwykle rozmowny, zaczął nawet wyjaśniać Manuelowi swoje teorie na temat seksualności. Powiedział, że każdy heteroseksualny mężczyzna ma w sobie pewien homoseksualny pierwiastek i nie ma sensu temu zaprzeczać, zresztą „to, co wydarzyło się między nami, jest tego najlepszym dowodem, nie sądzisz?”. To stanowisko wywołało nie

mniej dziwne rozumowanie u Manuela. Pomyślał, że geje tacy jak Prato, przyzwyczajeni do bycia marginalizowanymi przez heteroseksualną większość, marzyli o społeczeństwie składającym się wyłącznie z homoseksualistów. Oznaczałoby to z jednej strony koniec dyskryminacji, z drugiej realizowałoby niewyrażalne pragnienie wielu z nich: życie w świecie, w którym jedynym punktem odniesienia było ich własne odbicie w lustrze.

Marco opowiadał o swoich planach zmiany płci.

– Proces tranzycji jest długi i skomplikowany. Trzeba przejść roczną kurację hormonalną, po której rozpoczynają się operacje: trwałe usuwanie owłosienia, powiększanie piersi i tak dalej.

Powiedział, że w schowku pod deską rozdzielczą jego mini coopera znajduje się przewodnik turystyczny po Tajlandii, zawsze miał go przy sobie. To właśnie do Tajlandii planował pewnego dnia pojechać, aby móc w spokoju poddać się operacji, z dala od osądzania i wrogich spojrzeń.

To właśnie wtedy zaczęła się ta historia z przebieraniem się za kobietę.

Kto pierwszy wpadł na ten pomysł?

Manuel pamiętał tylko, że wsiedli do samochodu i pojechali na San Giovanni. Tam mieszkało kilku znajomych Marca, charakteryzatorów pracujących w show-biznesie. Marco wyciągnął pięćdziesiąt euro. Zaczęli przebierać go za kobietę, nałożyli gruby makijaż i perukę, z pomocą Manuela wybrali odpowiednią spódnicę i stanik. Po powrocie na via Igino Giordani Marco zapytał:

– Czy twoja matka jest w domu?

Manuel pokręcił głową i wręczył mu klucze. Marco zszedł na dziewiąte piętro i wrócił z lakierem do paznokci i perfumami matki Manuela, aby dokończyć dzieła. Znów pili i brali kokę. Według Marca również uprawiali seks. Manuel nie mógł sobie tego przypomnieć. Ale nie chodziło o to, co robili. Chodziło o to, co *mówili*. Podekscytowani kokainą, ale też dziwną energią, która zaczynała się wyzwalać, ilekroć nawiązywali kontakt wzrokowy, Marco i Manuel zaczęli snuć plany. Dość ekscentryczne plany.

Młodzi ludzie nierzadko fantazjują o wyczynach, dzięki którym mogliby zrzucić jarzmo dorosłych. Uciec daleko. Przejąć spadek. Znaleźć rewolucyjny sposób na zarobienie dużych pieniędzy. Oto, jak mieli stać się bogaci: przez połączenie bezwstydu Marca z przedsiębiorczością Manuela. Marco zostałby prostytutką, Manuel byłby jego alfonsem. Zapewniłby mieszkanie, w którym przyjmowaliby klientów, bogatych klientów, ludzi

gotowych wyłożyć duże sumy, by spędzić czas z kimś tak wyrafinowanym i czarującym jak Marco. Wspaniale. Cudownie. Ale po co zadowalać się alfonsem, skoro są menadżerowie? Marco przejdzie operację, a potem zrobi furorę jako gwiazda porno.

– Gwiazda porno? – zapytał Prato.

– Tak, kurwa, gwiazda porno! – potwierdził Foffo. Wyczyny gwiazd porno miały miliony wyświetleń w sieci. Marco zostałby taką gwiazdą porno, a Manuel byłby jego menadżerem, brałby procent od dochodów, a za te pieniądze na pewno rozwinąłby i wprowadził na rynek swoją aplikację piłkarską. *Przebić się*. Tak po prostu. W zaledwie kilku ruchach rozwiązali problemy Marca z marzeniem o tranzycji i pragnieniem Manuela, by wyzwolić się z więzów rodzinnych. Ale po co ograniczać się do słów? Dlaczego odkładać na niepewną przyszłość coś, co można zrobić natychmiast?

– No dalej! *Chodź!* – W końcu Marco *już był* przebrany za kobietę. Otumanieni, podekscytowani, wyszli z mieszkania i wsiedli do mini coopera Marca.

I tak Manuel Foffo i Marco Prato wyruszyli w miasto, chłodne i puste. Manuel zeznał, że najpierw udali się na Lungotevere. Następnie na EUR. Pojechali via Cristoforo Colombo, wielką arterią łączącą centrum z południową częścią miasta, i skręcili tuż przed sztucznym jeziorem. W tym momencie ukazała się przed nimi dawna wieża ciśnień z knajpą i punktem widokowym w środku, zwana *il Fungo* – Grzyb. Wysoka na pięćdziesiąt metrów, dominująca w krajobrazie tej części Rzymu. Zaparkowali. Marco wysiadł z samochodu i wyruszył na misję.

Trudno wyobrazić sobie bardziej dziwaczną i przygnębiającą scenę: Marco Prato przebrany za kobietę pod gigantyczną budowlą, wypatrujący klienta, pogrążony w ciszy EUR.

Manuel obserwował Marca z samochodu. Od czasu do czasu chuchał na zziębnięte dłonie. Marco dzielnie stał pod Fungo, czekając, aż coś się wydarzy. Stał tak czterdzieści minut, ale nikt się przy nim nie zatrzymał. Wrócił więc do samochodu, zmarznięty, bez zarobku, ale bynajmniej nie zniechęcony. Pokazali, że potrafią przejść od słów do czynów. To był początek. Wciąż pełni optymizmu wrócili do Manuela.

Z mieszkania zamówili kolejną dostawę kokainy. „Armando, co tam? Możesz przynieść jeszcze kilka mocnych kaw?”. Zadzwonili po pizzę z King of Delivery, zamówili. Manuel zszedł na dół, aby odebrać kokę, nie chciał,

aby sąsiedzi widzieli Marca przebranego za kobietę. Imprezowanie zaczęło się na nowo. Pizzę ledwo tknęli. W pewnym momencie wrócili do samochodu. Ile czasu minęło? To był wieczór 2 czy 3 stycznia? Teraz chcieli poskakać w dyskotece. Poszli do Alibi. Potem zmienili lokal.

Według Manuela był to klub na San Giovanni, gdzie Marco przywiózł go po tym, gdy uznał, że w dyskotece „był syf". Klub ten okazał się mrocznym i raczej dwuznacznym miejscem. Gdy Manuel je zobaczył, poczuł się nieswojo do tego stopnia, że przez kilka minut stał w progu, niezdecydowany, czy wejść. Kiedy w końcu się ruszył, bramkarz spojrzał na niego sarkastycznie.

– No dobry wieczór.

– Nie, to znaczy przepraszam, po prostu nie do końca wiedziałem… – wybełkotał Manuel. Cały czas szukał wzrokiem Marca. Gdzie on się podział? Manuel zaczął błądzić po lokalu, ostrożnie przechodząc z pomieszczenia do pomieszczenia. Co to kurde za miejsce, pytał sam siebie. Nie był to klub dla gejów, ponieważ były tam również kobiety, ale zdecydowanie nie była to normalna dyskoteka. To, że było to „osobliwe" miejsce, zrozumiał ostatecznie wtedy, gdy po wejściu do pokoju ciemniejszego niż pozostałe zobaczył całkowicie nagą kobietę, siedzącą między dwoma mężczyznami, którzy pili i palili, jak gdyby nigdy nic. Manuel wywnioskował, że to klub dla swingersów. Zaczął się pocić. Czuł się nie na miejscu, nieprzygotowany, miał wrażenie, że wszystkie oczy zwrócone są na niego, znów zaczął się zastanawiać, gdzie jest Marco. Szukał miejsca, gdzie ten mógłby się schronić. Po dłuższym błądzeniu w końcu udało mu się go znaleźć. Marco rozmawiał z kilkoma chłopakami w głębi jednego z pomieszczeń. Co jakiś czas ktoś z jego rozmówców wybuchał śmiechem. Manuel ostrożnie zbliżył się do grupy. Zanim zdążył się przedstawić, Marco wskazał go pozostałym.

– Widzicie go? To Manuel, mój nowy chłopak. Ładniutki, nie?

Manuel poczerwieniał ze wstydu. Chciałby rozpłynąć się w powietrzu.

Kilka godzin później siedzieli znów w jego mieszkaniu przy via Igino Giordani. A może to było *wiele godzin* później? Prawdopodobnie był wieczór 4 stycznia. Teraz się kłócili. Marco chciał, aby Manuel poszedł z nim do innego klubu, a Manuel obawiał się, że Marco chce go tam zabrać, aby ponownie przedstawić go ludziom jako kogoś w rodzaju swojego chłopaka. Marco chciał wyjść w kobiecym przebraniu.

– Nie ma mowy! – wybuchnął Manuel. – Nie możesz zawsze robić tego,

co ci się podoba.

– W jakim sensie „co mi się podoba”? – zapytał Marco z zaciekawieniem.

– Nie możesz mówić o mnie tego, co powiedziałeś wcześniej!

Manuel *nie był* niczyim chłopakiem. *Był* hetero. Jasne? Marco wzruszył ramionami, jakby chciał zasugerować, że nie jest jego zadaniem uspokajanie paranoi ludzi, z którymi uprawiał seks. Manuel poprosił, by zostawił go w spokoju. Co w praktyce oznaczało, że wyrzucał go z domu. Marco wtedy się wściekł, nazwał Manuela miernotą, to był naprawdę jedyny moment napięcia, odkąd się poznali. Jednak po kilku minutach kłótnia złagodniała. Wszystko w magiczny sposób wróciło do normy. Marco i Manuel pożegnali się serdecznie, obiecując sobie, że wkrótce znów się zobaczą.

Następnego dnia, kiedy Manuel wyspał się i wytrzeźwiał po alkoholu i kokainie, wyjrzał przez okno i popatrzył z góry na miasto. Z powrotem był tym samym Manuelem, którym był każdego dnia, ale na trzeźwo bardzo wyraźnie zdał sobie sprawę z jednej rzeczy: wpakował się w niezłe kłopoty.

Z tego, co mógł o sobie powiedzieć na pewno, to lubił kobiety. Potwierdzały to jego fantazje. Co może być bardziej wiarygodne w kwestii seksu? Nawet jako nastolatek, kiedy kładł się na łóżku, ledwie zamykał oczy, widział dziewczyny. Uśmiechy, nogi, usta, tyłki, wszystko było niezaprzeczalnie kobiece.

Dlaczego więc pozwolił, by Marco mu obciągnął? Nie dawało mu to spokoju. Nie ma nic głupszego niż zachowywać się w sposób odmienny od tego, kim się jest. Inni mogą cię źle zrozumieć, a jeszcze inni są zawsze gotowi do osądzania. W tym nieszczęsnym przypadku *inni* potencjalnie oznaczało *wszyscy*. Marco zrobił mu laskę, a on sfilmował tę scenę telefonem *Marca*. Jak mógł być tak nieostrożny? Jedno proste kliknięcie i Marco, jeśli tylko zechce, podzieli się filmem ze swoimi znajomymi. Kolejne kliknięcie i umieści go w sieci.

I zhańbi go oficjalnie. Czy Marco był zdolny do czegoś takiego? Manuel nie miał pojęcia, nie wiedział, jakim jest człowiekiem ten nowo poznany kolega. Wciąż pogrążony w rozmyślaniach Manuel zastanawiał się, czy nie powinien do niego zadzwonić, by zacząć zdalnie sprawdzać sytuację, „monitorować go”, by upewnić się, że nie ma złych zamiarów. Manuel rozważył wszystkie za i przeciw, pomyślał i przemyślał, ocenił różne hipotezy, ale ostatecznie nie podjął żadnych działań. Nie zrobił nic. Czuł, że utknął. Minęło kilka dni. To Marco przełamał impas.

„Widzę, że jesteś w opór zainteresowany przyjaźnią!”

Wiadomość brzmiała subtelnie oskarżycielsko.

Manuel patrzył na ekran telefonu. Szybko zaczął się usprawiedliwiać.

„Pewnie, że jestem – odpisał – ale mam stres przed badaniem, a na imprezy nie chodzę, bo wieczory spędzam na siłowni”.

Marco natychmiast napisał kolejną wiadomość. „Wieczór u cb?” Nawiązywał do kolejnego spotkania z alkoholem i kokainą. Manuel odpowiedział, że dopóki nie przejdzie badań potrzebnych do odzyskania prawa jazdy, nic nie zorganizuje. „Serio nie dam rady!”

Marco nalegał. Przypomniał, że ślady kokainy znikają z krwi już po kilku dniach, a następnie uderzył we wrażliwy punkt. „Trudno będzie zarobić na tym projekcie, skoro jesteś taki rygorystyczny”.

Manuel nadal się usprawiedliwiał, bagatelizując powagę tego, co powiedzieli sobie po sylwestrze. „Weź pod uwagę, że byliśmy porobieni”, napisał. Potem powtórzył: „Przez jakiś czas muszę dać sobie spokój, zająć się sportem i nauką, odpuścić świrowanie. Ale jeszcze będzie okazja, obiecuję!”.

Miękkość i nieustępliwość. Z jednej strony Manuel bronił swej pozycji, z drugiej uważał, by nie zdenerwować Marca.

– Czułem, że muszę go udobruchać – powiedział później. – On miał to wideo.

W ciągu następnych kilku dni dalej wymieniali wiadomości. Schemat się nie zmienił. Jeden naciskał, drugi grał na zwłokę. Po jakimś czasie się dogadali. Spotkają się na warunkach Manuela. Bez narkotyków, bez szaleństw, dwóch dobrych przyjaciół umawiających się, żeby pogadać.

Wyznaczyli sobie spotkanie w barze przy via dei Monti Tiburtini. Neutralne terytorium.

Manuel zobaczył, jak Marco pojawia się na ulicy. Głęboko westchnął, by rozładować napięcie, i wyszedł mu na spotkanie. Marco miał ładną ciemną marynarkę, markowe dżinsy i zrelaksowaną twarz.

– Jak tam samopoczucie? – zapytał przyjaźnie.

Usiedli przy małym stoliku. Zamówili coś do picia, zaczęli rozmawiać. Utarte, grzecznościowe zwroty. Marco mówił, Manuel słuchał, a jednocześnie szukał odpowiedniego momentu, by poruszyć gnębiący go temat. Po dłuższej chwili wyłożył karty na stół.

– Słuchaj, Marco, jest jedna sprawa, o której myślę od kilku dni – zaczął. I powiedział o filmie. – Boję się, że zacznie krążyć, a wtedy będę miał przesrane.

Marco wydawał się zaskoczony.

– Manuel, daj spokój. Filmy same nie krążą. Chyba nie sugerujesz, że mógłbym go rozsyłać.

– To byłby niezły bajzel…

– No to cię mogę uspokoić. Nie mam najmniejszego zamiaru.

Manuel nie wydawał się przekonany. Przypomniał, że mają wspólnych przyjaciół, na przykład Lorenzę Manfredi, to ona ich sobie przedstawiła. Co by się stało, gdyby, powiedzmy przez pomyłkę, wideo trafiło w jej ręce?

– A jak coś takiego mogłoby się przydarzyć *przez pomyłkę*? Nie martw się, Lorenza nigdy go nie dostanie.

– Słuchaj Marco, ale ja naprawdę…

– Daj spokój, skarbie, wystarczy – powiedział Marco ze znudzoną miną.

Zmienili temat, ale Manuel wciąż był ponury. Przy pierwszej nadarzającej się okazji wrócił do tematu nagrania. Marco się zniecierpliwił.

– A ty znowu z tym wideo? Brzmisz jak zdarta płyta. Już ci mówiłem, że możesz być o nie spokojny. – A potem, bardziej przekonującym tonem: Manuel, wierzysz mi czy nie?

Manuel odpowiedział, że tak, oczywiście, wierzy, jednak jedynym sposobem, aby naprawdę go uspokoić, będzie pewność, że ten film już nie istnieje.

– Proszę cię, zniszcz go.

– No co ty! Ja tak lubię na niego patrzeć! – zachichotał Marco. – To fajny film, szkoda byłoby go nie mieć.

Nie, nie usunie go, powtórzył, ale dał mu słowo honoru, że poza nimi dwoma nikt nigdy go nie zobaczy.

Manuel opuścił wzrok.

– Daj spokój, nie rób takiej miny.

Foffo wrócił do domu zdezorientowany. Spotkanie niczego nie załatwiło.

Wręcz przeciwnie, jeszcze bardziej skomplikowało sytuację. Marco zręcznie przerzucił piłkę na jego stronę: do Manuela należała decyzja – zaufać czy nie.

Ale czym dysponował, by *zrozumieć* swoją sytuację? I jakie miał narzędzia *obrony*, gdyby coś poszło nie tak? Manuel poszedł do ojcowskiego biura, gdzie były komputery. Włączył jeden z nich i zaczął przeglądać sieć. Wyszukał informacje na temat prawnego aspektu sprawy. *Revenge porn*. Wyszukiwarka wyrzuciła nieprawdopodobne liczby stron. Jak zwykle materiał był zagmatwany, niewiarygodnie obszerny i trudny do zinterpretowania. Tysiące artykułów na temat prywatności w czasach wyciągania cudzych sekretów na globalną skalę. Po kilku godzinach męczącej lektury zrozumiał tyle, że gdyby Marco rozpowszechnił film w sieci, popełniłby przestępstwo, ale gdyby tylko obejrzał go z przyjaciółmi, postawienie go w stan oskarżenia byłoby właściwie niemożliwe. Biorąc zaś pod uwagę liczbę wspólnych znajomych, to w zupełności by wystarczyło, by zrujnować Manuelowi reputację.

Tylko dlaczego Marco Prato miałby coś takiego zrobić, zastanawiał się Manuel. I czy on sam był pewien, że chciał tylko usunąć to nagranie? A może było tam coś jeszcze? Coś, czego sam nie potrafił wyjaśnić? Co *naprawdę* kryło się za nieodpartym przymusem zadowolenia Marca, za uprzejmością, uczynnością, dwuznacznością, którą okazywał za każdym razem, gdy ten czegoś od niego chciał?

Przez kilka kolejnych dni Marco i Manuel kontynuowali rozmowę na WhatsAppie. Tym razem to Manuel, a nie Marco, wysłał decydującą wiadomość.

„Na czwartek, jeśli możesz, nic nie planuj! Zadzwonię na dniach. Nie zapomniałem!”

Wiadomość emanowała entuzjazmem i dobrymi manierami. Manuel wysłał ją 24 lutego po przejściu badań potrzebnych do odzyskania prawa jazdy.

Odpowiedź Marca była natychmiastowa: „OK. Idealnie. Jak chcesz, żebym się ubrał?”.

Manuel przystopował Marca: „Normalnie. Po przyjacielsku, OK?”. Żadnych przebieranek. I żadnego seksu, tak brzmiała właściwa wiadomość.

„Na co masz ochotę?”, zapytał Marco.

Odpowiedź: „Pogadamy, a potem zakupy”.

Więc zero seksu, kokaina okej. Co za dziwny chłopak. Kiedy Marco w niezbyt subtelny sposób zwrócił mu uwagę, że kiedy będą naćpani, to sytuacja może wymknąć się spod kontroli, Manuel nie przywiązał wagi do tych słów. Po prostu odpisał: „OK”.

Umówili się na wtorek 1 marca.

Tego dnia wymienili wiadomości, aby ustalić, o której godzinie się spotkają i w jaki sposób zdobędą pieniądze na kokę. Marco przyjechał na via Igino Giordani około dziesiątej wieczorem. Zaparkował mini coopera pod blokiem. Pomimo zaleceń przyjaciela wziął ze sobą torbę podróżną. W środku miał jaskrawoniebieską perukę, sukienkę w panterkę, parę legginsów, szpilki i usztywniany biustonosz. Chwycił torbę, wysiadł z auta i skierował się do wielkiego budynku z widokiem na kościół po drugiej stronie ulicy.

Marco i Manuel na dziesiątym piętrze przy via Igino Giordani. Znów w tej samej sytuacji, co w sylwestra. Chociaż to nigdy nie jest ta sama sytuacja.

Po wpuszczeniu przyjaciela do środka Manuel zamknął drzwi. Marco położył torbę na podłodze. Choć Manuel wyraził się jasno (żadnych przebieranek), Marco był przekonany, że to nie było szczere życzenie.

– Zabrałem ze sobą to, co potrzebne, bo wiedziałem, że skończy się w ten sposób – zeznał karabinierom.

– Tym razem ty płacisz – powiedział Marco, gdy się już rozgościł.

Manuel bez dyskusji wyciągnął z portfela dwieście euro. Zamówili alkohol i pizzę, Marco wysłał wiadomość do Trovajolego. Pół godziny później zaczęło się picie i furanie. Było przyjemnie. Jednak po północy Marca i Manuela ogarnął lekki niepokój, typowy dla kokainistów, kiedy co prawda mają jeszcze dwie piękne kreski gotowe na stole, ale widzą, że towaru wkrótce zabraknie.

– Masz więcej pieniędzy? – zapytał Marco.

– Nie. Skończyły mi się.

Rozglądali się niecierpliwie, jakby rozwiązanie miało spaść z nieba. Co z jednej strony świadczyło o ich zdenerwowaniu, a z drugiej potwierdzało trudną do racjonalnego udowodnienia prawdę, że podczas kokainowych nocy zawsze dzieją się najbardziej nieoczekiwane rzeczy. Dziwne zbiegi okoliczności. Małe trafy szczęścia. Ludzie, którzy powracają do życia, udowadniając tym swoją determinację.

Co robisz?

Na telefonie komórkowym Marca Prato pojawiła się wiadomość od Damiana Parodiego.

Marco spojrzał na wyświetlacz, uśmiechnął się i wpisał odpowiedź na klawiaturze.

„Jestem u przyjaciela, piję i trochę ćpam. Chcesz dołączyć?”

Damiano był bogaty, problematyczny, zupełnie niedoświadczony w sytuacjach związanych z narkotykami. I chciał odzyskać swoje okulary

przeciwsłoneczne.

„Raczej spasuję”, odpowiedział.

„A ty co robisz?”

Jedną z technik Marca było okazywanie szczególnego zainteresowania losem ludzi, którzy mogli mu pomóc w osiągnięciu tego, czego chciał. Jak się masz? Jaki masz nastrój? Czujesz się samotny?

„Nudzę się”, odpisał Damiano.

Dla Damiana Marco Prato był zagadką. Bolała go jego zmienność. W ciągu chwili potrafił przejść od empatii do perfidii. Damiano już kilka razy padł tego ofiarą. Irytowało go to. Ale sprawiało też, że przez krótkie chwile czuł się zauważony i trudno było określić, czy sytuacja była wyłącznie nieprzyjemna.

W poprzednich miesiącach Marco prosił go o pożyczki.

„Damiano, chciałem zapytać cię o coś dyskretnie – napisał w październiku – ale to *naprawdę* musi pozostać między nami. Nie wznowiliśmy jeszcze *A(h)però* po przerwie i jestem bez grosza. Mógłbyś mi coś pożyczyć? Zaczynamy w niedzielę i zaraz potem zwrócę ci pieniądze".

„Chętnie bym ci pożyczył – odpisał Damiano – ale mam debet na koncie i nie mogę nic wypłacić".

Marco zmienił rejestr.

„Damiano, ja nie jestem żulem ani żigolakiem. Jestem poważną osobą, która pochodzi z tego samego środowiska społecznego co ty".

„Żartujesz", odpisał Damiano, uważając, by go nie obrazić, chociaż to sam Prato sprowokował to skojarzenie.

„Mógłbyś użyć karty ojca – pisał Marco – on to zauważy dopiero za miesiąc, a ja do tego czasu oddam ci pieniądze".

„No proszę – dodał po kilku minutach – już mnie ignorujesz".

„Przepraszam, rozładował mi się telefon – odpisał Damiano – poczekasz 20 minut, aż moi starzy wyjdą z domu? Może nawet 15".

„Będę za kwadrans", odpisał Marco i dodał do wiadomości emotikony.

Damiano dał mu pieniądze. Nie zrobił tego powodowany zwykłą wielkodusznością, ale pod wpływem zawoalowanej groźby Marca, którą ten subtelnie odwoływał się nie tyle do poczucia winy, ile do sankcji społecznej. Jak zostalibyśmy ocenieni, gdybyśmy odmówili pieniędzy, których mamy pod dostatkiem, dobremu przyjacielowi w potrzebie?

Nadeszła jednak niedziela, a Marco nie pojawił się, by spłacić pożyczkę.

Po kilku kolejnych dniach Damiano uznał za stosowne, by przypomnieć mu o zaległości. Ale to właśnie w takich sytuacjach Marco Prato najdobitniej okazywał swój retoryczny kunszt.

D: „Cześć Marco, jak się masz?”

M: „Jako tako. W sumie źle. A Ty?”

D: „Piszę do cb, bo powiedziałeś, że w niedzielę zwrócisz mi pożyczone pieniądze”.

M: „Nigdy się pierwszy nie odezwiesz”.

Podręcznikowe przerzucenie winy.

D: „Masz rację, nie kontaktowałem się i przykro mi, że się upominam. Ale potrzebuję tych pieniędzy”.

M: „Damiano, naprawdę, wciąż nie jestem w stanie ci ich oddać. Czuję się obrzydliwie. Nienawidzę długów. *A(h)però* wciąż się rozkręca…”

D: „Nie musisz czuć się obrzydliwie. Napisałem, bo potrzebuję gotówki”.

17 listopada Damiano spróbował ponownie.

D: „Cześć Marco, jak się masz? W sobotę wyjeżdżam do Brazylii. Myślisz, że mógłbyś zwrócić mi przynajmniej część pieniędzy?”

M: „Źle się czuję, siedzę w domu. To zły czas”.

D: „Przykro mi. Wyjdziemy dziś wieczorem? Może chcesz wpaść do mnie? Albo jeśli chcesz, odbiorę cię”.

Nie spotkali się tamtego wieczoru, Damiano wyjechał do Brazylii. Po powrocie do Włoch, 2 grudnia, napisał do niego.

D: „Marco, przepraszam, że pytam. Też już się czuję zażenowany. Przydałyby mi się pieniądze, które Ci pożyczyłem. Nie możesz mi ich oddać? Nawet w części?”

M: „Niestety nie. Uwierz mi, to zawstydza mnie o wiele bardziej! Strasznie mi wstyd. W sylwestra (trzymaj kciuki!) organizuję imprezę i powinna wpłynąć niezła sumka”.

W kolejnych tygodniach dalej wymieniali wiadomości. Potem, 2 stycznia, Damiano powrócił do tematu, choć nie wprost.

D: „Szczęśliwego Nowego Roku, Marco! Jak tam obroty?”

Marco nie odpisał.

Po tygodniu, 12 stycznia, Damiano napisał do niego ponownie. Tym razem ton był pełen urazy.

„Marco, mógłbyś mi odpisać”.

„Leżę w łóżku z gorączką”, odpisał Marco dopiero następnego dnia. Następnie zadał cios: „Kiedy przeczytałem noworoczną wiadomość, zrobiło

mi się przykro. Nawet się nie odezwałeś, żeby złożyć życzenia, a potem pytasz o obroty. Wieczór był udany, ale pod względem wpływów już nie tak bardzo. Jednak jak tylko odzyskam pieniądze i minie mi gorączka, zacznę ci coś oddawać”.

Zamiana własnego lekceważenia w cudze to oklepana sztuczka, ale zadziałała.

„Marco przepraszam, nie chciałem być niegrzeczny. Byłeś na mnie zły?”

„Nie byłem zły, było mi przykro. Jak tylko stanę na nogi, napiszę”.

„Tak, chętnie wypiję z tobą kawę. Zdrowiej”.

„To jak, wpadasz czy nie?”, napisał Marco na swoim telefonie i spojrzał na Manuela pochylonego nad jedną z ostatnich kresek.

„OK, przyjdę”.

„Dobrze. Jesteśmy na Collatino, via Igino Giordani”.

Marco oderwał wzrok i palce od telefonu. Spojrzał na Manuela i poinformował go, że będą mieli gościa.

– Jesteś pewien?

Manuel miał rozczarowanie wypisane na twarzy. Wyraźnie nie spodobał mu się ten pomysł.

– Nie lepiej, żebyśmy zostali sami i rozmawiali? – zapytał. – Po co nam twój kumpel? Jest nam tu dobrze.

– Koks – uciął krótko Marco.

– Słuchaj, Marco, postawmy sprawę jasno. Nie chcę znowu wyjść na ciotę.

– Daj spokój i nie martw się – odparł Marco z uśmiechem. – Damiano jest nam potrzebny dla pieniędzy. To nasz bankomat. Poza tym jest sympatyczny, zobaczysz, to naprawdę w porządku facet.

Damiano również nie do końca rozumiał, co skłoniło go do przyjęcia zaproszenia. Nie wiedział, jak spędzić wieczór. Naprawdę się nudził?

Na pewno niepokoił się o swoje okulary przeciwsłoneczne.

Wciąż przeklinał się za to, że pożyczył je temu facetowi, kumplowi Marca Prato, który pojawił się w jego domu pewnej nocy. Jak mu było? Alessandro Japończyk.

Nie wiedział nawet, jak naprawdę się nazywa.

Oczywiście Damiano próbował się czegoś dowiedzieć, napisał kilka wiadomości do Marca, ale ten odpowiadał coraz bardziej wymijająco. Tak więc za dwadzieścia pierwsza w nocy Damiano wyszedł z domu i złapał taksówkę. Na via Igino Giordani zapłacił za przejazd, wysiadł z samochodu i rozejrzał się dokoła. Nie mógł znaleźć numeru domu. Collatino w nocy wyglądało jak gigantyczna betonowa pasieka porzucona na odległej planecie. Napisał do Marca.

„Gdzie jesteście?”

– Ten facet nie umie nawet znaleźć budynku – powiedział Marco po otrzymaniu wiadomości.

Zeszli na parter.

Damiano zobaczył, jak wyłaniają się z ciemności.

– Cześć, Marco – powiedział z wahaniem.

– Damiano, jesteś. Poznajcie się. To jest Matteo.

Matteo? Manuel był zbity z tropu. Podał rękę Damianowi, starając się zachowywać normalnie. Dlaczego Marco przedstawił go tym imieniem? Żeby go chronić? A może właśnie go pakuje w kolejne kłopoty?

Wjechali na dziesiąte piętro i weszli do mieszkania.

Na stoliku w salonie były już przygotowane trzy kreski.

– Ten Manuel, którego ja nazywałem Matteo – powiedział Damiano karabinierom – na początku był dość milczący. Bałem się, że denerwuje go moja obecność. Potem jednak zaczął się otwierać. Ogólnie atmosfera była przyjemna. Problemy zaczęły się później.

Wciągnęli po kresce, zrzucili się na zakup kolejnej działki, a właściwie to Damiano wyłożył potrzebną kasę. Dwieście pięćdziesiąt euro. Nie był regularnym użytkownikiem i nie miał pojęcia, czy to odpowiednia suma. Marco zadzwonił do dilera, była druga w nocy. Po kilku kolejnych drinkach Manuel się rozluźnił i zaczął rozmawiać z Damianem o uniwersytecie. Marco patrzył na nich z zadowoleniem.

– E-kampus? Co to znaczy? – zapytał Damiano.

– To znaczy, że studiuję online. Wykłady są online i przychodzisz na uczelnię tylko na egzaminy i na obronę.

– Nie obraź się – powiedział Damiano – ale wydaje mi się, że to trochę absurdalne, by uniwersytet funkcjonował w taki sposób.

Manuel próbował wytłumaczyć to dokładniej. Marco usypał na stole trzy kreski. W tym momencie wydarzyło się coś zabawnego. Damiano miał problemy z wciąganiem. Przy pierwszych kreskach nie, dopiero przy kolejnych.

– Mam przerost małżowin nosowych – wyjaśnił. – Wybaczcie.

Tak więc w środku nocy Damiano ponownie wezwał taksówkę, pojechał do całodobowej apteki, kupił spray do nosa, a następnie wrócił na via Igino Giordani.

Wrócili do wciągania. Teraz to Marco wiódł prym. Podczas gdy zabawiał Damiano rozmową, kątem oka obserwował Manuela. Także Manuel patrzył na niego, patrzył na Marca, widział, o co chodzi. Dzięki kokainie wszystko było jak dawniej, jak dwa miesiące temu, jak w styczniu. *Magnetyzm*. Jasna, biała fala. Teraz znów się rozumieli. Wypili kolejny kieliszek, wciągnęli kolejną kreskę i gdy fala eksplodowała w ich mózgach – miękka, bezkrwawa eksplozja, jak pokaz fajerwerków oglądany w zwolnionym tempie – Manuel i Marco spojrzeli sobie w oczy jeszcze głębiej.

Kiedy dwie osoby pod wpływem narkotyków patrzą na siebie w ten sposób, mogą dostrzec wiele rzeczy. Mogą mieć wrażenie, że czytają sobie w myślach. Lub odwrotnie, mogą uznać, że to jedna osoba przejrzała tę drugą na wylot. Może to doprowadzić do tego, że otworzą się tak bardzo, że ten drugi *naprawdę* wyczuje, o czym myślą. Mogą też rażąco błędnie interpretować myśli innych. Ci, którzy patrzą na siebie w ten sposób, mogą być tym przerażeni. Lub podekscytowani. Może ich ogarnąć uczucie błogości. Lub przerażający niepokój.

Marco nagle zerwał się na nogi.

– Rozmowa!

Następnego dnia, wyjaśnił, miał ważną rozmowę w sprawie pracy. Powinien wstać wcześnie rano. Tak po prostu. Mówił do wszystkich, ale wciąż wpatrywał się w Damiana. Damiano bez trudu zrozumiał, że to on jest adresatem przemówienia. Zdał sobie sprawę, że przeszkadza. Zmieniony stan świadomości lub ukryta groźba, która kryła się za każdym słowem Marca – możliwość, że się obrazi – sprawiły, że nie zadawał zbyt wielu pytań. Och, oczywiście, przepraszam – powiedział pospiesznie. Pożegnał Marca, pożegnał Manuela („ciao Matteo, miło cię było poznać), wezwał taksówkę i wyszedł.

Ledwie Damiano zamknął za sobą drzwi, Marco i Manuel rzucili się na kokę. Marco chwycił płócienną torbę, którą przyniósł ze sobą. Pobiegł do łazienki, ogolił się, wydepilował dłonie i ramiona, nałożył makijaż, wyperfumował się i pomalował paznokcie. Wyjął z torby legginsy, sukienkę w panterkę, stanik i szpilki.

Była prawie piąta rano, a atmosfera całkowicie się zmieniła. To, co pozostawało w cieniu, teraz ukazało się w pełnym świetle. Szarada unosząca się dotąd w powietrzu została rozszyfrowana. Marco i Manuel czuli się silni, energiczni, zdolni do zrozumienia siebie nawzajem, do spojrzenia sobie głęboko w oczy. Jeszcze głębiej niż wcześniej.

Damiano obudził się przed obiadem. Usłyszał zgrzyt klucza w zamku, kroki w salonie. Przyszła do niego matka. Zjedli razem. Potem wrócił do łóżka – wciąż czuł zmęczenie po minionej nocy – i natychmiast zasnął.

Kiedy się znów obudził, w mieszkaniu panowała cisza. Było popołudnie, jego matka już wyszła. Przez chwilę oglądał telewizję. Pół godziny później uznał, że czas iść na siłownię. Wziął torbę, spakował się i przygotował do wyjścia. Wtedy poczuł wibrację telefonu. Marco Prato. Proponował kolejny wspólny wieczór. Tym razem mogliby spać u Damiana, napisał. Praktycznie wpraszał się mu do domu. Damiano pospiesznie odpisał.

„Cześć Marco, dziękuję za propozycję przyjazdu do mnie ♥, ale dziś wieczorem idę do babci na kolację i zostaję u niej na noc".

Marco nie należał do ludzi, którzy kapitulowali z powodu emotikonu.

„Jestem znów u Mattea – poinformował. – Dołącz do nas, a potem idź do babci".

„Chętnie bym przyszedł, ale właśnie idę na siłownię".

Damiano schował telefon do kieszeni i wyszedł z domu. Gdy był już prawie na miejscu, dostał kolejną wiadomość od Marca.

„W sumie to mógłbyś iść do babci jutro".

„Dziękuję, ale dzisiaj będzie to trochę problematyczne".

Nie miał zbytniej ochoty na ponowne spotkanie z Markiem w tak krótkim odstępie czasu. Tylko że Marco w jakiś dziwny sposób wyczuł między wierszami jakąś szczelinę i teraz próbował się w nią wcisnąć. Zagrał nieprzewidzianą kartą.

„Damiano, słuchaj, naprawdę nie czuję się dobrze".

„Jak to nie czujesz się dobrze?"

Marco napisał, że jego nastrój się pogorszył. Był „zablokowany", miał paranoiczne myśli, czuł, że jest o kilka kroków od napadu paniki. Kto lepiej niż osoba cierpiąca na zespół obsesyjno-kompulsyjny mógłby to zrozumieć?

„Nie zostawiaj mnie samego – napisał. – Jesteś dla mnie bardzo ważny".

„Jutro, jeśli chcesz, spędzimy razem cały dzień" – odpisał Damiano, aby

go uspokoić.

„Słuchaj Damiano – ton Marca znów się zmienił – ty, kiedy znajdujesz się w trudnej sytuacji, to wtedy potrzebujesz pomocy. Dla mnie ten moment jest *właśnie teraz*”.

„Tak, ale zorganizowałem kolację z moimi kuzynami z Rzymu, których prawie nigdy nie widuję”.

Wymówka za wymówką. Chwytał się brzytwy.

„No właśnie, twoi kuzyni są z Rzymu – napisał Marco – nie z Australii. Możesz się z nimi zobaczyć, kiedy tylko zechcesz”.

„To prawda – przyznał Damiano – ale uwierz mi, nie mogę”.

„Damiano, proszę cię – nalegał Marco – to nie fair, że wolisz zostawić przyjaciela w kiepskim stanie i iść na kolację z powodu mieszczańskich konwenansów”.

„Też wolałbym spędzić ten czas z tobą, ale naprawdę stawiasz mnie w trudnej sytuacji”.

„Więc *chodź* – pisał Marco. – Nie chcę pieniędzy, nie chcę narkotyków, po prostu potrzebuję, żebyś był. Kiedy *mnie* potrzebowałeś, zawsze byłem przy tobie”.

„Przyjdę, ale nic nie piję”.

Skapitulował.

„Jeszcze raz napiszę ci adres. Via Igino Giordani. Proszę tylko o jedno. Przynieś mi wszystkie środki uspokajające, anksjolityki, benzodiazepiny, co tam masz. Czuję się fatalnie”.

Damiano odwrócił się plecami do siłowni. Wezwał taksówkę. Podał kierowcy adres i zamknął oczy, zirytowany. Westchnął, po czym napisał do Marca: „Jadę”.

Tym razem wiedział, w którym bloku nacisnąć domofon.

Wjechał na dziesiąte piętro. Zobaczył, że drzwi są już otwarte, ale zastał w środku coś, czego się nie spodziewał.

– Ciao, Damiano.

Marco ani trochę nie wyglądał na kogoś, kto jest o dwa kroki od ataku paniki. Był uśmiechnięty, mocno trzymał się na nogach, a jakby tego brakowało, był dokładnie ogolony, miał wydepilowane ramiona i dłonie, a na paznokciach lakier.

– Ale… ale dlaczego pomalowałeś sobie paznokcie? – wydusił z siebie Damiano.

– Nudziło mi się – brzmiała odpowiedź.

Wygląd Marca Prato był zaskakujący. Ale zaskakujące było również to, jak wyglądało mieszkanie. Z pozoru było to to samo wnętrze co poprzedniej nocy, ale wszystko w nim zdawało się unosić w innej, nowej atmosferze, jakby coś gotowało się w tych ścianach, albo może lepiej, jakby po wejściu do środka człowiek został wyrzucony tysiące kilometrów dalej. W górę, w dół czy do innego wymiaru, tego już Damiano nie potrafił powiedzieć.

– Gdzie Matteo?

– Śpi w swoim pokoju.

Marco podał mu lampkę zimnego wina.

Chociaż obiecał sobie, że nie będzie pił („Byłem także na diecie”), Damiano nie potrafił odmówić i podniósł kieliszek do ust.

– Anksjolityk? – zapytał Marco. Damiano wyjął fiolkę kropel En, którą przyniósł ze sobą. Marco chwycił ją i zaczął uważnie czytać napisy.

– Jak poszła rozmowa o pracę? – zapytał Damiano.

– A dobrze, dobrze – odpowiedział pospiesznie Marco. Zrobię ci jeszcze koktajl.

Wrócił do kuchni.

Damiano usiadł w salonie i opróżnił kieszenie, położył na stole portfel i telefon. Rozglądał się coraz bardziej zdezorientowany. Po kilku minutach,

widząc, że Marco nie wraca, postanowił do niego dołączyć.

– Co tak długo? – zapytał, wchodząc do kuchni.

– Lubię chłodzić szklanki lodem – wyjaśnił Marco. Stał zwrócony plecami do Damiana i zgarbił się, gdy poczuł, że kolega się zbliża. Damiano miał wrażenie, że Marco zasłania sobą część blatu, na którym przygotowywał drinki. Podszedł jeszcze kilka kroków. Marco odwrócił się z lekko zirytowanym uśmiechem.

– Dlaczego stąd nie pójdziesz?

– I co mam robić?

– Idź i zobacz, jak Matteo śpi – powiedział.

– Zobaczyć, *jak śpi*?

– To interesujące – skwitował Marco, nie zmieniając wyrazu twarzy.

I tak oto Damiano znalazł się na korytarzu. Za nic nie odważyłby się przeszkadzać gospodarzowi, gdy ten odpoczywał w swoim łóżku, zwłaszcza że prawie go nie znał. Ale nie chciał też denerwować Marca. Gdy dotarł do końca korytarza, zatrzymał się, by Marco pomyślał, że postąpił zgodnie z jego radą, ale nie odważył się nawet dotknąć klamki w drzwiach do sypialni. Policzył do dziesięciu i wrócił do salonu.

– O, jesteś! – przywitał go Marco i podał mu szklankę z ciemnym płynem. Pachniał gorzkimi ziołami. Damiano upił łyk. Smak był dziwny. Zaczął się zastanawiać, gdzie odstawić szklankę, by nie urazić Marca. W tej samej chwili z sypialni dobiegły odgłosy, a potem rozległy się kroki na korytarzu. Chwilę później Manuel wszedł do salonu, przywitał się, podszedł z trudem do stołu, usiadł i ujął głowę w dłonie.

– Łeb mnie boli – oświadczył. Chociaż dopiero się obudził, sprawiał wrażenie wyczerpanego. Zaczęli rozmawiać. Po kilku minutach uznali, że trzeba kupić więcej kokainy. Damiano wyjął kartę bankomatową i karteczkę z nabazgranym PIN-em. Marco mówił. Manuel mówił. Głosy mieszały się w głowie Damiana. Przestrzeń wokół zaczęła się poruszać, ściany kołysały się niczym zasłony na wietrze.

– Jak zrozumieć kogoś takiego? – mówił Manuel do prokuratora. – Jak zrozumieć kogoś, kto dolewa krople En do szklanki przyjaciela, który na dodatek dał mu pieniądze na zakup kokainy?

Manuel zeznał, że Marco mu powiedział o dolaniu En do szklanki Damiana. Ten ostatni z kolei nie potrafił potwierdzić, czy coś takiego się zdarzyło (bo i skąd miał to wiedzieć?), ale jego wspomnienia od tego

momentu rzeczywiście stawały się niejasne. Pamiętał, że obudził się na kanapie. Zdezorientowany i odrętwiały, nie wiedział nawet, która może być godzina.

– Chodźmy się przewietrzyć. Idziemy na dół – zarządził nagle Marco.

– Ale że co? Jak na dół? – zapytał zaskoczony Damiano. Wydawało mu się, że mieszkanie wygląda jeszcze inaczej.

– Chodź, pospiesz się.

Czuł, że musi zrobić to, co każe Marco. Manuel również ruszył w stronę drzwi. Damiano wstał z sofy. Kilka sekund później znalazł się na klatce schodowej.

– My zejdziemy po schodach, ty pojedziesz windą.

I tym razem usłuchał. Wsiadł do windy; gdy zjeżdżał, patrzył sobie na stopy. Potem drzwi znów się otworzyły i Damiano znalazł się w innym świecie.

– Hej, chłopaki, gdzie jesteście? – Usłyszał własne kroki odbijające się echem w nicości, wokół panowała niemal całkowita ciemność. Oczy zaczęły się przyzwyczajać i w półmroku dostrzegł szarą plamę. Przyjrzał się dokładniej. Roleta parkingowa. Przypadkowo zjechał do piwnicy. Po prawej stronie znajdowała się klatka schodowa, ruszył w tamtym kierunku, wspiął się po stopniach i znalazł się na parterze. W głowie wciąż mu się kręciło. Podszedł do drzwi, otworzył je i znalazł się na via Igino Giordani.

Teraz wdychał zimne nocne powietrze. Usłyszał czyjeś kroki w oddali, gdzieś koło kościoła. Wydawało mu się, że rozpoznaje dwie sylwetki.

– Marco? To ty?

– Tutaj – powiedział głos. Damiano próbował za nim podążyć. Kiedy doszedł do ronda, skręcił w prawo, poszedł prosto drogą wzdłuż żywopłotu, skręcił ponownie w lewo i wtedy zdał sobie sprawę, że się zgubił.

Teraz szedł bez celu, otoczony budynkami i zaparkowanymi samochodami. Próbował nie poddać się niepokojowi. Po kilku minutach wędrówki dostrzegł w oddali poruszającą się postać. Przyspieszył kroku i podszedł bliżej. To była dziewczyna. Damiano ostrożnie uniósł rękę, chciał zwrócić na siebie uwagę, ale tak, by jej nie przestraszyć. Dziewczyna wyszła z cienia, nie wydawała się zaniepokojona. Damiano powiedział jej, że się zgubił. Była miła, wyjaśniła mu, co ma zrobić, aby wrócić na via Igino Giordani.

Po kilku minutach odnalazł drogę. Zobaczył blok Manuela i jednocześnie uświadomił sobie coś nieprzyjemnego. Uważnie przeszukał kieszenie.

Cholera. Karta płatnicza. Wydłużył krok. Nacisnął przycisk domofonu.

– Damiano, gdzieś ty był? – To był głos Marca.

– Zgubiłem się, otwórz, proszę.

– Idź do domu, ja też zaraz wychodzę.

Damiano westchnął. To był jakiś koszmar.

– Marco, zostawiłem u ciebie kartę płatniczą. Wpuść mnie, wezmę ją i wychodzę.

– Idź do domu, powiedziałem. Przyniosę ci wszystko za pół godziny.

– Musiało być ze mną coś nie tak – powiedział karabinierom. – Bo, przepraszam, jeśli zdaję sobie sprawę, że nie mam karty bankomatowej, i pytam, czy mogę wejść na górę, a oni mówią nie, to w normalnej sytuacji bym nalegał aż do skutku, prawda? A ja zrobiłem tak, jak mi kazał Prato.

Taksówką na Parioli. Po powrocie do domu Damiano czekał. Minęła godzina, a Marco nie przyjeżdżał. Kilka minut później usłyszał dźwięk telefonu komórkowego. Spojrzał na wyświetlacz. To nie był Marco. To był bank. Damiano dwa razy przeczytał wiadomość, aby upewnić się, czy dobrze widzi. A potem nowe powiadomienie. Kolejna wiadomość z banku. Choć było to absurdalne i nieprzyzwoite, choć Damiano *nie chciał* myśleć, że coś takiego jest w ogóle możliwe, musiał zaakceptować, że to się dzieje naprawdę. Natychmiast zadzwonił do Marca. Ten nie odbierał. Potem zaczął pisać do niego wiadomość za wiadomością.

„Nie możesz mi tego robić”.

„Proszę, odpowiedz”.

„Nie zachowuj się w ten sposób, Marco”.

„Proszę, odpowiedz”.

„Ktoś wybrał kolejne 250 € z mojego konta”.

„Czy mam zgłosić kradzież karty?

„Marco, proszę cię, wariuję!”

„Marco, nie obchodzą mnie pieniądze, ale odezwij się”.

„Niszczysz mi życie”.

Mijały godziny. Marco nie odpowiedział na żadną z wiadomości. Kiedy Damiano zdecydował się zablokować kartę, z jego konta pobrano już ponad tysiąc euro.

Ponownie sami w mieszkaniu Marco i Manuel mieli dwa gramy niewykorzystanej kokainy, kilka butelek wódki i wciąż niezablokowaną kartę płatniczą. Była druga nad ranem, czwartek 3 marca. Nie tracąc czasu, wrócili do ćpania. Jakby podejmowali na nowo wątek niesamowitej rozmowy, którą przerwali krótko wcześniej. Istniała rzeczywistość na powierzchni, ale ważniejszy był świat podziemny, jarzący się w ich głowach po uderzeniu koki.

– Natychmiast odlecieliśmy – zeznał Marco.

Znów fantazjowali o tym, jak zarobić dużo pieniędzy. Marco ponownie wspomniał o tranzycji. Weźmie hormony, stanie się transpłciową żołnierką pod rozkazami Manuela. Ciało gotowe na wszystko kierowane przez przedsiębiorczy umysł z pasją do technologii internetowych. Sasha Grey spotyka Steve'a Jobsa. Myśli dwóch chłopaków przepływały między nimi intensywnie, przylegały do siebie przez kilka chwil, po czym każda z nich odlatywała w swoją stronę.

– Manuel powiedział mi o spadku, który otrzyma po śmierci ojca – powiedział Marco prokuratorowi – ale po co czekać aż do śmierci? Dzięki mojej zmianie płci mogliśmy zbudować uwodzicielską intrygę.

– Uwodzicielską intrygę? A w jakim celu? – zapytał Scavo.

– Manuel opisał mi swojego ojca jako kogoś bardzo wrażliwego na kobiecy urok. Gdybym przedstawiła mu się w przebraniu kobiety, to by nie zadziałało. Ale gdybym *naprawdę* była kobietą… uwiodłabym pana Foffo, skłoniłabym go do zrobienia rzeczy, które przyniosłyby korzyść Manuelowi. Uwiodłabym też szefów piłkarskiej młodzieżówki i doprowadziła do tego, by kupili aplikację Manuela. Krótko mówiąc: szaleństwo.

Tak długo, jak wszystko rozgrywało się na poziomie fantazji, wszelkie problemy rozwiązywały się z zawrotną prędkością.

– Kiedy rozmawialiśmy, oczy Manuela zmieniały się nie do poznania – twierdził Marco.

Według Manuela natomiast czasami to Marco miał „zbrodnicze

spojrzenie”.

– To było wtedy, gdy powiedział mi o gwałtach – powiedział Marco.

– To było wtedy, kiedy *wkręciłem go* w sprawę z gwałtem – doprecyzował Manuel.

W wersji Manuela temat zaczął Marco.

– No dalej, mnie możesz powiedzieć wszystko. Jaka jest twoja najbardziej ukryta, niewypowiedziana fantazja? – zapytał, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Wtedy Manuel, który nigdy w życiu nie chciał nikogo zgwałcić, wypalił z najbardziej ekstremalnym pomysłem, jaki mógł sobie wyobrazić.

– Lubię gwałt.

Postrzegał to jako rywalizację, chciał zobaczyć reakcję przyjaciela, bo Marco był równie dziwny, co interesujący, a jego odpowiedzi zawsze szokowały.

Marco wyjął swój telefon komórkowy i pokazał mu kilka filmów.

– To było straszne – zeznał Manuel. – Od razu poczułem obrzydzenie.

Dorośli uprawiający seks z dziećmi. Potem film przedstawiający dziewczynę gwałconą przez grupę mężczyzn. Manuel zbliżył telefon do oczu. Nie potrafił stwierdzić, czy gwałt był prawdziwy, czy inscenizowany. Wypili więcej wódki. Wciągnęli więcej koki. Manuel wrócił do tematu swoich fantazji. Mówił nieco nieskładnie, patrzył jeszcze dziwniej. Marco próbował za nim nadążyć, ale oczy Manuela stały się tak dziwne, że w końcu go przeraziły.

– Potrzebujemy trzeciego umysłu – powiedział wtedy.

Po doprowadzeniu infekcji psychicznej blisko punktu wrzenia należało obniżyć temperaturę.

– Zaczął mówić *naprawdę dziwne* rzeczy – wspominał Marco. – Poczułem się zaniepokojony, bo bardzo go lubiłem. Pomyślałem więc, że jeśli pojawi się ktoś inny, sytuacja się uspokoi. Powiedziałem mu: *Przyprowadź kogoś ze swoich przyjaciół, pogadamy*.

Wersja Manuela była nieco inna.

– Marco zaczął mnie nagabywać, żebym zadzwonił do któregoś z przyjaciół. Chciał, żeby ten ktoś przyszedł do mnie do domu. Był natarczywy. Bardzo nalegał. W końcu wziąłem telefon i zaczęliśmy razem przeglądać listę kontaktów.

Gdy Manuel pokazywał Marcowi zapisane numery, ten komentował ich właścicieli.

– Patrzył na zdjęcia przy nazwiskach i stwierdzał*: Ten facet jest w porządku*; *ten ma twarz przestępcy*; *ten ćpa*; *temu nie można ufać…* Doszło nawet do tego, że zaczął opowiadać o moich przyjaciołach i znajomych. Że wielu z nich mnie wykorzystuje, żeruje na mojej dobroci i życzliwości. Wszystko na podstawie zdjęcia.

Czy to był sposób na osłabienie Manuela? Trzymanie go w garści? Czy mówiąc, że niektórym swoim przyjaciołom nie powinien ufać, podczas gdy jemu oczywiście może, Marco chciał wzmocnić swoją władzę nad Manuelem? Poza tym koncepcja, jakoby przybycie kogoś z jego przyjaciół było konieczne w związku z teorią „trzeciego umysłu", nie do końca przekonywała Manuela. A przynajmniej wydawało mu się, że nie był to jedyny powód.

– Marco mi tego nie powiedział, ale bałem się, że ma także inny cel, seksualny.

Manuel zaczął dzwonić do tych kontaktów ze swojej listy, o których wiedział, że nie przyjmą zaproszenia.

– Zadzwoniłem do kolegi, który następnego dnia musiał iść wcześnie do pracy. Inny nie mieszkał w Rzymie i dotarcie do nas zajęłoby mu kilka godzin. Kolejny nie ćpał od lat, więc za nic by nie przyszedł. Robiłem to celowo. Nie chciałem nikogo wpakować w kłopoty.

Po pierwszych nieudanych próbach zniecierpliwiony Marco wyrwał mu telefon z rąk. Ponownie przewinął listę kontaktów i zaczął sam wysyłać wiadomości przez WhatsAppa.

– Nawet nie wiem, ile ich wysłał. Pisał, podszywając się pode mnie. Ale to było bez sensu, biorąc pod uwagę sposób, w jaki to robił.

Manuel spędzał długie dni na czytaniu recenzji restauracji na Tripadvisorze, próbując odróżnić te prawdziwe od fejków. Był przekonany, że ta praktyka obdarzyła go pewną wrażliwością językową.

– To nie mogło zadziałać. Gdyby ściągnąć historię mojej komórki i przeczytać wszystkie wysłane przeze mnie wiadomości z WhatsAppa i esemesy, to widać, że zawsze piszę poprawnie po włosku. A on, w wiadomościach, które wysyłał, wyrażał się inaczej. Używał zwrotów takich jak *ziom*, *szykuje się furanie*, a nawet *yolo*. Same bzdury.

Marco wysłał również wiadomość do brata Manuela. To rozzłościło Foffo. Zirytowany odebrał mu telefon i cierpliwie zaczął przeglądać książkę adresową.

– Nigdy nie naraziłbym moich bliskich przyjaciół na niebezpieczeństwo.

Była szósta rano, kiedy Manuel zadzwonił do Alexa Tiburtiny.

– Kiedy oglądałem wiadomości, o mało nie dostałem zawału – powiedział Alex Quaranta karabinierom. – Nie da się opisać tego, co czujesz, kiedy odkrywasz, że właśnie uciekłeś z rzeźni.

Manuel Foffo i Alex Quaranta poznali się niecały rok wcześniej i od tamtej pory się nie widzieli. Pewnego letniego wieczoru – daty żaden z nich nie potrafił dokładnie określić – po kilku godzinach spędzonych w rodzinnej restauracji Manuel postanowił wrócić do domu. Z Dar Bottarolo na via Igino Giordani było spacerem dwadzieścia minut. Chociaż dopiero co wyszedł z restauracji, zdał sobie sprawę, że jest głodny. W Rzymie, gdy jesteś głodny i znajdujesz się na ulicy, prędzej czy później na pewno pojawi się jakieś miejsce w zasięgu wzroku. Na via Tiburtina Manuel zobaczył lokal sprzedający pizzę na kawałki. Wszedł do środka, zamówił, usiadł i zabrał się do jedzenia. Za sobą słyszał głosy. Wkrótce głosy przerodziły się w krzyki. Kłótnia.

– Przyszedł jeden chłopak z kilkoma kolegami, zjedli pizzę i wypili piwo. Kiedy przyszło do płacenia, gość zdał sobie sprawę, że brakuje mu dwóch euro do rachunku. *Pizzaiolo* się podgrzał. Zaczęli się kłócić. Długo i głośno. Żeby nie słuchać ich wrzasków, wyciągnąłem pieniądze.

Alex Quaranta z pewną pedantycznością sprecyzował, że wyglądało to nieco inaczej.

– Brakowało mi pięćdziesięciu centów, a nie dwóch euro. I nie zamawiałem żadnej pizzy, tylko piwo.

Manuel spłacił niewielki dług, Alex Quaranta podszedł do niego z szerokim uśmiechem.

– *Ammazza ahó*[13], jesteś wielki! Dziękuję ci bardzo. Nikt jeszcze nie wyświadczył mi takiej przysługi.

– W porządku, ale nie przesadzajmy – odparł Manuel.

– Ale nie patrz na mnie jak na gościa, którego nie stać nawet na piwo – zastrzegł się Alex. – Po prostu zszedłem bez pieniędzy, mieszkam tutaj.

– Gdzie tutaj?

– Tutaj za rogiem!

To był facet po trzydziestce, duży, śniady, bezpośredni. Miał sympatyczne spojrzenie.

Przedstawił mu swoich kumpli. Jeden z nich nazywał się Samir i był Tunezyjczykiem.

– A ja mam tutaj restaurację, na via dei Monti di Pietralata – powiedział Manuel.

– Naprawdę? A ja jestem *pizzaiolo*! – zawołał Samir. – Nie potrzebujecie kogoś do pomocy?

Wyszli na ulicę. Manuel lubił poznawać nowych ludzi. Alex łatwo otwierał się przed nieznajomymi („z kimś, kogo nie znasz, możesz swobodnie rozmawiać, nie musisz w każdej chwili uważać na to, co mówisz"), opowiedział więc Manuelowi o swoich problemach. Pochodził ze skomplikowanej rodziny, zaliczył pobyt w ośrodku („problemy z kokainą"), teraz był czysty, trenował boks amatorski, szukał stałej pracy. Miał też nową dziewczynę.

– Hej, może spotkamy się kiedyś na drinka?

– Z przyjemnością! – odpowiedział Manuel. Wymienili się numerami telefonów. Aby nie pomylić go z kolegą o tym samym imieniu, Manuel zapisał go jako „Alex Tiburtina".

Kilka tygodni później Manuel zadzwonił do niego z propozycją wyjścia na drinka. Alex był wtedy po drugiej stronie miasta („przepraszam Manuel, jestem na via Tuscolana"), więc nic z tego nie wyszło. Potem kontakt się urwał.

Alex Quaranta rzeczywiście miał skomplikowaną historię. Jego ojciec był odnoszącym sukcesy inżynierem, „naukowcem z kilkoma fakultetami, ale bardzo racjonalnym i chłodnym". Rodzice Alexa poznali się w Somalii.

– Moja matka stamtąd pochodzi, jest uchodźczynią polityczną, córką generała.

Oboje przeprowadzili się do Rzymu, gdzie mieszkali razem aż do 1991 roku. Potem się rozstali.

– Mój ojciec był kobieciarzem. Matka zaczęła mieć problemy z alkoholem. Kiedy miałem jedenaście lat, opuściła dom, z pomocą rodziny przeniosła się do Szwajcarii, a następnie do Anglii. Mój ojciec został ze mną i moim bratem. Zaspokajał nasze potrzeby materialne, ale na poziomie

emocjonalnym zero. Nawet teraz, kiedy się widzimy, podaje mi tylko rękę. Jednak kilka lat później on również nas opuścił, wyjechał razem ze swoją nową partnerką. Mój brat i ja zostaliśmy sami w domu, tata zostawił nam nieruchomość i trochę pieniędzy. Miałem osiemnaście lat i chociaż finansowo niczego mi nie brakowało, odczuwałem braki w sferze emocjonalnej. Myślę, że to z tego powodu miałem pokomplikowane życie.

Wtedy rozpoczął się okres ekscesów.

– Wydałem fortunę na samochody, podróże, narkotyki, szastałem pieniędzmi. W pewnym momencie sprzedaliśmy z bratem dom. Kiedy skończyły się pieniądze, zdałem sobie sprawę, że muszę pracować. Zacząłem jako magazynier w supermarketach. Pojechałem do Pomezii. W międzyczasie mój ojciec przeniósł się do Hiszpanii, więc postanowiłem do niego dołączyć. Miałem dwadzieścia trzy lata, to była szansa, by zacząć od nowa.

W Hiszpanii Alex początkowo wyszedł na prostą. Związał się z ładną dziewczyną. Tylko że potem wylądował na Ibizie („Pojechałem tam na wakacje. Spotkałem starych znajomych z Rzymu, znowu zacząłem brać ecstasy i całą resztę"). Po powrocie do Włoch zaliczył wyrok za dilerkę („Ale potem uznano, że to było posiadanie *niewielkiej ilości na własny użytek*, chcę to wyraźnie podkreślić"). Jego hiszpańska dziewczyna zaszła w ciążę, Alex nie mógł się doczekać, by do niej wrócić, musiał tylko odzyskać dowód osobisty, który zabrali mu z powodu problemów sądowych. Wszystko było już prawie gotowe, ale czekała na niego niemiła niespodzianka.

– Miałem już bilety do Hiszpanii, moja dziewczyna właśnie urodziła córeczkę, nie mogłem się doczekać spotkania. Ale się rozmyśliła. Poczuła, że to nie to. Mówię o byciu ze mną. Uznała, że zostanie sama z dzieckiem. W porozumieniu z rodziną postanowili wykluczyć mnie ze wszystkiego. Kolejne niepowodzenie. Zostałem we Włoszech.

W Rzymie rozpoczął się bardzo trudny okres w jego życiu.

– Zmieniałem co chwila pracę. Byłem recepcjonistą w hotelu, potem kelnerem w osterii, barmanem, wszystkim. Wynająłem mieszkanie na Centocelle, skąd zostałem eksmitowany. W niektóre dni, jak to się mówi, kombinowałem. Na szczęście poznałem Sonię.

Sonia była jego obecną dziewczyną. Alex poznał ją po terapii, którą odbył w ośrodku odwykowym.

– W ośrodku odpoczęłam; kiedy z niego wyszedłem, czułem się dobrze,

znów byłem silny i gotowy do normalnego życia.

Sonia miała dwójkę dzieci z poprzedniego związku. Nie zamieszkali razem. („Kiedy jej córka spała u chłopaka, a syna posyłaliśmy na noc do kolegi, wtedy mogłem do niej przychodzić"). Ale podchodzili do relacji poważnie.

– Mieliśmy pomysł na lokal. Restaurację. Wyobrażałem ją sobie jako coś unikalnego. Chcieliśmy otworzyć miejsce, gdzie serwuje się *gnocchi* z piętnastoma różnymi sosami, zero przemysłówki, wszystko rzemieślnicze. Zebraliśmy oszczędności, sześćset euro ja, kolejne sześćset Sonia, kolejne czterysta wysłała mi mama, ruszyliśmy z formalnościami, czekaliśmy na przelew z odszkodowaniem, który Sonia miała otrzymać za drobną stłuczkę; ten przelew pozwoliłby nam dokończyć pracę nad restauracją, czyli wejść, przynajmniej z mojej perspektywy, w świat pracy, która miała sens.

Jednak w oczekiwaniu na rozpoczęcie działalności Alex musiał zaciskać zęby.

– W tym momencie nie mam stałego miejsca zamieszkania – powiedział karabinierom. – Śpię, gdzie mogę. Raz w hostelu, raz u Sonii, raz u przyjaciół. Jestem dobrym facetem, ludzie mi pomagają, czasem dzwonię do przyjaciela i mówię: *David, możesz pożyczyć mi dwadzieścia euro?* Ale to bardzo trudne i frustrujące być na ulicy, kiedy pochodzisz z dobrej rodziny. Godzinami gapisz się w asfalt, czujesz nocną ciszę, to destrukcyjne. I dlatego wplątałem się w ten syf.

Karabinierzy poprosili, by szczegółowo opowiedział, gdzie przebywał w nocy 3 marca, kiedy Manuel Foffo, naciskany przez Marca Prato, zdecydował się do niego zadzwonić.

– Stałem na piazzale della Radio z piwem w ręku – odpowiedział Alex Tiburtina. – Tamtej nocy cienko przędłem, pieniądze, które miałem w kieszeni, nie wystarczały na hostel, mogłem spać w remontowanym sklepie, ale było tam pełno gruzu. Więc marnowałem czas, mając nadzieję, że coś się wydarzy.

I coś się wydarzyło.

O 4.15 rozświetlił się ekran jego telefonu. Na ekranie: *Manuel restaur*. Alex próbował przypomnieć sobie, kim jest dzwoniący.

– Halo?

– Witaj, przystojniaku!

– Ale kto mówi?

– Manuel, pamiętasz mnie?

Twarz Alexa się rozjaśniła.

– Manuel! Jak się masz? Ja sobie stoję i piję piwo.

– No to wpadnij do nas. Jest impreza. Dobrze się bawimy.

Alex nie mógł uwierzyć, że przytrafiło mu się takie szczęście.

– Kiedy prosisz innych ludzi, żeby cię przenocowali, cierpi na tym twoje poczucie własnej wartości, musisz być ostrożny, nie możesz powiedzieć nic niewłaściwego, bo mogą cię wyrzucić.

A teraz Manuel – ten sam facet, który już raz wybawił go z kłopotu – sam z siebie dzwoni i o nic nie prosi.

– Pomyślałem o klasycznej imprezie, ludzie piją, startują do siebie, może biorą narkotyki. Ale ja marzyłem tylko o kanapie, na której mógłbym się położyć i przespać. Ciepłym miejscu, gdzie mógłbym spędzić noc.

– Podaję ci adres: via Igino Giordani 2 – powiedział Manuel.

Alex miał w kieszeni ostatnie piętnaście euro. Nagle się okazało, że taksówka to dobra inwestycja.

Manuel Foffo przedstawił nieco inną wersję tej rozmowy.

– Kiedy rozmawiałem z Alexem, Marco wyrwał mi z ręki telefon i przejął

rozmowę. *Przyjdź*, powiedział, *ale uważaj, mam tu niespodziankę*. Kiedy rozmowa się skończyła, naskoczyłem na niego. *O czym ty, kurwa, mówisz?* Marco uspokoił mnie: *Nie był niezadowolony, powiedział, że cieszy się na niespodziankę*.

– Przez telefon zapowiedziałem mu sytuację – potwierdził Prato. – Powiedziałem mu, *że mam niespodziankę*. Dla chłopaka z przedmieść to jednoznaczny tekst. Jest nawet o tym piosenka Califana *Avventura con un travestito* [Przygoda z transwestytą].

Alex potwierdza, że rozmawiał również z Markiem Prato. Ale zaprzeczył, by w rozmowie pojawiły się aluzje do seksu. A może po prostu był bardzo zmęczony i trudno mu było zapamiętać każde słowo.

Wziął taksówkę. Ledwie wsiadł do samochodu, Manuel zadzwonił do niego ponownie.

– No to jedziesz czy nie?

– Słuchaj, jeśli się nie pospieszysz, to cię więcej nie zaprosimy. – To był głos Marca Prato.

Kiedy dotarł na miejsce, taksometr wskazywał dwadzieścia jeden euro. Alex westchnął.

– Przykro mi. Mam tylko piętnaście – powiedział.

– Co to, kurwa, jest, tak się nie robi – wściekł się taksówkarz.

Alex potrafił sobie poradzić.

– Kiedy znajduję się w takich sytuacjach – powiedział karabinierom – zawsze jestem szczery i bezpośredni. To zwykle działa.

Tym razem też. Taksówkarz zacisnął banknoty w pięści, burknął coś pod nosem i wypuścił go z auta.

Alex stanął przed gigantycznym blokiem przy via Igino Giordani. Domofon. Wjechał na dziesiąte piętro, zadzwonił do drzwi. Spodziewał się zastać mnóstwo tańczących ludzi, głośną muzykę, roześmiane dziewczyny. Zobaczył coś zupełnie innego.

– Drzwi się otworzyły i stanął w nich Manuel. Prawie go nie poznałem. Był jakiś zmieniony. Za nim stał facet przebrany za kobietę. I tyle. Żadnej muzyki, żadnej imprezy, żadnych dziewczyn. Absurdalne.

To było nie tylko absurdalne. Alex widział w swoim życiu brzydkie, odrapane, obskurne, zapuszczone domy, ale to mieszkanie miało jedną cechę, której żadne zaniedbanie lub zły smak nie mogły nadać: emanowało złem.

Manuel zaprosił go do środka. Miał opuchnięte oczy i puste spojrzenie.

– Hej, stary, co ci się stało? – Alex starał się utrzymać wesoły ton. – Widzę, że jesteś serio porobiony.

Manuel odpowiedział chłodno.

– Od dwóch dni siedzimy w domu i ćpamy.

Alex z doświadczenia wiedział: zwykle potrzeba było tygodnia, żeby tak się załatwić, a jeśli tym dwóm wystarczyły dwa dni, to znaczy, że naprawdę przesadzili.

Nie zdążył poczynić dalszych obserwacji, gdyż wyszła mu na spotkanie prawdziwa atrakcja wieczoru.

– Ciao, przystojniaku, możemy zacząć przedstawienie?

Marco Prato miał na sobie jaskrawoniebieską perukę, buty na obcasie, szminkę na ustach i damską sukienkę, spod której wystawały dżinsy.

– Ten typ sukienki dziewczyny noszą latem, kiedy idą na szybkie zakupy – wspominał Alex. – Marco mówił kobiecym głosem, bardzo wyraźnie. Pod makijażem widać było ślad zarostu.

Wtedy stało się coś, czemu Alex stanowczo zaprzeczał, zaś Manuel twierdził, że rzeczywiście się wydarzyło.

– Alex, zanim jeszcze usiadł, powiedział: *Co się zdarza na „mili”, zostaje na „mili”*.

Według Manuela było to ostrzeżenie, Alex chciał, by nikt nie wspomniał ani słowem o tym, co się wydarzy w tych czterech ścianach. Co znaczyło, że nie odrzucał z góry rozrywki, którą transwestyta był mu gotowy dostarczyć. Aluzja do ekranizacji powieści Stephena Kinga mogła wywołać uśmiech, ale w świetle tego, co miało nastąpić, przyprawiała o dreszcze. Jakie są szanse, że pisarz zostanie wezwany na miejsce nadchodzącej masakry? Alex powiedział karabinierom, że z tego, co wie, był to cytat z filmu, ale on tych słów na pewno nie wypowiedział.

– Usiądź, mój drogi – powiedział Marco. – Dobrze, że przyszedłeś.

Manuel nadal stał między nimi w katatonii.

– Wyglądał jak zombie, całkowicie zdewastowany. Spróbowałem go zagadać – zeznał Alex. – Pokazałem mu filmy bokserskie na moim telefonie. *Trenuję codziennie. Zobacz, jaki jestem dobry.* Opowiedziałem mu o mojej córce, o planie otwarcia knajpy z *gnocchi*. Próbowałem nawiązać jakiś dialog. On nic, zero empatii. Wtedy zmieniłem temat. *Manuel, mamma mia, wyglądasz na naprawdę padniętego, ale powiedz, jak tam w twojej restauracji? Wszystko w porządku?* Odpowiedział: *Nie,*

nie chodzę już do restauracji, zwolnili mnie. Wciąż miał ten martwy ton. Na samą myśl o tym przechodzą mnie ciarki.

To było jak zły sen. Wtedy Marco usiadł naprzeciwko. Alex przyjrzał mu się uważniej.

– Słuchaj – zapytał – a ty gdzie mieszkasz? Czym się zajmujesz?

– Jestem przyjacielem Manuela – odparł Marco ochrypłym głosem. – Pracuję piętro wyżej. Jestem trochę studentem, ale wiesz… w wolnym czasie się prostytuuję.

To nie była prawda, ale Alex nie mógł tego wiedzieć. W każdym razie nie dał się wytrącić z równowagi.

– Z jednej strony myślałem: *Co tu się, kurwa, dzieje?* Z drugiej mówiłem sobie: *Okej, spokojnie, to wszystko jest bardzo dziwne, ale ci dwaj są w zasadzie nieszkodliwi*. Chodzi mi o to, że jeśli pójdziesz potańczyć do Qube, do Gay Village, do Muccassassina, każdej nocy zobaczysz takich na pęczki. Geje, transy, transwestyci. Czasami przychodzą tam rodziny. Pomyślałem więc: *Jeden jest przebrany za kobietę, drugi pewnie jest nadziany, pewnie się po cichu ciupciają, w czym problem?*

W tym momencie Marco wyciągnął pierwszą niespodziankę wieczoru. Torebkę koki. Otworzył ją i przygotował solidną kreskę na stole.

– Poczęstuj się – zachęcił.

Alex stał się podejrzliwy.

– Wiem z doświadczenia, że kiedy oferują ci zbyt dużo kokainy, to znaczy, że coś jest nie tak. A poza tym, przy tej ilości ryzykowałem, że nie zasnę. Marco zobaczył, że się waham, więc wziął kartę kredytową i podzielił kreskę na trzy części. To już była normalna porcja. Wciągnęliśmy wszyscy trzej.

Natychmiast po tym Marco powiedział:

– Teraz zrobię ci koktajl.

Zniknął w kuchni. Będąc sam na sam z Manuelem, Alex próbował nawiązać rozmowę.

– Słuchaj – zapytał – dlaczego w ogóle do mnie zadzwoniłeś? Tu nie ma żadnej imprezy.

Manuel odpowiedział, że próbował ściągnąć inne osoby, ale nikt więcej nie przyjął zaproszenia.

– Wiem, że to brzmi absurdalnie – przyznał Alex na przesłuchaniu – ale w tym momencie czułem się jeszcze szczęśliwszy. Nie mogłem się doczekać,

aż położę się na kanapie i zamknę oczy.

Ale sen nie wchodził w grę. Marco wrócił ze szklanką pełną żółtawego płynu.

– Co to jest? – zapytał Alex.

– Wódka z cytryną – wyjaśnił Marco.

Alex zaniepokoił się jeszcze bardziej.

– Marca miałem przed sobą – opowiadał – podczas gdy Manuel stanął z tyłu. Mam tak od dziecka, że gdy ktoś stoi za moimi plecami, działa mi na nerwy. Kiedy jadę metrem, zawsze staram się oprzeć o ścianę pociągu. Manuel był teraz za mną, starałem się kątem oka sprawdzać, co robi, co jakiś czas odwracałem się do niego. *Jak tam, Manuel? Jak leci?* Odpowiadał: *Dobrze*, ale tkwił nieruchomo w tym samym miejscu i tępo się we mnie wpatrywał. Potem dołączył Marco z wódką.

Prato trzymał szklankę w dłoni i mieszał jej zawartość różową słomką. Podał Alexowi drinka.

– Śmiało, spróbuj.

Alexowi po raz kolejny pomogło doświadczenie.

– Pracowałem w klubach. Potrafię robić koktajle i wiem na pewno, że wódka z cytryną nie potrzebuje mieszania. Sok z cytryny naturalnie łączy się z wódką. Pomyślałem więc: *Albo to dupek, co nawet nie wie, jak zrobić wódkę z cytryną, albo wlał tam coś dziwnego*. Mam instynkt… czasami go nie słucham i wtedy pakuję się w kłopoty. Tym razem słyszałem w sobie głos mówiący mi, żebym nie pił. *Nie, dzięki*, powiedziałem. Ale Marco nalegał. Wstałem więc i spróbowałem porozmawiać ze wciąż otępiałym Manuelem. Był kompletnie porobiony. Jednak Marco nie dawał mi spokoju. *No dalej, nie odmawiaj, zrób mi tę przyjemność*. Ciągle mieszał słomką w szklance. Znowu próbowałem go ominąć, ale nie chciał się ode mnie odczepić i wciąż zachodził mi drogę. *Pij, to jest mega*. Wciąż mówił kobiecym głosem. W końcu wypiłem trochę, żeby dał mi spokój. To mu nie wystarczyło. Gdy tylko odstawiłem szklankę, wziął ją z powrotem i podstawił mi prawie pod nos. Wtedy pomyślałem: *Facet, naprawdę mnie wkurwiasz*. Wziąłem tę szklankę i pociągnąłem długi łyk. Musiałem wypić ponad połowę. Smakowało chujowo. Albo dodali do tego coś dziwnego, pomyślałem, albo użyli wódki czwartej kategorii. Uznałem, że to tania wódka, żeby nie popaść w paranoję.

Alex wypił i usiadł. Manuel wstał z fotela i poszedł poszukać swojego

smartfona.

– To wyglądało tak, jakby czekali, żeby mi coś zrobić – wspominał Alex – niekoniecznie to samo, co zrobili później temu chłopakowi, ale czułem *realne* zagrożenie, że w każdej chwili może czekać na mnie jakaś pułapka. Zmieniłem nastawienie. Przestałem mówić, zacząłem odsuwać swoje krzesło. Manuel chował się w swoim pokoju. Marco wstał i podszedł do mnie.

– Powiem ci coś… – Marco zbliżył się do Alexa, nachylił się nad nim, chwycił za klapy jego kurtki, jakby chciał ją rozpiąć. – Zobaczmy, co pod nią ukrywasz.

Alex poderwał się z miejsca.

– Och, co robisz, nie ruszaj się. – Marco uśmiechnął się bagatelizująco.

Manuel wrócił do salonu, szukał słuchawek do telefonu, tymczasem Marco podbił ponownie do skonsternowanego i wycofanego Alexa. Wtedy Marco odkrył karty.

– No chodź tutaj, obciągnę ci. Jestem w tym dobry, wiesz?

Alex szukał wzroku Manuela. Ale ten nie przyszedł z oczekiwaną pomocą.

– Jeśli moja opinia się liczy, to mówię ci, że warto – powiedział. – Już to robiłem, zaufaj mi.

– Pokazał mi nawet uniesiony kciuk, jakby chciał powiedzieć, że wszystko jest w porządku. Marco rzucił się na mnie. Próbował rozpiąć mi kurtkę, marynarkę, koszulę, wszystko, co, kurwa, miałem na sobie… Mówił: *Chodź, pokaż mi, skąd jesteś.*.. Ja się do niego uśmiechnąłem… nie wiem, jak to wytłumaczyć… jakbym chciał mu powiedzieć: *Daj spokój, przestań, co ty, kurwa, robisz.*.. ale wciąż robiłem to grzecznie i z głupim uśmiechem na twarzy… Jakaś część mnie myślała, że może to wszystko żart, że tak się tylko ze mną droczą, ale Manuel powtórzył*: Posłuchaj mnie, ona jest najlepsza ze wszystkich*. Potem zniknął na dobre w swoim pokoju. Marco i ja zostaliśmy sami. Odsunąłem się. Marco wyciągnął rękę. Zaczął mi obmacywać jądra. Powiedziałem: *Przestań, co do cholery.*.. Przycisnął się do mnie jeszcze bardziej… Upadliśmy na sofę… Potem ukląkł, włożył głowę między moje nogi, próbował mi rozpiąć rozporek… próbowałem się opierać… próbowałem się usprawiedliwiać, *słuchaj*, improwizowałem, *pamiętaj, że po koce mi raczej nie stanie.*.. Nawet nie mrugnął okiem: *Daj mi go possać, wtedy zobaczysz, czy nie stanie*, odpowiedział. Znowu

włożył mi ręce między nogi. Mówiłem mu, żeby mnie zostawił… Myślę, że powinienem był uwolnić się bardziej zdecydowanie, ale utknąłem. Może to przez zmęczenie. Albo przez to, że od wielu dni spałem po noclegowniach. Czułem się *brudny*, bo to było tak, jakbym sprzedawał się za dach nad głową. Mimo że nic się nie stało, w sensie, że… No ale sprzedawałem się, bo grałem na zwłokę. Aż w końcu powiedziałem dość.

Alex zdecydowanym ruchem wstał z sofy. Stanął nad Markiem, spojrzał na niego z góry.

– Co ty, kurwa, robisz, co? – krzyknął.

Potem zawołał Manuela.

– Manuel, wyjdź z tego pokoju, chodź tu i wyjaśnij, o co tu, kurwa, chodzi!

Manuel pojawił się ponownie w salonie. Marco wstał z sofy.

– Nagle stracił kobiecy głos – opowiadał Alex. – Powiedział: *Manuel, wyrzuć go, na nic się nam nie przyda*. Dokładnie tak powiedział. Nie mogłem uwierzyć. *Ja pierdolę*, powiedziałem, *przecież to ty do mnie zadzwoniłeś, przez ciebie wydałem piętnaście euro na taksówkę, do kurwy nędzy!* Manuel spojrzał na mnie, powiedział: *Tak, Alex, ale posłuchaj mnie, lepiej wyjdź*.

W tym momencie nastąpiło coś dziwnego. Była już ósma rano. Sklepy zostały ponownie otwarte i chociaż sytuacja była bardzo napięta, poprosili go, by kupił im coś do picia.

– Skończyła się nam wódka – powiedział Marco. – Zrób nam przysługę, przynieś parę butelek.

Manuel otworzył portfel. Alex był zdumiony liczbą banknotów w środku. Manuel wyciągnął z paczki pięćdziesiąt euro i wręczył mu je.

– Weź wódkę – powiedział.

Alex mógł wyjść z tego domu i nigdy nie wrócić, ta pięćdziesiątka byłaby jego rekompensatą. Pomyślał, że tak właśnie zrobi. Wsiadł do windy, zjechał na parter i wyszedł na ulicę. Zaczął iść z pięćdziesięcioma euro zaciśniętymi w pięści, ocenił sytuację i w końcu pomyślał, że takiego gnoju to on już nie robi. Zobaczył szyld sieci Tuodí i poszedł w stronę supermarketu. Gdy tylko znalazł się w środku, wszystko nagle stało się jasne. *Paf!*, poczuł, jak jakaś fala przepływa mu przez głowę.

– Postawiłem pierwsze kroki w supermarkecie *i to się stało* – powiedział karabinierom. – Wciąż mam dreszcze, kiedy sobie to przypominam.

W pewnym momencie… tak, to jest to… poczułem spokój. Ale taki spokój, jak wtedy, gdy jechałem na Ibizę i byłem ujarany… albo wtedy, gdy jechałem na dyskotekę i łykałem piguły. I to uczucie, żeby było jasne, nie było efektem koksu. Dokładnie w tym momencie wiedziałem w stu procentach, że do koktajlu, do tej gównianej wódki z cytryną, *coś* dosypali. Kręciłem się między półkami i słyszałem ten typowy szum, czułem świeżość powietrza, którą czułem na Ibizie… I wtedy naprawdę coś mnie wzięło i zdecydowałem, że zamiast wódki wezmę piwo. Tak po prostu. Wśród półek zobaczyłem te piękne półlitrowe butelki barleya, którego bardzo lubię. Pomyślałem:C*o mnie, kurwa, obchodzi wódka, wezmę piwo, wezmę tyle piwa, ile chcę, jak wtedy, gdy imprezowałem.* Wziąłem siedem czy osiem butelek. Czułem się dobrze, ale tak dobrze, że nawet pomyślałem: *Ci dwaj też się ucieszą, że wziąłem piwa*.

Kiedy jednak Alex wrócił do domu, reakcja różniła się od oczekiwanej. Gdy wszedł do mieszkania, Marco Prato spojrzał na niego pogardliwie.

– Coś ty, kurwa, przyniósł? – zapytał. – Miałeś kupić wódkę.

Alex spojrzał Marcowi prosto w oczy. Coś przemknęło przez jego spojrzenie. Postawił butelki na podłodze. Podszedł do Marca, nawet na chwilę nie odrywając od niego wzroku. Zatrzymał się dopiero kilka centymetrów od jego nosa.

– Słuchaj – powiedział ponuro – teraz to już naprawdę mnie wkurwiłeś. Oddaj mi kasę za taksówkę i spadam stąd.

To był koniec. Manuel natychmiast wyciągnął portfel.

Marco zaoponował.

– Manuel, co ty, kurwa, robisz, dajesz mu więcej pieniędzy?

Manuel wyłowił dwudziestaka, Alex wyrwał mu go z ręki, schował do kieszeni, przyjrzał się im obu.

– Naprawdę rzygać mi się chce, jak na was patrzę – powiedział.

Kilka godzin wcześniej Alex pokazał im, co potrafi na ringu. Nie próbowali go zatrzymać.

Kiedy Alex dowiedział się o morderstwie, wpadł w stupor. Z jednej strony czuł, że o włos uniknął masakry. Z drugiej był poirytowany, że stał się pewnego rodzaju osobą publiczną. Ludzie pisali o nim w gazetach, ludzie, których nawet nie znał, nazywali go „bezdomnym bokserem”. To nie było ani trochę przyjemne. Przez kolejne dni unikał czytania gazet, nie mógł nawet oglądać telewizji, czuł się ścigany. „Ale czy to ja byłem wybrany”,

zastanawiał się, „czy to ja miałem umrzeć?”. Kiedy wychodził, unikał kiosków, witryn sklepowych, wszystkich miejsc, gdzie mógł być włączony telewizor. Obawiał się, że w każdej chwili pojawi się jego nazwisko.

Unikał mediów, ale media same go szukały. Po złożeniu zeznań u karabinierów pewnego wieczoru odebrał telefon od swojego prawnika, który powiedział, że szuka go prywatna telewizja Mediaset i oferuje mu tysiąc pięćset euro, ma tylko wystąpić w ich programie i powiedzieć, co się stało. Alex odmówił. Nadeszły kolejne telefony.

– Mój prawnik powiedział, że wszystkie stacje telewizyjne mnie szukają. Oferty poszły w górę.

Ale bał się zrobić złe wrażenie na Sonii, dziewczynie, która zmieniła jego życie, i z którą próbował zbudować coś sensownego. Musiałby jej powiedzieć, co się stało, ale wtedy musiałby jej również wyjaśnić, dlaczego nie uciekł od razu po tym, jak zobaczył tego faceta w niebieskiej peruce. Jego prawnik powiedział mu, że pewna stacja posunęła się tak daleko, że zaoferowała pięciocyfrową sumę.

– Moja odpowiedź brzmiała: jeszcze raz nie. Nie sprzedam swojej twarzy, żeby znaleźć się na YouTubie na następne sto lat. Sonia jest warta więcej niż pięćdziesiąt czy sto tysięcy euro. Każdy człowiek ma swoją cenę, moją jest uczucie.

Kilka tygodni później znów dostał wezwanie od karabinierów. Zadali mu jeszcze więcej pytań. W pewnym momencie – już się znali, atmosfera była niemal przyjacielska – zapytali o Sonię. Alex spochmurniał..

– Rzuciła mnie – powiedział.

– Ale jak to? – wykrzyknął jeden z karabinierów.

– Po raz pierwszy w życiu robiłem wszystko naprawdę na poważnie – odparł ze smutkiem Alex. – Bo widzicie, po zakończeniu tej koszmarnej historii poprosiłem Sonię o rękę. Zrobiłem to. Poprosiłem ją oficjalnie. W odpowiedzi oddała mi pierścionek zaręczynowy. Koniec. Może to ja nie potrafię wniknąć w kobiece głowy, ale tym razem zrobiłem wszystko jak należy.

Po wyjściu Alexa z mieszkania, Marco i Manuel uprawiali seks. Potem chwilę rozmawiali, aż wyczerpani zasnęli. Obudzili się wczesnym popołudniem. Był zimny i pochmurny czwartek, 3 marca.

– Co robimy?

Wciąż mieli pieniądze Damiana. Marco wysłał kolejną wiadomość do Trovajolego.

W ciągu dwóch dni kupili ponad dziesięć gramów, do zmroku dobiją do dwudziestu. Taka ilość wystarczała, by zawstydzić małą grupę zatwardziałych kokainistów.

Mieszkanie Manuela przypominało wysypisko śmieci. Puste butelki. Papierowe opakowania. Porozrzucane ciuchy. Marco pochyla się nad stołem. Zrolowany banknot, nozdrze, wdech. Wciąż miał makijaż i lakier na paznokciach, ale był już w męskim ubraniu.

– Dla ciebie jestem gotowa na wszystko! – powiedział z satysfakcją.

Znów zaczęli snuć bełkotliwe plany. Coraz głębiej pogrążali się w delirium. Efekt był taki, jakby igła wciąż wracała na ten sam rowek płyty, tyle że odtwarzała muzykę coraz głośniej i szybciej. Znów rozmawiali o tym, jak Marco zamierza wykorzystać swoje moce („powiedział, że zamierza uwieść także mojego brata – zeznał Manuel – zamierzał go szantażować, abyśmy mogli przy okazji rozwiązać kwestię z moim ojcem"). Rozmawiali o fantazjach Manuela („Manuelowi spodobałoby się to, co w rzymskim slangu nazywa się *batteria* – zeznał Marco – czyli *gang-bang*. Ja miałem odgrywać rolę kobiety. Wróciliśmy do fantazji o gwałcie, szukaliśmy pomysłów, by wcielić ją w życie, chciałam zaspokoić jego pragnienia, to był mój sposób, by poczuć się kobietą"). Rozmawiali o Valterze Foffo i Manuel zaczął się denerwować („Kiedy ten temat wraca, zawsze ogarnia mnie wściekła nienawiść"). Marco z kolei się tym niepokoił („Gdy Manuel rozmawiał ze mną o swoim ojcu, stawał się nie do poznania"). Ale Manuelowi też się wydawało, że Marco jest jakiś dziwny („Nie wiem, czy to efekt koksu, ale patrzył na mnie jednym okiem… w tym oku, między nim

a mną, była *szczera* rozmowa”).

Szczera rozmowa między okiem a okiem. Co chciał powiedzieć Manuel?

Według specjalistów, którzy zajmowali się tą sprawą – byli tam kryminolodzy, psycholodzy, psychiatrzy – to właśnie w tym momencie nastąpił kluczowy krok. Tak zwane psychiczne zarażenie, podobne do obracającego się silnika, zbliżyło dwóch młodych ludzi do punktu fuzji.

– Potrzebujemy trzeciego umysłu, trzeciego umysłu!

Marco wrócił do idei ściągnięcia kogoś jeszcze.

– Trzeba było wpuścić do środka tlen, w mieszkaniu unosiło się mentalnie zepsute powietrze – zeznał.

Wybór padł na Tiziana De Rossiego.

Tiziano był pracownikiem Valtera. Manuel się zaniepokoił: co innego Alex Tiburtina, a całkiem co innego jeden z kelnerów w Bottarolo, osoba, którą jego ojciec i brat bardzo dobrze znali. Zapytał Marca, czy zamierza przystawiać się także do Tiziana.

– A jeśli nawet, to co? – odparł Marco. – Zrozumiesz wreszcie, że wszyscy lubią niespodzianki?

Okej, ale jeśli Tizianowi niespodzianka się nie spodoba? Manuel darzył go szacunkiem i uważał za świetnego faceta. Co więcej, Tiziano był znakomitym obserwatorem.

– Jak każdy doświadczony kelner, Tiziano ma bystre oko. Potrafi ocenić klienta w ciągu kilku chwil, niemal natychmiast wie, z kim ma do czynienia. Kiedy kończyli wieczorną zmianę, Manuel i De Rossi chadzali na drinka do pubu nieopodal restauracji. Tizianowi wystarczyło jedno spojrzenie, by ocenić sytuację. „Założymy się, że wyjdą razem?”, mówił, wskazując na chłopaka podrywającego nieznajomą dziewczynę. Zawsze trafiał.

Z jednej strony Manuel obawiał się, że kolega w lot się zorientuje, że między nim a Markiem coś się wydarzyło. Przerażała go też myśl, że biorąc pod uwagę zdolności perswazyjne Marca, Tiziano, choć bystry, wpadnie w pułapkę tak samo jak on sam. A jednocześnie, między jedną kreską a drugą, marzył, by Tiziano pomógł mu wydostać się z kłopotów. Być może doświadczony kelner będzie w stanie uświadomić mu, w jakiej sytuacji się znalazł, skoro sam był już do tego niezdolny.

Ulegając iluzji znacznie bardziej uwodzicielskiej niż poczucie rzeczywistości, Manuel napisał wiadomość na WhatsAppie do Tiziana De Rossiego. Była 21.57.

„Super sytuacja. Facet, który mieszka w bloku, funduje wszystko. Daj mi znać, a jeśli przyjdziesz, przynieś butelkę wódki”.

O tej porze Tiziano był bardzo zajęty. Krzątał się między stolikami w restauracji, przyjmował zamówienia, rozmawiał z klientami, biegał do kuchni. Nawet nie wiedział, że otrzymał wiadomość na WhatsAppie. Nieco ponad godzinę później jego telefon komórkowy zaczął dzwonić.

– To był syn właściciela – zeznał karabinierom – poprosił mnie, żebym do niego dołączył i przyniósł butelkę wódki. Zrozumiałem, że imprezuje. Nigdy wcześniej nie zapraszał mnie do siebie. Kiedy mówił, w tle słyszałem dziwne głosy. Było w tym coś niepokojącego, więc odpowiedziałem, że nie przyjdę.

Dopiero później Tiziano zauważył wcześniejszą wiadomość. Przeczytał ją uważnie. Zastanowił się przez chwilę, a potem zadzwonił do Manuela. Tym razem w tle nie słyszał żadnych głosów. To uspokoiło Tiziana, powiedział, że przyjedzie.

– A kupisz jeszcze papierosy? – zapytał Manuel.

Tiziano poczekał do końca zmiany, wyszedł z restauracji i wsiadł do samochodu. Kupił wódkę i papierosy. Skierował się na via Igino Giordani.

Manuel wciągnął kolejną z wielu kresek, kiedy usłyszał skrzeczenie domofonu. Pobiegł otworzyć. Nie czekał, aż Tiziano wjedzie na górę, wrócił do salonu i stanął jak wryty.

– Co ty, kurwa, robisz?

Z zadziwiającą szybkością Marco przebrał się z powrotem w kobiece ciuchy. Manuel spanikował. Co Tiziano pomyśli, gdy wejdzie do mieszkania?

– Uspokój się – powiedział Marco. – Zobaczysz, że nic się nie stanie. Już ja się tym zajmę.

Tiziano De Rossi zastał drzwi otwarte, wszedł do środka i natychmiast zauważył panujący tam chaos. Manuel wyszedł mu na spotkanie. Był w żałosnym stanie. Potem Tiziano zobaczył faceta przebranego za kobietę.

– Manuel, co tu się do cholery dzieje? – zapytał półgłosem.

– Dobry wieczór, mój drogi, jak się masz – powitał go Marco, podnosząc głowę. Był zajęty przygotowywaniem trzech kresek koksu za pomocą karty kredytowej.

Tiziano stał tak przez dobre dziesięć minut („Sytuacja była bardzo dziwna, nie potrafiłem wytłumaczyć sobie obecności kogoś takiego w domu Manuela”), ale jako że przyzwyczajenie się do dziwactw życia nie jest aż tak

trudne, w końcu usiadł.

Zapytał, czy to pierwszy raz, kiedy ci dwaj się spotykają. Manuel odpowiedział, że Marco mieszka piętro wyżej.

– Dał mi do zrozumienia, że wszystko jest pod kontrolą, dodał, że w tym bloku mieszka pełno dziwnych ludzi. Wydaje mi się, że już się sobie przedstawiliśmy, ale nie mogłem sobie przypomnieć imienia tego transwestyty. Zapytałem go o imię. Odpowiedział: *Przepraszam, mój drogi, ale ja się przedstawiam tylko raz*. Nie podobał mi się sposób, w jaki to powiedział. Więc go sprowokowałem: *Okej, ale masz siusiaka, co nie?*, on na to: *Nie jestem zobowiązana ci odpowiadać*. Mówił o sobie w rodzaju żeńskim.

Marco rozpoczął dyskusję na temat orientacji seksualnej. Nawet ultrasi Romy, zapewnił, nie gardzili towarzystwem transów. (Nie umknęło jego uwadze, że Tiziano miał na sobie bluzę Romy). Tiziano rozejrzał się, jakby chcąc lepiej ocenić sytuację, zastanowił się chwilę, po czym wstał z krzesła, podszedł do stolika, schylił się, wciągnął kreskę („i to nie całą, najwyżej połowę"), wyprostował się i oświadczył, że nie chce już dalej korzystać z hojności swoich gości.

– Bardzo wam dziękuję – powiedział – ale moja partnerka czeka na mnie w domu. Nie wie, że tu jestem. Pewnie się zastanawia, co się ze mną dzieje.

Skinął im głową, podszedł do wejścia, rzucił Manuelowi wymowne spojrzenie. A potem wziął nogi za pas.

Jeszcze się kontrolowali, kiedy był z nimi Damiano Parodi. Byli na wpół porobieni podczas długiego pobytu Alexa Tiburtiny. Ale kiedy z mieszkania wyszedł Tiziano De Rossi, ich postrzeganie rzeczywistości było już bliskie halucynacji. Patrzyli sobie w oczy, dyskutowali, wciągali kokę, pili więcej wódki. Temat przyszłych sukcesów przeplatał się z rozmową o ich przyjaźni. Jaki był głębszy sens tego, co robili? Poznali się w styczniu i stali się sobie bliscy, zwierzali się sobie, to połączyło ich ze sobą bardziej, niż z tymi, których znali od dawna. Ale teraz mogli zrobić coś więcej, coś, co uczyniłoby ich więź trwalszą, co połączyłoby ich na zawsze.

To Marco wypowiedział to zdanie.

– Rozumiem, że chcesz mnie wynająć do zabicia twojego ojca.

Manuel drgnął. Wypowiedziane znienacka zdanie nie miało związku z tym, o czym rozmawiali, ale brzmiało niezwykle wiarygodnie. Zapłacić mu za zabicie ojca? Nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek zwrócił się do niego z taką prośbą, a jednak, na czysto teoretycznym poziomie, pomysł nie budził w nim sprzeciwu. Gdyby stał przed ojcem z bronią w ręku, nie byłby w stanie pociągnąć za spust. Ale wyobrażanie sobie, że człowiek, przez którego jego życie stało się pasmem porażek, zostanie unicestwiony – cóż, to przynosiło satysfakcję. Marco, choć to on wypowiedział tę myśl, twierdził, że było to jedynie fantazjowanie o czymś nierealnym. Czysta spekulacja, abstrakcyjna myśl. A jednak zabawa tą fantazją była przyjemna.

Powrócili do tematu gwałtu. Manuel powiedział, że w szufladzie w salonie ma jeszcze opakowanie Alcoveru.

– O, jest.

Psychiatra przepisał mu ten środek, żeby nie pił. Zmieszanie Alcoveru z alkoholem, ostrzegał, grozi utratą świadomości. To dlatego używa się go jako tak zwanej pigułki gwałtu. Picie. Gwałt. Może morderstwo. Skojarzenia pojawiały się jedno po drugim, tematy bezładnie mieszały się ze sobą. Znów wciągnęli kreskę. Wypili jeszcze jeden kieliszek. Mówili sobie rzeczy, które z trudem przyjdzie im zrekonstruować w ciągu następnych dni. O wpół do

czwartej nad ranem wyszli z domu.

– Wywnioskowałem, że mamy zabić człowieka – zeznał Manuel.

– Nieprawda! – zaprzeczał Marco. – Wyszliśmy z domu, aby spełnić fantazję Manuela. Wyszliśmy, żeby kogoś zgwałcić.

– Nie sądzę, byśmy szli kogokolwiek zgwałcić – mówił Manuel. – Nawet nie wiem, czy szliśmy kogoś zabić. Pobić prawdopodobnie tak. Mieliśmy złe intencje, tego jestem pewien.

– Nie mieliśmy zgwałcić nikogo *naprawdę* – twierdził Marco. – To miał być inscenizowany gwałt. Wszystko miało pozostać w sferze fikcji.

– Ja byłem pełen jadu z powodu ojca – zeznawał Manuel. – Marca trawiło coś innego. Nie sądzę, żebyśmy szukali męskiej prostytutki. Co za sztuka przelecieć żigolaka?

– Chciałem uszczęśliwić Manuela – powiedział Marco. – Początkowo zaproponował dziewczynę, prostytutkę, której zapłacilibyśmy za zainscenizowanie gwałtu. Sprzeciwiłem się: żadnych kobiet, chciałem być *tą jedyną*. Musieliśmy znaleźć faceta. Chociaż raz mogłem być stroną aktywną. To by mnie wiele kosztowało, ale dla Manuela bym to zrobił. On by się tylko przyglądał.

– Kiedy Prato powiedział, że chcę go nająć do zabicia mojego ojca, znów miał spojrzenie szaleńca – zeznał Manuel. – To też był sposób na wzmocnienie naszej przyjaźni. Gdyby naprawdę go zabił, dzielilibyśmy potworny sekret. Chociaż, szczerze mówiąc, nie potrafię zrozumieć, jak Marco mógł czuć wściekłość z powodu czegoś, co ja czułem całym swoim ciałem.

Psychiatrzy i kryminolodzy zastanawiali się, czy w tym ostatnim stwierdzeniu, jakkolwiek zawiłym, kryje się wskazówka pozwalająca zrekonstruować trajektorię myśli, która kazała im krótko przed świtem wyjść na ulicę. Człowiek z łatwością oszukuje sam siebie. Jak często, aby zrealizować własne pragnienia, potrzebujemy najpierw błędnie zinterpretować pragnienia innych? A w ilu przypadkach słowa wypowiedziane przez przyjaciela, rodzica, kochanka rzekomo upoważniają nas do zrobienia tego, czego w tych słowach w ogóle nie było? Słowa są niejednoznaczne, nieuchwytne, rezonują inaczej w zależności od materii, z którą się zderzają. A ponieważ słowa – jako kuzyni czarów – często przechodzą w czyny, trzeba zrozumieć, jakimi oczekiwaniami lub nieporozumieniami są obarczone, gdy przekraczają tę fatalną granicę.

Wyszli z domu i wsiedli do mini coopera. Manuel usiadł za kierownicą. Marco na miejscu pasażera, oprócz makijażu i sukienki, otulił się ekstrawaganckim ciemnym futrem.

Zdecydowali, że pierwszym przystankiem będzie Villa Borghese.

– Celowaliśmy w typowe miejsca męskiej prostytucji – zeznał Marco. – Gdyby miał się znaleźć jakiś chętny, to właśnie tam.

Zostawili po lewej Porta Pinciana, za którą otwierała się martwa i śpiąca o tej porze via Vittorio Veneto. Po prawej rozciągał się park Villa Borghese. Sosny, fontanny i posągi wznosiły się w chłodzie nocy. Minęli policyjny radiowóz.

– Marco chciał, żebym to ja prowadził – powiedział Manuel. – Powiedział, że gdyby zatrzymała nas policja lub karabinierzy, miałby wolną rękę, by rozbroić stróżów prawa. Zrobiłby im fellatio, a oni by nas puścili.

Byli w opłakanym stanie. Ale wciąż mieli trochę pieniędzy. Marco wiedział, że uliczne prostytutki biorą niewiele, czasami wystarczyło trzydzieści lub czterdzieści euro, jego zamiarem było zaoferowanie stu pięćdziesięciu. Za taką kwotę prostytutka zrobi wszystko, a oni planowali co najmniej symulację gwałtu.

Wjechali do Villa Borghese ulicą zarezerwowaną dla taksówek i autobusów. Jechali wśród drzew i żywopłotów, mijali jeziorka i świątynie. Czerń roślinności była głębsza od czerni nieba. Minęli kilka bezgłowych posągów, a potem Oranżerię, budynek strzegący obrazów De Chirica, Manzú, Warhola, Severiniego. Zostawili za sobą strefę zieleni. Znów był asfalt i sztuczne światła. Skierowali się do Narodowej Galerii Sztuki Nowoczesnej. To tutaj, u wrót Valle Giulia, co noc sprzedawali się chłopcy. Klienci podjeżdżali, zatrzymywali się u podnóża schodów i czekali, nie wyłączając silnika. Po chwili z krzaków wokół muzeum wyłaniali się dwudziestoletni żigolacy i ze zwinnością wojowników podbijali do samochodów z opuszczonymi szybami.

– Kuźwa, nikogo nie ma – zaklął Marco.

Handel ciałami tradycyjnie zamykał się po trzeciej w nocy. Choć Marco o tym wiedział, nie tracił nadziei. Kazał Manuelowi jechać na piazza della Repubblica.

– Pojechaliśmy najpierw do miejsca, z którego Pasolini zabrał do auta swojego zabójcę, do straganów za placem – zeznał Marco Prato – ale tam też nikogo nie było.

Nieco dalej, na piazza dei Cinquecento, znajdowało się kolejne tradycyjne

miejsce męskiej prostytucji. Wśród sosnowych igieł i stert guano sprzedawali się Włosi, Afrykańczycy, Rumuni, chłopcy we wszystkich kolorach skóry i każdym wieku. W większości zdesperowani. To miało znaczenie: jeśli mieli symulować gwałt, potrzebowali ludzi gotowych na wszystko. Ale nawet na piazza dei Cinquecento nie było już nikogo.

– Szlag.

Na matowej teksturze nieba zaczęły się pojawiać pierwsze smugi różu. Słońce przedzierało się stopniowo przez szczeliny między murami, aż wreszcie eksplodowało, a potok ludzi i wściekły ryk samochodów oznajmił początek nowego dnia. Jak w opowieści o wampirach, Marco i Manuel czuli, że ich chwile są policzone.

– Jedźmy na Termini.

Marco powiedział, że o tej porze mogą się znaleźć jacyś maruderzy szukający podwózki po wysiadce z nocnego pociągu. Zaparkowali na via Giolitti. Droga była wąska i ciemna. Marco wysiadł z samochodu. Owinięty w futro zaczął przechadzać się tam i z powrotem po chodniku. Nie potrafił powiedzieć, czy jego zamiarem było się komuś oddać, jak w styczniu na EUR, czy kogoś wyrwać. Z mroku przed nim wyłoniła się sylwetka. Mężczyzna w średnim wieku. Chcąc nawiązać rozmowę, Marco poprosił go o papierosa. Mężczyzna przyjrzał się mu, wręczył jednego, po czym oddalił się szybko.

Marcowi nie pozostało nic innego, jak zapalić papierosa, zaciągnąć się dwa razy, wyrzucić niedopałek i wrócić do samochodu. Manuel ponownie uruchomił silnik.

Była szósta rano i nic nie osiągnęli. Jak to możliwe? Czy było to potwierdzenie, że coś nie tak było z ich życiem? Jeśli kiedykolwiek wcześniej przeczuwali, że nie uda im się w pełni zrealizować planu, to teraz ta myśl musiała dudnić im w głowach – skoro nie byli nawet w stanie poderwać żigolaka, choć chcieli zaoferować mu taką sumę, za jaką każdy rzuciłby się w ramiona klienta. Czy byli kompletnymi przegrywami? Czy byli mniej warci od męskiej prostytutki?

W drodze powrotnej na Collatino Marco zabrał Manuelowi telefon. Zaczął dzwonić do przyjaciół Manuela. Wysyłać im wiadomości. W pewnym momencie ponownie wykręcił numer Alexa Tiburtiny. Liczył, że dramatyczna sytuacja życiowa byłego boksera zachęci go do przyjścia.

– Alex był kimś w rodzaju desperata. Moje rozumowanie było takie: jeśli zaoferuję mu sto pięćdziesiąt euro i powiem mu: *Za tę kwotę wejdę na*

ciebie w szpilkach i będę cię deptał, natychmiast położy się na ziemi i jeszcze mi za to podziękuje.

Ani Alex, ani inni nie odpowiadali. Manuel jechał teraz via dei Monti Tiburtini. Im bardziej zbliżali się do via Igino Giordani, tym bardziej ich porażka wydawała się bezdyskusyjna.

To właśnie wtedy Marco Prato wpadł na pomysł, by zadzwonić do Luki Varaniego.

Marco przypomniał sobie o tym młodym przystojnym chłopaku, któremu zawsze brakowało pieniędzy. Pamiętał, że Luca potrafił przejechać przez pół miasta, by zdobyć parę groszy od Damiana Parodiego. Aż na piazza Ungheria, by dostać jedynie pięćdziesiąt euro. Gdyby Marco zaproponował mu trzy lub cztery razy tyle, rzuciłby wszystko, cokolwiek teraz robił, i do nich popędził.

Pierwsze światła poranka zaczęły oświetlać Tiburtinę. Marco wziął telefon, wyszukał numer na liście kontaktów. Spławik zniknął pod wodą.

– Cześć, Marco, to ty?

Marco i Luca zamienili dwa słowa przez telefon, a potem przeszli na WhatsAppa.

Marco Prato do Luki Varaniego: „Zadzwoń, jak już będziesz jechał".

Luca Varani do Marca Prato: „Spoko. Ale przed 12 muszę wyjść".

MP: „Proszę, nie mów nic Damianowi, bo jak się dowie, nie będę ci mógł zapłacić. Dochowasz tajemnicy, a dostaniesz kasę jeszcze dziś".

LV: „Ale kiedy mi ją dasz? Jak przyjadę?"

MP: „Luca, czy ja wyglądam na kogoś, kto chce cię oszukać?"

LV: „Nie, spoko, ale chcę ją mieć w kieszeni".

Manuel skręcił w via Igino Giordani. Znowu kościół i gigantyczne bloki. Wysiedli z samochodu. Manuel rozprostował nogi. Marco, w futrze i szpilkach, otoczył się ramionami i wdychał chłodne poranne powietrze. W tym momencie byli jeszcze dwójką chłopaków przed trzydziestką i mieli całe życie przed sobą. Kto nie robił głupot w młodości? Świat był pełen dorosłych, którzy spokojni i zadowoleni z życia przeglądali, często z niedowierzaniem, album pamięci i odnajdywali w nim ślady swoich dawnych ról odgrywanych w kompletnie chorych historiach.

– Tam – wskazał Marco. W pobliżu ronda widać było ciemną sylwetkę wyprostowanego, samotnego mężczyzny.

– Zajmę się tym.

Manuel podszedł do dilera. Trovajoli dostarczył towar. Następnie wyjął

z kieszeni telefon i wezwał taksówkę. Jego praca nigdy się nie kończyła.

– A teraz wódka – zarządził Marco.

– Poszliśmy do baru między stacjami Pietralata i Tiburtina – zeznał Manuel. – Butelkę sprzedała mi dziewczyna o kasztanowych włosach. Nie było nawet siódmej rano. *Ale serio?*, zapytała, zanim sprzedała mi alkohol.

Po powrocie do mieszkania Manuel włączył wszystkie światła. Było trochę chłodno. Włączyli klimatyzator w trybie ogrzewania, by podnieść nieco temperaturę. Marco zerknął na telefon komórkowy.

Marco Prato do Luki Varaniego: „Pospiesz się".

Luca Varani do Marca Prato: „To nie ja prowadzę".

MP: „Gdzie jesteś?"

LV: „Czekam na autobus. Niedługo będę, wyluzuj".

Klimatyzator pracował na pełnych obrotach. W mieszkaniu zrobiło się naprawdę gorąco. Manuel zaczął się rozbierać, zdjął bluzę, spodnie, został w bokserkach i koszulce, wyjął camela z paczki i zapalił. Marco przygotował kilka kresek. Manuel położył się na kanapie, patrzył na żarzącą się końcówkę papierosa i spiralę dymu unoszącą się w pomieszczeniu. Ranek, noc, wieczór, popołudnie. Ile czasu tu byli? Być może w tej otchłani nie było nawet czegoś takiego, co dałoby się poprawnie nazwać czasem. Rozległ się dzwonek. Manuel usłyszał za sobą odgłos kroków. Otwieranie drzwi. Głosy. Zamykanie drzwi. Potem znowu kroki.

– Dzień dobry.

Manuel Foffo się odwrócił.

– W pewnym momencie do mojego mieszkania wszedł ten chłopak – opowiadał Manuel. – Ja leżałem na kanapie, nawet się nie podniosłem. Nie zastanawiałem się nawet, po co przyszedł. Biorąc pod uwagę absurdalne życie, jakie prowadziliśmy, zastanawianie się, kim był ten facet, było nieistotnym drobiazgiem.

Dopiero później Manuel przyjrzał się nowo przybyłemu stojącemu obok Marca i coś się wydarzyło.

– Gdy tylko na niego popatrzyłem, *zrozumiałem*. Potem spojrzałem na Marca i to było tak, jakbyśmy bez słów powiedzieli sobie: *To on*. Między mną a Markiem doszło do milczącego porozumienia. Jakby to, co nie zostało nazwane, to coś, co było wcześniej… wciąż *żyło*.

Milczące porozumienie dotyczące czego?

– Kiedy Luca przyjechał, miałem na nosie okulary przeciwsłoneczne w fioletowych oprawkach, w stylu tej piosenkarki Miny z lat osiemdziesiątych – powiedział Marco – na głowie perukę, a na sobie coś w rodzaju czarnego płaszcza, sukienkę w panterkę, usztywniany biustonosz, legginsy, szpilki i czerwone skarpetki.

Manuel:

– Przywitałem się z Lucą, przedstawiliśmy się sobie. Wtedy przypomniałem sobie, że Marco mi o nim opowiadał. Powiedział mi, że się prostytuował. Powiedział mi, że jest adoptowany. Usiedliśmy we trzech przy stole, zaczęliśmy rozmawiać.

– Wypiliśmy trochę wódki. Mogło być wpół do dziewiątej rano – powiedział Marco – rozmawialiśmy przyjaźnie. Luca pytał: *Jak leci? Od kiedy jesteście tacy porobieni?* A my: *A co u ciebie? Skąd przyjechałeś?* Zacząłem usypywać kokę, najdłuższa kreska jak zawsze przeznaczona była dla Manuela, następna dla Luki, a najkrótsza dla mnie. Wciągnęliśmy. Luca też.

Manuel:

– Ćpaliśmy. Rozmawialiśmy. Piliśmy wódkę. W pewnym momencie zorientowałem się, że Luca leży na brzuchu obok mnie i jest całkiem nagi.

– Powiedziałem, że mu zapłacę – powiedział Marco. – Błagałem go tylko o to, żeby nic nie mówił Damianowi. Historia z bankomatem była świeża. Luca rozebrał się i położył na podłodze.

Manuel:

– Prato mi później powiedział, bo sam tego nie widziałem, że Luca lizał mu buty. Zachęcili mnie, żebym stanął na plecach Luki. Wydawało mi się to chore, jednak to zrobiłem.

– Luca lizał mi buty – powiedział Marco – zacząłem chodzić po jego ciele, powiedziałem: *Jeśli trochę pocierpisz, może damy ci nawet trzysta euro*. Uśmiechnął się szeroko, chyba nigdy jeszcze nie widział tylu pieniędzy. Oparłem się na ramieniu Manuela, wszedłem na Lucę, w pewnym momencie straciłem równowagę, zadrapałem mu udo. Miałem na nogach szpilki, zraniłem go przez przypadek. Potem stanął na nim Manuel.

Manuel:

– Starałem się to robić powoli, stanąłem mu na plecach, poprosili mnie o to. Nie rozumiałem nawet, że to gra erotyczna. Potem znowu usiadłem. W każdym razie z Lucą nie uprawialiśmy seksu.

– Nie uprawialiśmy seksu – powiedział Marco – wróciliśmy do rozmowy. Po kilku minutach Manuel z nonszalancją wyjął z szuflady Alcover i powiedział: *Chodź, idziemy zrobić koktajl*. Poszedłem za nim do kuchni, a on powiedział: *Dosypmy mu to i zacznijmy go gwałcić*. Przynajmniej tak to zrozumiałem.

Manuel:

– Kupiłem Alcover w aptece jakiś czas wcześniej, przepisali mi go, żebym przestał pić. Ale nigdy go nie zażyłem.

– Alcover może powodować rodzaj śpiączki etylowej – powiedział Marco – ale to całkowicie odwracalna śpiączka. Manuel wsypał Alcover do jednej ze szklanek i wróciliśmy do salonu z trzema koktajlami.

Manuel:

– Alcover dosypał mu Marco. Zgodziłem się na to.

– Manuel chciał zrealizować fantazję o gwałcie – powiedział Marco. – Luca Varani był aktywem, nigdy nie pozwoliłby się spenetrować. Stąd Alcover. Trzeba go było otumanić. Niestety, to ja miałem go zgwałcić. Mówię niestety, bo jestem pasywny, to był kompromis zawarty z Manuelem,

żeby nie sprowadził kobiety do domu. To było moje poświęcenie dla niego.

Manuel:

– Luca pił z miseczki, wszystkie kieliszki leżały brudne w zlewie.

– Piliśmy, rozmawialiśmy – powiedział Marco – a po kilku minutach Luca źle się poczuł.

Manuel:

– Wiedziałem, że się źle poczuje, a jednocześnie w to wątpiłem. Biorąc pod uwagę nasz stan, wszystko wydawało mi się prawdopodobne, nawet chodzenie komuś po plecach czy picie Alcoveru. Wszystko było absurdalne. I zarazem normalne.

– Luca najpierw spróbował, a następnie upił większy łyk – powiedział Marco.

Manuel:

– Poszedł zwymiotować do łazienki.

– Źle się poczuł – powiedział Marco. – W pewnym momencie przerwał rozmowę, powiedział: *Chłopaki, poczekajcie, źle się czuję*. Wstał. Zataczał się, narzekał na mdłości, poszedł do łazienki, a Manuel za nim. Ja poszedłem za Manuelem. Luca zaczął wymiotować pomarańczowym płynem.

Manuel:

– Luca zwymiotował do zlewu, był zdezorientowany, oparł się o wannę.

– Wpadł w coś w rodzaju śpiączki etylowej – powiedział Marco. – Zaczął się chwiać, stracił równowagę i wylądował w wannie. Momentalnie zasnął. Pamiętam, że chrapał.

Manuel:

– Oparł tyłek o krawędź wanny, plecy o ścianę, Marco lekko go popchnął, nie pamiętam czy ręką, czy nogą, lekko, ale na tyle mocno, że Luca wpadł do wanny. Wtedy wypowiedział to zdanie.

– Niczego takiego nie powiedziałem – powiedział Marco. – Manuel musiał sam to powiedzieć we własnej głowie i myślał, że to ja to powiedziałem.

Manuel:

– Gdy Luca wpadł do wanny, Marco powiedział: *Zdecydowaliśmy, że musisz umrzeć*. Spojrzałem na niego i pomyślałem: to się dzieje naprawdę.

– Nigdy czegoś takiego nie powiedziałem – zaprzeczył Marco.

Manuel:

– Powiedział to. Luca był oszołomiony, myślę, że nawet nie zrozumiał

sensu tego zdania. Zaraz potem Marco go zaatakował. Pamiętam, że ja dźgnąłem Lucę w szyję i uderzyłem młotkiem w głowę.

– Przemoc nie zaczęła się w łazience – powiedział Marco.

Manuel:

– Po tym zdaniu, które wypowiedział Marco, nie zapamiętałem już niczego. Pamiętam, że go dusiliśmy, próbowaliśmy dusić go na zmianę, najpierw Marco, potem ja. Mam obraz Marca próbującego odciąć mu penisa. Jeśli się postaram, mogę zwizualizować najbardziej niepokojące obrazy, ale bez chronologii.

– W łazience nic się nie wydarzyło – powiedział Marco.

Manuel:

– Marco zaczął uderzać. Ja za nim, jeszcze mocniej. Broń musiałem zabrać z kuchni. Młotek, nóż z krótkim ostrzem, większy nóż. Od razu chwyciłem za młotek, ponieważ pomyślałem, że jeśli go nim uderzę, szybko się to skończy.

– Wyciągnęliśmy go z wanny i zaciągnęliśmy do sypialni – powiedział Marco. – Miałem wciąż buty na obcasach, więc było to trudne, Manuel wziął go pod ramiona, tyłek Luki ciągnął się po podłodze, najtrudniej było go podnieść i położyć na łóżku.

Manuel:

– Zaczęliśmy go bić już w wannie. Potem przenieśliśmy go do sypialni. Prato powiedział, że przez odpływ wanny krew przedostanie się do rur i zostaniemy nakryci. Dlatego go przenieśliśmy.

– Gdy był już w łóżku, położyłem się na nim – powiedział Marco. – Korzystając z tego, że był oszołomiony, zacząłem się z nim trochę bawić. Pieściłem go, całowałem. Manuel powiedział: *Duś go*. I położyłem mu ręce na szyi, zacząłem ją ściskać, ale to była tylko praktyka seksualna, w końcu Manuel powiedział: *Duś go*, a nie: *Zabij go*.

Manuel:

– Marco kazał mi wziąć jakąś broń i wziąłem nóż.

– *Duś go*, powiedział. Ale kiedy go dusiłem, Luce wróciła przytomność – powiedział Marco. – Uderzył mnie łokciem i rzucił na podłogę. Upadłem. Luca wstał, zachwiał się. Potem osunął się na podłogę obok łóżka. Wtedy zobaczyłem sylwetkę Manuela i jego dwie ręce. W jednej trzymał nóż, w drugiej młotek. Spojrzałem w jego oczy. To były te same oczy, jak wtedy, gdy opowiadał mi o swoim ojcu. Luca zataczał się w stronę drzwi, Manuel uderzył go młotkiem po raz pierwszy, a wtedy Varani upadł.

Manuel:

– Zdałem sobie sprawę, że muszę go zabić, dopiero wtedy gdy zacząłem go rzeczywiście atakować. Uderzałem go młotkiem w twarz. Użyłem noża. Marco również go dźgnął.

– Mówiłem: *Manuel, uspokój się. Uspokój się! Co ty, kurwa, robisz?* – powiedział Marco. – Odpowiedział: *Nie, nie, nie, muszę zabić tego skurwiela!* A ja na to: *Jak to zabić? Przestań!* Uderzył go młotkiem. Usłyszałem tępy odgłos, coś nie do opisania. Wtedy wybiegłam z pokoju. Czuję się winna, że nie byłam w stanie go powstrzymać, spanikowałam.

Manuel:

– Uderzaliśmy. Luca miał w ustach czerwone chusteczki. Marco musiał mu je włożyć, żeby nie krzyczał.

– Chodziłem tam i z powrotem, próbując go uspokoić – powiedział Marco. – Wchodzenie i wychodzenie z pokoju było sposobem na ucieczkę przed tym, co się działo. Po tym wszystkim Manuel wstał i popatrzył na Lucę. Ponownie pochylił się nad nim, chwycił nóż i zadał mu wiele cięć, takich, jakby chciał narysować mu gwiazdki na skórze. Potem zaczął uderzać w inny sposób, pchał ostrze w głąb, uderzył w klatkę piersiową, usłyszałem coś… tego się nie da opisać. Wróciłem do salonu. Byłem w szoku. Zdjąłem buty, położyłem się na kanapie, zacząłem myśleć.

Manuel:

– Tyle ran zadanych nożem, tyle uderzeń młotkiem, ale Luca nie przestawał oddychać. Wydawało się, że nigdy nie umrze. Straszliwie cierpiał.

– Nie potrafił umrzeć – powiedział Marco. – Chciałem, żeby przestał cierpieć. Manuel też chciał, żeby nie cierpiał. *Ten gnój nie umiera, wciąż nie umiera*, powiedział. Bił go młotkiem, dźgał nożem, uderzał na oślep. Ja chodziłem tam i z powrotem, trzymając się za głowę. Manuel mówił: *On musi umrzeć, on musi umrzeć, ale jak mam go zabić?*

Manuel:

– Pamiętam, że w pewnym momencie chciałem rozbić mu na głowie butelkę wódki, żeby go dobić, ale Marco mnie powstrzymał, ponieważ zostałoby zbyt dużo szkła. Szczerze mówiąc, wszystko było tak poplamione krwią, że szkło nie zrobiłoby różnicy.

– Chwycił dwulitrową butelkę sambuki – powiedział Marco. – Chciał rozbić mu ją na głowie. Krzyknąłem*: Manuel, przestań!* Odłożył ją na stół i ponownie chwycił za nóż.

Manuel:

– Marco również go dźgnął.

– Poszedłem ponownie schować się w salonie – powiedział Marco. – Skuliłem się na kanapie, objąłem rękami kolana, chciałem, żeby to się skończyło tak szybko, jak to możliwe. Manuel krzyczał z drugiego pokoju: *Chodź tu, chodź tu, pomóż mi!*

Manuel:

– Tak bardzo cierpiał, ale nie umierał, nie umierał! Tak bardzo chciał żyć, że nie wiedzieliśmy, co zrobić.

– Wciąż siedziałem na kanapie – powiedział Marco. – Z przodu, w pobliżu telewizora, była plątanina kabli. Manuel krzyczał: *Pomóż mi go zabić!* Więc chwyciłem jeden z tych kabli i przyniosłem mu go. Powiedziałem: *Weź to, niech przestanie cierpieć!*

Manuel:

– Próbowaliśmy udusić go kablem. Próbowaliśmy przycisnąć mu poduszkę do twarzy. Bez powodzenia. Oddychał.

– Manuel próbował go udusić – powiedział Marco. – W pewnym momencie poprosił mnie, żebym pocałował go w głowę, chciał, żebym całował go po głowie, aby znalazł siłę, by go udusić, odebrać mu życie.

Manuel:

– Kiedy go dźgałem, Marco całował mnie po głowie, mówił: *Dalej, zabij go*. To było coś, co obaj chcieliśmy zrobić.

– Położyłem mu rękę na ramieniu, a potem, tak, pocałowałem go w głowę – powiedział Marco. – Zacząłem go całować, podczas gdy on go dusił.

Manuel:

– Marco powiedział: *Zadaj mu cios łaski*. Ale ostatni cios zadał on, przyłożył prawe kolano do klatki piersiowej Luki i uderzył go nożem w serce, po prostu wbił w niego ostrze.

– Manuel przyszedł do salonu i powiedział mi, że Luca nie żyje – powiedział Marco.

Manuel:

– Zdałem sobie sprawę, że nie żyje, kiedy spróbowaliśmy go podnieść. Czułem, że jest zimny.

– Kiedy usłyszałem, że nie żyje – powiedział Marco – natychmiast poszedłem do sypialni, żeby przykryć go kołdrą. Nie mogłem na niego

patrzeć.

Manuel:

– Kiedy go zabijaliśmy, nagrałem wideo. Zrobiłem to telefonem komórkowym, musiało trwać piętnaście sekund, nagrałem ten film, ale potem go usunąłem, bo pomyślałem: *Co ja takiego robię? Najpierw go zabijam, a potem to filmuję?* Może chciałem zrównoważyć tamto wideo, które nagrał ze mną Marco. Nie pamiętam. W każdym razie tego nagrania już nie ma.

– Po przykryciu go kołdrą wróciłem do salonu – powiedział Marco. – Luca nie żył. Byłem jak skamieniały. Manuel wpadł w szał, a ja nie byłem w stanie mu przeszkodzić. W tym momencie zacząłem mówić. *Co zrobiłeś?*, powiedziałem. Zauważyłem, że Manuel zmienia wyraz twarzy. Przestraszyłam się i użyłam liczby mnogiej. *Co myśmy zrobili? Zdajesz sobie sprawę?*

Manuel:

– Byliśmy bardzo zmęczeni. Poszliśmy do łóżka. Ja i on pod kołdrą, a zwłoki Luki niedaleko, na podłodze.

– Manuel poszedł się umyć do łazienki – powiedział Marco – po czym wrócił do sypialni i położył się obok mnie. Już miałem zasnąć. Ale on zaczął mówić, powiedział, że będziemy związani na całe życie, że to, co zrobiliśmy, połączy nas na zawsze. *Tak, ale kogoś zabiliśmy*, powiedziałem. Wciąż byłem ubrany jak kobieta.

Manuel:

– Tam, leżąc w łóżku, ze zwłokami dwa kroki dalej, odbyliśmy nasz pierwszy stosunek analny.

– To absolutna nieprawda – powiedział Marco.

Manuel:

– Dopiero co zasnąłem. Położył się na mnie, tak jak kobieta kładzie się na mężczyźnie. Chwycił mi go, chciał go sobie wsadzić. Ta pozycja mnie brzydziła. Ale miałem erekcję. Odwróciłem go więc i uprawialiśmy seks. Ponieważ nalegał, zrobiłem to bardziej dla spokoju niż z prawdziwego podniecenia.

– Uprawialiśmy seks – powiedział Marco – ale to się zdarzało już w poprzednich dniach. Penetrował mnie kilka razy, bez prezerwatywy. Po morderstwie nic nie zrobiliśmy. Jak byśmy mogli? Na samą myśl robi mi się niedobrze. Położyliśmy się na łóżku i zasnęliśmy.

Manuel:

– Posiadłem go. Ale to było tak, jakby to on posiadł mnie. Uprawialiśmy seks, a potem zasnęliśmy.

Marco otworzył oczy kilka godzin później.

Sen miał ciężki. Przebudzenie było jak wyrzucenie z dna oceanu, poczuł, że łapie oddech, otworzył usta, by zaczerpnąć tlenu i usiadł na łóżku. Jak woda przeciekająca przez zaporę, do jego głowy zaczęły napływać myśli. Obok niego spał Manuel, Marco spojrzał na niego zdumiony, po czym odwrócił się i zobaczył zwłoki Luki na podłodze. *Więc to prawda*, pomyślał.

W niektórych opowieściach *science fiction* bohater śni, że kogoś zabił, a następnie, po przebudzeniu, widzi na stoliku nocnym narzędzie zbrodni, niepokojące świadectwo czegoś, co wydarzyło się *gdzie indziej*. W tym przypadku Marco i Manuel rozbili na kawałki płytę dzielącą rzeczywistość od wyobraźni i odwrócili relację między światłem a cieniem: od teraz już zawsze, każdego ranka, będą się budzić w koszmarze.

Marco wstał z łóżka, wyszedł z sypialni, przeniósł się do salonu, zakrył twarz dłońmi i wybuchnął płaczem.

Szloch obudził Manuela. On również usiadł na łóżku, ale powoli. Pokój spowijała ciemność. Zaduch. Zobaczył zwłoki na podłodze, wstał i dołączył do przyjaciela w salonie.

– Nie zasługuję na to, by żyć! – krzyczał Marco. – To niesprawiedliwe, że żyję po tym, co się stało!

Manuel spojrzał na niego. Nie potrafił powiedzieć, czy ból był prawdziwy, czy Marco udawał.

– W porządku – powiedział – ale teraz usiądź i porozmawiajmy.

W mieszkaniu walały się śmieci, puste butelki, porozrzucane ubrania. I wszędzie była krew.

– Nie zasługuję na to, by żyć! – Marco nie przestawał płakać. – I myślę, że ty też nie zasługujesz na życie.

– Rozumiem – odpowiedział Manuel – ale postarajmy się przynajmniej trochę posprzątać.

Marco spojrzał na niego przez łzy, a potem przytaknął.

Gdzieś w mrocznych oparach ich umysłów być może tliła się myśl, że jakoś się z tego wywiną. Przesłuchiwany przez prokuratora Manuel opowiadał, że nie myślał o konsekwencjach, gdy okładał Lucę młotkiem,

i kiedy obudził się ze zwłokami w sypialni, wierzył, że mimo wszystko znajdzie się jakieś wyjście. Oczywiście wyjścia nie było. Pozostawili po sobie niewyobrażalne mnóstwo śladów, części z nich nie dałoby się w żaden sposób usunąć. Wezwanie do odpowiedzialności było kwestią godzin, nawet jeśli w tym momencie byli jedynymi strażnikami tego odrażającego sekretu. Jeszcze tylko przez krótki czas spora grupa osób pozostanie nieświadoma tego, co zmieni ich życie na zawsze. Rodzice Luki. Marta Gaia. Rodzina Manuela i rodzina Marca. Chodzili po Rzymie nieświadomi niczego. Był zwyczajny marcowy dzień.

Manuel zadzwonił na telefon stacjonarny swojej matki. Nikt nie odbierał. Upewniwszy się, że kobiety nie ma w domu, wziął klucze i zszedł na dół. Chciał zabrać wiadra, ściereczki, jakiś detergent.

– Byłem kompletnie odrętwiały. Wróciłem na dziesiąte piętro i zdałem sobie sprawę, że zapomniałem o ścierkach. Wtedy zszedłem do matki po raz drugi. Ale kiedy wróciłem, zobaczyłem, że nie wziąłem płynu.

Manuel za każdym razem, gdy wychodził, zamykał drzwi na dwa zamki. W ten sposób Marco przez kilka minut zostawał sam, zamknięty, otoczony ciszą, wpatrujący się w ściany, ze zwłokami w sypialni. W pewnym momencie chwyciły go mdłości, wyszedł na balkon, chwycił się poręczy i pochylił do przodu. W porządku, powiedział sobie, to przynajmniej trzydzieści metrów lotu. Przypomniał mu się aktor grający *Supermana*, Christopher Reeve, sparaliżowany od szyi w dół po upadku z konia.

Manuel wrócił. Miał już wszystko, czego potrzebowali. Zawołał Marca. Podał mu ścierkę i detergent. Trzeba to wyczyścić, powiedział, a potem pomyślimy, jak pozbyć się zwłok.

– Twierdził, że musimy pochować go w Circeo – powiedział Marco. Mieliśmy tam pojechać, ale najpierw musieliśmy kupić łopatę w Leroy Merlin. Wybrał Circeo, bo, jak powiedział, to obszar chroniony. Kto będzie kopał w rezerwacie przyrody? Takie było jego rozumowanie.

Wciąż byli pod wpływem narkotyków i wódki. A jednak pewne cechy charakteru nie zmieniają się wraz ze stanami świadomości. Manuel zawsze nienawidził prac domowych. Sprzątanie, mycie podłóg, mopowanie, wszystkie te zadania zostawiał matce. Teraz poprosił Marca, by się tym zajął.

– I może zdejmij tę perukę – dodał.

Marco spojrzał na niego dziwnie.

Manuel odwzajemnił niezbyt uspokajające spojrzenie.

Po raz pierwszy coś w grze ich spojrzeń stało się niedopasowane,

odmienne, weszło na kurs kolizyjny.

– Teraz jeszcze mnie zechcesz zabić! – Marco znów wybuchnął płaczem.

– Kiedy powiedziałem mu, żeby zdjął perukę, spojrzał na mnie z rozgniewaną miną – powiedział Manuel. – Nie rozumiałem, czy nie chce jej zdjąć, ponieważ miał pod nią łysinę, czy dlatego, że bez peruki zmieniłby się z powrotem w mężczyznę.

– Kiedy kazał mi się przebrać, przeraziłem się. Dopóki byłem ubrany jak kobieta, czułem się bardziej chroniony, ponieważ byłem jego wspólniczką, jego kochanką – powiedział Marco.

– Kiedy zapytał: *Czy ty też chcesz mnie zabić?*, pomyślałem, że właściwie mógłbym – przyznał Manuel. – Ale tylko tak pomyślałem. Na pewno bym tego nie zrobił. Byłem w kompletnej rozsypce.

– Obawiałem się, że coś mi zrobi – powiedział Marco – więc powiedziałem mu: *Jeśli zdecydowałeś się mnie zabić, to przynajmniej postaraj się, żebym nie cierpiał. A poza tym*, dodałem, *pamiętaj, że jeśli mnie zabijesz, będziesz miał problem z pozbyciem się dwóch ciał*. W tym momencie się uspokoił.

– Nigdy tak naprawdę nie myślałem o pobiciu go czy zabiciu – powiedział Manuel – ale że był ścierwem, to tak, to pomyślałem. Myślałem o tym, jak zwabił Varaniego do mojego domu, byłem wściekły, a potem zobaczyłem go, jak płacze, i cała agresja po prostu wyparowała. Jakby mnie tym rozbroił.

Marco zobaczył, jak spokój powraca do oczu Manuela, Manuel zobaczył, jak strach odpływa z rysów Marca. Moment konfliktu minął. Marco próbował jeszcze grać na czas („znowu był wieczór, próbowałem grać na zwłokę, czekałem na zamknięcie sklepów, bo nie chciałem wlec się do Leroy Merlin po tę łopatę"), ale w końcu zgodził się na propozycję Manuela.

– W porządku, posprzątajmy.

Wrócili do sypialni. Zapalili światło. Podnieśli zwłoki z podłogi, położyli na łóżku i ponownie przykryli kołdrą. Zebrali i wynieśli ubrania. Marco zabrał brudne szklanki z salonu, odniósł je do kuchni, wziął nóż i młotek, złożył pudełka po pizzy i wyrzucił je do kosza na śmieci. Manuel śledził go wzrokiem, ale w pewnym momencie zamarł.

Choć niewiarygodne, uczucie było prawdziwe, Manuel zastanawiał się, czy to się dzieje naprawdę, czy też koszmar, którego byli bohaterami, wszedł w nich i teraz bawił się pociąganiem za sznurki jego umysłu. *Luca*. Spojrzał

na drzwi do sypialni.

– Słyszałem, jak Luca oddycha. Wiem, że to absurdalne. Był martwy od wielu godzin. Spaliśmy z trupem bez żadnych śladów życia. Ciało było zimne, kiedy podnieśliśmy je z podłogi. A jednak słyszałem, jak oddycha. Rzęził. Miałem to w uszach. Zebrałem się więc na odwagę i poszedłem do sypialni. Jak tylko wszedłem, rzężenie ustało. Ciało wciąż tam było, stałem, patrząc na nie i czekając nie wiadomo na co. Oczywiście nic się nie wydarzyło. Ale kiedy wróciłem do salonu, rzężenie znowu wróciło.

Marco w tym czasie napełnił wiadro wodą, wlał detergent, namoczył ścierkę i przesunął nią po podłodze.

– Padłam na kolana i zaczęłam myć podłogę, wyglądałam całkiem jak Kopciuszek. Starałam się umyć ją dokładnie, ale wtedy zobaczyłam szmatę nasączoną krwią i powiedziałam „dość”.

Marco upuścił ścierkę. Podniósł się. Jego policzki znów pokryły się łzami. Powiedział Manuelowi, że to, do czego zmusza siebie i jego, nie ma sensu, zachowali się ohydnie i nadszedł czas, by umrzeć, przynajmniej, jeśli chodzi o niego.

– Mówisz poważnie? – zapytał Manuel.

– Oczywiście, że poważnie.

– A jak chciałbyś się zabić? Nożami?

Marco potrząsnął głową.

– Chciał się zabić, ale nie nożem – powiedział Manuel. – Życzył sobie mniej krwawej śmierci. Pomyślałem, że może uda mi się go jeszcze od tego odwieść, wszystko było takie zagmatwane, zdecydowaliśmy się raz jeszcze wyjść z domu.

Manuel zebrał rzeczy Luki. Jego ubrania, buty, telefon komórkowy. Wszystko włożył do plecaka. Z jednej strony zaczynał zdawać sobie sprawę z sytuacji, w której się znaleźli. Z drugiej, niczym nagłe przejaśnienia na zasnutym chmurami niebie, od czasu do czasu jawiła się mu iluzja jakiejś drogi ucieczki. Ale dokąd mieliby uciec? Było wpół do ósmej wieczorem, w jego domu leżały zwłoki, a nad całym miastem ponownie zapadała ciemność.

– Chodź, pójdziemy się czegoś napić – powiedział Manuel.

Raffaele Braga miał trzydzieści jeden lat, mieszkał w Guidonii Montecelio i codziennie przemierzał tam i z powrotem trzydzieści kilometrów, które dzieliły go od Rzymu. W dzielnicy San Giovanni znajdowała się Cafe Oval, w której pracował. Minimalistyczny wystrój, stoliki na zewnątrz, dobrze zaopatrzone półki z alkoholem.

Tamtego piątkowego wieczoru Raffaele krążył między stolikami a barem. Minęła dwudziesta pierwsza, w lokalu robiło się gęsto, ale nie był jeszcze pełny. Dwie dziewczyny piły drinki, siedząc na hokerach. Dwaj mężczyźni zajmowali stolik na zewnątrz. Trzymali się w sporej odległości od innych, nie byli stałymi bywalcami, ten z tyłu był przygarbiony, drugi miał na sobie jakąś ciemną kurtkę do kolan. Po kilku minutach facet w kurtce wstał i podszedł do baru. Zamówił dwa kieliszki białego wina i wrócił do kolegi.

Po ich obsłużeniu Raffaele wrócił do środka. Kiedy dwa tygodnie później wezwali go karabinierzy, powiedział, że jeśli ci dwaj faceci mieli jakąś jedną cechę wspólną, to bez cienia wątpliwości może powiedzieć, że wyglądali „całkowicie normalnie".

Po wyjściu z domu, Marco i Manuel przez jakiś czas kręcili się po San Giovanni. Na via Magna Grecia, nie zwracając uwagi na patrole karabinierów, zatrzymali się obok kosza na śmieci. Manuel wysiadł z samochodu i wyrzucił plecak Luki z ubraniami i telefonem komórkowym Varaniego w środku. Następnie udali się do Cafe Oval.

– Chcę umrzeć – oznajmił Marco Prato, kiedy wypił wino.

Był już ubrany jak mężczyzna. Jedynymi śladami poprzednich dni były lakier na paznokciach i rozmazany makijaż pod oczami.

Manuel próbował go uspokoić. Marco nadal szeptał:

– Co myśmy zrobili… co myśmy zrobili… Boże, zasługujemy na śmierć.

– Poczekaj – powiedział Manuel. – Teraz wypijemy kolejny kieliszek i zastanowimy się spokojnie, co należy zrobić.

– Odebraliśmy życie dwudziestotrzyletniemu chłopakowi – powiedział

Marco – zabawiliśmy się w Boga. Teraz nadszedł czas zapłaty. Chcę umrzeć, a ty musisz mi pomóc.

Powiedział, że chce popełnić samobójstwo za pomocą tabletek nasennych. Wiedział, że Manuel miał w domu receptę na Minias. Dwie jednomiligramowe tabletki i śpisz całą noc. Cztery słoiczki zmieszane z alkoholem i już nigdy się nie obudzisz.

W końcu Manuel przekonał sam siebie, że mu pomoże i będzie to miał za sobą. Zapłacili za wino i wrócili do mieszkania. Weszli do środka i zaczęli szukać recepty, patrzyli na podłogę, otwierali szuflady, dodawali kolejny bałagan do bałaganu, starali się nie patrzeć w stronę sypialni. W końcu ją znaleźli, ale straciła ważność. Manuel poszukał długopisu, zmienił datę, licząc na wyrozumiałość rzymskich aptekarzy pracujących po dziewiątej wieczorem. Teraz problemem były pieniądze. Nie mieli już ani jednego euro.

– Restauracja – powiedział Manuel.

– Oprócz pieniędzy postaraj się zdobyć trochę wódki – powiedział Marco, gdy byli już w samochodzie.

Niecałe dwadzieścia cztery godziny po ucieczce z mieszkania przy via Igino Giordani Tiziano De Rossi ponownie stanął twarzą w twarz z Manuelem Foffo. Syn właściciela wtargnął do restauracji krótko po dwudziestej trzeciej. Tiziano obsługiwał stoliki. Chłopak był wyraźnie poruszony. Znowu zaćpał, pomyślał Tiziano. Pozostali kelnerzy również patrzyli na syna pracodawcy ze zdziwieniem. Manuel ruszył prosto do kasy, wyjął z niej sto pięćdziesiąt euro, po czym otworzył lodówkę. Nie było w niej wódki. Po kolacji kelnerzy Bottarolo proponowali klientom likier lub limoncello. Manuel chwycił butelkę Amaro del Capo, skinął głową zdezorientowanemu personelowi i szybko się oddalił.

Nie można było kupować więcej niż trzy opakowania tabletek nasennych naraz. Najpierw skierowali się do apteki przy via Nazionale. Potem do kolejnej, w pobliżu Porta Pia. W obu przypadkach farmaceuta nie zauważył zmienionej daty na recepcie. Marco wrócił do samochodu z pięcioma paczkami Miniasu. Miał wszystko, czego potrzebował.

Zanim się rozstali, Manuel zaproponował pożegnalnego drinka. Marco się zgodził („mając na uwadze moje zamiary, alkohol był dobrym pomysłem”), więc skręcili w via Livorno. Na długiej, prostej i spowitej ciemnością via Tiburtina pojawił się szyld Dallas Caffè.

– Zatrzymajmy się tutaj – powiedział Marco.

Był to mały lokal naprzeciwko nekropolii Verano. Siedząc przy stolikach na zewnątrz, można było zobaczyć cyprysy. Marco zamówił wódkę, Manuel rum z colą. Patrzyli na siebie bez słowa.

– Manuel, puść mnie już – przerwał milczenie Marco. – Nie zniosę tego dłużej.

– Odwiozę cię do hotelu – zaproponował Manuel.

Marco pokręcił przecząco głową.

– Mini cooper był zarejestrowany na mojego ojca – powiedział karabinierom – osobę, którą kocham najbardziej na świecie. Bałem się, że kiedy popełnię samobójstwo, Manuel ukryje ciało Luki w samochodzie. Wtedy mój ojciec byłby w to zamieszany, miałby kłopoty. Powiedziałem, że nie zostawię mu samochodu.

Manuel wzruszył ramionami, powiedział „zgoda" i zapłacił rachunek. Wyszli z lokalu. Uściskali się na pożegnanie.

– Mam nadzieję, że nigdy więcej cię nie zobaczę, ale nie z uwagi na ciebie – zakończył spotkanie Marco.

Manuel wrócił do domu pieszo. Była trzecia nad ranem. Szedł wzdłuż via Tiburtina, pochylony, z rękami w kieszeniach, cierpliwie, krok za krokiem. Kiedy znalazł się z powrotem na via Igino Giordani, wyciągnął klucze do domu. Wsiadł do windy. Wjechał na dziesiąte piętro, otworzył drzwi mieszkania, zapalił światło, wszedł do salonu i usiadł na kanapie.

Po powrocie do sypialni zapalił papierosa, by pomyśleć. Palił bez pośpiechu. Wypalił jeszcze jednego i poszedł do kuchni. W lodówce miał jeszcze butelkę rumu. Otworzył colę, zaniósł wszystko do salonu i zaimprowizował *cuba libre*. Wypił dwa łyki i odstawił szklankę. Wypalił trzeciego papierosa, wstał, by posprzątać. Musiał jakoś zabić czas. Wyniósł z kuchni worki na śmieci, powrzucał do nich puste butelki i resztki kolacji. Zapełnił dwa pierwsze worki i poszedł z nimi do śmietnika. Każda okazja była dobra, by uciec od trupa.

Kiedy znalazł się na ulicy, zaczęło świtać. Popatrzył na opustoszałe ulice, poczuł ziąb w kościach. Wyrzucił śmieci i wrócił do domu. Co innego mógł zrobić? Znów winda, znów otwieranie i zamykanie drzwi, znów kanapa w salonie. Czuł obecność trupa w sypialni. Wyciągnął papierosa z paczki, przez chwilę bawił się nim, przekładając go między palcami. Przez na wpół zamknięte okiennice zaczynało wpadać światło. O wpół do siódmej brat miał po niego przyjechać i zabrać na pogrzeb wuja. Cóż, pomyślał, spoglądając na

zegarek, już prawie czas.

Nie był jedynym, który urządził sobie kryjówkę w tych okolicach. W pobliżu głównego rzymskiego dworca było kilka takich miejsc. Od lat krążyły plotki. Mnożyły się pokoje do wynajęcia. Klienci przyjeżdżali z całego świata. Jak w Bukareszcie, ale lepiej. Jakiś dzieciak wyszedł z zaułków przy piazza Indipendenza, przeciągnął się, zaczął dzień.

Holenderski turysta zapłacił za kawę w barze przy via Giovanni Lanza i ruszył na spacer. Porta Magica w promieniach słońca. Zapuszczona zieleń i ruiny na piazza Vittorio Emanuele. Kobiety z torbami pełnymi zakupów.

Takich jak on od czasu do czasu spotykał na ulicy, rozpoznawał ich po wypisanej na twarzy desperacji i otaczającej ich aurze dobroczynności. Co jakiś czas któregoś z nich łapali. Ręka sprawiedliwości zaciskała się na ramieniu płaszcza. Nazwisko winowajcy pojawiało się w gazetach, ale nowe wiadomości pożerały stare, więc w ciągu kilku dni było tak, jakby nikt nigdy o niczym nie słyszał. Biznesmen. Radny miejski. Rzemieślnik. Ostatnio nawet sędzia.

Sędzia ów bronił się, wyjaśniając prokuratorowi, że „kierował nim impulsywny pociąg do chłopięcych twarzy". Powiedział, że zawsze pytał chłopców o wiek. Pieniądze były prezentem, a nie nagrodą.

Holenderski turysta patrzył na świetlisty pył, który unosił się z wolna nad targowiskiem. Przy Santa Maria Maggiore wydawało mu się, że czuje za sobą niewielki wir powietrza; wiatr, który odbijał się echem jak czyjś śmiech. Zerknął na zegarek. Nie było czasu na zajście do hotelu. Pospieszył w stronę kryjówki. Teraz czuł zapach przypraw. Potem usłyszał krzyki. Włochy były okrutnie starym krajem. Ogrodem rozwścieczonych i złośliwych starców. Ale w tej okolicy średnia wieku gwałtownie spadała.

The Thrill przy via Giovanni Giolitti. Przyprawiające o mdłości kebabiarnie przy via Daniele Manin. Wieczność objawiała się tu anonimowością. Smród smażeniny. Bawełniane bluzy. Brokat na paznokciach. Niekiedy skórzana kurtka. Olśniewająca paleta nieletnich. Afrykańczycy z Maghrebu. Egipcjanie. Niektóre nastoletnie dziewczyny

z przedmieść przyjeżdżały tu randkować. Jechały rozklekotanym autobusem z Labaro, z Primavalle, przemierzały miasto, znosząc wyboje, szarpnięcia, zgrzyty, skrzypienia, rzucane bluźnierstwa. W trampkach z kolorowymi sznurówkami docierały do okolic dworca.

Ale holenderski turysta był tam dla niewidzialnych.

Byli to głównie Rumuni. Czasem też Egipcjanie, Tunezyjczycy, Libijczycy. Spali po ogródkach, wśród szczurów i worków ze śmieciami. Albo w norach, rowach, kanałach. Skuleni obok siebie, drżący z zimna. Na pięć, góra sześć godzin zapadali w sen pozbawiony śnienia.

Holenderski turysta otworzył drzwi. Wszedł do windy, wjechał na piąte piętro. Zza półprzymkniętego okna patrzył na wieżę ciśnień przy via Giovanni Giolitti. Słyszał świergot jaskółek krążących po niebie. Ktoś zapukał do drzwi. Holenderski turysta poszedł otworzyć. Chłopak tym razem miał na sobie bluzę o dwa rozmiary za dużą. Widzieli się już trzeci raz. Holenderski turysta przeczesał mu włosy dłonią. Chłopak się nie uśmiechnął. Następnie się cofnął, aby Holender poczuł autonomię tego ciała, zanim je sobie weźmie. Wszystko pożyczone, nic za darmo.

– Nie – powiedział mężczyzna. Chłopiec znieruchomiał. Miał właśnie wejść do łazienki. Zamierzał wziąć prysznic, tak samo jak ostatnim razem.

– Nie – powtórzył mężczyzna niższym głosem. Chłopiec nie zrozumiał. Mężczyzna wyciągnął z kieszeni pięćdziesiąt euro, potarł je bezczelnie między palcami i chłopiec zrozumiał. Nie chciał, żeby brał prysznic, chciał poczuć ulicę. Chłopak zdjął bluzę, rozpiął pasek, pozbył się butów, potem spodni, skarpet, bielizny. Nagi, położył się na materacu. Bezczelnie splatając ręce na karku, przywołał w umyśle mężczyzny scenę powtarzaną od tysiącleci. Byli tam, bezimienni, przejezdni. Za sto lat obaj będą martwi, a tego pokoju już nie będzie.

Po upływie godziny to chłopiec patrzył na niebo przez półotwarte okno. Mężczyzna siedział na łóżku. Usłyszał pukanie do drzwi. Cztery zdecydowane stuknięcia.

– Proszę otworzyć!

Ton był jednoznaczny. Holenderski turysta próbował się schronić za tarczą języka.

– *I don’t speak Italian.*

Bezskutecznie. Głos pozostał tak samo stanowczy jak przedtem.

– *Open the door, please. Police!*

Znajdowali się na piątym piętrze. Nie mógł wyskoczyć przez okno.

A drzwi za kilka sekund zostaną wyważone. Poszedł otworzyć. Do pokoju wtargnął niewielki oddział funkcjonariuszy. Zobaczyli chłopca. Ale już wcześniej wiedzieli, że tam jest.

– *This is not your son* – zauważył jeden z agentów.

– *Your passport, please* – powiedział inny. Kazali mu wyciągnąć nadgarstki. Założyli kajdanki. Sprowadzili go po schodach.

Kilka miesięcy później opuściliśmy Rzym.

Wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Pewnego wtorkowego poranka otrzymałem telefon od prezesa ważnej instytucji kulturalnej w Turynie. Następnego wieczoru jadłem z nim kolację. Między przystawką a pierwszym daniem złożył mi interesującą ofertę pracy. Oczywiście, powiedział, trzeba by zmienić miasto, a pomysł przeniesienia się gdzie indziej, uśmiechnął się przyjaźnie, zawsze może zabrzmieć nieco bluźnierczo dla kogoś, kto przez długi czas mieszkał w Rzymie. Powiedziałem mu, że to przemyślę. Tego samego wieczoru opowiedziałem wszystko żonie. Było tuż po północy, kiedy siedzieliśmy na kanapie i rozważaliśmy możliwość zmiany życia z niezwykłym spokojem; podeszliśmy do tematu dużo spokojniej, niż kiedy wybieramy, gdzie jechać na wakacje. Ja miałem ciekawą okazję zawodową, ona mogła pracować zdalnie, w czym problem? Dla pewności zaczęliśmy wymieniać szereg powodów, dla których wyjazd mógł być błędem, i kiedy to robiliśmy, czuliśmy się tak, jakby obiekcje nie pochodziły od nas, ale od jakiejś ponurej obecności, wrogo nastawionej do naszego szczęścia.

Następnego ranka przy śniadaniu, odświeżeni i wypoczęci, wiedzieliśmy już, że podjęliśmy decyzję.

Oderwaliśmy się od Rzymu z ponurą satysfakcją ludzi uwalniających się od złych przyzwyczajeń. Nasi przyjaciele nie dowierzali. „Jesteście pewni?” To było pytanie, które w tamtych czasach słyszałem najczęściej. Zorganizowaliśmy imprezę pożegnalną i przy tartinkach i winie, z wręcz przesadną gorliwością, podkreślaliśmy zalety naszego wyboru. Po co robić sobie krzywdę, mówiliśmy gościom. Pojawiła się niespodziewana perspektywa przeprowadzki do cywilizowanego, uporządkowanego, czystego miasta, w którym pojęcia „pracy”, „życzliwości”, „uczciwości” i „odpowiedzialności społecznej” wciąż miały znaczenie. Mieliśmy szansę zacząć od nowa, głupio byłoby ją zmarnować.

Miesiąc później już nas nie było.

Z moich pierwszych dni w Turynie pamiętam małe codzienne niespodzianki, które wprawiały Chiarę i mnie w stan błogiej ulgi. Wsiadaliśmy do taksówki i nikt nie rzucał obelg w naszą stronę, nie oglądaliśmy dzikich kłótni między taksówkarzem a innymi kierowcami. Wychodziliśmy z urzędu, a problemy biurokratyczne, z którymi w Rzymie męczylibyśmy się miesiącami, rozwiązywał telefon z biura administracji publicznej. W pracy spotkania zaczynały się o czasie, a racjonalność i zdrowy rozsądek były narzędziami, za pomocą których starano się opanować naturalny chaos świata. Wszystko przebiegało normalnie, a nieuchwytne poczucie, że nic się nie dzieje, wynikało, jak sobie wmawialiśmy, z emocjonalnego uprzedzenia, które wkrótce przezwyciężymy.

Minęło jednak kilka tygodni, a moja żona i ja zaczęliśmy czuć się gorzej. Zasłona smutku opadła na nasze twarze i początkowo nie zdawaliśmy sobie sprawy, czym była. Poranne wstawanie było ponure. Wieczorne zagubienie przyprawiało nas o zawrót głowy. Każde z nas widziało potwierdzenie swojego stanu na twarzy drugiego i nie chcąc się z tym pogodzić, odwracało wzrok.

W kolejnych tygodniach cisza stała się niekwestionowanym bohaterem wspólnie spędzanego czasu, więc w pewnym momencie Chiara i ja musieliśmy ze sobą porozmawiać. Problem polegał na tym, że – musieliśmy to przyznać – czuliśmy potworną nostalgię. Straszliwie tęskniliśmy za Rzymem. Może przywiązaliśmy się do miasta tak jak ćpun przywiązuje się do narkotyku, a może przesadna bezczelność, z jaką ogłosiliśmy nasze pożegnanie, była wyrazem złości wobec niewiernego kochanka, od którego uciekliśmy, choć nasze uczucia wcale się nie zmieniły.

Okazja do opuszczenia Rzymu wiązała się z ofertą pracy, ale wiedziałem, że dla mnie wszystko zaczęło się w dniu, w którym stanąłem przed mieszkaniem Manuela Foffo. To właśnie w tamtym miejscu zdałem sobie sprawę ze złego samopoczucia, które towarzyszyło mi przez kilka ostatnich lat. Świadomość tego, co kryło się za policyjnymi pieczęciami, sprawiła, że wszystko inne wyszło na jaw. Co jednak mamy myśleć o sobie, gdy mimo dobrych chęci, a nawet odwagi do działania (przeprowadziliśmy się, dokonaliśmy radykalnej zmiany przyzwyczajeń, przyjaźni, pracy), ze zdziwieniem odkrywamy, że kochamy to, co jeszcze niedawno zatruwało nam krew? Może byliśmy tak przyzwyczajeni do katastrofy, że nie potrafiliśmy się od niej oderwać? Może byliśmy jej częścią? Są miasta żywych zamieszkałe przez umarłych. Są też miasta umarłych, gdzie życie

wciąż ma jakiś sens. Ciągle myślałem o tym morderstwie. Mimo że dostarczyłem zamówiony reportaż kilka miesięcy wcześniej, nie mogłem tej sprawy wyrzucić z głowy. Nie miałem już klienta ani gazety, z którą trzeba było to przedyskutować, nie było już żadnego urzędu czy biura, gdzie trzeba było się wykłócać o pieniądze, nie było żadnego praktycznego powodu, dla którego miałbym jechać do Rzymu. A jednak robiłem to, kiedy tylko mogłem. Przy pierwszej nadarzającej się okazji wsiadałem do pociągu i niecałe pięć godzin później byłem z powrotem w mieście. Na Termini ogarniała mnie fala radości i niespokojnego rozedrgania. Jeździłem metrem, spacerowałem całymi kilometrami, kręciłem się ze ściśniętym gardłem po Tor Pignattara, po Garbatelli. Czy jeszcze będę godny tych miejsc, zastanawiałem się na zakurzonych ulicach, czy też zostanę uznany za outsidera, zdrajcę? Zdrajcę nad zdrajcami. Tak bardzo brakowało mi poczucia absolutnej wolności, która w Rzymie była synonimem nieładu, anarchii i zaniedbania, tak bardzo brakowało mi pewności, przyprawiającej niekiedy o zawrót głowy, że mogę żyć jako zwykła ludzka istota, w stanie nieoswojenia, wolny od więzów państwa, a nawet społeczności, która chce nazywać siebie narodem. (Gdyby miasto było naprawdę wieczne, nie mogłaby istnieć przeszłość, a w konsekwencji nie istniałaby teraźniejszość, którą należałoby szanować, ani przyszłość, o którą należałoby się troszczyć). Czy myliłem katastrofę z wolnością? Nie do uleczenia. Chyba że – myślałem, szukając dla siebie rozgrzeszenia – byłem jak ktoś, kto po ucieczce z płonącego domu wraca po swoich śladach i pędzi w ogień, uzbrojony w szklankę wody.

Podczas moich pobytów w Rzymie hotele sprawiały, że czułem się jeszcze bardziej obco, więc chodziłem spać do domu jednego z przyjaciół przy piazza Sanmicheli. Przed snem odbywałem długie spacery wzdłuż via Casilina, zapachy miasta wydawały mi się inne niż te, które pamiętałem, podobnie jego kolory, wielkość budynków, uliczny ruch. Jakbym na gigantycznej twarzy, oglądanej tak długo, że stała się enigmą, rozpoznał nową zmarszczkę, która – kto wie – mogłaby wszystko uporządkować. Po prawej tory kolejowe, po lewej odrapane budynki. To niewiarygodne, pomyślałem, jak Marco Prato i Manuel Foffo zdołali zniszczyć swoje życie, mordując Lucę Varaniego. Nie zysk finansowy, nie kariera, nie sława, nie osobista zemsta – nie było w tym żadnej klasycznej motywacji, która mogłaby usprawiedliwić to, co się stało. Do tego Foffo i Prato działali w taki

sposób, aby sprowadzić do zera szanse na uniknięcie kary. Zwabiając Lucę na Collatino, sprawili, że wszystko wyglądało tak, jakby szli po własnych śladach, by odprawić rytuał przygotowywany z drobiazgową nieświadomością przez poprzednie miesiące.

Foffo był w konflikcie z ojcem, czuł się stłamszony, upokorzony, zastraszany, ale nigdy nie zdobył się na konfrontację. Jedynym ciosem, jaki zadał tacie, było przyznanie się do morderstwa. Wtedy naprawdę poczuł, jak ojciec się chwieje. I może, wraz z poczuciem odpłaty, odczuł smutek ogarniający nas wtedy, gdy ranimy tych, którzy – jak myślimy – zdradzili naszą miłość. Zamknięty w samochodzie zmierzającym na pogrzeb wuja, zatopiony w więzi łączącej synów z ojcami, Manuel mógł delektować się tą wieczną chwilą, w której młody zwycięża starego, a role dominacji zostają odwrócone. Ale odwet był niemożliwy, znalazł się w ślepym zaułku, tym bardziej, że ten moment minął, czas znów zaczął biec, a duch ojca nie został złamany.

Marco także skarżył się na brak uznania. Jego matka, jak mówił, nie mogła na niego patrzeć, nie akceptowała go takim, jakim był, a na jego oddanie odpowiadała milczeniem. Nawet miłość Leda, niekwestionowana ojcowska miłość, może nie wystarczała lub nie była dość silna, aby przełamać potępienie, które Marco czuł na sobie i z czasem je egzorcyzmował, stając się histrionem, kameleonem, prestidigitatorem próbującym za pomocą swoich sztuczek zasypać wyrwę. Ale co się dzieje, gdy nie potrafimy przekroczyć lustra, uśmierzyć bólu i dlatego wymyślamy kodeks, na którym opieramy nasze życie; kodeks, który polega na błędnym kole wymazywania i przywracania wstydu. I nie potrafimy się z niego wyrwać. (Moja żona, gdy z nią o tym rozmawiałem, uznała, że byłoby to wręcz wzruszające, gdyby nie chodziło o morderstwo; miała słabość do ludzi, którzy w reakcji na osobiste katastrofy okraszają blichtrem pustkę, po której stąpają).

Nie pokonali ojca, nie zmienili postawy matki. Zniszczyli samych siebie. Było w tym coś jeszcze. Pewnego popołudnia podczas jednego z moich pobytów w Rzymie, zatrzymawszy się w barze niedaleko mostu Mulwijskiego, przeczytałem w gazecie długi raport, który zdawał się dodawać nieszczęście do nieszczęścia. Wyszło na jaw, że międzynarodowa siatka pedofilska działała przez jakiś czas w Rzymie w okolicach dworca Termini. Mieszkałem w pobliżu dość długo, ale nigdy tego nie zauważyłem. (Gazety donoszą o okropieństwach, mówiłem sobie, nie donoszą

o normalności, o „ludziach z ich inteligentną obojętnością i smutną rozpaczą”, jak pisał aktywista i polityk Marco Pannella, Rzym też taki jest, zapasy zdrowej normalności, tony banalnego smutku przeciwstawia potwornościom). Jednak już po chwili co innego przyszło mi do głowy. Musisz zarezerwować samolot do Rzymu. Musisz wynająć pokój, w którym nie będą cię pytać o dokumenty. Musisz skontaktować się z pośrednikiem. Krótko mówiąc, od początku do końca będziesz świadomy tego, co robisz. Pedofil aresztowany w obskurnej kawalerce przy via Cattaneo wiedział, że popełnił przestępstwo, wiedział, że złamał prawo moralne, które podeptał w imię własnej chuci, jeśli nie wręcz prawo boskie, któremu rzucił wyzwanie. Ale co pozostaje z winy, gdy przestępca nie jest już zdolny jej rozpoznać? Marco Prato i Manuel Foffo nie mieli pojęcia, że będą zdolni do popełnienia morderstwa, gdy spotkali się po raz pierwszy. Nie zastanawiali się nad tym, gdy zobaczyli się po raz drugi, a nawet w marcu, kiedy zamknięci w domu pogrążyli się w obłędzie, nie zdawali sobie sprawy z tego, co robią, dopóki nie zobaczyli, że to robią. Wyglądało na to, że mogli nie być świadomi, co robią, *w czasie, gdy* to robili. „To się dzieje naprawdę”, pomyślał Manuel, gdy rozpoczęła się masakra. Chociaż każdy z nich opowiedział karabinierom o zbrodni w inny sposób, dodając lub usuwając szczegóły istotne z procesowego punktu widzenia, mówili o tym tak, jakby tego nie zrobili oni, ale *coś innego*, jakiś mroczny reżyser, który przejął kontrolę. Manuel przyznał się do wszystkiego swojemu ojcu, a Marco próbował popełnić samobójstwo. A jednak obaj zdawali się wskazywać raczej na tajemniczy związek przyczynowo-skutkowy niż na klasyczny rodzaj winy. To właśnie tutaj, jak sądziłem, miał swój udział narrator. Uznanie własnej odpowiedzialności za obrzydliwy czyn stawało się na poziomie emocjonalnym męką nie do zniesienia. Nikt już nie mógł się obwiniać, nikt nie przyznawał, że sam może wyrządzić zło. Czy to był masowy narcyzm? Czy był to strach przed społeczną dezaprobatą, która znalazła pod pręgierzem swój ulubiony spektakl? Świadomych przestępców zastępowali nieświadomi mordercy, szczerzy kłamcy, wierni zdrajcy, miłosierni złodzieje i odpowiedzialni oszuści. Nie było już człowieka, który wbija nóż, wiedząc, co robi, ale przestępca zaskoczony, że został za takiego uznany, mimo że zrobił dokładnie to, co ludzie tacy jak on robią od zawsze. Jaką można było mieć nadzieję, że Marco i Manuel uznają się za winnych – i że zrozumieją, przekroczą lustro, za którym w końcu dostrzegą *Lucę*, swoją ofiarę? Trudno było przypisać Marcowi i Manuelowi jakiekolwiek

rzeczywiste planowanie zbrodni, jednak droga prowadząca do morderstwa miała taki kształt, jaki tylko oni mogli naszkicować. „Gdy tylko na niego popatrzyłem, *zrozumiałem*”, powiedział Manuel, wspominając moment, w którym Luca przekroczył próg mieszkania. Ale *co* zrozumiał? „Spojrzałem na niego. Potem spojrzałem na Marca i to było tak, jakbyśmy bez słów powiedzieli sobie: *To on*”.

Wyobrażanie sobie Luki jako kogoś predestynowanego do bycia ofiarą byłoby bluźnierstwem. Należało raczej doszukać się aktu woli w tym, co Manuel i Marco zdawali się przypisywać dopasowaniu do siebie różnych elementów układanki. Nie on jako predestynowany, ale oni jako prawdopodobni przyszli kaci. Ale kiedy, zastanawiałem się, to prawdopodobieństwo przerodziło się w pewność? Odpowiedź na to pytanie chwytała za włosy i ściągała w dół, do tego, co mroczne, nocne, pierwotne. Luca nie miał doświadczenia ani postury Alexa Tiburtiny, nie był tak bystry jak Tiziano De Rossi, raport kryminologiczny podkreślał jego słabość pod każdym względem w stosunku do napastników. Ponadto Luca był potulny. Niektórzy komentatorzy nadal obwiniali kokainę. Inni upierali się przy temacie orientacji. Twierdzili, że homofobia Luki – w żaden sposób nieudowodniona – wzbudziła nienawiść Marca i Manuela, albo wręcz przeciwnie, że to brak akceptacji dla własnej homoseksualności wywołał u nich tę agresję. Żyliśmy w zacofanym kraju, straszliwie zacofanym w tych kwestiach, ale postrzeganie własnych i cudzych preferencji erotycznych, tak myślałem, było w tym przypadku jednym z filtrów, przez który przedostawało się coś bardziej pierwotnego. Cień padający na nas od zarania dziejów. Zniszczyć najsłabszych. Albo osłabić najsilniejszego, a potem go unicestwić. Agresja jako gwarancja przetrwania. Uderzenie, by uciec od strachu przed uderzeniem. Poczucie bezsilności każące sprowadzić drugą osobę do bezsilności. Poczucie, że jest się w niebezpieczeństwie, by sprowadzić niebezpieczeństwo na tego drugiego. Czuć się niczym i sprowadzić drugiego do nicości. Pozwolić się pokonać tej słabości, temu atawistycznemu lękowi, oznaczało dokonać wyboru. To tu należało wyśledzić indywidualną odpowiedzialność w tej epoce, w której pojęcie „odpowiedzialności” rozpływało się coraz bardziej, niczym retoryczne kręgi na wodzie. W przeciwnym razie mielibyśmy do czynienia albo z barbarzyństwem, albo też, gdyby nauki ścisłe (ku którym spoglądali z nadzieją liczni prawnicy) sprowadziły każdy nasz gest do serii reakcji chemicznych i impulsów elektrycznych, koncepcja winy rozpłynęłaby się

wraz z koncepcją wyboru, a my pozostalibyśmy na zawsze uwięzieni w wolności od winy.

Czy byliśmy nierozróżnialnie stopieni w jedno z instynktem dominacji? Kto mógł zerwać tę więź? Czy było to zadanie wychowania, kultury? Ale kultura i wychowanie same w sobie nie stanowią bynajmniej przeciwieństwa przemocy.

Nie potrafiłem zrozumieć. Zamknąłem gazetę, spojrzałem prosto przed siebie. Światło padało na korty tenisowe i piękne kolorowe domy, a ptaki przelatywały z jednego brzegu rzeki na drugi.

Mewy

Część piąta

To ładne, powiedział diabeł za plecami Adama. Ale… czy to sztuka?

Orson Welles

Śpią w jednym łóżku, ale śnią różne sny.

Zhou Enlai

Powróciło lato. Cienie przechodniów na Eskwilinie, na Casal Bertone, na Tor Pignattara wydłużały się. Panował niemiłosierny skwar. Portierzy godzinami patrzyli na ulicę. Nagie ramiona dziewcząt. Starsi mężczyźni przesuwający się powoli po dziurawej nawierzchni. W weekendy ludzie uciekali nad morze, a kto mógł, wychodził z pracy w środku tygodnia. Opustoszałe biura. Błękitne niebo. Nieodebrane telefony. Była to jedna z największych przyjemności mieszkańców: zamoczyć nogi w Morzu Tyrreńskim i rozmawiać o głupotach, jakby tam na brzegu można było już tylko patrzeć z góry na smutne kłopoty żywych.

To właśnie w tej aurze wiecznego rozprzężenia – identycznej co roku, ale co roku gorętszej – przyszło Rzymowi wybierać swojego pierwszego obywatela. Dwa tygodnie później zakończyła działalność tymczasowa administracja i miasto formalnie wróciło do normalności. Odszedł nadzwyczajny komisarz, przyszła nowa burmistrz. Pierwsza w historii kobieta na stanowisku włodarza Rzymu.

Sytuacja, którą obserwowałem z Turynu, nie wróciła do normy. Miasto nadal tonęło w chaosie, tym bardziej dojmującym przez obecność tych, którzy na mocy mandatu społecznego trzymali ster łodzi.

Burmistrz – wybrana na fali protestów przeciwko starej klasie politycznej – zdawała się jeszcze bardziej bezsilna niż jej poprzednicy. Turyści zderzali się z bezkresem niedogodności. Ekshibicjoniści pływali nago w fontannach. Wszędzie piętrzyły się góry nieczystości. Zdjęcia tej katastrofy obiegły cały świat. Pojawiły się artykuły w zagranicznych gazetach. *Rzym w ruinie* („The New York Times”). *Reputacja miasta bliska zeru* („Le Monde”). Część obywateli zaczęła protestować przeciwko tym, którzy na znak protestu wsparli nowy kurs polityczny. Inni protestowali przeciwko tym, którzy protestowali.

Zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Autobusy stawały w płomieniach niczym buddyjscy mnisi w akcie samospalenia. Na Torre Rossa, na via del

Tritone, pośrodku piazzale dei Cinquecento. Okazało się, że niepokojąco częste samozapłony wynikały z niskiej jakości komponentów montowanych w pojazdach przez mechaników miejskiego przedsiębiorstwa transportowego, co z kolei wynikało z ograniczonych funduszy. Pod koniec czerwca bawiące się wśród żywopłotów na Colle Oppio dzieci znalazły gigantyczny świński język. W weekendy na Campo de' Fiori chłopacy okładali się butelkami. Na Tuscolano wybuchały krótkie miejskie bitwy, toczone na śmieci zebrane z ulicy. Sklepikarzy na Centocelle atakowali czyściciele kamienic, by zmusić ich do opuszczenia okolicy. Kiedy ci pierwsi z opuchniętymi twarzami zwracali się o pomoc do znajomych policjantów, mogli poza protokołem usłyszeć nieoczekiwane rady: „Jeśli chcesz, przydzielimy ci eskortę, ale w takim razie przygotuj się na życie ściganej ofiary. Masz żonę, masz dzieci, masz trochę pieniędzy, co cię tu, kurwa, trzyma. Jeśli chcesz mojej rady, sprzedaj wszystko i wyjedź". Roboty publiczne, opóźnione i byle jak prowadzone, pochłaniały coraz więcej pieniędzy, a tych było coraz mniej. Zwykli ludzie, nieufni wobec sytuacji gospodarczej, wystawiali swoje mieszkania na Airbnb. Z przedmieść parła do centrum niespokojna fala nowych biednych, pozbawionych domów, pracy, skrzywdzonych przez los. Wszystko się psuło, choć nadal istniało.

Do plagi szczurów dołączyła plaga mew. Złośliwe, rzucające szkliste spojrzenia, panoszyły się wszędzie. Grzebały w śmieciach, pożerały truchła małych zwierząt, pikowały bez lęku w kierunku każdego źródła pożywienia.

„Zjadają nas żywcem", komentowali Rzymianie, wyrażając irytację lub myślenie życzeniowe.

Chociaż od śmierci Luki Varaniego minęło kilka miesięcy, zainteresowanie sprawą nie słabło. Karabinierzy przy piazza Dante nadal słuchali opinii ekspertów, przesłuchiwali świadków, dalej wypełniali wnioski i sporządzali raporty. Wciąż kręcili się dziennikarze polujący na nowe wiadomości.

Zamknięci w więzieniu Regina Coeli Marco i Manuel nigdy więcej się nie widzieli ani ze sobą nie rozmawiali. Każdy z nich był jednak zmuszony doświadczać towarzystwa tego drugiego. Marca nieustannie pytano o Manuela, Manuela nieustannie pytano o Marca. Kiedy przed morderstwem roili sobie, że gdy zrobią coś wielkiego, będą ze sobą związani na zawsze, nie *to* sobie wyobrażali. Nie mieli szansy zastanowić się nad tym, co oznacza niemoc zerwania więzi. Ich umysły, sczepione ze sobą podczas dni majaków, rozeszły się, następnie ostygły, a teraz macerowały się w resentymencie.

Zamknięci w mroku więziennych cel, z dala od swoich domów, uczuć i dotychczasowych nawyków, z przerażeniem zdali sobie sprawę, że tak niedaleko, nieosiągalny, a jednak niezwykle bliski, oddzielony zaledwie pół tuzina korytarzy, jest *ten drugi*, osoba, bez której by się tam nie znaleźli.

Nie przestawali oskarżać się nawzajem.

Manuel Foffo mówił śledczym, że to Marco zadał Luce Varaniemu ranę kłutą serca i że to ona była śmiertelna. Marco Prato twierdził, że nigdy nawet nie dotknął Luki żadnym narzędziem. Manuel mówił, że został zmanipulowany przez Marca. Marco twierdził, że zadurzył się w Manuelu i że to miłosne szaleństwo sprawiło, że popełnił błąd i został jego wspólnikiem w zabójstwie.

Choć poczynione w trakcie śledztwa ustalenia dostarczyły dość materiału, by dało się z niego wysnuwać najprzeróżniejsze narracje, sugestia dźgnięcia prosto w serce była nieodparta na poziomie symbolicznym. Kto zadał ostateczny cios?

Spekulowano, wysuwano hipotezy, zasięgano opinii ekspertów i pisano wstępniaki do gazet, dopóki prokuratura nie upubliczniła wyników oficjalnie zleconych przez siebie badań.

Testy wykazały obecność GHB we krwi Luki Varaniego znacznie przekraczającą dawkę typu rekreacyjnego. Ilość kokainy z kolei była zgodna z typowym użyciem rekreacyjnym i nie wykluczała dalszego spożycia w bliskiej przeszłości. Ekspertyza kryminalistyczna z kolei miała pomóc w ustaleniu, kto posługiwał się narzędziami zbrodni. Badania ujawniły „obecność materiału genetycznego", należącego nie tylko do ofiary, ale też: a) zarówno do Manuela Foffo, jak i Marca Prato, jeśli chodzi o trzonek młotka; b) tylko Marca Prato, jeśli chodzi o rękojeść kuchennego noża; c) wyłącznie Luki Varaniego na nożu o krótkim ostrzu, który został wbity w jego klatkę piersiową. W przypadku tego ostatniego ekspert stwierdził, że wynik był spowodowany przeważającą ilością DNA pochodzącego z krwi ofiary, która mogła przykryć inne ślady.

W końcu zaś raport lekarza sądowego stwierdzał, że nie było żadnej śmiertelnej rany kłutej. Pomimo niewiarygodnej liczby ciosów i furii, z jaką zostały zadane, nie było ani jednego, który można by uznać za „decydujący". Albo, patrząc na to inaczej, *wszystkie ciosy* były decydujące.

Luca Varani wykrwawił się na śmierć.

Wszyscy boimy się losu ofiary. Kogoś okradzionego, oszukanego, napadniętego, zdeptanego. Trudniej jest bać się czegoś przeciwnego. Modlimy się do Boga lub losu, by nie pozwolił nam spotkać mordercy na ulicy. Ale jaką emocjonalną przeszkodę musimy pokonać, by wyobrazić sobie, że pewnego dnia to my możemy wcielić się w rolę kata?

Zawsze jest: *Proszę, nie pozwól, żeby mi się to przytrafiło*. I nigdy: *Proszę, obym nie był tym, który to zrobi*.

– Gdyby Marco i Manuel się nie spotkali, to morderstwo nigdy nie zostałoby popełnione.

To słowa Francesca Scavo. Wieczór wcześniej przyjechałem z Turynu do Rzymu, a teraz siedziałem z nim przy stoliku w barze naprzeciwko sądu. Po drodze na spotkanie mijałem piazzale Clodio, gdzie miejska przestrzeń nagle się otwiera i pozwala spojrzeć na Monte Mario i dostrzec kopuły obserwatorium astronomicznego.

– Sprawy, nad którymi pracowałem przez ostatnie piętnaście lat, dawały mi do myślenia. Jestem osobą otwartą. Ale perspektywa, jaką otworzyło przede mną to morderstwo, jest zdumiewająca.

Scavo siedział tuż przy mnie. Okulary w lekkich oprawkach, kosmyk czarnych włosów opadający na czoło, wiecznie skupione spojrzenie.

Pierwszym destabilizującym aspektem, powiedział, była łatwość, z jaką dwóch zupełnie normalnych facetów splamiło się taką zbrodnią. Śledczy byli przyzwyczajeni do profesjonalistów. Do przestępczości zorganizowanej. Terroryzmu. Morderstw rodzinnych oczywiście też. Albo drobnych bandytów. Do ludzi, których motywacja była jasna. Gdyby Manuelowi Foffo i Marcowi Prato powiedziano pod koniec lutego, że za tydzień trafią do więzienia pod zarzutem zabójstwa dwudziestotrzylatka (ofiary, która dla Manuela Foffo nie miała nawet imienia), uznaliby to za fabułę jakiegoś filmu *science fiction*.

Według treści oskarżenia pełna poczytalność sprawców nie ulegała

wątpliwości. To prawda, Manuel i Marco byli odurzeni narkotykiem, gdy Luca Varani wszedł do mieszkania, ale dobrowolnie zdecydowali się kupić tę kokainę i jej użyć. Prawdą było również, że w przeciwieństwie do klasycznego morderstwa z premedytacją brakowało udowodnionego planowania (na przykład wcześniejszego zakupu broni), ale niezależnie od tego, jak trudno było tego dowieść, oskarżenie wskazywało na rodzaj *psychologicznej premedytacji*, to jest splecionej woli, która najpierw uwierzyła, że chce morderstwa, potem naprawdę go chciała, a następnie dokonała zbrodni.

Druga ważna kwestia nie miała znaczenia karnego, ale według Francesca Scavo dawała wiele do myślenia.

– Dorośli krytykują młodych ludzi. To normalne – powiedział. – Kiedy ja byłem młody, dorosłych przerażały nasze długie włosy, gardzili muzyką, której słuchaliśmy, sposobem, w jaki się ubieraliśmy, byli bardzo sceptyczni wobec wartości, w które, jak się nam wydawało, wierzyliśmy, i o które wielu z nas było gotowych walczyć, przynajmniej deklaratywnie. Ale dzisiejsi młodzi – pytał – o jakie dokładnie wartości walczą? Wielu z nich, niezależnie od klasy społecznej, jeśli im powiesz, że dostaną posadę w administracji publicznej, gdzie będą zarabiać tysiąc osiemset euro miesięcznie, odpowiedzą pogardliwie: *A co to jest tysiąc osiemset euro?*

Scavo, człowiek inteligentny, był jak najdalszy od wyszydzania ich. Odczuwał współczucie i smutek, wielki smutek. Mógł zajrzeć głęboko w ich serca, ale kiedy już znalazł to, czego szukał, co jeszcze mógł zrobić?

– Uderzyło mnie to, że wielu z nich pochodzi z dobrych rodzin.

Tym razem mówił jeden z tych karabinierów, którzy byli najbardziej aktywni w śledztwie. Odnosił się do przyjaciół Marca Prato. Udało mu się uzyskać kluczowe informacje, nie dając chłopakom wrażenia, że ich osądza.

Nawet teraz pozostał wierny swojej roli i starał się nie szafować osądami. A że – o czym był przekonany – świat skręcił w dziwną stronę, cóż, to mógł powiedzieć bez obrażania kogokolwiek.

– Wszyscy byliśmy młodzi, wszyscy robiliśmy głupoty. Ale jeśli to, co my robiliśmy, porównam *z ich* stylem życia, to zdaję sobie sprawę, że przeżyłem młodość w stanie totalnej naiwności.

Potrafił zrozumieć sposób myślenia młodych ludzi z przedmieść. Znał dzieci bezrobotnych, rabusiów, narkomanów. Jeśli ktoś dorastał w patologicznej rodzinie czy tam, gdzie spotykały się nędza i przemoc, to

było oczywiste, w imię czego będzie kwestionował ustalony porządek. W takich przypadkach siły porządkowe wiedziały, jak się zachować, a jeszcze wcześniej wiedziały, co myśleć. Łatwiej jest przeciwdziałać przestępstwom, gdy jest jasne, czym kieruje się sprawca. Ale to, że zupełnie normalni młodzi ludzie, którym nie brakowało niczego pod względem materialnym, wydawali się żyć jak prawdziwi desperaci – bo czym innym były ćpanie, kompletna niezdolność skupienia się na własnej tożsamości, absurdalny niepokój o to, jak osądzają ich inni, brak szacunku dla własnych ciał, chory stosunek do pieniędzy, lekceważenie tego, że marnują długi okres własnego życia – to wprawiało go w stan kompletnej konsternacji.

– Niektórzy z nich w rozmowach na WhatsAppie mówią z pogardą o transporcie publicznym. Jeśli nie mają pieniędzy na taksówkę, czują się gorsi. Nazywają metro *trascinapoveri*. Biedociąg. Dwudziestoletni chłopcy. Ja nawet teraz korzystam z transportu publicznego. Kiedy ich słuchałem, musiałem się naprawdę postarać, żeby nie czuć się urażonym.

Krewni przychodzili na widzenia w więzieniu Regina Coeli.

Manuela przez wiele miesięcy odwiedzali kilka razy w tygodniu brat, matka i ojciec.

– Tamten drugi zrzuca na ciebie całe gówno – powiedział Roberto podczas jednej z pierwszych wizyt. – Mówi, że to ty o wszystkim zdecydowałeś, że on był tylko tobie posłuszny.

Kiedy mówili o Marcu, niemal nigdy nie wymieniali jego imienia. Określali go *ten* lub *tamten drugi*.

– Ale to *ja* byłem szantażowany – zaprotestował Manuel. – To *on* wydobył ze mnie ten cały stłumiony gniew.

– Drań podżegał cię do przemocy – powiedział Roberto – ależ bym chciał dostać go w swoje ręce.

Próbowali uspokoić Manuela, pocieszając w ten sposób również samych siebie. Umniejszanie jego odpowiedzialności pozwalało im nie myśleć o tym, że jego wina nie podlega dyskusji, chroniło ich wszystkich przed szaleństwem.

– Jak spędzasz dni?

Manuel powiedział, że w więzieniu traktują go dobrze. Nadal przebywał w izolatce. Dostawał posiłki o stałej porze. Miał regularne rozmowy z psychiatrami. Każdego dnia podawano mu pigułkę stabilizującą nastrój i środek uspokajający. Strażnicy więzienni starali się go poznać. Nie wszyscy go lubili, ale większość szybko zrozumiała, że nie jest więźniem, który może stwarzać problemy. Podziękował matce za przyniesienie mu bielizny na zmianę. Powiedział, że jest jakiś problem z kąpielą.

– Nie mam żelu pod prysznic.

Jeśli wysłali mu żel z domu, straż więzienna niczego nie dostarczyła.

– Możesz go kupić w więziennej kantynie – powiedział ojciec.

– Co tydzień przelewamy ci siedemdziesiąt pięć euro na kartę – dodał brat.

– W porządku, dziękuję.

Wrócili do rozmowy o morderstwie.

Roberto powiedział, że adwokat i biegli pracują nad jego sprawą, cały zespół jest bardzo zaangażowany.

– Zobaczysz, wszystko się dobrze ułoży.

Pozycja *tamtego drugiego*, kontynuował Roberto, była znacznie gorsza. Istniały jakieś precedensy, w gazetach pisano, że kilka miesięcy wcześniej Marco Prato porwał jakiegoś chłopaka, odurzył narkotykami i znęcał się nad nim. Był *recydywistą*. Sędziowie nie mogli tego zignorować.

– Widziałem to jego przestępcze spojrzenie – powiedział Manuel.

– Podżegał cię – powtórzył Roberto.

– Zmanipulował mnie psychicznie – podkreślił Manuel.

– Ale to prawda, że tamten chłopak był torturowany, jak piszą w gazetach, czy nie? – zapytał ojciec.

– To prawda – przyznał Manuel po raz nie wiadomo już który.

– Prawdą jest również, że byliście na kokainowym haju – dodał ojciec. – Ale czy to nie był zanieczyszczony narkotyk?

– Jeśli nawet tamten zniszczył dowody, są jeszcze biegli – stwierdził Roberto. – Praca zespołu kryminalistycznego udowodni, że…

– Słuchajcie, powiem to od razu – przerwał im Manuel. – Jeśli przychodzą wam jakieś dziwne pomysły, wybijcie sobie z głowy, że nie jestem winny. Bo ja *jestem* winny.

– Tak, oczywiście – zgodził się Roberto – ale wszystko zaczęło się z inicjatywy tego drugiego.

– Ja nic z tego nie rozumiem – włączyła się pani Daniela. – Cała ta sprawa jest taka absurdalna.

Bracia pospieszyli, by uciszyć matkę. Manuel podziękował jej za całą pomoc, której starała się mu udzielić. Ale, powiedział, nie ma sensu, żeby zadawała pytania dotyczące prawnego aspektu sprawy, nie ma narzędzi, by zrozumieć, o czym rozmawiają. Roberto powiedział, że następnym razem będzie lepiej, jeśli spotkają się bez niej.

W kolejnych tygodniach odwiedzali go tylko ojciec i brat. Nadal rozmawiali o strategii obrony. O życiu w więzieniu. Manuel naprzemiennie przeżywał chwile przygnębienia i takie, w których mógł nawet wyobrazić sobie przyszłość. To właśnie wtedy zaczął mówić o start-upach.

– Ostatnio o tym myślałem.

– Twoje projekty ruszą do przodu – pocieszył go Roberto. – Pomogę ci,

żebyś mógł się nimi zajmować również tutaj.

– W plecaku mam wszystkie materiały do tego projektu.

– Zdobędę je dla ciebie – powiedział Roberto. – I skontaktuję cię z programistą, postaram się załatwić widzenie.

– Najpierw plecak – powiedział Manuel – potem papier i długopis. Tutaj nadal nie pozwalają mi używać długopisów ani ołówków, boją się, że mogę sobie nimi zrobić krzywdę.

– Będziesz mógł używać długopisów – zapewniał Roberto. – I odzyskasz zawartość plecaka. Skontaktujemy cię z programistą. Odzyskasz wszystko.

– Ale na tych materiałach będzie nadal moje nazwisko – spochmurniał nagle Manuel – a ono na zawsze będzie związane z tą historią. Prawda jest taka, że jestem skończony.

Martwił się. A kiedy się martwił, myślał o innym problemie. Więzienie, powiedział, dało się znieść, myśl o dożywociu była okropna, ale mógł sobie z tym poradzić. W jednej tylko sprawie czuł się całkowicie zdany na łaskę losu.

– Rzecz w tym, że teraz wszyscy uważają mnie za ciotę.

– Kto uważa cię za ciotę?

– Moi przyjaciele, znajomi, nieznajomi. *Całe Włochy*.

– Nie myślą, że jesteś ciotą, to tamten drugi jest ciotą.

– Roberto, ja z nim byłem. Był ubrany jak kobieta.

– I co z tego? Z powodu jednego dupczenia masz być od razu ciotą? Byłeś aktywną stroną. Ludzie wiedzą, że nie jesteś gejem.

– Nawet tutaj, w więzieniu – wyznał Manuel – od czasu do czasu ktoś przechodzi obok i nazywa mnie ciotą. Czytali to w gazetach, słyszeli w telewizji, za każdym razem, gdy słyszę z pobliskiej celi sygnał wiadomości z telewizora, trzęsą mi się nogi.

– Nawet w gazetach piszą, że jesteś hetero. Tak jest w aktach. Dokładnie tak jest napisane. Gdyby nie to, że kazali nam zostawić telefony przy wejściu, dałbym ci przeczytać, co piszą.

– Oni wszyscy myślą…

– Nie, Manuel, naprawdę, całe Włochy nie myślą o twojej orientacji seksualnej. Za kogo ty się, kurwa, uważasz, za Berlusconiego?

Niekiedy Manuel nawiązywał do możliwości skończenia ze sobą. Wtedy Roberto stawał się niespokojny.

– Nie chrzań, Manuel. To nie jest honorowe, to jest chujowe.

– To zależy od sposobu – zaoponował Manuel. – Jeśli masz skończyć ze

sobą za pomocą alkoholu i tabletek, jak tamten chciał to zrobić, wtedy owszem. Ale jeśli poderżniesz sobie gardło, to już inna sprawa.

– Ale z ciebie dupek – naskoczył na niego Roberto. – A że mnie zrujnujesz życie, to już cię nie obchodzi? Mam dwójkę dzieci.

– Właśnie, masz dwójkę dzieci. Masz dzieci, masz swoje życie, a ja zejdę ci z drogi i…

– Moje życie *to ty*. Nie niszcz mnie. Mówię ci jak brat bratu. Nie zasługuję na to. Naprawdę na to nie zasługuję.

– Jestem skończony, nie mam ochoty dociągnąć nawet do jutra.

– Wyciągnę cię stąd, obiecuję. Zrobię to dla ciebie. Jeśli mnie kochasz, musisz być silny, musisz być silniejszy *dla mnie*.

– Może nie zrozumiałeś, co to znaczy być tutaj, nie zrozumiałeś, co to znaczy, gdy jesteś skończony. Nie mam już nawet odwagi spojrzeć innym w twarz.

– Co ty, kurwa, mówisz, Manuel, co ty, kurwa, mówisz?

– To była okrutna zbrodnia. Tchórzliwa, podła, okrutna.

– Ale to było zrobione w stanie…

– Chciałbym poddać się operacji plastycznej twarzy. Nie być już sobą. Zapytałem prawnika, czy istnieje sposób na zmianę nazwiska, powiedział, że to bardzo skomplikowane.

– Zmieniasz nazwisko?

– Kiedy stąd wyjdę, co zrobię z moim nazwiskiem? A z moją twarzą? Lepiej byłoby też zmienić kraj.

– Za granicę. – Roberto był naprawdę poirytowany. – Wszyscy wyjedziemy za granicę, wszyscy zmienimy nazwiska, wszyscy wyjedziemy. Nawet dzieci. Wyślemy je za granicę na studia.

– Mówią, że nie okazałem skruchy. – Manuel zmienił temat. – W aktach sprawy jest napisane, że moje zachowanie nie wskazuje na skruchę. To nieprawda. Codziennie myślę o tym biednym chłopaku, w nocy śni mi się, że nim jestem; śni mi się, że ktoś robi mi to samo, co ja zrobiłem jemu. Mam koszmary, a potem się budzę i czuję, jak serce podchodzi mi do gardła. Jeśli dożyję końca tej historii, nie za dwa, nie za pięć, ale za dziesięć, za piętnaście lat… wtedy, nie licząc krewnych Luki, jego rodziców, to ja będę go kochać najbardziej. Będę go kochać nawet bardziej niż jego przyjaciele. Bo to ja tutaj będę musiał o nim myśleć każdego dnia.

Do Marca na widzenia przychodził głównie ojciec.

Po słynnym poście Leda Prato – którego, co było do przewidzenia, gazety zmasakrowały, opisując jako narcyza piszącego dworską prozą – nie było więcej wywiadów ani oświadczeń. Nikt z rodziny nie wystąpił już publicznie, aby mówić o tym, co się stało. Ani jedno zdjęcie matki Marca, pani Marielli, nie pojawiło się w gazetach. Cisza dawała wiarę wszelkim interpretacjom. Dlatego właśnie z nieufnością patrzyłem na profesora Prato.

Potem jednak zobaczyłem go w sali widzeń więzienia Regina Coeli.

Było to wtedy, gdy przeglądałem nagrania wideo z jego wizyt u Marca. Chociaż kamery monitoringu nie pozwalały na zbliżenia, to, co pokazywały, było wystarczające. Na jednym z nagrań Ledo wchodził do więziennej sali widzeń. Marca jeszcze nie było. Ledo rozglądał się dookoła, patrzył na opustoszałe otoczenie, betonowe ściany, niskie stołki bez oparć, aż jego wzrok przypadkowo spotkał się z okiem kamery. To była bardzo długa chwila. Kiedy patrzyłem na to nagranie, Prato sprawiał na mnie wrażenie całkowicie bezradnego człowieka. Nikt nie bierze pod uwagę, że będzie odwiedzał własnego syna w więzieniu. Zderzenie z bólem przywraca większości z nas swego rodzaju pierwotną niewinność. W pewnym momencie nie mamy już żadnych mechanizmów obronnych ani zasobów, nie możemy zrobić absolutnie niczego, by uniknąć tego, co najgorsze, a wraz z mechanizmami obronnymi obracają się wniwecz przywileje, strategie, przynależność klasowa, retoryka. Pozostaje tylko krucha nagość naszego gatunku. To, co łączy nas wszystkich.

Kilka chwil później Marco wszedł do pokoju widzeń i wszystko – na ile to w tej sytuacji możliwe – wróciło do normy. Ledo wyszedł mu na spotkanie. Marco miał na sobie dżinsy i czarny sweter, był niemal całkowicie łysy. Uściskali się na powitanie. Potem usiedli naprzeciwko siebie i zaczęli rozmawiać.

– Zziębnięty jesteś – powiedział Ledo, ściskając dłonie syna.

– Przed widzeniami robią mi rewizję osobistą – wytłumaczył Marco. – Rozbierają mnie do naga w pokoju, gdzie jest wściekle zimno.

– Ale teraz jest cieplej, prawda?

– Tak, tu w środku jest dobrze.

Zaczęli omawiać proces. Ledo jak zawsze był bardzo ostrożny. Mówił cicho. Opowiadał o swoich spotkaniach z prawnikiem.

– Bartolo zna się na swojej pracy.

Zastanawiali się, jak sobie radzić z opiniami biegłych i z zeznaniami świadków. Marco powiedział, że dobrym pomysłem byłoby skontaktowanie

się z Francą Leosini.

– Z Francą Leosini? – Ledo był zdumiony.

– Tak, z tą dziennikarką z telewizji – potwierdził Marco. – Mogłaby polecić dobrych ekspertów. Jest autorytatywna, postępowa, związana z lewicą. Możemy poszukać do niej kontaktu.

Franca Leosini nie była zwyczajną dziennikarką włoskiej telewizji publicznej. Była niekwestionowaną królową telewizyjnych reportaży kryminalnych. Przez lata prowadziła program oglądany przez miliony fanów, którzy darzyli ją uczuciem bliskim bałwochwalstwu. Marco ciągle łączył poszukiwanie sprawiedliwości z show-biznesem, powiedział, że kiedy wszystkie materiały z jego telefonu komórkowego ujrzą światło dzienne, wybuchnie bomba. Wśród jego kontaktów było wielu VIP-ów, a zachowane wiadomości mogły być dla kilku z nich kompromitujące. Staną za nim murem, byle tylko uniknąć skandalu.

– Czy nie mówiłeś, że nie ma się co martwić zawartością twojego telefonu? – zapytał Ledo.

– Bo nie ma się co martwić – odpowiedział Marco. – Cały ten materiał tylko wzmocni tezę o złożoności mojego życia, o sprzecznościach we mnie. Pomoże wyjaśnić, że naprawdę byłem tym wszystkim zniewolony. Jeśli nawet wyjdą złe rzeczy, to się przydadzą, posłużą do sprofilowania niejednoznacznej osobowości, ale nie do stwierdzenia czy udowodnienia, że zrobiłem to albo tamto.

Nie chodziło nawet o to, czy i jak bardzo rozumowanie Marca trzymało się rzeczywistości. Zwracało uwagę, że to *on* czuł potrzebę uspokojenia ojca. Z jednej strony w miarę możliwości starał się go chronić. Z drugiej zaś – nawet w więzieniu – udawał, że zachowuje absolutną kontrolę nad sytuacją, że jest, by tak rzec, strażnikiem autentycznej opowieści o tym, co się wydarzyło. To mogło wywoływać gorącą niechęć do niego, ale także głębokie współczucie: jaką ranę chce ukryć facet zamknięty w więzieniu pod zarzutem morderstwa, który czuje się zmuszony do ostentacyjnego okazywania pewności siebie?

Rozmawiali też o warunkach życia w więzieniu.

– W celi jesteśmy we czterech – powiedział Marco. – Oprócz mnie jest tam więzień, który świadomie zarażał dziewczyny wirusem HIV, fotograf, który usypiał swoje modelki psychotropami, aby je zgwałcić, oraz pedofil. Ich procesy są w toku, może i są niewinni, ale kiedy tak siedzimy tam wszyscy razem, wygląda to jak cela szatana.

Marco zapytał ojca, czy rodzinie udało się skontaktować z jego terapeutką, doktor Crinò. Ta kobieta wiedziała o nim wszystko. Mogłaby się przydać podczas procesu.

– Posłuchajcie jej, spotkajcie się z nią. Zaufajcie temu, co powie.

Ledo odpowiedział, że adwokat próbował się z nią skontaktować, ale nie odpowiedziała.

Innego dnia – znów syn i ojciec w sali odwiedzin – Marco narzekał na warunki życia w więzieniu, mówił, że kaloryfery nie działają jak należy, że okna są „jak ze średniowiecza", cele niepraktyczne i prawdopodobnie nie spełniają minimalnych standardów egzystencji określonych przez prawo. Dodał, że być może znajomości ojca mogłyby tu pomóc.

– Widzisz – odpowiedział Ledo – teraz jest z tym problem, bo trwa kampania wyborcza. Na szczęście kończy się za tydzień.

– Jest ten senator z Partii Demokratycznej – zasugerował Marco. – Ten z Sardynii, bardzo wrażliwy na prawa osadzonych.

– Mówisz o Manconim – odparł Ledo. – Tak, oczywiście, jest Manconi. Ale jest też wielu innych.

– A ten, jak on się nazywa… – próbował sobie przypomnieć Marco. – Ten twój przyjaciel, też senator.

– Chodzi ci o Giorgia.

– Nie, nie o Giorgia, o tego drugiego. Jego syn chodził ze mną do liceum.

– A, już wiem. On jest teraz szefem gabinetu ministra. Był podsekretarzem. Ale to było dawno temu, od lat jest poza parlamentem.

– Ale jest szefem, a ty wciąż utrzymujesz z nim relacje – zauważył Marco.

– Tak – potwierdził Ledo, używając najbardziej współczującego tonu z możliwych. – Ale kiedy zaczyna się brać na siebie pewne zadania… jeśli on musi przyjmować posłów, którzy idą rozmawiać z ministrem, to łatwo zrozumieć, że ma inne priorytety niż…

– Ale byłeś doradcą w ministerstwie.

– Nie byłem doradcą. Współpracowałem, to prawda, ale musisz wziąć pod uwagę, że część z tych osób może uznać, że ich interwencja nie byłaby wskazana.

Ledo dodał, że z wyjątkiem sytuacji granicznych – na przykład pobicie w więzieniu – nie można było podejmować interwencji w indywidualnych przypadkach.

Marco zapytał ojca, czy sprawdził jego stronę na Facebooku. Co działo

się w sieci? Co o nim mówili? Ledo odpowiedział, że się trochę uspokoiło, tylko co jakiś czas ktoś zostawiał obraźliwe komentarze na wallu, ale to było do przewidzenia.

– W każdym razie – kontynuował Ledo – do zamknięcia profilu potrzebne jest hasło.

– Ale dlaczego mielibyśmy zamykać profil na Facebooku? Przecież nie umarłem.

Potem Marco zapytał o swoją matkę.

Próbowała przetrawić to, co się stało, wyjaśniał Ledo, zajmowała się domem, na razie nie czuła się na siłach, by odwiedzić go w więzieniu.

Podczas kolejnego spotkania Marco nadal wypytywał o doktor Crinò.

– Tato, wyobraź sobie, co dla mnie znaczyło widywać tę kobietę trzy razy w tygodniu przez całe lata. Ona wie o mnie wszystko, nigdy nie było żadnego filtra, nigdy jej nie oszukiwałem. Była jedyną osobą, która nie pozwalała mi na uniki, jeśli się teraz jakoś trzymam, zawdzięczam to jej. Pamiętasz jaki byłem apodyktyczny, niewychowany, rozpieszczony? Gdyby nie terapia, nigdy nie wytrzymałbym w więzieniu w takich warunkach, z brudnymi toaletami, zepsutymi kaloryferami… Musicie jej poszukać. Potrzebuję jej. Ją ta sprawa na pewno niszczy. Chcę jej pomóc, chcę jej powiedzieć: *Pani doktor, dobrze się pani spisała*. Muszę sprawić, żeby to zrozumiała. Inaczej ona się zabije, zawodowo i po ludzku. Ona się zabije.

Ojciec wytłumaczył, że próbowali, mecenas pisał do doktor Crinò, dzwonił do niej. Odmówiła, jasno dała do zrozumienia, że nie ma zamiaru pomagać w postępowaniu. Nie chciała rozmawiać z adwokatem. Nie chciała rozmawiać z państwem Prato. I, jak można przypuszczać, nie chciała też rozmawiać z Markiem.

Marco powiedział, że udało mu się zapisać na kurs muzyki i literatury.

– Wczoraj, podczas kursu, więźniowie śpiewali piosenki miłosne. Zaśpiewali dla mnie *Ciao amore, ciao*. Bardzo mnie to wzruszyło, rozpłakałem się.

Więzienna codzienność również się poprawiła.

– Zrobili mi *upgrade* – kontynuował Marco. – Wolno mi już kupować butle gazowe do gotowania, mogę nawet zaparzyć sobie kawę.

W każdym razie, kontynuował, zawsze był pełen dobrej woli, zawsze chętny do spotkań towarzyskich, do zajmowania się czymś, do przetrwania w tej sytuacji.

– Potrzebujesz czegoś? – zapytał Ledo.

Marco odpowiedział, że byłoby miło, gdyby ojciec przywiózł mu szlafrok, kilka koszul, koszulki polo, parę dżinsów. A potem przeszedł do rzeczy. Zrobił to delikatnie, ale nie mogli już dłużej omijać tego tematu. Matka. Tym razem też się nie pojawiła.

– Potrzebuje czasu – tłumaczył ją Ledo.

– Wysłałem jej list kilka dni temu – odpowiedział Marco. – Dokładnie to jej napisałem: *Daj sobie tyle czasu, ile potrzebujesz*.

Mówił z nienaturalnym spokojem. Ale było jasne, że balansuje na skraju przepaści. Powiedział ojcu, że w dzieciństwie otworzyła się przed nim emocjonalna pustka, którą próbował wypełnić na najgorsze sposoby: seksem, narkotykami, a jeśli w końcu stało się to, co się stało, cóż, wyjaśnienie znajdowało się właśnie tam. Pomimo wartości, które próbowali mu przekazać rodzice, brak równowagi emocjonalnej towarzyszył mu przez całe życie. Powiedział, że nigdy nie obwiniałby za to swojej matki, a jednak tę pustkę, powtórzył, stworzyła właśnie ona.

– Kilka miesięcy temu – ciągnął dalej – powiedziała mi, że jest zmęczona byciem matką. Więc pewnego dnia napisałem do niej: *Teraz nie chcę, żebyś była matką, ale pozwól mi przynajmniej być twoim synem, aby dać ci siłę, byś zrozumiała, że życie toczy się dalej*. Potem napisałem: *Nie możesz tu przychodzić, żeby być matką, ale pozwól mi być twoim synem*.

Wrócili do rozmowy na temat procesu. Zgodzili się, że będą wnioskować o proces w trybie zwykłym.

Ledo zauważył, że po tym wszystkim będą musiały minąć lata, zanim wszystko wróci do równowagi.

– Dobrze, że niczego na mnie nie przepisaliście – odparł Marco.

Uważał, że to *on* może dać potrzebną siłę swojej matce. I jednocześnie – zamknięty w celi, czekający na proces, który mógł się zakończyć wyrokiem dożywocia – uważał również, że to *on* musi obronić swoją psychoterapeutkę przed ludzkim i zawodowym upadkiem, choć wcale nie było oczywiste, że coś takiego w ogóle może się wydarzyć. Zdumiewający był sposób, w jaki Marco nadal nie okazywał tego, że jest zraniony, że potrzebuje pomocy, że jest niestabilny psychicznie. Trudno było zrozumieć, gdzie zaczyna się arogancja, a gdzie cierpienie. Przede wszystkim uderzyła mnie jedna rzecz. Z jednej strony Marco obwiniał matkę za to, jak przebiegło jego życie, z drugiej okazywał ogromną determinację, by jej nie obwiniać. Był w tym

szczery. Pomyślałem, że ze wszystkich sił stara się jej nie nienawidzić, nie myśleć, że nie troszczyła się wystarczająco o swojego syna, w nadziei, że to na początek wystarczy, by jego matka prędzej czy później („kiedy będzie gotowa”) okazała mu swoją miłość. Był w tym podobny do dziecka, które pozostaje w miejscu, gdzie zostało porzucone, i wciąż, po wielu godzinach samotności, wierzy, że wszystko dobrze się skończy. Czy można sobie wyobrazić bardziej zawiłe uczucie złożone z instynktu opiekuńczego, wołania o miłość, narcyzmu, przemocy i autodestrukcji?

Otarli się o prywatną tragedię w dniach następujących po morderstwie, byli bliscy rozpoznania i zobaczenia samych siebie, odkrycia, z jakiej gliny zostali ulepieni. Jednak miałem wrażenie, że wkrótce potem Marco i Manuel zaczęli się stopniowo od tego dystansować. Kiedy wyjątkowość tego, co się wydarzyło, została zastąpiona przez codzienność oskarżonych oczekujących na proces, skończyła się możliwość prawdziwego skupienia. Spotkania z krewnymi, dyskusje z prawnikami, biurokratyczne dopracowywanie strategii sądowych, konfrontacja z mediami… Ich nowy stan wydawał się mieć moc przytępiania i uspokajania, by mogli wrócić do ról, które zawsze odgrywali, choć w inny sposób niż wcześniej.

W kolejnych tygodniach niektóre z moich przeczuć się potwierdziły, a inne zostały całkowicie obalone.

Oprócz widzeń z krewnymi Marco Prato i Manuel Foffo mieli też inne sprawy na głowie. Długo rozmawiali z prawnikami – proces zbliżał się wielkimi krokami – i choć najważniejszym aspektem było budowanie strategii obrony, to zajmowali się również korespondencją. Każdego tygodnia do więzienia przychodziły setki listów.

Więźniowie, o których mówi się w telewizji, są nieodpartym obiektem zainteresowania. Pisali oczywiście przyjaciele. O spotkanie prosili dziennikarze. Ale w większości były to listy od nieznajomych, setek zwykłych ludzi dotkniętych medialną gorączką, która obudziła to, co w ich osobowości nieracjonalne. Były listy złożone z kilku słów lub wylewne jak wezbrany potok, listy od tych, którzy życzyli Marcowi Prato i Manuelowi Foffo jak najgorzej, i od tych, którzy pod pretekstem niesienia pociechy sami pragnęli dla siebie ratunku. Nie brakowało też makabrycznych listów. Pod jednym z nich jako autor podpisał się Luca Varani. Twierdził, że obserwuje swoich morderców z ciemnego i odległego miejsca, wezwał ich do refleksji nad złem, które wyrządzili, i napisał, że czeka na nich z niecierpliwością tam, gdzie się teraz znajduje.

Do Manuela Foffo napisał między innymi Pietro Maso, niegdyś chłopak z San Bonifacio, który dwadzieścia pięć lat wcześniej zamordował swoich rodziców w nadziei na spadek. Przystojny, bogaty, bezczelny Maso stał się wówczas kimś w rodzaju gwiazdy. Teraz, nieco podstarzały i nalany na twarzy, wyszedł na wolność i z niezmienioną przez lata więzienia dezynwolturą odwiedzał ojców duchownych i studia telewizyjne.

„Nie mogę cię winić za to, co zrobiłeś – pisał Maso – ja byłem gorszy od ciebie, ale rozumiem, dlaczego chciałeś zabić swojego ojca. Mroczny i rzadki instynkt rywalizacji, by zdobyć uczucia kobiet w domu i udowodnić, że nie byłeś tylko kruchym i bezbronnym szczeniakiem”. Po długiej rozprawie na temat tego, co według Maso stanie się z Manuelem w więzieniu („będziesz miał wielu psychiatrów, którzy na strzępy rozerwą twój umysł

i duszę, jedni w dobrej wierze, aby zrozumieć, inni tylko po to, by sprowadzić cię do fikcyjnej normalności; będziesz ciemnością wystawianą jako cel potępienia i ogólnej pogardy"), list kończył się sugestią lektur: „Będziesz potrzebował wielu książek. Daję ci jedną, tę, którą sam napisałem, kiedy wyszedłem na wolność".

Książka została opublikowana kilka lat wcześniej i nie potrzeba było światowej sławy psychiatry, by zdać sobie sprawę, że więzienie wywarło niewielki wpływ na pewne aspekty charakteru Pietra Maso.

Manuel zareagował oburzeniem, upubliczniając ten list. „Panie Maso – odpisał – jeśli zamierza pan zyskać rozgłos, wykorzystując tragiczną śmierć Varaniego, a w szczególności promować przez to napisaną przez pana książkę, której czytać nie zamierzam, to trafił pan pod zły adres i do niewłaściwej osoby. Nie wypowiedział pan ani słowa skruchy wobec tych, którzy dali panu życie. Ja, w przeciwieństwie do pana, nigdy nie zaznam spokoju z powodu tego, co zrobiłem. Dlatego niech mnie pan zostawi w mojej głębokiej skrusze, nie pisze do mnie więcej i nie przywołuje mojego ojca, którego imienia nie jest pan godzien wymawiać. Mam nadzieję, że nie będę musiał pisać do pana ponownie, a w razie kolejnego kontaktu odpowiedzią zajmą się moi prawnicy".

Marco Prato wolał nie udzielać wywiadów ani nie formułować publicznych oświadczeń. Nie oznaczało to jednak, że zamknął się w sobie. Wręcz przeciwnie, w Regina Coeli był bardzo aktywny. Prowadził kursy języka angielskiego i francuskiego dla innych więźniów, pomagał im pisać listy do rodzin, uczestniczył w działalności kulturalnej więzienia. Chociaż miejsce nie miało nic wspólnego z siecią klubów nocnych, do których był przyzwyczajony, jego nazwisko zaczęło krążyć po zakładzie. Marco Prato stał się, by tak rzec, znany również wśród więźniów, co chyba nie wszystkim się spodobało.

W sierpniu, niespodziewanie i wbrew własnym życzeniom, przewidywaniom i oczekiwaniom, Marco został przeniesiony do więzienia w Velletri. Powody przeniesienia nie były jasne, ale jego konsekwencje mogły być poważne. Velletri miało reputację znacznie surowszego niż Regina Coeli, oferowało niewiele zajęć kulturalnych, socjalizacja była ograniczona do minimum, zdarzało się, że więźniowie spędzali całe tygodnie, patrząc w sufit swojej celi. Przygnębiające miejsce.

Marco pogrążył się w udręce. W Velletri czuł się odizolowany,

zmarginalizowany, pozbawiony tych – i tak rzadkich – okazji do jakiejś formy pociechy, która pozwala nie zwariować w zamknięciu. Jego prawnicy energicznie zaprotestowali: jeśli kara ma iść w parze z reedukacją i resocjalizacją, to właśnie Regina Coeli, a nie więzienie w Velletri, oferuje najlepsze możliwości w tym zakresie. To w Regina Coeli Marco zdołał odnaleźć człowieczeństwo i równowagę, to tam, dzięki działaniom zakładu i dobrym relacjom z innymi więźniami, odbycie wyroku zapewniało warunki do poprawy. Przeniesienie do Velletri wydawało się niepotrzebnym i niesprawiedliwym środkiem kary i jako takie winno zostać uchylone.

Po kolejnej interwencji u krajowego rzecznika praw więźniów Marco Prato powrócił do Regina Coeli.

Lato minęło i wróciła jesień. Zbliżał się proces, a wraz z nim pojawiało się coraz więcej sprzecznych plotek dotyczących przygotowań do rozprawy.

Nierozważni komentatorzy sprzedający swoją emocjonalność pod płaszczykiem spójnej wizji świata zaczęli twierdzić, że Marco Prato i Manuel Foffo mogą wyjść z więzienia w ciągu kilku lat. Niektórzy posunęli się nawet do twierdzenia, że zostaną uniewinnieni: oskarżeni pochodzili z dobrych rodzin, mieli dobrych prawników, dużo pieniędzy, odpowiednie koneksje, dlatego wymiar sprawiedliwości się nagnie.

Ci, którzy obserwowali sprawę z odrobiną racjonalności, wskazywali jedynie, że w związku z tym, co się wydarzyło, strategie obrony obu oskarżonych będą się prawdopodobnie od siebie różniły. Manuel przyznał się do udziału w przestępstwie, Marco nigdy. Manuel od początku potwierdzał, że podniósł rękę na ofiarę, Marco zawsze temu zaprzeczał. Można zatem założyć, że Manuel powoła się na niepoczytalność, upośledzoną zdolność świadomego działania. Marco – którego prawnicy od dnia przesłuchania Valtera Foffo w programie *Porta a Porta*, mieli przewagę, bo karty obrony Manuela zostały odkryte – mógł posunąć się aż do całkowitego zaprzeczenia oskarżeniu o morderstwo i wnieść nawet o uniewinnienie.

Nie można było wykluczyć niespodzianek podczas procesu. Gdyby tak się stało, szukanie tajemnych powodów nie miało sensu – wszystko leżało w arsenale argumentów obrony dostępnych każdemu oskarżonemu w normalnym państwie prawa.

Jeździłem do Rzymu, kiedy tylko mogłem. Rozmawiałem o morderstwie także z ludźmi, którzy nie byli zaangażowani w te wydarzenia. Zazwyczaj moi rozmówcy wiedzieli wystarczająco dużo o tym, co się stało, wystarczyło słowo, aby wzbudzić ich zainteresowanie. Ale oni, w przeciwieństwie do mnie, nie mieli obsesji na punkcie tej sprawy, a ta większa swoboda, jak sądziłem, pozwalała im spojrzeć na tę historię z perspektywy dla mnie niedostępnej.

Pewnego wieczoru, po spotkaniu promocyjnym na temat pewnej książki, byłem na kolacji w dzielnicy Ostiense, gdzie Tyber wpływa w ciemność gęstą od chrustu i drzew, nad którą góruje szkielet Gazometru. Ta część Rzymu (blade światło księżyca na stalowej konstrukcji, zdziczała roślinność) zawsze mnie fascynowała. Przyjechałem wczesnym popołudniem tym samym co zwykle pociągiem. Obecność rzeki płynącej niedaleko w mroku sprawiła, że poczułem się jak w domu. Na kolacji – w małej restauracji rybnej – byli dwaj pisarze, PR-owiec wydawnictwa, psycholożka, redaktorka naczelna pewnej gazety, architekt. Temat Varaniego pojawił się, gdy na nieuniknione pytanie („czym się ostatnio zajmujesz?") dałem równie nieuniknioną odpowiedź. Ale najpierw – co zdarzało się coraz częściej – rozmowa traktowała o poważnych problemach trapiących miasto. Zamykano kina. Zamykano księgarnie. Życie kulturalne, powiedziała dziennikarka, sprowadzało się do coraz wymyślniejszych bluźnierstw słyszanych na ulicach.

– Rzym staje się gównem w pozłacanym papierku przeznaczonym dla turystów – stwierdził architekt – otwierają się już tylko fastfoody. Coraz więcej miejsc jest tak opustoszałych, że nawet bankomaty w nich nie działają.

– Ekonomia to bary z automatami do gier, oszukujący taksówkarze, spółdzielnie, które płacą pracownikom pod stołem – narzekała psycholożka.

– I ci, co wynajmują mieszkania turystom: autokanibalizm rozdrobnionej już padliny – dodała dziennikarka.

– Wydaje mi się jasne, że problemem jesteśmy my sami – powiedział jeden z pisarzy. – Mam na myśli nas, rzymian, bo klasa rządząca jest odbiciem naszego zepsucia, wszystko jest zepsute, nawet turyści. Wyobraźcie sobie Rzym wolny od naszej obecności.

– Oj, tam – skomentowała psycholożka.

– Wyobraźcie sobie to opuszczone miasto – kontynuował pisarz – zbudowane tylko z fontann, portyków, ogrodów, bazylik, z posągów na środku placów, ale także z latarni, szpitali, pylonów, małych radyjek pozostawionych na balkonach. Po wygnaniu ludzi rzeczy w końcu będą ze sobą rozmawiać. Nigdzie ten dialog nie byłby bardziej muzyczny, bardziej inspirujący, bardziej owocny, bardziej znaczący niż w Rzymie.

– Ale o czym ty, kuźwa, mówisz? – roześmiał się serdecznie architekt.

Przeszliśmy do rozmowy o morderstwie.

– Gdyby to była powieść – powiedział pierwszy pisarz – byłby to

Frankenstein w czasach smartfonów, z Markiem Prato jako Wiktorem Frankensteinem i Manuelem Foffo jako monstrum. Marco Prato wykorzystuje swoje retoryczne umiejętności, by manipulować Manuelem, bawi się jego słabościami, nastawia go przeciwko ojcu, a następnie, nie zdając sobie z tego sprawy, przenosi na niego całą swoją paranoję, swoje traumy i koszmary.

– Kojarzysz te horrory, gdzie grupa młodych ludzi wyjeżdża na weekend do domu na skraju lasu i w pewnym momencie, w nocy, gdy wszyscy śpią, przychodzą potwory? – dodał drugi pisarz. – Różnica jest taka, że w tym przypadku potwory nie przychodzą z zewnątrz, ale *od wewnątrz*, wyłaniają się z mrocznych głębin tych chłopaków.

– *Fantazja* Walta Disneya – powiedziała dziennikarka. – *Myszka Miki* jako *Uczeń czarnoksiężnika*. Coś właśnie takiego. Marco i Manuel wyczarowują *siłę*, której w pewnym momencie nie potrafią okiełznać. W końcu pomyślcie o tym, co dzieje się *na świecie*. Gospodarka, polityka, rewolucja cyfrowa, nastroje wśród mas… wszystko wymyka się spod kontroli.

– Mam wrażenie, że Manuel widzi w Marcu swojego ojca – uznała psycholożka. – Wiem, że Marco jest gejem i nawet chce zmienić płeć, ale na poziomie psychologicznym to on jest mężczyzną w tym związku. Na poziomie seksualnym Marco jest stroną pasywną. Na poziomie mentalnym jest aktywną, męską, dominującą stroną. Manuel czuje nad sobą władzę Marca.

– Z kolei Marco, w peruce, legginsach, na wysokich obcasach – dodał jeden z dwóch pisarzy – przyjmuje większość winy na siebie jako kobietę, ale jednocześnie przerzuca ją na postać *par excellence* ikoniczną, jaką jest jego matka: osoba, która naznaczyła jego życie bardziej niż ktokolwiek inny. Dalida, z tego punktu widzenia, jest najdoskonalszym przebraniem. Przebiera swój prywatny koszmar w śnienie.

– Przebranie jako forma eskapizmu. I jako schronienie – dorzucił architekt.

– Marco i Manuel nie są po prostu niedojrzali – dodała psycholożka. – Są triumfem niemocy. W tym biednym chłopcu, sprowadzonym do absolutnej bezsilności, rozpoznali siebie i byli przerażeni. Ciało za ciało. Zabójstwo Luki Varaniego to mord rytualny.

Ale jak Giuseppe Varani mógłby wziąć pod uwagę choćby jedną z tych teorii? Jak mógłby zaakceptować, że dzieciństwo Marca Prato i Manuela Foffo, ich rodzinne traumy, ich wyparcia, ich narkotyki mogą zostać użyte jako wyjaśnienie, jeśli nie wręcz okoliczność łagodzącą tego, co się stało? Jak można było uważać, że tego rodzaju zbrodnia nie zasługuje na osądzenie na podstawie prostych dowodów?

– Dlaczego go odurzyli? – pytał wyzywająco. – Żeby go zgwałcić! – odpowiadał. – Żeby się nad nim znęcać, żeby patrzeć, jak cierpi! Co jeszcze trzeba dodać? Że próbowali poderżnąć mu gardło, żeby nie krzyczał? Że w domu pogrzebowym mojemu synowi trzeba było zakryć głowę, bo mu ją roztrzaskali? Chcemy spra-wie-dli-woś-ci!

Krzyczał to adwokatom, krzyczał to przed kamerami telewizji i krzyczał to również do mnie, kiedy w słoneczny i wietrzny poranek spotkaliśmy się po raz pierwszy. Siedzieliśmy w kawiarni przy piazza Mazzini. Przedstawiła nas sobie Chiara Ingrosso, dziennikarka „Il Fatto", z którą podzieliłem się dokumentacją medyczną Marca Prato. Giuseppe Varani zaparkował swoją furgonetkę na tyle blisko, by nie spuszczać z niej oka. Dżinsy, szara bluza, zaniedbana broda.

– Jak można mówić, że to nie było z premedytacją? – zapytał. – Było! I było też oszustwo, tortury, okrucieństwo i niskie pobudki. Jak to możliwe, że – szeroko otwierał oczy – w procesie jakiegokolwiek rodzaju, skróconym czy nieskróconym, zredukowanym czy jakim tam jeszcze, nie mówi się o ofierze? O tym, co czuł. O tym, co wycierpiał. Zmiażdżyli mu ręce, żeby nie mógł się bronić. Walili go młotkiem w usta, żeby wybić wszystkie zęby.

Prawo karne – nieustannie powtarzał adwokat – nie kierowało się zasadą równej odpłaty. Kara była zawsze mniej surowa niż przestępstwo. W przeciwnym razie musielibyśmy wrócić do prawa talionu. Ale nie to kwestionował ojciec Luki Varaniego. Akceptował ograniczenia naszego systemu. Szanował je. Nie akceptował jednak tego, że można przed tą granicą cofnąć się choćby o krok. We Włoszech nie było kary śmierci?

Dobrze, ale było ciężkie więzienie, było dożywocie.

– Nie okazali skruchy. A dla mnie to, że odsiedzą szesnaście lat, nie jest w porządku. *Wypatroszyli* mojego syna! Mam zdjęcia i pokażę je w sądzie. Porozmawiam z sędzią. Sprawię, że zrozumie, co się stało.

Zawsze tak samo. Jego głos zaczynał wibrować, a potem eksplodował. Wtedy nie tylko jego głos, ale wszystko w nim zdawało się zamieniać w języki ognia. Kiedy występował w telewizji, te eksplozje były na porządku dziennym, być może zdawał sobie sprawę, że to sposób na zwrócenie uwagi na siebie i na to, co się stało. Ale tak samo zachowywał się z dala od kamer. Zachowywał się tak wobec każdego – także wobec mnie tamtego wietrznego poranka – w kim widział sprzymierzeńca zdolnego zanieść poselstwo dalej niż on sam.

Niektórym jego tyrady wydawały się przesadzone. Ale Giuseppe Varani nie był sędzią czy prokuratorem, nie miał władzy nad losami Manuela Foffo i Marca Prato, nie był nawet dziennikarzem, a na pewno nie jednym z tych komentatorów, którzy w mediach społecznościowych komentują cudze życie schronieni za tarczą wirtualności, rozbestwieni abstrakcyjnym pragnieniem przemocy. Giuseppe Varani był człowiekiem w apogeum własnego bólu, a to – pomyślałem, patrząc na niego – był święty obraz, ikona. Co więcej, wydawało mi się, że ojciec Luki, ze swoim rzymskim dialektem, przesadną gestykulacją i zapalczywymi wypowiedziami, odwołuje się do zasady, nad którą ja sam – mniej stanowczo niż on – ostatnio się zastanawiałem. Indywidualna odpowiedzialność, wolna wola: w co byśmy się zmienili lub w czym rozpłynęli, gdybyśmy uwolnili się od tych dwóch fundamentalnych obciążeń? Żyliśmy w świecie nieustannie analizowanym, drążonym, przesiewanym przez tysiące badań i statystyk, ale jednocześnie wciąż był to świat niepoznawalny, gdzie coraz trudniej było zrozumieć, kto tak naprawdę jest odpowiedzialny i za co. Gospodarka upadała. Czyja to była wina? Ziemi groziły zmiany klimatyczne. Kto, co ponosi za to odpowiedzialność? Paradoksalne było to, że w czasach, gdy główne zmiany na planecie dawało się przypisać naszym własnym działaniom, prześledzenie drogi wstecz od skutku do przyczyny, a przede wszystkim poradzenie sobie z tym na ludzkim, indywidualnym poziomie stały się najtrudniejszymi ćwiczeniami ze wszystkich.

Pewien chłopak został zwabiony do mieszkania przez dwóch innych chłopaków i zginął. Czy można było *klasycznie* przypisać tę zbrodnię dwóm chłopakom – i obciążyć ich całą związaną z tym winą i karą – czy też trzeba

było poddać się myśli, że wkroczyliśmy w zupełnie nowy czas i świat, w którym te pojęcia nie miały już żadnego znaczenia?

To właśnie pod tym względem Giuseppe Varani – zrozpaczony, wychudzony, z workami pod oczami i grymasem na ustach – jawił mi się jako postać biblijna. Myślałem wtedy, wciąż zastanawiając się nad pytaniami, które nie dawały mi spokoju – jeżeli Marco Prato i Manuel Foffo dali się pokonać atawistycznemu lękowi, który kazał im wyżyć się na najsłabszym, to tam należało szukać prawdy o ich winie. Właśnie z tej perspektywy prześledzić ich działania, opisać ich wybór tak, by się nie rozmył (uderzać, aby uciec od strachu przed uderzeniem; czuć się niczym, a więc sprowadzić drugiego do nicości). Ale jeśli właśnie ta podświadoma uległość lękowi była przyczyną, to jak pomóc im to sobie uświadomić?

Skoro, powtarzałem sobie, winowajca pozbawiony narzędzi potrzebnych do uznania się za winnego podważa samą ideę odpowiedzialności, a tym samym wyboru, to co należało zrobić, aby te pojęcia – znaczące coraz mniej dla coraz większej liczby ludzi – nie zaczęły niszczeć także dla tych, którzy uważali je za fundamentalne? Na co powinniśmy patrzeć?

– Szkoda, że go nie widzieliście na jarmarkach, był niezrównany!

Giuseppe Varani mówił o swoim synu i mnie, słuchającemu, na chwilę zaświtała pewna myśl – cenna, być może decydująca intuicja – którą wkrótce potem zgubiłem.

– Powinniście go byli widzieć wśród ludzi, co za duma!

Giuseppe Varani opowiadał o czasie, kiedy swoją furgonetką objeżdżał lokalne festyny wraz z żoną i Lucą. Jego syn był magnetyczny, przystojny i bystry, klienci patrzyli na niego i podchodzili do straganu, kupowali słodycze, suszone owoce. Luca rozmawiał ze wszystkimi, a małe dziewczynki, ukryte za swoimi matkami, wzdychały do niego.

– Wszyscy go kochali. Za każdym razem było święto.

Giuseppe powiedział, że jego żona jest w domu zniszczona przez żałobę, a życie musi toczyć się dalej. To nie było łatwe. Na targi i festyny musiał teraz jeździć sam. Było to bardzo męczące, a także poniżające. On i jego żona zamierzali wystąpić z powództwem cywilnym o odszkodowanie, ale nie było łatwo cokolwiek uzyskać, ponieważ grzechy dzieci, z finansowego punktu widzenia, nie spadały na ich ojców. Potem Giuseppe powiedział, że się do niego nie odezwali.

– Kto się do pana nie odezwał, panie Varani? – zapytałem.

– Ledo Prato i Valter Foffo – odpowiedział.

Nikt się nie pojawił, nikt go nie przeprosił, nikt nawet nie zechciał zadzwonić. Oczywiście, trzeba mieć odwagę, by wziąć do ręki telefon i prosić o wybaczenie, wiedział, że biorąc pod uwagę ciężar tego, co się stało, taka prośba mogła być nawet obraźliwa, mogła narazić przepraszających na obelgi lub, co gorsza, na mrożącą krew w żyłach ciszę. To mogło być niewłaściwe, w porządku. Ale *brak przeprosin* też był zły. A oni nie przeprosili. Nie wiadomo, co byłoby najlepsze, ale skoro nie zadzwonili, to dokonali najgorszego wyboru ze wszystkich.

Giuseppe powiedział jeszcze, że od czasu do czasu, w ciągu tygodnia, wchodzi do pokoju Luki. Jego żona zadbała o to, by wszystko w środku pozostało nienaruszone; takie, jakie było w dniu jego śmierci, z zeszytami, plakatami, budzikiem, wieżą stereo, tak jakby Luca miał w każdej chwili wrócić. Giuseppe wchodził do jego pokoju i zostawał tam przez kilka minut, rozglądając się wokół. Ale to wieczorem przychodziła najtrudniejsza chwila, powiedział, kiedy on i jego żona siadali do kolacji i nie mogli oderwać wzroku od pustego miejsca przy stole.

– Panie Varani – próbowałem zmienić temat – wkrótce rozpocznie się proces.

Teraz miał się czego trzymać, pomyślałem, uczepić się analiz, opinii biegłych, zeznań, sądowego postępowania ze wszystkimi jego pułapkami i formalnościami.

– Tak, oczywiście, proces – mruknął pod nosem z wciąż mrocznym wzrokiem, jakby czytał w moich myślach, a moje pytanie zmusiło go do spojrzenia na to, co będzie *potem*. Język ognia, który go ogarnął, zgasł i przez chwilę – to był jedyny raz, kiedy stało się to na moich oczach – zobaczyłem nagi, bezbronny wyraz jego twarzy. Może tak właśnie patrzył, kiedy zamknięty w pokoju syna, prowadził z nim potajemną rozmowę.

„Dwa procesy w sprawie Varaniego?”

Na początku 2017 roku gazety donosiły, że kto śledził sprawę, dysponując jakąś wiedzą prawniczą, uznawał to za rzecz przesądzoną. Adwokaci Manuela Foffo poprosili o postępowanie uproszczone. Prawnicy Marca Prato przeciwnie, wybrali proces zwykły. Oznaczało to, że – o ile zgodzi się na to sędzia prowadzący rozprawę wstępną – odbędą się dwa osobne postępowania.

W styczniu sędzia Nicola Di Grazia przychylił się do obu wniosków. Prokuratura podkreślała zarówno premedytację, jak i okoliczności obciążające w postaci okrucieństwa i niskich pobudek. Sędzia zgodził się również na powołanie oskarżycieli posiłkowych: rodziców Luki Varaniego i Marty Gai Sebastiani.

Michele Andreano, adwokat Manuela, przekazał sądowi bardzo obszerny raport medyczny, za pomocą którego próbował udowodnić niepoczytalność swojego klienta w trakcie popełniania czynu; podkreślał również szkody, które zdaniem obrony spowodowało długotrwałe zażywanie narkotyków.

Wbrew temu, co wielu sądzi, proces uproszczony we włoskim prawie nie oznacza przyznania się do winy. Jest to odebranie sobie niektórych narzędzi obrony. Oskarżony rezygnuje z debaty procesowej, nie może powoływać świadków ani obalać dowodów zebranych przez prokuraturę. Oczywiście te ograniczenia mają swoje uzasadnienie: w przypadku skazania wyrok zostaje zmniejszony o jedną trzecią.

Interpretując te odmienne strategie, co najbardziej przewidujący już zrobili, można uznać, że Foffo dążył do obniżenia wyroku, podczas gdy Prato dążył do umorzenia postępowania. Obaj oskarżeni odrzucali premedytację. Prato dążył do bardziej spektakularnego rezultatu. Ale wybrał proces zwykły, więc ryzykował więcej.

Prawo dotyczące procesu uproszczonego wykluczało obecność obu oskarżonych. Prato i Foffo mieli stanąć naprzeciwko siebie dopiero podczas

procesu Marca.

Rodzice Luki Varaniego byli zmuszeni uznać, że przynajmniej w przypadku jednego z dwóch oskarżonych istniała duża szansa na uniknięcie kary dożywotniego pozbawienia wolności. Uproszczona procedura nie wykluczała wprawdzie maksymalnego wymiaru kary, ale sędzia musiałby uznać cały szereg czynników obciążających, a to właśnie eksperci od prawa uznawali za mało prawdopodobne. Po pierwsze, premedytacja. Śledztwo prowadzone przez prokuraturę nie dostarczyło niezbitych dowodów na istnienie morderczego planu. Jeśli taki plan istniał, to tylko w umysłach oskarżonych, a to było niezwykle trudne do udowodnienia.

– Ale jak można powiedzieć, że tego nie zaplanowali? – grzmiał Giuseppe Varani. – Zwabili go do domu podstępem! Otumanili go Alcoverem! Mieli to w planach! A porwanie? Zatrzymali go w mieszkaniu siłą. Jak można to nazwać inaczej niż porwaniem?

Wielu internetowych komentatorów dostrzegło w wiadomości o skróconym procesie uchylone okienko uniewinnienia.

A nie mówiłem? Ujdzie mu na sucho!

Tak to działa we Włoszech, wystarczy mieć odpowiednie znajomości i już wychodzisz z pudła, nawet jeśli zabiłeś własną matkę.

I tak całymi tygodniami rozemocjonowani internauci wzburzali wody, aż piana hipotez po raz kolejny rozbiła się o rzeczywistość.

21 lutego 2017 roku, po bardzo elokwentnej mowie końcowej mecenasa Michelego Andreano, sędzia Nicola Di Grazia skazał Manuela Foffo na trzydzieści lat więzienia.

Andreano próbował przekonać sąd przynajmniej do częściowej niepoczytalności oskarżonego. Przyniósł opinie medyczne, wyniki analiz, a nawet odwołał się do neurobiologii. Zebrany materiał był obfity i niezwykle szczegółowy. Andreano starał się udowodnić nie tylko to, że Manuel był chronicznie zatruty alkoholem i kokainą, ale że jego nawyki – wspomagane przez fizjologię – spowodowały nieodwracalne zmiany neurobiologiczne na przestrzeni lat.

Pomimo przedstawionej dokumentacji medycznej sędzia uznał Manuela za świadomego swych decyzji i czynów. Oskarżony, jak powiedział, świadomie spożył nadmierne ilości alkoholu i kokainy, świadomie poprosił o proces uproszczony, w niedawnej przeszłości zdawał egzaminy na uniwersytecie. Wszystkie te elementy, zdaniem sędziego, obalały założenie choćby częściowej niepoczytalności.

Wyrok wykluczył premedytację.

Za okoliczność obciążającą uznano znęcanie się i okrucieństwo: zarówno Foffo, jak i Prato byli w pełni świadomi cierpienia zadawanego Luce. Uznano okoliczność obciążającą w postaci niskich pobudek: Prato i Foffo uczynili życie Luki Varaniego „przedmiotem" pozostającym na łasce ich popędów. Wola zadawania cierpienia ofierze aż do jej śmierci, jak napisał w uzasadnieniu sędzia, miała na celu wyłącznie przeżycie doświadczenia „przekraczającego wszelkie granice", i była związana z „bardzo wysokim stopniem perwersji seksualnej". Sposób, w jaki Luca został zabity, sugerował powstanie „nikczemnego uczucia ujawniającego tak wysoki stopień perwersyjności, że wzbudza on głębokie poczucie odrazy i jest nie do usprawiedliwienia ze względu na jego anormalność w obliczu ludzkich uczuć".

Pierwsza rozprawa w procesie Marca Prato została wyznaczona na

10 kwietnia.

13 lutego, wbrew swoim życzeniom i wszelkim nadziejom, Marco Prato został ponownie przeniesiony do więzienia w Velletri. Tym razem protesty jego adwokatów nie przyniosły skutku. Ale to był dopiero początek.

Kilka dni później jego twarz niespodziewanie pojawiła się we wszystkich gazetach w kraju. Lont podpalił „Giallo", skandalizujący tygodnik specjalizujący się w sprawach kryminalnych.

> KOSZMAR NIE MA KOŃCA: PRATO JEST NOSICIELEM WIRUSA HIV!
> UCZESTNICY JEGO DZIKICH IMPREZ SEKSUALNYCH SĄ ZAGROŻENI.

Nagłówek zajmował całą okładkę. Pod artykułem podpisała się Albina Perri. Najwyraźniej dziennikarka weszła w posiadanie dokumentacji medycznej Marca Prato przechowywanej w archiwach więzienia Regina Coeli. Na jednym z tych dokumentów, pochodzącym z czasów jego aresztowania, lekarz napisał odręcznie: „Dziennik kliniczny zatrzymanego Marca Prato. HIV: wynik pozytywny, stwierdzony w marcu. Ostatni test negatywny dwa lata temu. Transmisja drogą płciową. Zatrzymany potwierdza, że został poinformowany o swojej seropozytywności".

Artykuł nie szczędził przymiotników („znaleźliśmy dokument ze *straszliwą* diagnozą", „raport jest *jednoznaczny*") i wyglądało na to, że naruszenie prywatności przez gazetę redakcja chce usprawiedliwić ochroną byłych partnerów Marca Prato. Zakładano, że większość z nich nie była świadoma tego, że jest nosicielem wirusa. W artykule przypomniano, że Marco uwiódł wielu heteroseksualnych mężczyzn, więc również ich partnerki mogły zostać zarażone.

Gazety szalały. Nie brakowało uwag, że choroba Marca może wywołać panikę wśród stołecznych celebrytów, których rzekomo uwodził. Kiedy show-biznes drży, czytelnik kupuje.

Oskarżony o morderstwo i możliwy siewca zarazy. Sytuacja stawała się coraz bardziej skomplikowana. Sędziowie i pracownicy więzień powinni

pracować wyłącznie na dokumentach, ale kto uwierzy, że klimat medialny nie wpływa na ich decyzje. A ten był teraz bardzo ciężki. Potrzebny był ruch, próba przywrócenia równowagi, która mogłaby sprawić, że przynajmniej część opinii publicznej spojrzy na oskarżonego w innym świetle. Kilka dni później Marco przerwał milczenie, udzielając wywiadu dla tygodnika „Panorama". Przeprowadziła go Annalisa Chirico, jego była koleżanka z czasów studenckich. Rozmowa odbyła się drogą korespondencyjną, za pośrednictwem adwokatów. „To nie ja wymierzałem ciosy młotkiem i nożami – twierdził Marco – nie mogę zostać skazany na dożywocie. Wiem, że nie zapobiegłem śmierci Luki, ale nie zabiłem go i nie podżegałem do jego zabójstwa".

Udowodnienie, że Luca został zwabiony do środka na coś więcej niż tylko seksualno-narkotyczne ekscesy, byłoby niełatwe, podobnie jak trudno było zaprzeczyć, że życie Marca w ostatnich latach było dość burzliwe.

„Czy transgresja jest siostrą śmierci?", zapytała dziennikarka.

„Kiedy patrzy się na nas przez mikroskop lub dziurkę od klucza – odpowiedział Marco – to wszyscy mamy w sobie jakiś mrok, coś mniej lub bardziej wątpliwego moralnie, mniej lub bardziej akceptowalnego. Mój mrok po prostu wydostał się na powierzchnię. Tak, brałem narkotyki, ale nie było ich dużo. Tak, uprawiałem seks, jak każdy trzydziestolatek. Ekstremalne, najbardziej dziwaczne żądania pochodziły od mężczyzn, którymi się otaczałem, oni je ze mnie wydobyli. Doznałem tak wiele przemocy, by przypodobać się heteroseksualnym mężczyznom, w których się durzyłem i którzy sprawiali, że czułem się kobieco. To oczywiste, że kiedy takie pikantne szczegóły stają się publiczne, służy to zbiorowemu sumieniu do wytykania palcem zamiast do spojrzenia w lustro. Publiczne potępienie daje nam satysfakcję, ponieważ trzyma nas z dala od naszych potworów, sprawia, że czujemy się normalniejsi. Jestem przekonany, że owa normalność jest pojęciem abstrakcyjnym, dlatego usunąłbym pierwsze trzy litery ze słowa »perwersja«. To wszystko są różne *wersje* człowieczeństwa, różne odcienie indywidualności, czasami doświadczane w połączeniu z cierpieniem".

Dziennikarka zapytała go o warunki życia więziennego w Velletri.

„Kiedy byłem w Regina Coeli – odpisał Marco – prowadziłem kursy językowe dla więźniów, starałem się im pomagać w pisaniu listów. Tutaj, w Velletri, nie robię niczego podobnego, nie ma tu żadnych zajęć, nie ma niczego, to jest dramatyczne, ponieważ poza niedostatecznym wyposażeniem łazienek i beznadziejnym jedzeniem rzeczywistość więzienna sprowadza się

do zwykłej pokuty pozbawionej reedukacji. Prawie cały czas spędzam, leżąc na pryczy, ciągle myślę o tym, co się stało, analizuję każdą minutę. Tęsknię za wszystkim, co zostało na zewnątrz. Tęsknię za spacerami i za słuchaniem mojej ukochanej Dalidy. Naprawdę tęsknię za wszystkimi".

„A co chciałbyś powiedzieć Manuelowi?" – zapytała dziennikarka.

„Powiedziałbym mu: *Przestań nienawidzić. Tak jak tamtego wieczoru pozwoliłeś mi spokojnie odejść i umrzeć, tak teraz pozwól mi żyć i wyznaj prawdę o tej dramatycznej nocy*".

Gdyby Marco Prato pisał dysertację na temat najgorszych masowych instynktów, trafiłby w dziesiątkę. Na zewnątrz było pełno ludzi pragnących ukrzyżować winnych, spalić potwory na stosie, ludzi stawiających rozmaite pręgierze, by zaspokoić niszczycielskie pragnienie zemsty. Ale zemsty za co? Czuliśmy się upokorzeni, potrzebowaliśmy upokarzać. Czuliśmy się zranieni, potrzebowaliśmy ranić. W głębi serca czuliśmy się mierni, głupi, strachliwi i nieistotni, a wszystko to u zmierzchu epoki, która obiecała uczynić nas bogatymi, inteligentnymi i odważnymi. W rezultacie pracowaliśmy ciężko, by nie patrzeć rzeczywistości prosto w oczy, podsycaliśmy naszą porażkę, przedstawiając ją jako dowód naszej uczciwości, dobroci, przejrzystości, jeśli nie wprost czystości. I polowaliśmy na winowajców (lub zaczynaliśmy ich wymyślać), aby domek z kart się nie rozpadł. Gdyby Marco Prato chciał opisać ten psychologiczny upadek, tę głęboką chorobę społeczną, miałby rację. Problem polegał jednak na tym, że to właśnie on – niezależnie od tego, jaką karę przyniesie jego proces – był bezsprzecznie odpowiedzialny za to, co się stało. Marco Prato wskazywał palcem na fanatyków pręgierza, aby uniknąć rozwodzenia się nad własnymi brakami – głosił jedną prawdę o innych, aby uniknąć innej prawdy o sobie samym, a to też była powszechna choroba społeczna – a także by uniknąć rozwodzenia się nad najbardziej porażającym aspektem tej sprawy, mianowicie, że dwudziestotrzyletniego chłopaka nie ma już wśród żywych.

Widziałem, jak nici w motku się plączą, zastanawiałem się, jak i kiedy wszystkie te węzły się rozsupłają.

W pewnym punkcie wywiadu Annalisa Chirico, w której Marco pokładał nadzieję na zmianę swojego wizerunku, wspomniała rodzinę Varaniego. Rodzice Luki, powiedziała, uważali, że słowo „wybaczam" jest zbyt wielkie/ważne, by Marco na nie zasłużył.

„Napiszę list do rodziny Luki – brzmiała odpowiedź Marca – ta myśl chodzi mi po głowie od jakiegoś czasu, ale nie sądzę, by było stosowne teraz

o tym mówić”.

– Jaki list? Ani słowa nie napisał! – krzyknął Giuseppe Varani.

Ojciec Luki, rozwścieczony wyrokiem w procesie Manuela Foffo, bał się, że sprawy mogą potoczyć się jeszcze gorzej w przypadku Marca Prato. Nie rozumiał uzasadnienia wyroku w uproszczonym procesie: jak to możliwe, że w przypadku tak przerażającego morderstwa można było zastąpić straszliwe fakty względami biurokratycznymi? Giuseppe Varani był sfrustrowany także dlatego, że podczas procesu, jak powiedział, nie pozwolono mu porozmawiać z sędzią. Co to za przepisy? Gdyby dano mu szansę pokazania zdjęć, opowiedzenia o swojej rozdzierającej rozpaczy, przypomnienia, poza dokumentami i ekspertyzami, kim był jego syn i jaki koniec go spotkał, gdyby ktoś pozwolił mu po prostu położyć na szali – tej ostatecznej, symbolicznie reprezentującej sprawiedliwość – szczególny rodzaj cierpienia, na które skazano jego i jego żonę („to nam wymierzono karę niemającą końca!”, powiedział), może sprawy potoczyłyby się inaczej. Teraz pan Varani był zdenerwowany i niespokojny. Jeśli Foffo dostał trzydzieści lat, przyznając się do winy, to co może dostać Marco Prato, który rozgłasza swoją niewinność na cztery strony świata?

Do tego dochodziły oczekiwania obserwatorów. Proces uproszczony odbywa się za zamkniętymi drzwiami. Nikt nie widział Marca Prato i Manuela Foffo na ławie oskarżonych. Wkrótce miał się odbyć zwykły proces, w związku z czym obaj spotkają się po raz pierwszy w sali sądowej. Widzowie zobaczą ich stojących naprzeciwko siebie, w konfrontacji (jeden będzie ogłaszał swoją prawdę, drugi jej przeczył), która zapowiadała się dramatycznie. Ludzie z niecierpliwością czekali na to widowisko. Rozpoczęło się odliczanie do 10 kwietnia.

Kiedy jednak nadszedł ten dzień, proces się nie rozpoczął z powodu nagłego strajku adwokatów. Rozprawa została przełożona na 12 czerwca.

19 maja, niecały miesiąc przed rozpoczęciem procesu, rodzice Luki Varaniego wzięli udział w marszu z pochodniami zorganizowanym przez nowo utworzony komitet *Noi siamo Luca* [Wszyscy jesteśmy Lucą]. Ponad

sto osób – przyjaciele, członkowie rodziny, zwykli mieszkańcy – przeszło po zmroku ulicami osiedla Boccea. Mieli starannie przygotowane transparenty. Wydrukowali koszulki ze zdjęciem Luki i napisem *NOI SIAMO LUCA*. Jednak ta mała demonstracja miała nie tylko cel upamiętniający. Kiedy rozpoczęła się procesja, ludzie wspólnie maszerowali z dumnym i smutnym wyrazem twarzy, trzymając transparenty. Ci, którzy przybyli tam jako obserwatorzy, mogli zobaczyć z tyłu koszulek drugi napis: DOŻYWOCIE I PRZYKŁADNA KARA DLA MORDERCÓW.

Nadszedł 12 czerwca, dzień pierwszej rozprawy w procesie Marca Prato. Tego ranka rodzice Luki, wspierani przez komitet organizacyjny marszu, wywiesili naprzeciwko sądu transparent. WSZYSCY JESTEŚMY LUCĄ. SPRAWIEDLIWOŚĆ DLA LUKI VARANIEGO. Prewencyjny gest protestu.

Ale i tym razem do rozprawy nie doszło. Nieoczekiwany strajk penalistów spowodował kolejne odroczenie. Rodzice Luki Varaniego wrócili do domu ze swoim transparentem i członkami komitetu. Rozprawa została przełożona na 21 czerwca.

Oczekiwanie zaczęło się robić denerwujące. Uwaga skupiła się na Marcu. Historie wokół niego, które krążyły przez rok, sprawiły, że w ludzkich wyobrażeniach stał się niemal filmową postacią – Zeligiem, osobą pełną sprzeczności, przerażająco bystrą, rozdartą, nadwrażliwą, manipulującą, zdolną do każdego podstępu, gotową zrobić wszystko, by jego wizerunek lśnił – a jednak od dnia morderstwa prawie nikt go nie widział w akcji. Co się stanie podczas procesu? Jak Marco Prato zaprezentuje się publicznie? Jaką twarz pokaże obiektywom aparatów i kamer? Jakim tonem głosu zwróci się do ławy przysięgłych? Czy będzie o sobie mówił w rodzaju żeńskim? Co się wydarzy, kiedy stanie twarzą w twarz z Manuelem Foffo? Czy będzie próbował retorycznie go zniszczyć, jak – wydawałoby się – potrafił zrobić z każdym innym? A jeśli nawet to zrobi, mówili, o wiele trudniej będzie wygrać z prokuratorem. *Dottor* Scavo to twardy gość. Czy Marco miał jeszcze jakieś asy w rękawie, którymi mógłby zagrać? Do której ze swoich licznych osobowości się ucieknie i jaką subtelną argumentację, jaką godną podziwu dekonstrukcję tej historii przeciwstawi zalewowi dowodów, które zostaną mu przedstawione? Jakie wyjątkowe kłamstwo lub druzgocącą prawdę oskarżony ujawni w najpiękniejszym momencie? W Rzymie znów było potwornie gorąco.

Wiadomość pojawiła się w radiu 20 czerwca, dzień przed rozpoczęciem procesu. Potem przyszła kolej na sieć, a następnie na telewizyjne wiadomości.

Ja dostałem ją przez WhatsAppa o 9.08.

Byłem w Turynie. Noc wcześniej przygotowywałem się do procesu i usnąłem nad jakimiś dokumentami wyjętymi z gigantycznej teczki, którą zapełniałem przez miesiące. Usłyszałem dźwięk powiadomienia, gdy piłem drugą kawę. Podniosłem smartfon.

„Nicola, czytałeś? Jestem w szoku". Pisał do mnie przyjaciel, z którym nie miałem kontaktu od miesięcy.

Mogła to być każda niepokojąca wiadomość, od trzęsienia ziemi po atak terrorystyczny. A jednak – zanim jeszcze odpowiedziałem „nie, a co się stało?" – czułem, że wiem, o co chodzi. Wiedziałem to od miesięcy, być może od samego początku całej sprawy, spodziewałem się tego, ale jednocześnie udawało mi się to ignorować. Dopiero ta wiadomość pozwoliła mi poważnie ocenić to, co do tej pory dostrzegałem jedynie w sposób nieświadomy.

Kilka chwil później w moim telefonie pojawiło się powiadomienie z linkiem do strony głównej „Il Messaggero".

MARCO PRATO POPEŁNIA SAMOBÓJSTWO W WIĘZIENIU

Upadłem na sofę, jakby ktoś dał mi pięścią w twarz.

W nocy, w więzieniu w Velletri, Marco Prato został znaleziony martwy w łazience swojej celi. Zabił się, wdychając gaz z butli używanej do gotowania. Założył na głowę plastikową torbę, zacisnął ją na szyi sznurkiem, włożywszy wcześniej do środka małą butlę gazową. Jego współwięzień niczego nie zauważył, a przynajmniej tak powiedział strażnikom.

Obok ciała, jak napisały gazety, znajdowała się kartka z krótką wiadomością pożegnalną napisaną wielkimi literami.

„Samobójstwo nie jest aktem odwagi czy tchórzostwa – pisał przed śmiercią Marco Prato – samobójstwo jest chorobą, z której nie zawsze się zdrowieje. Nie ma wymiaru etycznego, nie jest wymówką ani samolubnym gestem. Presja mediów jest nie do zniesienia, kłamstwa o tamtej nocy i o mnie samym są nie do zniesienia, to życie jest dla mnie nie do zniesienia. Wybaczcie mi”.

Po tym następował podpis i postscriptum.

„Postarajcie się, żeby w chwili, kiedy mój ojciec się dowie, był z nim lekarz albo siostra mojej matki (emerytowana ordynatorka), bo cierpi na nadciśnienie i ma chore serce!”

Następnego dnia, 21 czerwca, sędziowie Sądu Przysięgłych w Rzymie otworzyli i od razu zamknęli proces przeciwko Marcowi Prato. Postępowanie zostało umorzone z powodu śmierci oskarżonego. Nakazano zwolnienie mieszkania przy via Igino Giordani.

Piazzale Clodio oblegli dziennikarze. Podczas posiedzenia obecna była również Marta Gaia Sebastiani. Zaraz po tym, gdy wyszła z sądu, reporterzy się na nią rzucili.

– Marta Gaia! Marta Gaia!

– Nie chcę rozmawiać.

Dziewczyna, chroniona przez duże okulary przeciwsłoneczne, miała stanowczy ton. Dzień wcześniej napisała na Facebooku, że jest zszokowana tym, co się stało.

– Naprawdę nie chce pani tego skomentować?

– Nie. – Marta podniosła rękę w kierunku mikrofonu, jakby chciała się bronić. – Życie to życie – dodała – trzeba uszanować żałobę rodzin.

– Tragedia w tragedii?

– Tak – potwierdziła dziewczyna, po czym oddaliła się szybkim krokiem.

Przyszła kolej na Savina Guglielmiego, jej prawnika.

– Myślę, że każdy tutaj jest przegrany – powiedział w otoczeniu kamer. – Państwo, społeczność, biedny Varani. Wszyscy przegraliśmy. Nie zapewniono bezpieczeństwa więźniowi. Proces Marca Prato się nie odbędzie i niestety, nie poznamy całkowitej prawdy.

Z Valterem Foffo, ojcem Manuela, dziennikarze skontaktowali się telefonicznie.

– Dręczycie mnie tymi telefonami. Co ja mogę powiedzieć? Słyszałem w radiu, że Prato odebrał sobie życie. Teraz został tylko mój syn. I może pozostać jedynym kozłem ofiarnym w tym dramacie, który nie chce się skończyć.

Dziennikarze dotarli również do Giuseppego Varaniego.

– Współczujemy rodzinie Marca Prato – oznajmił. – Nikt nie zasługuje na

taką śmierć, nawet najgorszy z przestępców. Wiadomość przekazał nam znajomy dziennikarz. Moja żona zaczęła płakać. Przykro nam z powodu tego, co się stało. Ale nasz żal jest silniejszy. Mój syn został zabity, to nie była jego decyzja, by umrzeć.

Psychiatra, który miał pod opieką Marca w więzieniu w Velletri, napisał w swoim ostatnim raporcie: „Odwiedzany regularnie od 14 lutego. Cotygodniowe wizyty i rozmowy wspierające. Podczas oceny klinicznej nie zgłoszono żadnych intencji rezygnacyjnych. Nastrój określany jako niedepresyjny".

Jednak Mauro Palma, krajowy rzecznik praw więźniów, oświadczył: „Pod wieloma względami było to zapowiedziane samobójstwo. Już w zeszłym roku interweniowaliśmy, by sprowadzić Marca Prato z powrotem do Regina Coeli, biorąc pod uwagę, że opieka psychiatryczna zakładu karnego w Velletri właściwie nie istnieje, i że tam, w Velletri, osoba, która próbowała już wcześniej popełnić samobójstwo, otrzymałaby gorsze wsparcie niż to, jakie gwarantowało rzymskie więzienie.

O jedenastej przed południem Ledo Prato znajdował się w kostnicy polikliniki na Tor Vergata. Przed nim leżały zwłoki Marca.

– Widzieliśmy się w więzieniu, kto mógł przypuszczać… – wyszeptał bardzo cicho.

Odwiedził syna poprzedniego popołudnia. Poszedł zobaczyć się z nim tak jak zawsze, odkąd Marco trafił do więzienia. Uściskali się. Rozmawiali. A teraz byli tam.

Samobójstwo Marca Prato było najsmutniejszym ze zwrotów akcji, a jednocześnie rzuciło wielki cień na całą sprawę. Chociaż przeprawy sądowe jeszcze się nie skończyły – będzie apelacja Manuela Foffo, proces kasacyjny, powództwo cywilne wniesione przez rodziców Luki Varaniego i Martę Gaię Sebastiani – to od tego momentu napięcie zaczęło opadać. Osiągnięto szczyt, zawartość beczki doprowadziła do jej wybuchu. Nie brakowało wstrząsów wtórnych, ale wyraźne poczucie końca ogarnęło tych, którzy przez ponad rok śledzili sprawę morderstwa, nie będąc w stanie się od niej oderwać.

O przyczynach samobójstwa spekulowano przez wiele miesięcy.

– Spróbuj wysunąć jakąś hipotezę – zasugerował Francesco Scavo, z którym byliśmy już po imieniu.

Siedzieliśmy w tym samym co zwykle barze przy piazzale Clodio. Znów

przejechałem nieopodal Monte Mario, znów w oddali widziałem obserwatorium astronomiczne. Czułem ten sam niepokój, który ogarniał mnie, gdy wracałem do Rzymu, wiedząc, że wkrótce będę musiał go opuścić. Słyszałem ruch uliczny na viale Angelico, wiedziałem, że dalej są piazza Mazzini, sklepy przy via Cola di Rienzo, a potem, za gmaszyskiem Sądu Najwyższego, tuż przy rzece znajdowało się Muzeum Dusz Czyśćcowych, niewielka kolekcja mająca dokumentować działanie zmarłych. Pozaziemskie odciski na sutannach. Poszewka poduszki z wypalonym śladem ducha zmarłej zakonnicy. Tego dnia, zanim dotarłem na spotkanie z Franceskiem Scavo, zatrzymała mnie na ulicy mała dziewczynka.

– *Ciao*, lubisz zwierzęta?

Dziewczynka stała przed sklepem, w którym jej matka kupowała karmę dla kotów.

– Jasne – odpowiedziałem. – Mam kota, tak jak ty.

Dziewczynka miała jakieś dziewięć lub dziesięć lat, była wysoka jak na swój wiek, miała na sobie zielone spodnie nad kostkę, włosy ścięte na pazia i patrzyła na mnie jednym z najbardziej inteligentnych i żywych spojrzeń, jakie w życiu widziałem.

– Skąd wiesz, że mam kota? – zapytała zaraz po tym, gdy oddała ironiczny hołd mojej trafnej odpowiedzi czterema pierwszymi nutami słynnej symfonii.

– Ponieważ czytam w twoich myślach – odpowiedziałem.

– Ach tak – odparła poważnie, ale tak, by poświęcana mi uwaga nie oderwała jej od równoległego wymiaru, wspaniałej krainy, do której chciałby wrócić każdy, kto ma więcej niż dwadzieścia lat, i oddałby za to wszystko.

– W takim razie, skoro czytasz w moich myślach – kontynuowała – musisz mi powiedzieć, jak ma na imię mój kot.

– Co za pytanie? – odpowiedziałem. – Nazywa się Beethoven.

– Ale jak… – uśmiechnęła się niemal niezauważalnie.

Matka zawołała do niej z wnętrza sklepu:

– Przestań zawracać ludziom głowę!

Jej głos był pełen czułej irytacji. Życie byłoby znośne, gdybym mógł wiecznie rozmawiać z tym dzieckiem, pomyślałem. Ona, która naprawdę potrafiła czytać w myślach, była tak wspaniałomyślna, że dała mi złudzenie, że ja też to potrafię.

– Wszystko, co mówi się o samobójstwie, wydaje mi się prawdopodobne – kontynuowałem rozmowę ze Scavo. – Może nie ma

jednego wyjaśnienia.

Jedni twierdzili, że kroplą, która przelała czarę goryczy, był kolejny strajk prawników. Ciągłe odkładanie procesu podkopało nastrój Marca, i tak już osłabiony więzieniem i medialnym pręgierzem. Inni, a było ich wielu, interpretowali samobójstwo jako punkt szczytowy wystudiowanego bohaterstwa Marca. Mówili, że zabijając się na dwa dni przed procesem, wyreżyserował zejście ze sceny godne diwy i niemal co do joty odtworzył tragiczny koniec Dalidy. „Wybaczcie mi, życie jest dla mnie nie do zniesienia", napisała piosenkarka w liście pożegnalnym. „To życie jest dla mnie nie do zniesienia. Wybaczcie mi", niemal identycznie brzmiały słowa Marca Prato. Jakby tego było mało, przez własne samobójstwo Marco przypuścił dramatycznie skuteczny atak na machinę sprawiedliwości. Odebranie sobie życia było jedynym sposobem, by zapobiec procesowi. Dzięki swemu ekstremalnemu czynowi Marco odzyskał kontrolę nad sytuacją i uniemożliwił komuś innemu napisanie zakończenia za niego.

– No i jest jeszcze sprawa Ettorego Catanzaro – dodałem.

– Tak, to też – potwierdził Scavo.

Ettore Catanzaro, 41 lat, odbywający karę w więzieniu w Velletri, a później przeniesiony do zakładu karnego w Latinie, kilka tygodni wcześniej poprosił o widzenie z organami wymiaru sprawiedliwości. Chorążemu karabinierów, który przyjechał do więzienia, powiedział, że Marco Prato zlecił mu pobicie Manuela Foffo.

– W zakładzie w Velletri zajmowałem celę numer siedem – zeznał – Marco był w piątce. Na początku przebywał w izolatce, ale od czasu do czasu pozwalali mu wychodzić na korytarz, żeby się trochę socjalizował. Rozmawiał z moim kolegą z celi, Mediną, Kubańczykiem, którego poznał w Regina Coeli. Pewnego pięknego dnia Medina podszedł do mnie i powiedział: *Słuchaj Ettore, ten Marco Prato wkurwił się na Manuela Foffo, chce, żeby mu spuścić łomot, jest przekonany, że to on rozpuścił plotkę o HIV. Chce wiedzieć, czy możesz mu pomóc*.

Catanzaro siedział za poważne przestępstwa, miał znajomości w innych więzieniach.

– Nigdy nie zleciłbym pobicia Manuela Foffo – powiedział chorążemu. – Ale postanowiłem udawać.

Po zakończeniu okresu odosobnienia Marco odwiedzał go w celi. Catanzaro gotował dla niego („*fettuccine* z *ragù*, kotlety"), od czasu do

czasu skręcił mu jointa („miałem trochę trawki ukrytej w słoiku z solą”), a po obiedzie rozmawiali, słuchając muzyki. Rzeczywiście, twierdził Catanzaro, Marco próbował zlecić mu pobicie Manuela.

– Zaoferował mi dwa tysiące euro za pobicie Foffo, powiedział, że może zdobyć pieniądze. Miałem napisać do mojego kumpla z Tor Bella Monaca, zamkniętego w tym samym więzieniu co Manuel, i poprosić, by zajął się sprawą. Z Markiem zaczęliśmy się sobie zwierzać. Opowiedział mi o swoich rodzicach, mówił, że matka nigdy go nie odwiedziła. Innego dnia w mojej celi, kiedy mówiliśmy już sobie wszystko, zapytałem go: *Powiedz prawdę, brałeś aktywny udział w morderstwie?* Marco odpowiedział: *Tak.* Zapytałem: *Ile ran kłutych zadałeś*? Wtedy powiedział, że dwie.

Relacja Catanzara została zarejestrowana. Protokół przekazano prokuratorowi. Przypuszczalnie kopię otrzymali również prawnicy Marca Prato, którzy, jak sądziłem, musieli poinformować o tym swojego klienta. Jeśli tak właśnie było – i jeśli Catanzaro nie kłamał – to Marco dowiedział się, gdzie trafiły jego zwierzenia. To mógł być koniec jego planu obrony i niewykluczone, że zobaczył nad sobą unoszący się czarny cień dożywocia.

– Ledo Prato przyszedł się ze mną zobaczyć – zmienił temat Scavo.

Takie rzeczy zdarzały się po procesie częściej, niżby się mogło wydawać. Krewni skazanych szukali ich oskarżycieli. Czuli potrzebę wyjaśnienia, uściślenia, tak jakby ci, którzy uruchomili ciężką machinę sprawiedliwości, nadawali się najlepiej do rozwiązania problemu także na innych poziomach.

W tym przypadku Ledo Prato chciał tylko, żeby wszczęto dochodzenie w sprawie samobójstwa jego syna. Dlaczego Marco został przeniesiony do Velletri? Jak to możliwe, że psychiatrzy więzienni nie zdawali sobie sprawy z jego stanu? Wszyscy wiedzieli, że Marco już wcześniej próbował się zabić. Dlaczego więc *nikt* nie zrobił niczego, co mogłoby zapobiec najgorszemu?

Pożegnałem się z prokuratorem. Zerknąłem na zegarek. Spacerowałem bez celu przez pół godziny, po czym włożyłem do koperty list, który napisałem do Manuela Foffo, jedynego ocalałego z trójki chłopaków. Wsiadłem do metra.

Obiad zjadłem w brzydkiej osterii niedaleko via Cavour. Ponieważ wciąż miałem czas przed kolejnym spotkaniem, postanowiłem udać się do bazyliki św. Piotra w Okowach. Wspiąłem się po Schodach Borgiów, wiecznie zacienionych łukiem tunelu, a jednocześnie rozzielenionych żywą kaskadą pnączy. U szczytu ujrzałem gładką i regularną fasadę kościoła. Wszedłem,

ruszyłem boczną nawą, aż stanąłem przed posągiem. Stał tam od prawie pięciuset lat i będzie stać jeszcze długo po naszej śmierci. *Mojżesz* Michała Anioła, rzadki przypadek zagadki zaklętej we wzniosłym pięknie, od zawsze był przedmiotem dyskusji. Zygmunt Freud, kiedy przebywał w Rzymie, codziennie chodził do bazyliki, stał tam godzinami, próbując zrozumieć. Zapalał się nadzieją, gdy wydawało mu się, że pojął coś ważnego, i gasł w zniechęceniu, gdy jego intuicja się rozwiewała. Patrzył na muskularne ramiona posągu, tablice prawa pod prawym ramieniem, lewą rękę spoczywającą na podołku, palce prawej dłoni zaciśnięte w lokach długiej brody, lewą nogę uniesioną tak, że tylko czubek palców dotykał ziemi, głowę odwróconą w lewo, na mieszaninę gniewu, pogardy i bólu w spojrzeniu. Według wielu komentatorów Michał Anioł przedstawił moment bezpośrednio poprzedzający chwilę, gdy Mojżesz, oburzony zachowaniem swojego ludu, niszczy tablice prawa, rzucając je na ziemię. Następnie chwyta złotego cielca, pali go w ogniu, kruszy na pył, wsypuje ów pył do wody i każe to pić Izraelitom. Podczas kolejnej z niezliczonych wizyt Freud nagle poczuł, że doznał objawienia. Wydało mu się, że Michał Anioł, rzeźbiąc swojego Mojżesza, wykonał potężny rozmyślny gest: posunął się tak daleko, że zmienił biblijną narrację, dokumentując to, czego nie ma w Księdze: nie gniew, który ma wybuchnąć, lecz gniew powściągnięty. Według Freuda Mojżesz Michała Anioła, po gwałtownej wewnętrznej udręce, po tajemniczej bitwie z samym sobą, zmienia swój cel. Oburzenie zostaje poskromione, gwałtowność uśmierzona, ból złagodzony. Prorok nie rozbija już tablic na ziemi, a dzięki temu one, czyli prawo, nabierają nowego znaczenia.

Zastąpienie jednego narratora innym. Co dokonało się w głowie Mojżesza, jeśli przyjąć interpretację Freuda? I co powinniśmy zrobić my, zapytałem sam siebie, wciąż patrząc na posąg, myśląc o Marcu Prato. Jakie było zadanie żywych, skoro umarli nie wypełnili swojego?

Wyszedłem z bazyliki. Przez kilka minut wałęsałem się bez celu. Następnie udałem się na kolejne spotkanie. Po wizycie na piazzale Clodio, gdzie wymierza się sprawiedliwość, i po wizycie u Świętego Piotra w Okowach, gdzie leczy się dusze, czekał na mnie pałac, w którym jednego dnia ratuje się demokrację, a drugiego się na nią czyha.

Wiedziałem, że Ledo Prato, oprócz prokuratora, zwrócił się także do senatora Luigiego Manconiego.

Manconi był w tym czasie przewodniczącym Nadzwyczajnej Komisji Ochrony i Propagowania Praw Człowieka w senacie. Miałem się z nim spotkać o trzeciej po południu. Znaliśmy się już wcześniej. Manconi miał prawie siedemdziesiąt lat, to była jego trzecia kadencja i prowadził swoje działania na tyle niezależnie, że naprawdę groziła mu możliwość wyboru na czwartą. Zajmował się prawami migrantów, warunkami życia społeczności Romów i Sinti, więźniami, uchodźcami, niepełnosprawnymi, a również nadużywaniem władzy przez policję wobec zwykłych obywateli. Od kilku lat cierpiał na jaskrę i był prawie całkowicie niewidomy. Nie nosił laski ani ciemnych okularów i czasami wiele ryzykował, przechodząc przez ulicę. Poza tym pracował niestrudzenie ze swoimi asystentami w małym biurze w Palazzo Madama, siedzibie włoskiego senatu, dokąd się teraz kierowałem.

Wylegitymowałem się i zostałem wprowadzony do gigantycznego wnętrza kuźni włoskiej demokracji. Albo, jak kto woli, jednego z jej płuc. Drogę torował mi urzędnik. Rozglądając się, pomyślałem, że wszystkie miejsca władzy we Włoszech wyglądają podobnie. Przekraczasz monumentalne progi i zagłębiasz się w wąski labirynt korytarzy i znajdujących się przy nich pokoików. Od czasu do czasu trafiasz na widok godny muzeum. Potem znów sieć korytarzy, małych biur i wind wąskich jak trumny. Władza mieszka w szczelinach.

– Tędy – powiedział urzędnik i wskazał na kolejną windę.

Biuro senatora Manconiego było małym, długim pokojem pełnym papierów, teczek i nowo wydanych książek, które właśnie tam wysyłali wydawcy.

– Przyszedł do mnie po tym, jak zwrócił się do innych polityków – potwierdził.

Manconi powiedział, że Ledo Prato próbował przenieść sprawę na poziom instytucjonalny. Nie było to łatwe. Chodził od rozmówcy do

rozmówcy, kazano mu czekać, bezskutecznie antyszambrował, czekał na telefony, które nie chciały oddzwonić.

– Wolał najpierw zwrócić się do ludzi ze swojego środowiska. To naturalne, tak myślę. Ale oni albo marnowali jego czas, albo utykali przy jakimś biurokratycznym problemie.

Manconi powiedział, że już wkrótce wystosuje interpelację do ministra sprawiedliwości Andrei Orlando.

– Wiesz, ilu ludzi odbiera sobie życie we włoskich więzieniach? Jeden w tygodniu. – Poinformował mnie, nie czekając, aż zgadnę.

– A wiesz, jak się zabijają?

Powiedział, że bardzo często się wieszają. Drugą przyczyną śmierci był gaz. Używali butli do gotowania, tak jak Marco. Istniał sposób na uniknięcie tego drugiego rodzaju śmierci, aby przynajmniej częściowo go ograniczyć, sposób tak prosty, że aż trudno zrozumieć, dlaczego nie został wdrożony.

– Wystarczyłoby zastąpić butle z gazem płytami elektrycznymi. Manconi powiedział, że przez lata składali o to wnioski do Ministerstwa Sprawiedliwości.

Wtedy przypomniałem sobie, co Marco powiedział swojemu ojcu podczas jednej z ostatnich rozmów w więzieniu. „Zrobili mi *upgrade*", oznajmił po tym, gdy pozwolono mu używać butli gazowych, kiedy chciał zaparzyć kawę.

Zanim wyszedłem, senator Manconi postanowić dać mi mały prezent.

– Nie wiem, do jakich wniosków doszedłeś w swoich poszukiwaniach – powiedział. – Ale nie można wiedzieć wszystkiego o ludziach, którymi jesteśmy zainteresowani.

– Nie można wiedzieć wszystkiego nawet o sobie samym – odparłem. – Inaczej nikt by już nic nie napisał.

– To prawda, ale trzeba osiągnąć pewien stopień zrozumienia. Te rzeczy podążają skomplikowanymi ścieżkami, czasem zajmuje to lata, a czasem nigdy się nie dociera do kresu.

– Zrozumienie nie jest trwałe, nawet w tym jesteśmy przemijający.

– Tak czy inaczej – powiedział. – Chcę dać ci coś, co może ci się przydać.

Poprosił jednego ze swoich asystentów, by przejrzał małą stertę książek, która piętrzyła się na jednym z biurek. Po krótkich poszukiwaniach asystent znalazł tom. Senator zważył go w dłoniach i podał mi.

– Nie chciałbym urazić tu obecnych – powiedział z uśmiechem – ale uważam ją za najpiękniejszą włoską książkę ostatniego dziesięciolecia.

Interpelacja do ministra Orlando (podpisali ją senatorowie Manconi, Corsini i Stefano) została złożona w lipcu. Odpowiedź nadeszła pięć miesięcy później, 7 grudnia.

Minister napisał, że chociaż zdaje sobie sprawę z dramatyzmu każdego aktu autoagresji, nie może jednak pominąć faktu, że w ostatnich latach liczba samobójstw we włoskich więzieniach spadła. W odniesieniu zaś do Marca Prato – z lektury raportów administracji więziennej nie wynika, by jego sytuacja została „zlekceważona lub zaniedbana".

Raport, liczący pięć kartek, był napisany w tym właśnie tonie. Brzmiało to trochę jak gra. Wśród pragmatycznych zapewnień znajdowała się jednak informacja, która nie mogła pozostać niezauważona. Interpelujący pytali, dlaczego Marco Prato został przeniesiony do więzienia w Velletri. Odpowiedź ministra była emblematyczna.

> Propozycję przeniesienia z Rzymu do innego zakładu uzasadniano tendencją aresztowanego do wykorzystywania słabości współwięźniów w celu przyjęcia dominującej roli.

Ta wzmianka – prawdopodobnie uzyskana po zwróceniu się po informacje do administracji więziennej – sugerowała, że w Regina Coeli Marco zdołał odtworzyć część dynamiki, którą praktykował na wolności. Manipulacja. Naginanie woli współwięźniów. Zmuszanie ich do robienia tego, co chciał. Wśród osób śledzących sprawę byli tacy, którzy pamiętali, co Marco powiedział o kursie muzyki i literatury w więzieniu. Więźniowie śpiewali mu *Ciao amore, ciao* Dalidy. „Nie przekonasz grupy więźniów, by zaśpiewali ci twoją ulubioną piosenkę, jeśli nie masz ich w garści". Niektórzy spekulują, że Marco nie tylko ćwiczył swoje uwodzicielskie umiejętności na poziomie intelektualnym. Jeśli uprawiał seks z innymi więźniami, ujawnienie informacji o jego seropozytywności mogłoby mieć poważne konsekwencje. Od uwodziciela do siewcy zarazy. Mógł zostać przeniesiony, aby uniknąć zemsty niektórych osadzonych.

Mijały tygodnie. W październiku otrzymałem na WhatsAppie wiadomość od Chiary Ingrosso. Wydarzyło się coś nieoczekiwanego, chciała mi o tym opowiedzieć. Spotkaliśmy się kilka dni później w pobliżu mostu Mulwijskiego.

Było to w czasie przygotowań do procesu w drugiej instancji. Manuel został przeniesiony do więzienia na Rebibbii. Słyszeliśmy również, że zdecydował się na zmianę adwokata. Do widzenia, Michele Andreano, dzień dobry, Fabio Menichetti. Krążyły plotki, że Manuel zrobił to z powodów rodzinnych; Andreano był prawnikiem, do którego zwrócił się jego ojciec, a Manuel nadal żywił nieufność wobec Valtera, choć nie miał nic przeciwko temu, by ojciec rozwiązywał jego liczne problemy z pieniędzmi. W chwilach największej dezorientacji posunął się nawet do myśli, że Valter może przeciwko niemu spiskować. Poza tym o rodzinie Foffo krążyły sprzeczne informacje. Niektórzy mówili, że założyli firmy za granicą. Inni, że zostali w Rzymie i są zajęci wygrzebywaniem się z problemów finansowych, które sprowadziła na nich zbrodnia syna.

Ze strony rodziny Prato, jak wcześniej, nie docierały żadne wiadomości.

– I właśnie o tym chcę z tobą porozmawiać – powiedziała Chiara Ingrosso.

Obecnie pracowała dla grupy medialnej Mediaset jako korespondentka krajowa. Podróżowała po Włoszech, ścigała bohaterów najkrwawszych zbrodni, próbując wydobyć od nich decydujące oświadczenia. Ludzie nie przestali się mordować, więc materiału nie brakowało. Chiara przyznała, że trudno znosiła te sprawy, ale była w stanie rozłożyć nad sobą ochronny parasol profesjonalizmu. Z morderstwem Varaniego było inaczej: każdy reporter kryminalny ma w życiu *swój* przypadek, kiedy ten parasol nie wystarczał. Chiara była zaskoczona tym, jak bardzo to morderstwo wyrwało ją z dawnego życia, choć początkowo nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Powiedziała, że kto zbytnio skracał dystans wobec złych historii, miał wypalone ich piętno, a z naznaczonymi działy się dziwne rzeczy.

Ja z kolei myślałem o tym, jak sam zostałem katapultowany daleko od Rzymu.

– To się stało kilka tygodni temu – zaczęła opowiadać. – Byłam na lotnisku w Brindisi. Miałam lecieć do Rzymu. Odprawiłam się, czekałam na wejście na pokład.

Nagle („był jasny, wręcz słoneczny dzień") niebo pociemniało i praktycznie znikąd w miasto uderzyła gwałtowna burza. Wiatr był tak silny, że lotnisko zostało zamknięte, loty przekierowano do Bari, a pasażerom udostępniono awaryjny transport na drugie lotnisko.

– Kiedy dotarliśmy na miejsce, ponownie przeszliśmy formalności związane z wejściem na pokład.

Przed kontrolą bezpieczeństwa, stojąc na ruchomych schodach prowadzących na wyższe piętro, Chiarze wydało się, że widzi znajomą sylwetkę. Przed nią, odwrócony plecami, stał wysoki, dystyngowany mężczyzna w ciemnym garniturze.

– Wydawało mi się, że to on, a jednocześnie był to tak niesamowity zbieg okoliczności, że nie mogłam w to uwierzyć.

Będąc już na górze, Chiara Ingrosso wydłużyła krok, wyprzedziła mężczyznę i odwróciła się, by na niego spojrzeć.

– Wydaje mi się, że już pana kiedyś widziałam – powiedziała.

– Możliwe – odparł mężczyzna, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Jest pan ojcem Marca – powiedziała dziewczyna. Oczy Leda Prato zwilgotniały.

– Ja też się rozpłakałam – powiedziała Chiara. To była chwila prawdziwego wzruszenia („Myślę, że na pewno słyszał o moim udziale w tej sprawie").

– Była pani przyjaciółką mojego syna? – zapytał Ledo Prato, powściągnąwszy emocje.

Chiara odpowiedziała, że nie, że była dziennikarką. Wyraz twarzy mężczyzny znów się zmienił.

– Z uczciwości wymieniłam mu relacje, jakie przygotowałam z tej sprawy. Zrobił się chłodny, pamiętał je wszystkie, w końcu Marco obwiniał media o swoją decyzję o samobójstwie, mogłam przecież mieć w tym swój udział.

Choć dystans między nimi powrócił, spotkali się kilka dni później, by spokojnie porozmawiać.

– Spotkaliśmy się w Villa Torlonia – wspomina Chiara – ale atmosfera

z tamtego dnia na lotnisku już nie wróciła. Przyniosłam mu w prezencie płytę Dalidy, powiedział mi, że to w złym guście. Próbowałam wytłumaczyć, że w ten sposób chciałam uczcić pamięć Marca. Ledo pozostał raczej chłodny i ostrożny przez resztę spotkania, nie dopuścił do żadnych zwierzeń, nie zgodził się na wywiad.

– Jednak to nie był przypadek, że go spotkałam – stwierdziła Chiara.

– W jakim sensie? – zapytałem.

– Zasłużyłam na to – odparła.

Jakie miała szanse, by znaleźć się w tym samym samolocie co Ledo Prato, i jakie były szanse na tę absurdalną burzę, która rozpętała się znikąd nad Brindisi? Przez ostatnie półtora roku tak intensywnie myślała o tym morderstwie, przesłuchała tak wielu ludzi, przeczytała tak wiele dokumentów, wysłuchała tak wielu głosów, że przypadek, czy też los, jak twierdziła, postawił jej na drodze Leda Prato.

– No nie wiem – powiedziałem, ale wszystko we mnie wierzyło, że tak właśnie było.

To wtedy pomyślałem, że muszę odciąć się od tej sprawy. Najwyższy czas, by odpuścić. Potrzeba zrozumienia zamieniła się w uzależnienie i teraz groziło mi, że się w nim zatracę. Kiedy zagłębiasz się w morderstwo, przychodzi moment, kiedy ta zbrodnia bez litości drąży w tobie korytarze, zaczynasz interpretować wszystko przez pryzmat tej sprawy, wszędzie widzisz znaki, zbiegi okoliczności, przeczucia, przekształcasz się, nie zdając sobie z tego sprawy, w obiekt swoich badań. Nadchodzi punkt, gdy nie jesteś już w stanie drążyć, wnosić światła, zostaje tylko ciemność; próżnia, która wciąga w siebie twoje wnętrze. To właśnie wtedy musisz odwrócić głowę, musisz oderwać się od sprawy, aby mieć choćby cień nadziei, że ostatni kawałek układanki, ten najważniejszy, ten, którego jeszcze nie udało ci się znaleźć, pojawi się wtedy, gdy nie będziesz sobie nawet zdawał z tego sprawy.

Kiedy wróciłem do domu, znalazłem odpowiedź Manuela Foffo na mój list. Przeczytałem ją. Nie zawierała żadnych szokujących rewelacji. Znalazłem również mail od kogoś, kogo poprosiłem o spotkanie. Wydrukowałem bilety na pociąg i przygotowałem się do wyjazdu.

– Najpierw pracowałem w biurze architektonicznym. Potem w agencji fotograficznej. Dzisiaj się zwolniłem.

Byliśmy umówieni na stacji Porta Venezia. Ruch był spokojny, ulice zadbane, chodniki pełne zabieganych ludzi. Piękne sklepy, wspaniałe wystawy, zupełnie nowe drapacze chmur. Z miasta emanowała gorączkowa energia. Mediolan. Gdy wysiadłem z metra, wysłałem mu wiadomość. Andrea: miał dwadzieścia sześć lat i był ostatnim chłopakiem Marca Prato. Kiedy kilka dni wcześniej próbowałem się z nim skontaktować telefonicznie, potraktował mnie bardzo przyjaźnie. Byłem kimś kompletnie obcym i prosiłem go o rozmowę na temat tego strasznego doświadczenia. Jego spokój zrobił na mnie wrażenie.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i skierowaliśmy się do baru. Był młodym mężczyzną o delikatnych rysach, dobrze ubranym, jego spojrzenie było intensywne i czujne. Usiedliśmy, zamówiliśmy dwa wyciskane soki z cytrusów.

– Marco i ja poznaliśmy się na Facebooku – zaczął opowiadać. – W pewnym sensie była to zasługa algorytmu.

Sieć społecznościowa, jak każdego dnia, podsuwała mu profile innych użytkowników.

– Zobaczyłem zdjęcia Marca, od razu wydał mi się miłym facetem. Zacząłem dodawać lajki i serduszka pod jego postami. Potem zaczęliśmy wymieniać wiadomości na Messengerze. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że on już wcześniej próbował się ze mną skontaktować przez Tindera. Wtedy nie wzbudził mojego zainteresowania, ale teraz już tak. Postanowiliśmy się spotkać.

Zaczęli się widywać w październiku 2015 roku. Byli razem przez kilka miesięcy. Gdyby Andrea miał opisać Marca takiego, jakim go znał do dnia morderstwa, jego ocena byłaby całkowicie pozytywna.

– Zawsze był miły, opiekuńczy, troszczył się o mnie. Po prostu anioł. Nigdy nie widziałem, żeby się złościł, nie był agresywny, przeciwnie, był

bardzo łagodny i ciepły.

Andrea mieszkał w Rzymie sam, w dużym domu. („Moja rodzina żyła rozproszona po całych Włoszech”). Marco często go odwiedzał.

– Nigdy nie widziałem, żeby brał kokainę, nigdy nie wspominał o męskiej prostytucji, nigdy nie mówił, że chce zmienić płeć. Uważałem go za inteligentnego, bardzo wrażliwego gościa.

Zastanawiałem się, czy to on był tym facetem, o którym Marco przesłuchiwany przez prokuratora powiedział, że go „straszliwie nudził”.

Andrea kontynuował swoją opowieść. Powiedział, że w grudniu został zaproszony na obiad do domu państwa Prato. Wiedział, że kwestia homoseksualności Marca była trudnym tematem w jego rodzinie, opowiadał mu o problemach z matką.

– Było lepiej, niż się spodziewałem. Posiłek minął stosunkowo dobrze.

Przy stole siedzieli rodzice Marca, jego siostra i ciotki. Ciotki, według Andrei, były „fantastyczne”. Jego siostra („bardzo miła dziewczyna”) również dobrze go przyjęła. Matka była miła, ale zdystansowana, dało się wyczuć pewne napięcie, ale nic, czego nie dałoby się opanować. Tylko Ledo zachował się dziwnie.

– Krótko po moim przybyciu wstał od stołu i wyszedł. Obawiałem się, że zirytowało go spotkanie z chłopakiem swojego syna we własnym domu. A może był po prostu zmęczony.

Tej samej nocy, na imprezie sylwestrowej, Marco spotka Manuela Foffo.

Po świętach Andrea i Marco zaczęli się od siebie oddalać.

– To on się wycofał, bo nie czuł pasji z mojej strony. Miał rację. Po kilku miesiącach naszego związku nie byłem już tak zaangażowany.

Rozstali się w lutym, ale ich relacje pozostały bardzo dobre. Nadal się widywali, wychodzili na imprezy. 1 marca spotkali się w klubie.

Następnego dnia Andrea próbował się z nim skontaktować. Nie otrzymał odpowiedzi. 5 marca wysłał mu kolejną wiadomość („Zjeżdżasz mi coraz niżej na liście rozmówców i to mi się nie podoba. Piszę do ciebie, nawet jeśli mnie ignorujesz”). 7 marca przeczytał o morderstwie na Facebooku.

– Nie mogłem w to uwierzyć. Byłem w szoku. Pod wiadomością o aresztowaniu było zdjęcie Marca w czarnym swetrze. Znałem je, bo sam je zrobiłem, co jeszcze bardziej wytrąciło mnie z równowagi. Myślałem, że to fejk, Marco był dobrze znany w Rzymie, ktoś mógł mu zrobić brzydki kawał. Po kilku godzinach uświadomiłem sobie, że to wszystko prawda. Pogrążyłem się w chaosie, totalnej dezorientacji, następne kilka dni

pamiętam jak przez sen.

Był to czas, kiedy Andrea pisał swoją pracę magisterską.

– Następnego dnia poszedłem na uniwersytet. Byłem zdecydowany powiedzieć promotorce, że rezygnuję. Zastałem ją na korytarzu, rozmawiała z grupą asystentów, podszedłem i zdałem sobie sprawę, że rozmawiają o przestępstwie. Poczułem, jak mrozi mi się krew w żyłach. Ona nie wiedziała, że Marco i ja byliśmy razem. To wszystko wydawało się szalone.

Andrea porozmawiał ze swoją promotorką, powiedział jej o wszystkim.

– Pani profesor wzięła mnie pod swoje skrzydła, dodała mi sił, wsparła pod każdym względem. Ukończyłem studia tylko dzięki niej, nigdy nie przestanę być jej wdzięczny.

Na początku Andrea pisał listy do Marca. Ten odpowiadał z Regina Coeli. Najpierw nie pisał o więzieniu i nie wspominał o morderstwie. Potem zaczął się otwierać. Najwyraźniej integrował się ze współwięźniami, wchodził z nimi w interakcje, nawiązywał kontakty towarzyskie. Tak było przez kilka miesięcy. Potem wybuchła kolejna bomba. Nadeszła wiadomość, że Marco jest nosicielem wirusa HIV.

– Wtedy przestałem do niego pisać. Zerwałem kontakt. Czułem się zdradzony i oczywiście spanikowałem. Pobiegłem zrobić test na HIV. Możesz sobie wyobrazić to napięcie. Na szczęście wyszedł negatywny.

Ale noce były ciężkie. Ledwie zasypiał, atakowały go koszmary, dosłownie trzęsły nim złe sny.

– O czym śniłeś? – zapytałem.

– Śniło mi się, że Marco mnie zabija. Albo, co gorsza, śniło mi się, że to ja kogoś zabiłem. To były straszne noce. W pewnym momencie koszmary zniknęły.

– Kiedy to się stało?

Z westchnieniem patrzył na mnie przez dłuższą chwilę.

– Wiem, że niezręcznie to mówić, ale koszmary się skończyły, kiedy Marco się zabił.

Po samobójstwie Marca Prato Andrea zdecydował się opuścić Rzym. To był koszmarny rok, musiał zostawić tę historię za sobą.

– Kilka dni po tym, kiedy przyjechałam do Mediolanu, zszedłem się z jednym chłopakiem. Może nie był to najlepszy pomysł, ale byłem wtedy kompletnie rozwalony.

Minęło jeszcze kilka miesięcy. Andrea zaczął pracować, długo nie wracał do stolicy, nie czuł się gotowy, by stawić czoła temu miastu. Ale prędzej czy

później musiał to zrobić.

– Minęło jeszcze kilka miesięcy, w końcu zdecydowałem się na powrót. Pomyślałem, że dopóki nie będę potrafił ponownie postawić stopy w Rzymie, nie będę mógł powiedzieć, że naprawdę się pogodziłem z całą tą historią. Pamiętam podróż pociągiem. Kiedy dotarłem na Termini, było całkiem miło, znowu zamieszanie, upał, zawroty głowy. Ale potem ktoś na ulicy krzyknął do mnie: *Ciota!* Zdarzyło się to dwa razy tego samego dnia. Postanowiłem, że jednak zostanę w Mediolanie.

Gdy to mówił, nagle poczułem się winny. Winny, ponieważ miałem czterdzieści pięć lat, a on nie miał nawet trzydziestu. Obiektywne poczucie winy związane z wiekiem. Dorośli są zawsze winni, gdy młodzi ludzie żyją w złym świecie. Bo czyja to wina, że taki jest ten świat?

– Ja próbuję wrócić do Rzymu.

Nikomu jeszcze tego nie powiedziałem. Moja żona i ja zaczęliśmy o tym rozmawiać kilka dni wcześniej, czuliśmy, że nasze plany są zbyt delikatne, aby się nimi dzielić, ale jednocześnie bez dzielenia się nimi ryzykowaliśmy, że nie zostaną zrealizowane.

– Pewnego razu na ulicy minąłem jedną z osób związanych z *wydarzeniem* – powiedział Andrea. – Spojrzeliśmy na siebie i poszliśmy dalej bez pozdrowienia. Byliśmy ocalałymi, a to tak, jakby wszyscy ocalali byli podejrzani.

On i inni rozbitkowie z Pequod, pomyślałem. Wkrótce potem Andrea wstał, uścisnęliśmy sobie dłonie, zapłaciłem rachunek.

– Właściwie to dlaczego się zwolniłeś? – zapytałem w końcu. – Znalazłeś lepszą pracę?

– Nie – wyjaśnił. – Po prostu po jakimś czasie zacząłem się źle czuć w agencji.

– Co zamierzasz?

– Jeszcze nie wiem.

– Ale masz jakieś plany? – nalegałem.

– Nie sądzę – odpowiedział z uśmiechem.

Wtedy wydał mi się bardziej wolny ode mnie, młodszy niż przed chwilą. Lśniący, zwycięski, a ja znów poczułem, choć tylko przez chwilę, dreszcz emocji wywoływany przez dni, kiedy człowiek jest pewny, że nie ma nic do stracenia, i czuje się silny, nawet jeśli jest słaby. Starałem się mu nie zazdrościć, ale to był tylko strach. W rzeczywistości czułem się wyzwolony, uwolniony dzięki temu chłopakowi. Nie wiem, jak to zrobił, ale otrząsnął się

z klątwy tej historii, złamał zaklęcie, pokonał przeciwnika. Kosztowało go to wiele cierpienia, sam tak przyznawał, ale teraz był po *drugiej stronie*, chwilowo poza strefą cienia, na drugim brzegu rzeki, na ścieżce ku przyszłości. Pomyślałem, że nie należy do straconego pokolenia. Jak mogliśmy coś takiego pomyśleć? Straceni bylibyśmy my, gdybyśmy zostawili ich samych. Widziałem, jak znika za Porta Venezia. Czułem, jak coś wypływa na powierzchnię, widziałem, jak lśni na tafli wody.

Księga spotkań

Część szósta

Poczucie winy zwalcza się tylko przez praktykę cnoty.

Simone Weil

[…] Gdyby z miłości do dyscypliny zrodził się krok żołnierza, który nie zwycięża, lecz się wycofuje bez zadawania ciosu. […]

Amelia Rosselli

POWIADOMIENIE

NAPAŚĆ SŁOWNA LUB FIZYCZNA NA PRACOWNIKÓW WYKONUJĄCYCH SWOJE OBOWIĄZKI STANOWI PRZESTĘPSTWO.

AKTY PRZEMOCY BĘDĄ ŚCIGANE Z URZĘDU.

Wysiadłem z autobusu na piazzale Flaminio. W całym mieście świeciło słońce. Miesiąc wcześniej, w drodze na piazza Venezia, grupa pijanych nastolatków pobiła kierowcę autobusu linii numer 46. W maju coś podobnego przytrafiło się kontrolerowi biletów. W obu przypadkach pasażerowie nie interweniowali. Autobus ruszył z przystanku, patrzyłem, jak ginie w ulicznym ruchu. Przekroczyłem ulicę. Szedłem bez celu. Wróciliśmy z żoną do Rzymu. Czekając, aż będziemy mogli ponownie wprowadzić się do naszego starego domu, zatrzymaliśmy się u przyjaciół. Pomyślałem, że jeszcze przez chwilę będę mógł patrzeć na miasto świeżym okiem. Santa Maria dei Miracoli, dzwonnica skąpana w porannym świetle. Kilka miesięcy wcześniej sąd apelacyjny podtrzymał wyrok trzydziestu lat więzienia dla Manuela Foffo. Jego nowy adwokat, Fabio Menichetti, z nienaganną retoryką przedstawił na rozprawie dokumentację medyczną i wyniki badań lekarskich. Biegli stwierdzili wprawdzie u Manuela umiarkowane zaburzenia osobowości, ale wykluczyli, by były one decydujące. Manuel był świadomy, kiedy zabijał Lucę. Patrzyłem na zegar Pincio, zamknięty w szklanej klatce, otoczony roślinami. Tego dnia w sądzie byłem także ja. Manuel przyszedł w dżinsach i białej koszuli, włosy miał starannie ostrzyżone, wyglądał schludnie. Siedział między strażnikami więziennymi. Przez cały czas patrzył na sędziego z powagą i szacunkiem. Tylko raz odwrócił się w naszą stronę. Byli tam dziennikarze, kilku gapiów, rodzice Luki Varaniego. Nie było rodziców Manuela ani jego brata. Samochody pędziły wzdłuż Muro Torto, patrzyłem, jak znikają w paszczy tunelu. Sąd kasacyjny podtrzymał wyrok, ostatecznie zamykając batalię sądową. Aby zmierzyć się z tym ostatnim etapem, Manuel zwrócił się do dwóch nowych prawników. Jego niepokój mógł być uzasadniony poszukiwaniem dobrze zdefiniowanej strategii

obrony. Albo też świadczył o dezorientacji oskarżonego. Rozmawiałem z jednym z jego nowych adwokatów. Nazywał się Giammarco Conca, był spokojnym, przyjaznym czterdziestolatkiem, mieszkał poza miastem i leżał mu na sercu los jego klienta. Powiedział mi, że Manuel znalazł się w trudnej sytuacji, i choć starał się odnaleźć w tym wszystkim, co się działo, często przytłaczały go zagubienie, samotność, poczucie winy i gorycz.

Prowadziłem z nim korespondencję od miesięcy. Manuel odpowiadał na moje prośby sprawnie i uprzejmie. Pisał wielkimi literami, jego styl był tak elementarny, że czasem trudny do zinterpretowania. Odnosiło się wrażenie, że podejmował ogromny wysiłek, aby wyrwać siłom chaosu to, co leżało mu na sercu. Z tego, co pisał, wnioskowałem, że nie przezwyciężył swoich problemów z ojcem, z niektórymi dziennikarzami zerwał kontakt, gdy dowiedział się, że przeprowadzili wywiad z Valterem. Najbardziej przejmował się tym, że ojciec lub inni ludzie wypowiadali się w jego imieniu i to, co mówili, było nieścisłe. Istniała tylko jedna poprawna i kanoniczna wersja zdarzeń, a równolegle krążyła zupełnie inna opowieść – sfabrykowana, oszukana, diabolicznie fałszywa – zdolna brutalnie zdradzić tę jedyną prawdę. Jego ojciec, dziennikarze, my wszyscy musieliśmy uważać, by nie wpaść w jej pułapkę. Ale kto był architektem tych mistyfikacji? Kto zastawiał sidła? Odniosłem wrażenie, że w oczach Manuela ręką nadal piszącą tę apokryficzną historię, której tak się obawiał, była ręka Marca Prato. Nie mógł pozbyć się jego ducha. Za pośrednictwem swojego obrońcy Manuel przekazał mi krótki „memoriał|" (tak go nazwał), zawierający jego wersję wydarzeń. Poprosił mnie o uważną lekturę. Zrobiłem to, ale nie mogłem znaleźć na tych stronach niczego, co znacząco zmieniłoby dotychczasową rekonstrukcję faktów. Jednak w każdym słowie, które napisał własnoręcznie, linijka po linijce, można było wyczuć nieustanną, wyczerpującą, niekończącą się walkę z Markiem Prato, bitwę o ostatnie słowo. To Marco nim manipulował, pisał Manuel, to on go zdezorientował, szantażował, wypchnął z domu tamtej przeklętej nocy, to przez niego dopuścił się morderstwa, i to zawsze on, Marco Prato, oczerniał go, rozpowszechniając plotki nawet w więzieniu – Manuel wciąż otrzymywał takie informacje od innych osadzonych – że był „jego chłopakiem". Jakby wciąż czuł oddziaływanie tej siły, która podporządkowała go sobie w pierwszych miesiącach 2016 roku. Ta siła dezorientowała go, męczyła. Przetrwała i *wciąż była żywa*. Minąłem via Rasella. Wszedłem do małego ogrodu obok Kwirynału, do tak zwanej Villa

Carlo Alberto, gdzie posąg konny władcy otaczają krzewy róż. Wciąż otrzymywałem sprzeczne relacje dotyczące Marca Prato. Jedni opisywali go w podobny do Manuela sposób. Ale drudzy mówili o Marcu jako o osobie przyjaznej, empatycznej i wielkodusznej. Dotarłem na via Lanza, wspiąłem się po Schodach Borgiów i wkrótce potem znalazłem się na dziedzińcu Wydziału Inżynierii Mechanicznej. Pomyślałem o rodzinie Prato. Trudno było sobie wyobrazić, jak udało im się przetrwać tak gwałtowny szok. Oskarżenie o morderstwo, a potem samobójstwo Marca. Od czasu do czasu docierały do mnie wieści o Ledzie Prato. Patronował otwarciom wystaw, uczestniczył w wydarzeniach literackich. Gdy pojawiał się publicznie, zawsze był bardzo powściągliwy, uprzejmy, nienaganny w każdym geście. Taka była jego metoda, w ten sposób starał się udźwignąć tragedię. Nie pozwolić, by go zniszczyła, pomyślałem. Łopot skrzydeł. Przez okna wydziału zobaczyłem stado gołębi. O pani Prato nie było żadnych wieści. Była czarną dziurą w emocjonalnym uniwersum syna, czy też pogrążoną w żałobie kobietą chcącą jedynie opłakiwać go z dala od światła reflektorów? Fasady bazyliki strzegły dwa worki śmieci. Mógłbym spekulować bez końca, kto bardziej manipulował kim, Marco czy Manuel; jak frustracje jednego i brak równowagi emocjonalnej drugiego uczyniły ich zdolnymi do niewyobrażalnych czynów. Gdybym jednak miał wskazać to jedno zło, które zdawało się poprzedzać wszystkie inne, przypisałbym je szczególnej formie samotności. Samotności, która sprawia, że gnijemy w naszym ego, i która jednoczy się z lękiem o to, że zostaniemy niezrozumiani, zranieni, okradzeni, uszkodzeni. Lękiem, który karmi niewidzialne rewiry naszego istnienia, który prowadzi nas do pełnej udręki kalkulacji. Lękiem, który karmi niewidzialne rewiry naszego istnienia, każe nam wszystko poddawać kalkulacji, napełnia udręką, wypacza nawet to dobro, które staramy się czynić. Na piazza Vittorio Emanuele słońce padało na palmy i kamienice. Przez plac przejeżdżał tramwaj. W ostatnich tygodniach czytałem książkę podarowaną mi przez senatora Manconiego. Przez długi czas leżała na stoliku nocnym, a potem, po przeprowadzce, w pudłach. Niedawno ją odnalazłem. Nosiła tytuł *Il libro dell'incontro* [Księga spotkania] i była świadectwem długiego eksperymentu w zakresie sprawiedliwości naprawczej między ofiarami i sprawcami walk zbrojnych we Włoszech. Przez kilka lat, między 2009 a 2015 rokiem, krewni ofiar terroryzmu spotykali się z odpowiedzialnymi za śmierć ich bliskich. Projekt został zainspirowany słynnymi eksperymentami w dziedzinie

sprawiedliwości naprawczej i wychodził z założenia, że zwykły wymiar sprawiedliwości, którego procedur nikt nie kwestionował, rzadko dawał pełną satysfakcję ofiarom, a jednocześnie nie oferował sprawcom narzędzi ułatwiających pełne zrozumienie tego, co zrobili. W spotkaniach między stronami, z dala od medialnego zgiełku, pośredniczyli autorzy książki, do których dołączyła niewielka grupa zewnętrznych „rzeczników". Punktem wyjścia było kilka założeń: osoby odpowiedzialne za walkę zbrojną były świadome, że zniszczyły życie całych rodzin; krewni ofiar byli gotowi uznać pełne człowieczeństwo drugiej strony. Jeden z autorów książki napisał w przedmowie: „Naszym celem było, i nadal jest, wspólne kroczenie tą samą ścieżką. My, mediatorzy, będący *pośrodku*, między ludźmi, którzy doświadczyli straszliwego zła, a tymi, którzy to zło spowodowali, wszyscy jesteśmy zjednoczeni czymś tak tajemniczym i pod wieloma względami niewytłumaczalnym, silnym, nieuniknionym i decydującym: pragnieniem lub poszukiwaniem sprawiedliwości. Podczas tej podróży – kontynuuje autor – napotkaliśmy pytania, wątpliwości, splątania, które tylko *inny* mógł rozwikłać, i wątpliwości, które tylko zaufanie do *innego* mogło rozwiać". Niejednokrotnie ojciec Luki Varaniego skarżył się, że nigdy nie otrzymał telefonu od rodziców Manuela i Marca. Przerwanie przerażającej ciszy. Zrobienie pierwszego kroku. Trudno było coś takiego wykonać, biorąc pod uwagę poziom nieporozumień, nieufność między stronami, a tym bardziej brak mediatorów lub poręczycieli. W grę wchodziły uczucia i nastroje trudne do opanowania, takie jak gniew, wstyd, rozpacz. Ale być może tylko coś takiego – sprzeczny z intuicją ruch, niemożliwy gest – potrafiło przełamać klątwę, zatrzymać okrężny ruch zła i samotności. Krzyk. A potem dziecko, uwolnione z uścisku matki, biegło przez kilka sekund pod arkadami placu.

Samochody pędziły wzdłuż via Flaminia, ale my staliśmy na via della Villa di Livia. Wybieraliśmy kwiaty. Nigdy nie byłem na cmentarzu Prima Porta. Miasto umarłych ciągnęło się ku wschodowi kilometrami wewnętrznych dróg, przez które przejeżdżały nawet autobusy. Byłem z Chiarą Ingrosso, czekaliśmy na rodziców Luki.

– Weźmy te – powiedziała, wskazując na chryzantemy.

Budki ponumerowane od 1 do 40 były rozmieszczone w środku nekropolii. W większości sprzedawano kwiaty, ale w niektórych urzędowali też kamieniarze eksponujący posągi i białe nagrobki.

Zobaczyliśmy państwa Varanich, gdy podjechali alfą 167. Chiara pomachała. Samochód zwolnił, w końcu stanął. Wręczyliśmy kwiaty matce Luki. Wsiedliśmy do auta i razem wjechaliśmy na największy cmentarz we Włoszech.

W centrum turyści dusili się u stóp Panteonu. Tutaj lato było mniej gwałtowne. Miodowe światło i umiarkowane ciepło opadały obojętnie na nagrobki i kaplice, na ogromny sektor katolicki i mniejsze, oddane w dzierżawę innym kultom. Obok krematoriów znajdował się Ogród Pamięci, trzy hektary wzgórza, gdzie prochy zmarłych rozsypywano wśród drzew i krzewów.

Po minięciu kilku kolejnych skrzyżowań Giuseppe Varani zaparkował. Wysiedliśmy z samochodu.

– Poczekajcie – poprosili.

Kaplica była małym równoległościanem pomalowanym na pomarańczowo. Natychmiast po tym, jak przekroczyłem próg, zrozumiałem, dlaczego ojciec Luki zabronił nam tam wejść.

– Wyjdź, Nicola, wyjdź!

W jednej chwili zaatakował mnie rój komarów. Cofnąłem się o krok.

Tak stałem się świadkiem operacji, którą przeprowadzali państwo Varani za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżali, przynajmniej latem. Ojciec Luki okrążył samochód. Otworzył bagażnik. Następnie ruszył w stronę kaplicy

z kanistrem w dłoni. Rozpylił środek owadobójczy. W tym samym czasie jego żona wzięła plastikową butelkę i wylała wodę pod parapetem kaplicy, aby zapobiec utwardzaniu się kurzu na ziemi. Wydało mi się, że dokonują wspólnie jakiegoś świętego aktu.

W kaplicy znajdowało się około pięćdziesięciu nisz grobowych stojących pionowo jedna na drugiej. Spojrzałem na daty urodzenia na tabliczkach. Luca był najmłodszy. Starcy zapełniali cmentarze i zaludniali place. Grób Luki był pełen kwiatów. Trudno było co tydzień dokładać nowe. Państwo Varani nie wiedzieli nawet, kto je tam zostawia. Były kartki, wiersze, list od jakiegoś profesora, przysłowie Nawahów. Wszystko razem tworzyło odpowiednik małego ołtarzyka. Wspólnie odmówiliśmy modlitwy. Wtedy matka Luki wykonała gest, który, jak zrozumieliśmy, był jej zwyczajem. Zapukała w marmur grobowca.

Wyszedłem z kaplicy. Przede mną zieleń drzew i groby. Gdzieś w pobliżu spoczywał poeta Sandro Penna. Był środek popołudnia, w powietrzu krążyły owady, światło było idealne.

Potem rodzice Luki zaprosili nas do siebie.

Chiara i ja pojechaliśmy za nimi. Zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej. Pan Varani zatankował. Zaproponował nam coś do jedzenia w barze. Chiara i ja krygowaliśmy się tyle, ile wypadało. Trójkątne kanapki i cola. Giuseppe Varani przyniósł je nam na małej tacy. Dotąd zawsze, kiedy go widziałem, był wściekły. Teraz byli z żoną rozbrajająco mili. Oboje wytatuowali sobie na nadgarstkach imię syna. Wróciliśmy do samochodu. Jechaliśmy za nimi aż na via della Storta, centrum miasta zostawiliśmy za plecami. Tutaj znajdował się dom, w którym mieszkał Luca. Budynek miał trzy piętra. Aby dostać się do środka, trzeba było przejść po rusztowaniu, parter był w remoncie. W planach Varaniego to miało być mieszkanie Luki. A teraz? Weszliśmy na pierwsze piętro i usiedliśmy w salonie. Po jednej stronie stół jadalniany. Po drugiej telewizor i kredens. Na półkach wazony i koronkowe serwetki.

Po chwili rozmowy matka Luki powiedziała, że możemy *tam* zajrzeć. Wstałem. Przeszliśmy przez korytarz. Kobieta otworzyła drzwi. Łóżko, poduszka z Tomem i Jerrym, druga poduszka z flagą Wielkiej Brytanii. Komputer stacjonarny na biurku. Resorak na podkładce pod mysz z nadrukiem kręgli wysłanych w powietrze uderzeniem kuli. Mała czarna plastikowa lampka przymocowana do drzwi szafy, kilka centymetrów od

łóżka, którą Luca włączał, aby poczytać, a następnie wyłączał przed zaśnięciem. Kilka książek na półkach. *Mały Książę*. Słownik. Wielki pluszak Myszki Miki na ścianie. Obok, również na ścianie, znajdowała się jedyna rzecz mogąca sprawić, że ludzie nieznający tej historii wszystko zrozumieją. Pamiątkowy plakat z kolażem zdjęć z Lucą w różnych momentach jego życia.

Wróciliśmy do salonu. Usiedliśmy przy stole i wróciliśmy do przerwanej rozmowy. Pan Varani zaproponował nam likier ze strąków karobu. Okna salonu wychodziły na tył budynku. Roztaczał się z nich wspaniały widok. Patrzyliśmy na pola, wysokie sosny piniowe, pastwiska.

– No i jak smakuje likier?

Wkrótce zajdzie słońce. Upał ustąpi miejsca spokojnemu letniemu wieczorowi. Będziemy stać i rozmawiać, a gwiazdy wezmą w posiadanie niebo i ukażą naszemu spojrzeniu skomplikowane rotacje i obroty, gigantyczną machinę, która obdarza nas życiem i obraca w pył.

Na międzynarodowych lotniskach wszystkie miasta były takie same. Różnice kończyły się na linii sklepu odzieżowego. Londyn, Paryż, Nowy Jork. A teraz i Rzym, pomyślał holenderski turysta wchodzący do terminalu numer 3.

Ta nowa przestrzeń została otwarta kilka miesięcy temu. Duży pawilon pełen światła, którego kształty przywodziły na myśl swobodny świat, wolny od konfliktów i różnic. Pierwsze dwa poziomy były przeznaczone na zakupy. Dalej rozciągała się ogromna przestrzeń restauracyjna. Od kuchni azjatyckiej po włoską. Była też „restauracja tymczasowa" słynnego szefa kuchni z gwiazdkami Michelina. Dalej sklepy wielkich domów mody. Porządek. Piękno. Włochy takie, jakie by były, gdyby narodowy geniusz podporządkowano skandynawskiemu duchowi. Na szczęście to się nie stało, pomyślał holenderski turysta. To by nigdy nie przeszło.

Po aresztowaniu policjanci próbowali go zastraszyć. Powiedzieli mu, że w więzieniu czeka go traktowanie przez innych więźniów zarezerwowane dla takich jak on. Nic z tych rzeczy. W końcu musieli go zwolnić. Prawna próżnia. Jeśli nieletni miał mniej niż dziesięć lat, przestępstwo było karane z urzędu. Powyżej czternastego roku życia prostytucja dziecięca była karana z urzędu pod warunkiem, że strona pokrzywdzona złożyła skargę. Między dziesiątym a czternastym rokiem życia skargę musiał złożyć rodzic lub opiekun nieletniego – sam nieletni nie mógł tego zrobić. Oczywiście holenderski turysta o tym wiedział. Nie wiedział tego chłopak, trzynastolatek, który go zadenuncjował. Przybył do Włoch na barce wraz z innymi zdesperowanymi ludźmi. Nie miał rodziców. Nie miał opiekunów. Musieli uwolnić mężczyznę.

Holenderski turysta kichnął, zamówił brioszkę i *cappuccino*. Spojrzał na ogromne okno z widokiem na pas startowy. Usłyszał wezwanie do wejścia na pokład.

Airbus A330 linii Thai kołował na pasie i oto wystartowali. Samolot przez kilka chwil leciał nad Morzem Tyrreńskim. Następnie zatoczył półkole

i skierował się w przeciwnym kierunku. Zanim wysokość sprawiła, że świat poniżej stał się nie do odróżnienia, mężczyzna znów zobaczył Rzym. Ponownie kichnął. Jakie to dziwne. Nagle poczuł nieprzyjemny ból gardła. Przez okno rozpoznał Koloseum. Każdy, kto choć raz w życiu przeczytał jakąś książkę, wiedział, że to był pomnik światowego dziedzictwa. Wyrywali ci torbę w metrze. Obrażali na światłach. Oskubywali w restauracjach, kaszleli ci prosto w twarz. Ale ostatecznie bilans był dodatni. Miasto dawało ci więcej, niż żądało w zamian.

Historia opowiedziana w tej książce wydarzyła się naprawdę.

Jej rekonstrukcja jest wynikiem długich badań, w tym lektury dokumentów sądowych zawierających opinie biegłych, zapisy przesłuchań, uprawomocnione wyroki, nagrania audio i wideo, oficjalne oświadczenia, wywiady. Wykorzystałem tę dokumentację do wiernej rekonstrukcji wydarzeń, przedstawienia wersji zaangażowanych osób i narracji bohaterów. W przypadku części postaci związanych z tą historią, ale nieobecnych lub słabo obecnych w narracji medialnej użyto fikcyjnych nazwisk w celu zachowania anonimowości.

Dziękuję tym, którzy pomogli mi w długich pracach przygotowawczych. W szczególności dziękuję Chiarze Tagliaferri, dziennikarce Chiarze Ingrosso i wszystkim, którzy zgodzili się przekazać informacje lub dostarczyć materiały dotyczące tej sprawy.

Ta książka jest dedykowana dziennikarzom Alessandrowi Leogrande (1977–2017) i Fabiowi Mendze (1974–2018).

Wybrana bibliografia

Eco Umberto, *Jak podróżować z łososiem*, przeł. Krzysztof Żaboklicki, Warszawa 2017

Flaubert Gustave, *Bouvard i Pécuchet*, przeł. Wacław Rogowicz, Warszawa 1950

Il libro dell'incontro. Vittime e responsabili della lotta armata a confronto, a cura di Guido Bertagna, Adolfo Ceretti, Claudia Mazzucato, Milano 2015

Rosselli Amelia, *Le poesie*, Milano 1997

Trzej satyrycy rzymscy. Horacy, Persjusz i Juwenalis, przeł. Jan Czubek, Jan Sękowski, wstęp i komentarz Lidia Winniczuk, Warszawa 1958

Valcarenghi Andrea, *Underground: a pugno chiuso!*, Rimini 2007

Valéry Paul, *Cattivi pensieri*, trad. Felice Ciro Papparo, Milano 2006

Wergiliusz, *Eneida*, przeł. Tadeusz Karyłowski, Kraków 1924

Weil Simone, *Quaderni. Volume quarto, a cura di Giancarlo Gaeta*, Milano 1993

Cytaty biblijne wg Biblii Tysiąclecia, wyd. V, Poznań 2025

Przypisy końcowe

[1] *Grattachecca* (czyt. grattakekka, l. mn. *grattachecche*), typowy dla rzymskiej ulicy orzeźwiający napój podobny do sorbetu czy granity, ale przyrządzany inaczej, ze świeżo kruszonego lodu polanego syropem lub sokiem owocowym (wszystkie przypisy pochodzą do tłumacza).

[2] Wł. *agenzia pratiche automobilistiche* – prywatne biuro załatwiające wszelkie formalności związane z posiadaniem samochodu, np. odnawianie prawa jazdy, dowodu rejestracyjnego, opłaty, zmiany właścicielskie itp. Korzystanie z takiego biura nie jest obowiązkowe, wszystko można załatwiać przy okienkach właściwych urzędów, ale wielu Włochów woli sobie oszczędzić kontaktu z państwową biurokracją i zleca pośrednictwo specjaliście. Takich biur jest w całych Włoszech około ośmiu tysięcy.

[3] LUISS – *Libera Università Internazionale delle Scienze Sociali* – Wolny Międzynarodowy Uniwersytet Nauk Społecznych, który od lat jest w trójce najlepszych prywatnych uczelni wyższych w Italii.

[4] *Sentinelle in Piedi* – włoski ruch (deklaratywnie apolityczny i świecki) protestujący przeciw uchwalaniu ustaw przeciwko homofobii. Inspiracją dla włoskiego *Sentinelle* był francuski ruch *Veilleurs debout*.

[5] Autor nawiązuje do fragmentu *Elegii rzymskich* Josifa Brodskiego. W przekładzie Barańczaka brzmi on tak: „Byłem w Rzymie. Skąpałem się w świetle. W potokach, / o jakich ledwie marzył taki jak ja okruch! / Złota moneta leży na siatkówce oka. / Starczy na całą długość drogi w mroku”.

[6] Cytat za: *Trzej satyrycy rzymscy. Horacy, Persjusz i Juwenalis*, przeł. Jan Czubek, Jan Sękowski, wstęp i komentarz Lidia Winniczuk, Warszawa 1958.

[7] *Palazzo Montecitorio* – siedziba izby niższej włoskiego parlamentu.

[8] Tu i poniżej cytaty wg Biblii Tysiąclecia, wyd. V.

[9] *Fantacalcio* – gra internetowa, w której grający budują wirtualne drużyny z realnych zawodników i toczą rozgrywki, a ich wynik (w uproszczeniu) zależy od realnych osiągnięć wybranych zawodników. We Włoszech jest zjawiskiem masowym, gra w nią ponad sześć milionów „fantatrenerów”.

[10] Slangowe określenie narkotyków w języku hiszpańskim.

[11] We włoskich szkołach średnich uczniowie dostają od nauczycieli zadania na wakacje i ferie.

[12] *Foglio rosa* – tymczasowe pozwolenie na prowadzenie pojazdu, wydawane osobie, która zdała egzamin teoretyczny i przygotowuje się do praktycznego. Jest ono obwarowane różnymi ograniczeniami, m. in. wymaga jazdy pod opieką dorosłego, który ma prawo jazdy od co najmniej dziesięciu lat i nie przekroczył sześćdziesiątego piątego roku życia.

[13] Jedno z emblematycznych wyrażeń dialektu rzymskiego, którego dosłowne znaczenie nie pokrywa się z rzeczywistym, zależnym od kontekstu. Tutaj jest to wyraz najszczerszej aprobaty.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl
Wydawnictwo Czarne
@wydawnictwoczarne

Sekretariat i dział sprzedaży:
ul. Dukielska 83C, 38-300 Gorlice

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Dział promocji:
al. Jana Pawła II 45A lok. 56
01-008 Warszawa

Opracowanie publikacji: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 50, e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2025
Wydanie I